

Aaron Allston

Twierdza Rebelii

(Rebel Stand)

Linie wroga 2 (Nowa era Jedi)

Przekład: Aleksandra Jagielowicz

Aaron Allston

Twierdza Rebelii

(Rebel Stand)

Linie wroga 2 (Nowa era Jedi)

Przekład: Aleksandra Jagielowicz

Moim Przyjaciółom

ROZDZIAŁ 1

System Pyria

Jaina Solo położyła X-winga w zwrot tak ciasny, jak tylko była w stanie wytrzymać. Przyspieszenie wcisnęło ją w fotel, ale sięgnęła w Moc, żeby przez cały czas pozostawać o włos od utraty przytomności.

Wyszła ze zwrotu z dziobem w tym samym kierunku, z którego nadleciała, wprost ku gwiazdnemu niszczycielowi „Sen Rebelii” i ukrytym w jego cieniu niedobitkom eskadry Yuuzhan Vongów. Rzuciła wzrokiem na tablicę czujników. Pozostali członkowie jej trójki, Kyp Durrion i Jag Fel, nie pozostawali w tyle. Dla Jaga taki manewr nie stanowił żadnego problemu, jego chissański szponostatek był znacznie zwrotniejszy od myśliwca, ale Kypowi dał się we znaki tak samo, jak Jainie. Z drugiej strony Kyp był mistrzem Jedi, a nie zaledwie dwudziestoletnim rycerzem.

Jaina i jej klucz przemknęli pod „Snem Rebelii”. Ogromny statek na moment przysłonił im nieboskłon.

– W porządku, plan jest taki: zachowujemy się tak, jakbyśmy chcieli uderzyć w sam środek ich formacji – oznajmiła. – Zamiast tego skręcamy w prawo i lecimy po krawędzi. Koncentrujemy ogień kolejno na każdym celu, jaki się nawinie, tak samo jak na ćwiczeniach, gotowi?

– Zawsze gotowi, bogini – głos Kypa był spokojny i opanowany.

Jag tylko twierdząco przytknął w komunikator.

– Ognia i rozciągnąć szyk.

Najbliższy z nadlatujących skoczków znalazł się w zasięgu ognia i natychmiast zaczął wysyłać w ich stronę strumień drobnych czerwonych iskierek. Każda iskierka stanowiła kilkukilogramowy kłęb przegrzanej, stopionej skały – plazmy. W lodowatej przestrzeni pociski stygły szybko, ale przez te kilka chwil, kiedy pozostawały gorące, stanowiły śmiertcionośną broń, bez trudu przepalającą powłokę myśliwca, jakby to była tafla lodu.

Jaina nastawiła lasery na podwójny ogień i czekała. Chwilę później poczuła, jak Kyp sięga ku niej poprzez Moc, przejmując na chwilę kontrolę nad jej ręką spoczywającą na drążku steru. Wycelowwała i strzeliła w odległego skoczka niejako bez udziału świadomości. Lasery Kypa błysnęły w tej samej chwili, Jaga – o ułamek sekundy później.

W oddali strzał Jaina został natychmiast wchłonięty przez maleńką czarną osobliwość, miniaturową czarną dziurę zwaną pustką, która błyskawicznie pojawiła się na dziobie skoczka. Strzał Kypa wsiąkł w identyczną czarną dziurę o metr za pierwszą, ale strzał Jaga – o jeden za dużo do strawienia dla pustek skoczka – wbił się w kopolkę statku. W jej wnętrzu pojawił się krótki rozbłysk i lot skoczka z kontrolowanego zmienił swój tor na balistyczny.

Jaina, znów całkowicie panując nad ruchami, przechyliła statek i skręciła w prawo. Towarzysze trzymali się jej skrzydeł w ciasnej, starannie kontrolowanej formacji. Przed nimi znajdował się

kolejny skoczek, wkrótce pojawił się trzeci. Sięgnęła w kierunku Kypa, pozwoliła mu strzelić, odzyskała kontrolę, zmieniła cel, sięgnęła do Kypa, pozwoliła mu strzelić...

W ciągu kilku sekund dwa kolejne skoczki zmieniły się w płonące wraki zawieszony w przestrzeni. Nawet nie patrząc na tablicę Jaina wiedziała, że skoczki z drugiej strony formacji kierują się ku niej, nadlatując z lewej. Postawiła myśliwiec na ogonie w stosunku do poprzedniego kursu i wzniosła się ponad strefę potyczki, zmuszając skoczki do pościgu. Byle dalej od „Mon Mothmy” i jej misji.

Widoczna z oddali „Mon Mothma” weszła w strefę min dovin basali. Jej własny oddział myśliwców – E-wingów, X-wingów i przechwytyjących myśliwców TIE – wysypał się z doków i uniósł w mrok, w kierunku statku, który miał eskortować i chronić.

Coruscant

Luke Skywalker, Mistrz Jedi, siedł sam o kilka metrów przed grupą.

Wiedział, że nikt go nie rozpozna, pomimo otaczającej go sławy. Miał na sobie zbroję ze skorupy kraba vonduun, najchętniej noszony strój bojowy Yuuzhan Vongów. Jego zbroja była co prawda sztuczna, ale wykonana z lekkich materiałów starannie ukształtowanych i zabarwionych tak, aby przypominały płyty żywego yuuzhańskiego skorupiaka. Wolał takie rozwiązanie. Niektórzy z jego towarzyszy nosili prawdziwe zbroje i musieli przyzwyczajać się do skurczów i pulsowania żywej istoty. Pod zbroją miał na sobie cienki, przylegający ciasno do ciała, jasnoszary kombinezon, cieniowany błękitnymi pasmami, który dość dokładnie imitował odcień skóry niektórych Yuuzhan. Gdyby nie to, że był o kilka szerokości dłoni niższy od przeciętnego yuuzhańskiego wojownika, do złudzenia przypominałby przedstawiciela tej rasy.

Zresztą i tak trudno byłoby go dokładnie obejrzeć w miejscu, gdzie właśnie się znajdowali. Szedł korytarzem przeznaczonym dla pieszych, łączącym kilka budynków zamkniętymi, zawieszonymi w powietrzu pasażami na wysokości mniej więcej setnego piętra. Ten budynek musiał kiedyś być eleganckim kondominium dla bogaczy, bo na każdym piętrze znajdowało się jedynie kilka wytwornie urządzonych apartamentów. Wszystkie drzwi zostały wybite, ale – sądząc ze stanu pomieszczeń, odartych z wszystkich co cenniejszych przedmiotów, ale z nietkniętymi urządzeniami mechanicznymi – należało sądzić, że dzieła zniszczenia dokonali szabrownicy, a nie Yuuzhanie.

Wszędzie unosił się smród rozkładu. Nieustannie potykali się o szczątki byłych mieszkańców Coruscant – niektóre nosiły na sobie wyraźne ślady przemocy, przyczynę śmierci innych trudno było dostrzec na pierwszy rzut oka, wszystkie jednak znajdowały się w stanie zaawansowanego rozkładu.

Ile jedzenia znajdowało się w kuchniach tych ludzi w chwili upadku Coruscant i całkowitego zniszczenia jego infrastruktury? Ile wody uda im się znaleźć? Na świecie, gdzie nie istniały ani tereny leśne, ani rolnicze, gdzie nie było innego sposobu zdobycia pożywienia, jak tylko przez import maszynami, które tak łatwo mógł zniszczyć nieprzyjaciel, należało się spodziewać, że większość prostych mieszkańców Coruscant już nie żyła, a śmierć każdego dnia zbierała nowe żniwo.

W niektórych miejscach smród zgnilizny wydawał się mocniejszy, w innych słabszy, ale był wszędzie. Luke i większość jego grupy korzystali z niewielkich perfumowanych chusteczek, którymi zasłaniali nozdrza. To Buźka je zabrał. Luke wolał nie wiedzieć, przez jakie doświadczenia musiał przejść, żeby pamiętać o dużym zapasie tych szmatek.

Luke zbliżył się do wylotu, gdzie korytarz budynku przechodził w pasaż i zgasił pręt żarowy, zbudowany tak, aby przypominał yuuzhańskie stworzenia dające światło. Z otworu sączyło się mdłe światło słoneczne, co wskazywało na to, że pasaż zbudowano z transpastali. Za dawnych czasów widok z tego miejsca musiał zapierać dech w piersiach.

Poczuł, a później także usłyszał kroki Mary, która zaszła go od tyłu.

– Ty załatwiłeś ostatnią, farmerze – mruknęła.

Obejrzał się na nią. Mara również była ubrana w zbroję wojenną Yuuzhan Vongów i odpowiedni kombinezon. Gdyby nie kształt podbródka i ust pod krawędzią hełmu, nigdy nie rozpoznałby w niej swojej żony.

– A ty poprzednią – zauważył.

– Moja kolej – oznajmił Garik „Bużka” Loran, dawny aktor, później długoletni dowódca komórki wywiadowczej Nowej Republiki. Prawie połowa jego zwykłej ekipy zwanej Widmami, dzieliła z nim tę misję. Bużka był nie do rozpoznania, gdyż oprócz zbroi ze skorupy kraba vonduun miał na sobie ooglitha, coś w rodzaju żywej maski używanej przez Yuuzhan. Ta jednak była dziełem członka grupy Widm nazwiskiem Baljos Arnjak i przypominała pokrytą bliznami, zniekształconą twarz wojownika Yuuzhan Vongów. Stał obok Mary.

– Buzi na szczęście? – wysunął poszarpane, wystrzępione wargi jak do pocałunku.

Pokręciła głową.

– Życie ci niemiłe czy straciłeś instynkt samozachowawczy?

Bużka zachichotał. Zrzucił plecak i wysupłał z niego zwój liny, obwiązując jeden jej koniec wokół pasa. Drugi koniec, wraz z resztą zwoju, podał Luke’owi.

– Buzi na szczęście?

– Spływaj z pierwszym podmuchem.

Dotarli do dużego otworu prowadzącego do pasażu. Podobnie jak cały korytarz, był dość szeroki, aby czworo potężnie zbudowanych ludzi mogło iść obok siebie; ściany z obu stron stanowiły płyty transpastali wzmocnione metalowymi wspornikami. Przez przejrzysty materiał Luke widział otaczające budynki, w większości pokryte czymś w rodzaju alg lub kępkami traw nieznanego gatunku. Wiele budynków wydawało się bliskich zawalenia, z zapadniętymi dachami i zaokrąglonymi od erozji krawędziami.

Bużka ruszył przed siebie, macając stopą podłoże, zanim zrobił kolejny krok. Luke nie widział drugiego końca korytarza, który w połowie wyginał się łagodnym łukiem, by lepiej wytrzymywać duże obciążenia, a mierzył co najmniej pięćdziesiąt metrów. Pod pasażem ciągnął się szeroki, obecnie zniszczony nie do poznania bulwar.

Kiedy Bużka znajdował się już w odległości około dziesięciu metrów, komunikator w hełmie Luke’a trzasnął i ożył, odzywając się głosem Bużki.

– Nie trzeszczy za mocno. Wydaje się całkiem solidny.

Pozostali członkowie grupy Luke’a przybliżyli się do wylotu. Wszyscy mieli na sobie yuuzhańskie zbroje – albo prawdziwe, jak u Bużki, albo sztuczne, jak Luke’a.

Najwyższy z „wojowników”, o wyraźnych czarno-czerwonych symbolach na masce i napierśniku, był to Kell Tainer, kolejne Widmo, wielbiciel maszyn i mocnych materiałów wybuchowych, a także mistrz walki wręcz.

Następni dwaj wojownicy nosili zbroje domeny Kraal, ozdobione zawiłymi ornamentami o barwie srebra i różowego koralu, ściągnięte z Yuuzhan okupujących Borleias, zanim odbiła ją rozpadająca się Nowa Republika. Baljos Arnjak, ten w bardziej spiczastym hełmie, był ekspertem Widm w zakresie wiedzy społecznej o Yuuzhanach i o ich organicznej technologii; drugi, szerszy hełm o większych otworach na oczy, ukrywał Bhindi Drayson, kobietę o najróżniejszych talentach wywiadowczych, znającą się świetnie na taktyce militarnej, komputerach i robotyce. Twarz Bhindi

była oszpecona niezmywalnym makijażem, więc dopiero przy bliskim przyjrzeniu się dało się zauważyć, że jej wargi nie były naprawdę powycinane w strzępy, a reszty twarzy nie pokrywały prawdziwe tatuaże. Baljos również miał na sobie maskera ooglitha z parą kłów wystających z dolnej części podbródka.

Dalej szedł Elassar Targon, Devaronianin, lekarz Widm. Miał na sobie sztuczną zbroję utrzymaną w tonacji zielonoszarej, gdyż naturalna zdawała się przepelniać go zabobonnym przerażeniem. Nawet teraz, gdy nie spuszczał oka z postępów Bużki, nie przestawał wykonywać prawą dłonią magicznych gestów. Czy po to, aby Yuuzhanie trzymali się z daleka, czy żeby Bużka bezpiecznie dotarł do końca korytarza? Luke nie wiedział, a Elassar wykonywał te gesty tak często, że pewnie bez udziału świadomości.

Obok szła Danni Quee, naukowiec Nowej Republiki, autorka wielu wynalazków technicznych w wojnie przeciwko Yuuzhan Vongom. Jej zbroja była całkiem czarna i żywa, wyhodowana właściwie dla Elassara i dlatego nieco na nią za duża i krępująca ruchy. Korzystając z chwili wolnego czasu wyjęła z torby małe elektroniczne urządzenie i zaczęła pobierać próbki z otoczenia. Danni i Elassar również nosili charakterystyczną, choć na diabolicznych rysach i czerwonej skórze Devaronianina wyglądała ona znacznie efektowniej niż na łagodnym obliczu Danni.

Tahiri Veila trzymała się kilka metrów za grupą, pilnując tyłów. Była trzecim Jedi w grupie. Jako nastolatka oficjalnie była jeszcze uczennicą, lecz w istocie, jeśli nie liczyć tej oficjalnej strony, uważana była przez wszystkich za rycerza, bo od początku inwazji Yuuzhan Vongów nabrała doświadczenia i wiedzy. W tych wojennych czasach wszystko zmieniało się tak szybko, że szkolenie nie nadążało za rozwojem jej pokolenia Jedi. Zbroja Tahiri miała rdzawą barwę, a przeciwpoślizgowe podeszwy jej kombinezonu były dla niej bez wątpienia lepszym rozwiązaniem niż jakiegokolwiek obuwie, choć nie mogły się równać z chodzeniem na bosaka, co zdecydowanie wolała. Miała na sobie trzeciego ooglitha, któremu z każdego policzka sterczały po cztery ostre jak szpony kolce, a podbródek i szyję pokrywały głębokie, krzyżujące się czerwone krechy blizn.

Luke spojrzał na nią. Nie potrzebował Mocy, by wyczuć cierpienie, które od jakiegoś czasu zdawało się nieodłącznym towarzyszem dziewczyny. Niedawno zginął jej najlepszy przyjaciel, siostrzeniec Luke'a, młody Anakin Solo. Zginął w czasie uwiecznionej sukcesem, lecz bardzo kosztownej misji zniszczenia gniazda stworzeń zwanych voxynami, które okazały się bardzo pożyteczne w polowaniach na Jedi i ich zabijaniu. Od tamtego czasu, z wyjątkiem nielicznych chwil, Tahiri owijała się w milczenie jak w szatę Jedi, trzymając wszystkich na dystans.

Luke sam wyraził zgodę na misję młodych Jedi. Wielu z nich zginęło. Czasem trudno mu było spojrzeć w oczy Hanowi i Leii, rodzicom Anakina. A teraz prowadził kolejną misję, w której zagrożone jest życie młodej Jedi. Czasem zastanawiał się, czy kiedykolwiek przestanie wysyłać młodych ludzi na pewne cierpienie i śmierć.

Prawdopodobnie nigdy, pomyślał. Nie należę do tych szczęśliwców.

– Jestem na środku – szepnął Bużka. – Wciąż żadnych trzasków. Poskaczę trochę, kiedy będę na drugiej stronie, żeby sprawdzić, czy połączenie wciąż jest bezpieczne i... zaraz, zaraz, coś tam się rusza...

Nagle z oddali, gdzieś zza pleców Bużki, rozległy się okrzyki w języku Yuuzhan Vongów. Tizowym – organiczny yuuzhański tłumacz – zainstalowany w uchu Luke'a – przetłumaczył ten okrzyk na wspólny: „Stój! Nie ruszaj się! Imię, domena i zadanie!”

Luke rzucił zwój liny Baljosowi.

– Zostawcie tu plecaki – polecił.

Poszedł przodem, Mara i Kell w ślad za nim, a z tyłu rozlegał się tupot stóp Tahiri. Tylko ich czwórka miała szansę stoczyć wyrównaną walkę z grupą świetnie wyszkolonych wojowników Yuuzhan Vongów.

Luke słyszał odpowiedź Buźki zarówno normalnie, jak i przez komunikator. Zdawała się zawierać w sobie odpowiedni ładunek agresji i gniewu.

– Jestem Faka Rann. Moją misją jest niszczenie bluźnierstw i szkolenie moich wojowników. Nie zatrzymujcie mnie.

Luke, Mara, Kell i Tahiri zbliżyli się do Buźki. Teraz dopiero mogli spojrzeć w dół pochyłości, skąd zbliżała się grupka yuuzhańskich wojowników. Luke naliczył siedmiu, większość miała już w rękach amphistaffy. Wężowate stworzenia były sztywne, w pozycji włócznia. Buźka manipulował przy swoim sztucznym amphistaffie, który miał owinięty wokół pasa, ale Luke wiedział, że tylko uwalnia się ze sznura.

Podszedł do Buźki i stanął obok niego z rękami skrzyżowanymi na piersiach, emanując pychą i arogancją. Mara ustawiła się przy nim, Tahiri i Kell z drugiej strony Buźki. Kell odwinął z pasa własnego sztucznego amphistaffa i ustawił w sztywnej pozycji. Była to doskonała imitacja działania prawdziwej broni, choć nie wytrzymałaby bezpośredniej walki.

Zbliżająca się grupa wojowników zatrzymała się o dziesięć metrów od nich. Jej dowódca objął wzrokiem grupę Luke'a.

– To wyznaczona dla nas strefa – zauważył. – Kto was tu przysłał na łowy?

– Nikt nas nie przysłał – głos Buźki brzmiał ostro i drwiąco nawet w tłumaczeniu tizowyrma. – Nie jesteśmy na służbie, szukamy osobistej chwały.

– Jeśli nie jesteście na służbie, musicie nam ustąpić. Z drogi.

Luke wiedział, że żaden prawdziwy wojownik Yuuzhan Vong nie zareaguje dobrze na takie wezwanie i westchnął w duchu: będzie walka. Przesunął kolano, aż wyczuł miecz świetlny, który zwisał mu z pasa pod płytami zbroi.

– Jeśli wy jesteście na służbie – odparł Buźka – to znaczy, że nasza misja jest ważniejsza od waszej, bo wy polujecie jedynie na rozkaz dowódców, a my dlatego, że to czyni nas wspaniałymi. To wy zejście nam z drogi.

Dowódca nieprzyjaciół wytrzeszczył oczy na Buźkę. A potem krótkie słowne starcie zakończyło się dokładnie tak, jak powinno: najpierw zaatakował dowódca, a za nim wojownicy w dwóch szeregach.

Buźka odskoczył, pozwalając, aby zręczniejsi od niego w walce wypełnili lukę. Dowódca wroga rzucił się w jego kierunku, jakby chciał się wcisnąć pomiędzy Luke'a i Kella, wywijając amphistaffem i celując w głowę Luke'a. Ten jednak skoczył w górę, a jego salto wyglądało tylko trochę mniej zwinnie z powodu fałszywej zbroi.

Zawieszony w powietrzu zobaczył, że Kell złapał dowódcę i zawinął nim w przód i dokoła, rozplaszczając go na jednej z transpastalowych szyb pasażu. Szyba wytrzymała, ale metalowe okucia zawiodły i puściły. Wojownik spadł w dół, wrzeszcząc i wymachując ramionami.

Luke wylądował i wyciągnął spod zbroi swój świetlny miecz. W tej samej chwili usłyszał trask i syk włączanych mieczy Tahiri i Mary. Ostrze zapłonęło dokładnie w chwili, kiedy należało odbić cios amphistaffa. Odepchnął śmiercionośny, zatruty łeb na bok, wyminął go i zripostował. Wojownik zdołał pochwycić ostrze miecza górną częścią amphistaffa i ostrze odskoczyło, pozostawiając na

grzbiecie zwierzęcia tylko niewielkie oparzenie.

– *Jeedai!* – wrzasnął jego przeciwnik. Pozostali wojownicy podchwycili i powtórzyli okrzyk – a potem zabrzmiał on jeszcze raz, wykrzykiwany przez inne głosy, z większej odległości.

Luke odparował żuka, którym rzucił w jego stronę jeden z wojowników z tylnego szeregu, i zamachnął się z całych sił na swojego przeciwnika. Wojownik uchylił się, ale nie on był prawdziwym celem – Luke kierował broń w kierunku ramienia przeciwnika Tahiri po prawej stronie. Ostrze wbiło się w nieosłonięty łokieć i odcięło go. Wojownik ryknął; wydawało się, że nie tyle z bólu, ile z gniewu. Jego ramię wraz z amphistaffem spadło na ziemię. Tahiri wykorzystała ten moment, żeby go kopnąć i odesłać na tyły szeregu. Tymczasem Luke kątem oka zauważył Marę, która właśnie zwinnie przyżegęła rzuconego w jej kierunku brzytwożuka, jednocześnie parując potężne uderzenie amphistaffa z pierwszej linii i sztych drugiego z tylnej.

Wtedy Luke zobaczył kolejną grupę wojowników nadbiegającą z korytarza sąsiedniego budynku. Nie mógł ich policzyć, ale uznał, że musiało ich być co najmniej dwudziestu, a otwór korytarza z każdą sekundą wypluwał kolejnych. Wszyscy wykrzykiwali: *Jeedai!*

Kell Tainer odwrócił się i pobiegł. Luke przez moment pochwycił zdumione i pełne zawodu spojrzenie Tahiri spod przyłbicy, ale jej twarz zaraz znikła, kiedy znów zanurkowała pod ramieniem kolejnego przeciwnika. Zanim zdążyła się wyprostować, powietrze nad nią zagotowało się od ognia miotaczy. Większość energii wchłonęła lub odbiła zbroja przeciwnika, ale jeden strzał trafił wojownika w szyję. Yuuzhanin upadł na wznak z dymiącym gardłem, a Luke spostrzegł, że Bużka z miotaczem w ręku stoi tuż za Tahiri. Kiedy dziewczyna wstała, Bużka zwolnił wyzwalacz i odstąpił w lewo, poza zasięg wzroku Luke'a, czekając na kolejny cel.

Luke kopnął odcięte ramię wraz z amphistaffem wprost w twarz przeciwnika, pieczętując go prostym sztychem w twarz. Ten wojownik był jednak zbyt sprytny, aby nabrać się na tę sztuczkę. Ani drgnął, kiedy ramię odbiło się od jego hełmu, i sparował cięcie własnym amphistaffem.

Nagle napłynęła kolejna fala wojowników i zrobiło się gęsto od amphistaffów, brzytwożuków, chrząszczy udarowych i podobnych do noży couffeee, którym trzeba było stawić czoło. Luke stwierdził nagle, że musi się cofać krok za krokiem, jednocześnie parując kolejne ciosy, spalając brzytwożuki, a co jakiś czas zatapiając miecz w gardle przeciwnika.

– Zbrojny odwrót! – rozkazał.

Coś przemknęło pomiędzy Lukiem a Marą. Wyglądało jak płaskie czarne pudełko wielkości mniej więcej ludzkiej dłoni, z błyszczącymi znakami – literami lub cyframi – na boku. Kell znów znalazł się w polu widzenia Luke'a, tym razem z miotaczem trzymanym wysoko ponad głową Jedi; raził Yuuzhan strumieniami ognia.

– Proponuję naprawdę szybki odwrót – zawołał. – Dziesięć!

– Co to było? – zapytał Luke. Zamiast zablokować kolejny nadlatujący amphistaff, pochylił się do przodu i ciachnął mieczem nadgarstek nowego przeciwnika, odcinając mu dłoń wraz z bronią.

– Wiesz, co to było. Siedem. Sześć.

Luke zaczął biec z powrotem. Mara i Tahiri dotrzymywały mu kroku, Bużka i Kell nie przerywali ognia, wspomaganego od czasu do czasu celnym strzałem ze strony pozostałych członków grupy.

Zaledwie znów znaleźli się w korytarzu, ładunek eksplodował. Nagle pasaż pośrodku grupy Yuuzhan Vongów zmienił się w ścianę ognia, pędzącą ku nim z oszałamiającą prędkością.

Luke ostatnim wysiłkiem użył Mocy i rzucił się w tył, pociągając za sobą Marę i Tahiri. Wylądowali kilkanaście metrów w głębi korytarza, wciąż odbijając rzucone chrząszcze

i brzytwożuki. Ognisty podmuch eksplozji z rykiem przeleciał nad grupą interwencyjną, na moment oślepiając Luke'a i odrzucając go do tyłu. Luke doskonale wiedział, gdzie znajdują się inni Jedi i Widma, i śmiało wywinął świetlnym mieczem w kombinacji obronnej, której rzadko używał poza salą treningową. Poczul, jak jego ostrze natrafia na coś twardego i nieustępliwego.

Żar i błysk przeleciały i zniknęły, a Luke stwierdził, że jego miecz jest szczepiony z amphistaffem wojownika, z którego pleców unosi się dym. Trzej inni wojownicy stali pomiędzy nim a resztą grupy, a dwaj miotali się w skoncentrowanym ogniu miotaczy Widm i Danni Quee. Ostatni znajdował się właśnie w połowie eleganckiego wyskoku z kopnięciem, kiedy skierowane w górę ostrze miecza Mary pograżyło się pod spódniczką jego zbroi.

Luke kopnął swojego przeciwnika w sam środek brzucha, wytrącając go z równowagi. Yuuzhanin zatoczył się, cofnął do otworu pasażu i z okrzykiem zaskoczenia znikł w przepaści.

Pasażu nie było. O tym, że kiedykolwiek istniał, świadczyły jedynie zjeżone szczątki konstrukcji i unoszący się dym. Nawet poprzez dźwięczący w uszach huk eksplozji Luke mógł słyszeć zgrzyt i huk pogruchotanych szczątków, spadających trzysta czy czterysta metrów w dół na ruinę bulwaru.

Stali przez chwilę w milczeniu, dysząc z wysiłku. Widma, Jedi i naukowiec spojrzeli po sobie.

– Czy ktoś jest ranny? – zapytał wreszcie Luke.

– Brzytwożuk mnie drasnął – zawiadomiła Danni. – Właściwie odbił się od zbroi i tylko ściał mnie z nóg.

– Dość niszycielska walka – mruknął Luke. – Ale przynajmniej nikt z naszych nie ucierpiał.

– Bardzo dobra potyczka – zauważył Buźka. – Obiecująca.

– Jak to? – zmarszczył brwi Luke. – Przecież teraz wiemy, że tu jesteśmy. Że Jedi tutaj są.

– Nie. Po pierwsze, sądzę, że wszyscy oni byli w pasażu. A zatem nie przeżył nikt, kto wie, że są tutaj Jedi.

– Dopóki nie znajdą ciał – zauważyła Mara. – Z bardzo charakterystycznymi śladami mieczy świetlnych.

Buźka wzruszył ramionami.

– I tu mnie masz. Ale jest coś ważniejszego: dopóki nie wyszły na jaw miecze świetlne, uważali nas za Yuuzhan. A więc wszystko gra: i przebrania, i moje niezwykle zdolności językowe, dzięki którym w ciągu ostatnich kilku lat nauczyłem się potocznego języka Yuuzhan Vongów. Możemy się spodziewać, że dalej też będzie w porządku.

– Słusznie.

Buźka przybrał nagle ton zawodowej troski.

– Czy to się liczy jako moja kolej, czy mam sprawdzić następny korytarz?

Luke wyszczerzył zęby.

– Liczy się jako twoja kolej.

– Następny będzie o dwadzieścia lub trzydzieści metrów w dół – zauważył Kell. – Może lepiej tam chodźmy.

Bhindi klepnęła Kella w tył hełmu.

– Tamten na dole z pewnością będzie rozbity przez szczątki tego tutaj, kolego Bumbum. Idziemy w górę.

– Wiedziałem – odparł zgnębionym tonem Kell.

Borleias, system Pyria

Han Solo wisiał głową w dół, pogrążony po pas w maszynerii pod płytami pokładu „Sokoła Millenium”, kiedy usłyszał i poczuł zbliżające się kroki. Były lekkie i zdecydowane – czyli była to Leia. To znaczy, że powinien pojawić się również drugi odgłos – kroków Meewalh, noghryjskiej morderczej damy do towarzystwa Leii, ale Han nigdy jeszcze nie miał okazji go usłyszeć.

Bardzo chciał naprawić sprzęgło, nad którym się biedził, a odwrócona pozycja pozbawiła go ciekawości – zresztą czuł, że gdyby Leia miała jakiś problem, jej kroki brzmiałyby inaczej.

– Artoo, możesz mi podać ten elektryczny przepływomierz? – wyciągnął dłoń w powietrze i czekał.

R2-D2, robot astromechaniczny Luke’a, odpowiedział mu serią wesołych pisków i pohukiwań. Han usłyszał buczenie wyciąganego manipulatora, poczuł, jak miernik łąduje mu w dłoni. A potem dobiegł go głos żony:

– Ciekawe, czy jeśli go popchnę, walnie głową w podłogę?

Radosny pisk R2-D2 brzmiał zdecydowanie twierdząco.

– Módl się, do czego tam chcesz, Artoo, żeby tego nie zrobiła – odparł Han. – Nie mogę uderzyć mojej żony, będę więc musiał zemścić się na pierwszym robocie, jaki mi się nawinie.

Artoo odpowiedział niezadowolonym tryłem, po czym oddalił się z warkotem kółek.

– Co on gada? – zapytał Han.

Leia się roześmiała.

– Nie wiem, ale na jego miejscu powiedziałabym: „No to idę po See Threepio”.

– Racja – Han podłączył przepływomierz do świeżo zainstalowanych przewodów. – Mogłabyś włączyć mi holokom?

– Czy ty siedzisz z głową w kablach zasilających holokomu?

– Tak.

– No to nie mogłabym.

– Jeśli tego nie zrobisz, nie sprawdzę, czy zasilanie jest prawidłowe.

– Wyjdź na górę, a miernik zostaw tam, gdzie będziesz go mógł odczytać.

Han stęknął. Wiedział w głębi ducha, że nic się nie może stać, że „Sokół” nigdy by go nie skrzywdził w czasie naprawy. Uznawał to za pewnik, pomimo niezliczonych otarć, kontuzji i kopnięć prądem, jakich doświadczył w ciągu tych lat. Ale Leia pozostała nieugięta.

Wiedział też z wieloletniego doświadczenia, że Leia nie odejdzie, dopóki się nie upewni, że Han nie robi czegoś, co ona uważa za głupie. Może albo czekać tak z głową w dół do końca świata, albo ustąpić.

Umieścił zatem miernik tak, żeby móc odczytać wskazania z góry i wydzwignął się z włazu,

prezentując Leii sztucznie wesoły uśmiech.

– Zadowolona?

– Jeszcze jak. Ale jesteś czerwony.

– Tak to już jest, kiedy się za długo wisi głową w dół. Mogę dostać trochę kawy? Albo coś do czytania? Nie chcę się nudzić, kiedy ty będziesz prowadzić naprawę. – Zignorował nagły zawrót głowy, spowodowany odpływem krwi od mózgu i wstał.

Leia uśmiechnęła się, ani trochę nie zbita z tropu jego uszczypliwością.

– Chciałam ci tylko przypomnieć, że przed wyjazdem powinniśmy wstąpić do Tarka.

– Tak, wiem. Nie znoszę pożegnań.

Leia zniżyła głos do szeptu.

– Skoro już o tym mowa, nie wiesz przypadkiem, jak mam powiedzieć Meewalh, że nie możemy jej zabrać w tę misję? Że jej obecność w charakterze goryla obróci wniwecz cały nasz kamuflaż?

Han odpowiedział również szeptem:

– Może dasz jej urlop?

– Han...

– A może tuż przed startem pošlemy ją po butelkę brandy i odlecimy zanim wróci?

– Wcale mi nie pomagasz.

Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie.

– Nikogo nie oszukasz. Doskonale wiesz, co jej masz powiedzieć. Chcesz tylko, żebym przy tym był, żebym cię poparł, tak?

Spojrzała na niego z udaną urazą.

– Mógłbyś mi nie zaglądać do głowy?

– Mam rację?

– Masz, masz – westchnęła Leia i przytuliła się do niego.

Lecz wyraz jej twarzy był tylko pozornie wesoły. Nie mogła czuć się beztrosko, skoro jeden z jej synów niedawno zginął na wojnie, a drugi zaginął i wielu ludzi uważało go za zmarłego, jedyna córka zaś wraz ze swoją eskadrą prowadzi misję gdzieś w systemie Pyrii. Han zastanowił się, czy kiedykolwiek nadejdzie taki czas, że ujrzy prawdziwy spokój na twarzy żony.

System Pyria

Głęboko w polu minowym dovin basali Jaina i jej Eskadra Bliźniaczych Słońc dotarli do „Mon Mothmy”, która właśnie wykonywała zwrot w kierunku Borleias. W dali pojawił się statek towarowy typu Gallofree, tłusty i brzydki jak Hutt w pół drogi do basenu, kierujący się w ich stronę. Drobne światełka migające wokół frachtowca świadczyły o wciąż toczącej się bitwie, ale było ich niewiele, w dodatku ciągle ich ubywało. Światełka czujników przedstawiające skoczki koralowe stopniowo znikwały z ekranu.

– Bliźniacze Słońca, tu „Sen Rebelii”. Czujniki pokazują kolejne eskadry skoczków, ale sądzę, że przed ich przybyciem nasz konwój wykona ostatni mikroskok i znajdzie się poza polem minowym. Ale może być gorąco, więc uważajcie, proszę.

Jaina wyszczerzyła zęby na słowo „proszę”. Dzięki grze, w jaką grała z Yuuzhan Vongami, dzięki oszustwu, które powodowało, że coraz bardziej identyfikowała się z boginią Yun-Harłą, znajdowała się zawsze o krok poza strukturami dowodzenia Borleias, a wszystkich dowódców poinstruowano w cztery oczy, żeby traktowali ją z szacunkiem godnym zagranicznego dygnitarza. Nieraz się zastanawiała, których dowódców ta gra bawi, a których irytuje. Głos tego kontrolera nie nosił śladów irytacji.

– Dowódca Bliźniaczych Słońc do „Snu Rebelii”: odebrałam.

Jaina wprowadziła eskadrę w łuk równoległy do trajektorii „Snu Rebelii” i czekała. Kiedy kontury statku towarowego stały się wreszcie widoczne gołym okiem, jego nazwa pojawiła się także na tablicy czujników: „Szalona Namiętność”. Widać też było, jakie myśliwce ją eskortują. Po skończonej walce ustawiły się w formację oskrzydlającą. Większość nosiła szaro-białe barwy sił wspomagających „Snu Rebelii”, ale jedna z eskadr, mieszana, składająca się z myśliwców A i E, pomalowana była na jaskrawożółto z groźnymi czarnymi zygzakami.

– A co to za sithowe nasienie? – zdziwiła się Jaina.

– „Bliźniacze Słońca Jeden”, tu Żółte Asy Taanab – odezwał się rozbawiony męski głos. – Mówi „As Jeden”. Przybyliśmy, żeby pokazać obrońcom Borleias, jak się lata.

Jaina skrzywiła się. Zapomniała, że przełączyła się na ogólną częstotliwość bojową Nowej Republiki, żeby odpowiedzieć „Snowi Rebelii”. Ale chociaż wina leżała po jej stronie, nie mogła pozwolić, aby taki przytyk uszedł płazem.

– A, to wy tak po mistrzowsku wylatujecie ze strefy walki?

– Nie mów o bitwie – odparł „As Jeden”. – Chyba że jesteś ochotniczką.

– „As Jeden”, tu „Szalona Namiętność”. Nie mógłbyś przypadkiem ograniczyć swoich flirtów do strefy naziemnej?

– Zrozumiałem, „Szalona”. Dowódco Słońc, wpadnij do mnie, jak już będziemy na dole. „As

Jeden”, wyłączam się.

Jaina przełączyła się na częstotliwość własnej eskadry.

– Bezczelny małpojaszczur.

– Zgadza się – odezwał się mechaniczny głos Prosiaka, gamorrańskiego pilota i eksperta od taktyki. – Znam go.

Jakieś istoty poruszały się w polu widzenia Tama Elgrina. Nie był w stanie utrzymać otwartych powiek, więc nie widział wyraźnie i przez większość czasu dostrzegał tylko przesuwające się nad nim plamy białe lub pomarańczowe, porozumiewające się stłumionymi głosami.

Na razie zadowalał się tą sytuacją; nie przeszkadzał mu nawet zamęt w głowie i fakt, że niewiele pamiętał, ale wreszcie ciekawość zwyciężyła. Zmusił się do otwarcia oczu i zogniskowania wzroku.

Teraz dopiero zobaczył, że cały ruch odbywa się poza łóżkiem, na którym leżał. Jego wielkie, niezgrabne ciało pokrywała czysta płachta w kojącym błękitnym kolorze. Pod stopami miał metalową płytę łóżka, a dalej coś w rodzaju chodnika dla pieszych: kolorowe plamy, które widział, okazały się ludźmi, humanoidami. Tylko od czasu do czasu przewijał się jakiś Twi'lek czy Devaronianin, niektórzy ubrani w szpitalną biel, inni w kombinezonach pilotów. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Po obu stronach łóżka wisiały nieprzezroczyste zasłony w tym samym denerwująco kojącym błękitcie. Tak wyraźnie oddzielały go od reszty pomieszczenia – najprawdopodobniej miały zapewnić odrobinę prywatności i spokoju – że wreszcie zrozumiał, iż znajduje się w szpitalu.

Na razie to mu wystarczyło. Nie musiał wiedzieć, po co tu jest. Najważniejsze, że jego mózg pracował na tyle dobrze, aby przetwarzać informacje.

W chwilę później jedna z postaci zeszła z chodnika i zbliżyła się do jego łóżka. Była to istota z Kalamaru, a długie doświadczenie z niehumanoidami podpowiadało Tomowi, że to kobieta. Miała na sobie biały kombinezon lekarza, a jej skóra promieniowała ciepłym różowym kolorem.

– Obudziłeś się – powiedziała takim tonem, jakby to był niezwykle wyczyn, coś, co powinno przynajmniej trochę go ucieszyć.

– Um – powiedział. Miał zamiar powiedzieć „tak”, ale wyszło mu „um”.

– Wiesz, co się stało? Gdzie byłeś i dlaczego?

Potrząsnął głową.

– Um.

– Zostałeś paskudnie wykorzystany przez Yuuzhan Vongów i uwarunkowany na wykonywanie ich rozkazów. Oparłeś się jednak tym manipulacjom i prawdopodobnie zapobiegłeś tragedii. Twój opór spowodował pewne uszkodzenia fizyczne, dlatego tu jesteś.

Czuł się tak, jakby się znalazł przed zaporą oddzielającą go od wspomnień... i nagle tama runęła, wspomnienia zalały go falą, uderzyły weń, uniosły go... Pamiętał, że znajdował się na Coruscant, kiedy miasto zostało podbite przez Yuuzhan; pamiętał, jak się ukrywał i uciekał, jak go w końcu schwytali i wzięli do niewoli. A potem minęło wiele dni – ile? Chyba dwa, choć wydawało się, że pół życia. Leżał na stole, który się ruszał, słuchał Yuuzhan Vongów, którzy mówili mu, co ma robić, czuł przeszywający ból, kiedy tylko wypracował w sobie dość siły, by odrzucić ich słowa i odmówić

wykonania rozkazów. Ból przychodził nawet wtedy, kiedy odmowa ukryta była głęboko w jego sercu; nawet kiedy nie potrzasał głową, nie mówił i nawet spojrzeniem nie dawał znaku, że się buntuje. Stół zawsze wiedział, zawsze sprawiał mu ból, aż pewnego dnia słowa Yuuzhan przebiły się przez zasłonę, a on nie mógł się im oprzeć, nie mógł odmówić nawet w najgłębszej głębi ducha.

A potem pozwolono mu „uciec” i wrócić do swojego pracodawcy, historyka Wolama Tsera, z którym opuścili Coruscant i znaleźli się na Borleias, w tymczasowej twierdzy pogrążonej w chaosie armii Nowej Republiki. Tam szpiegował operacje Nowej Republiki, naukowiec Danni Quee i pilotkę Jainę Solo.

Dopiero kiedy się dowiedział, że jedną z nich ma porwać, a drugą zabić, znalazł w sobie dość siły, aby oprzeć się bólowi, który przychodził zawsze, kiedy nie spełniał natychmiast żądań Yuuzhan Vongów. I padł, pewien, że ból go zabije.

– Czy jest pan wciąż z nami, panie Elgrin?

– Um – mruknął. – Tak.

Otworzył oczy; Kalamarianka, pochylała się nad nim z rozchylonymi ustami. Jej oczy poruszały się niezależnie od siebie, kiedy go obserwowała.

Z doświadczenia wiedział, że taki wyraz twarzy oznacza lekkie zdenerwowanie, choć osoba znająca jedynie ludzkie rysy z pewnością by tego nie dostrzegła.

– Pan Elgrin? Tylko... Elgrin. Albo Tam.

– Tamie, jestem Cilghal. Będę z tobą pracować, aby pokonać skutki tego, co ci uczyniono. – Przechyliła głowę na ludzką modłę, może nabrała tej maniery w kontaktach z ludźmi. – Przykro mi, ale muszę ci powiedzieć, że odwaga, z jaką stawiałeś czoło uwarunkowaniu, nie uleczyła cię. Wciąż cierpisz od skutków tego uwarunkowania. Będziemy wspólnie pracować, żeby je przezwyciężyć. Żebyś mógł normalnie funkcjonować.

– Jeśli tak jest... dlaczego ból głowy jeszcze mnie nie zabił?

Cilghal wzięła jego rękę w swoje. Miała gładkie, duże dłonie z błoną między palcami – większe niż Tam, ale nie zimne, jak mu się wydawało. Skierowała palce Tama na jego czoło. Wyczuł coś w rodzaju hełmu, jakieś urządzenie pokrywające cały czubek jego głowy.

– Ta aparatura wyczuwa nadejście twoich bólów – wyjaśniła. – Sygnały elektroniczne zakłócają receptory bólu, zmniejszając go lub eliminując całkowicie. Później dopasujemy ci implant, który spełni tę samą rolę, ale nie będzie widoczny. Implant pozwoli ci również nagradzać siebie poprzez uwolnienie endorfin za każdym razem, kiedy zrobisz coś, co uznasz za sprzeczne z wolą Yuuzhan Vongów. Uważamy, że stopniowo zdołasz w ten sposób uwolnić się od uwarunkowania.

– Ale po co? Przecież będę sądzony. I rozstrzelany. Za zdradę.

– Nie sądzę. Ta baza podlega prawu wojennemu, a generał Wedge Antilles powiedział, że należy ci się pochwała, a nie nagana. Nie będzie żadnego procesu.

Tam poczuł pieczenie pod powiekami. Nie wiedział, czy to łyzy ulgi, czy wstydu wobec przebaczenia, które otrzymał, choć na nie nie zasłużył. Odwrócił twarz, żeby Cilghal nie zobaczyła, że płacze.

– Pójdę już – powiedziała. – Porozmawiamy później, kiedy się lepiej poczujesz.

ROZDZIAŁ 2

Wysoki mężczyzna wali pięściami w ciemną kamienną ścianę.

Ściana rozciąga się wszędzie, jak okiem sięgnąć – przynajmniej tak daleko, jak sięga mdłe światło zrujnowanych wnętrzności wielkiego miasta. Jest lekko cofnięta, nie całkiem pionowa. Lśniący kamień, z którego ją wykonano, pokrywają drobne szare cętki, które przydają mu piękna i tajemniczości. Ściana nie wydaje się zbudowana z bloków; raczej stanowi jednolitą płytę, której powierzchni nie znaczą spoiny ani szczeliny.

Kamień nie ustępuje pod ciosami pięści.

Mężczyzna podnosi z podłogi kawałek durabetonu i uderza nim w ścianę z całej siły.

Durabeton rozpada się w pył.

Człowiek włącza swoją broń. Jej buczenie zmienia ton za każdym ruchem ramienia, czerwony odblask błąka się po kamieniu. Człowiek wbija ją w ścianę.

Kamień nie rozgrzewa się, nie bucha płomieniem, nawet nie topnieje.

Cofa ostrze i dotyka miejsca, w którym wbiło się w powierzchnię ściany. Miejsce jest nieco cieplejsze od pozostałej powierzchni, ale nie parzy.

Krzyczy. Echo jego gniewu i rozpaczony unosi się pod wysokie sklepienie i odbija echem od ścian komnaty.

Musi zdobyć to, co jest za ścianą. Tam jest wszystko. Nigdy tego nie widział, nigdy nie poczuł, ale wie, że tam jest, wie dzięki wspomnieniom, które pozostawały żywe na długo przedtem, zanim je sobie uświadomił.

Wysoki mężczyzna czuje w pobliżu czyjąś obecność. Podbiega do sterty gruzu, który zwałił się ze zrujnowanego sufitu i odpycha na bok kawał durabetonu.

W niszy pod głazem kuli się mała postać. Człowiek.

Wysoki mężczyzna wyciąga rękę, wyszarpuje tamtego z kryjówki. Człowieczek ma na sobie lachmany i cuchnie potem. Wielomiesięcznym potem. Jego włosy są długie i wystrzępione, ciemne oczy przepelnia lęk.

Wysoki mężczyzna nie mówi. Nie zna słów. Zamiast nich formułuje myśl – obraz czarnej ściany, która nagle rozpada się w gruz, odsłaniając przestrzeń, gdzie spoczywa skarb – i wciska ją w umysł tamtego. Człowieczek sztywnieje i wydaje okrzyk przerażenia, kiedy myśl wypełnia cały jego umysł.

Wysoki przekazuje kolejną myśl, sformułowaną w pytanie: „Jak?”

Człowieczek dygocze w jego rękach, jego myśli, setki myśli, maleńkich i rozbieganych jak gryzonie, migają w mózgu tamtego.

Nagle pojawia się obraz. Maszyna, którą człowiek może utrzymać w dwóch rękach. Z dyszy bucha oślepiający blask, płomień, który tnie wszystko. Człowieczek myśli o przecięciu ściany tym ogniem, wykrojeniu otworu, przez który wysoki człowiek mógłby przejść.

Wysoki mężczyzna formułuje w myślach kolejny obraz. Przedstawia on małego człowieczka, który idzie po maszynę i przynosi ją tutaj. Natychmiast. Wysoki wbija tę myśl w głowę tamtego jak młotem, bezlitośnie, aż słyszy pełen bólu wrzask. Wypuszcza człowieczka z rąk.

Jego nowy niewolnik z płaczem ucieka w mrok.

Borleias

Pułkownik Tycho Celchu, zastępca dowódcy Wedge'a Antillesa, wszedł do biura generała. Szczerzył zęby w uśmiechu, którego najwyraźniej nie mógł opanować, co było niezwykle u tego pełnego rezerwy oficera, w normalnych sytuacjach nie manifestującego żadnych uczuć.

– Generale – rzekł. – Przedstawiam panu oficera, który dowodzi Żółtymi Asami Taanab.

Wytwornym gestem, niczym mistrz ceremonii, wskazał drzwi, których za sobą nie zamknął.

Do biura wszedł mężczyzna o szerokich barach, przystojny, ciemnowłosy. Należał do typu ludzi, którzy noszą średni wiek jak kostium pirata. Miał na sobie jadownicie żółty kombinezon ozdobiony czarnymi zygzakami, przypominającymi fale mózgowe w interpretacji szalonego malarza. Zamiast zasalutować, przybrał pomnikową pozę.

– Kapitan Wes Janson melduje się na rozkaz. To znaczy... proszę pana.

Wedge poderwał się, aby uścisnąć dłoń Jansona, ale zamiast tego, przyciągnął go do siebie, chwytając w niedźwiedzi uścisk.

– Wes! Nie powiedzieli mi, że przylecisz z nową grupą.

– Wystarczyło posmarować, gdzie należy. Nie mogłem pozwolić, żeby mi schrzanili wielkie wejście. No dobra, co masz do picia?

– Trutkę domowej roboty, jeśli o to chodzi. Z wyjątkiem szczególnych okazji. Siadaj. – Wedge zajął swój fotel, Tycho zamknął drzwi i obaj przybyli również usiedli.

Janson wyjął kartę danych z jednej z licznych kieszeni kombinezonu i rzucił ją na biurko Wedge'a.

– Jestem pewien, że znasz już listę towarów z „Szalonej Namiętności”, ale tu masz moją kopię. Możesz sprawdzić, czy są takie same. Żywność, amunicja, zapasy, części zamienne do myśliwców, kilka beczek nie całkiem dojrzałej brandy owocowej z Taanab...

– Cudownie. – Wedge wsunął kartę w notes, przeglądając informacje, które zaczęły przewijać się po ekranie. – Jak długo pozostaniecie w systemie?

– Czy ja wiem... pewnie dopóki mnie nie zabiją.

Zaskoczony Wedge spojrzał na niego bystro.

– A to co znowu?

– Żółte Asy Taanab to jednostka ochotnicza. Jesteśmy finansowani przez tę samą fundację, która zakupiła i dostarczyła wszystkie towary... zorganizowaną przeze mnie. Kiedy złożyłem rezygnację, obiecałem moim zwierzchnikom, że przywiozę im w kieszeni kawałek Tsavonga Laha. Nie mogę ich rozczarować.

– Masz ochotę przenieść się do Eskadry Łotrów? – uśmiechnął się Wedge.

– Z rozkoszą, ale nie mogę. Przywiozłem ze sobą półtora dywizjonu pilotów z Taanab

i uchodźców, którzy mają prawo pójść za moim przykładem.

Tycho zacmokał z wrażenia.

– Ależ ty jesteś odpowiedzialny, Wes.

Janson wzruszył ramionami ze smętnym uśmiechem.

– Obawiam się, że to żalosne efekty uboczne starzenia się organizmu. – Nagle wyraźnie się ożywił. – O, właśnie, możecie pomóc mi o tym zapomnieć, tylko powiedzcie mi coś na temat tej pilotki, która dowodzi Bliźniaczymi Słońcami. Ma milusi głos. Ciekawe, czy równie milusio wygląda?

Wedge, z trudem powstrzymując się od parsknięcia śmiechem, szybko wymienił znaczące spojrzenie z Tychem.

– No cóż, tak. Milutko wygląda.

– Zameżna? Zajęta?

– Mam wrażenie, że owszem, zajęta. Od niedawna. Moim siostrzeńcem, dodał w myśli Wedge. Choć oboje bardzo się starają, żeby nikt tego nie zauważył.

– No to kim ona jest?

Wedge zmarszczył brwi, jakby usiłując sobie przypomnieć.

– Jay jakaś tam – obrócił się w stronę Tycho. – Dobrze myślę?

– Chyba tak.

– Jay... Jay... – Wedge nagle rozjaśnił się w uśmiechu. – Właśnie. Jaina Solo.

– Jaina Solo! – Jansen pobladł lekko.

– Jestem pewien, że to właśnie ona.

– Sithowe nasienie, a więc flirtowałem z dziewięciolatką...

– Dziewiętnastolatką – łagodnie poprawił go Tycho. – I ma na koncie więcej zestrzeleń niż my wszyscy trzej razem wzięci w jej wieku.

Janson westchnął, najwidoczniej pokonany.

– Chyba ją będę musiał przeprosić, a potem rzucę się na jej miecz świetlny.

Wedge pokręcił głową.

– Lepiej poproś Hana, żeby cię zastrzelił. Będzie mniej bolało, a on ma do tego prawo, jako ojciec.

– Wiesz co, jako dowódca jesteś kawał drania.

Wedge tylko się uśmiechnął.

Światostatek domeny Hul. System Pyria

Wojownik Yuuzhan Vongów, Czulkang Lah, był stary, o wiele starszy niż inni, których oglądali tubylcy galaktyki. Pod bliznami, tatuażami i okaleczeniami, przez które jego twarz wydawała się prawie czarna, a rysy niemal nierozpoznawalne, skórę miał poznaczoną głębokimi zmarszczkami starości. Chudość starczej sylwetki maskowała powiększona zbroja z kraba vonduun, która wspomagała jego mięśnie swoją siłą.

Stał pośrodku komnaty dowodzenia, swojej ulubionej na światostatku domeny Hul. Ściany były pokryte stacjami komunikacyjnymi doradców i podległych mu oficerów, między innymi osobistego doradcy, Kasdakha Bhula. Większość stacji wyglądała jak wpuszczone w ścianę z koralu yorik półki, na których spoczywały rzędy villipów. Z tej metody komunikacji najchętniej korzystali Yuuzhanie. Niektóre z villipów znajdowały się w stanie spoczynku i leżały jak pozbawione twarzy bryły, inne wyciowane, wyglądały jak bezbarwne, błyszczące głowy Yuuzhan Vongów, których usta się poruszały, przemawiając w idealnej synchronizacji z odległymi nadawcami – rzeczywistymi oficerami i szpiegami.

Ponad siedzeniem Czulkanga Laha widniała wielka błoniasta soczewka o średnicy trzykrotnie większej niż wzrost wysokiego wojownika. Rozciągał się przez nią nieporównany widok na przestrzeń otaczającą domenę Hul, a dzięki jej zdolności do kurczenia się Czulkang Lah mógł również obserwować w powiększeniu bardzo odległe obiekty.

Przed starcem stał wysokiego wzrostu kapłan; jego chudość znamionowała częste posty i umartwienia. Miał na sobie ceremonialne szaty i zawój bogini Yun Harli.

– Witaj, Harrarze – odezwał się Czulkang Lah.

– To dla mnie zaszczyt, że mogę znów przed tobą stanąć. – Kapłan oddał ukłon, a po tej wymianie uprzejmości wyprostował się natychmiast. – Raduję się, że widzę cię przy pracy, która przystoi zarówno bogom, jak twojemu stanowisku. Przywożę ci statki i piechurów, którzy pomogą ci w osiągnięciu celu. – Wspomniane przez kapłana posiłki przeleciały przed iluminatorem-soczewką, aby się pokazać staremu wojownikowi, ale i po to, aby oddać cześć głównodowodzącemu siłami Yuuzhan Vongów w systemie Pyria.

– Zostałem poinstruowany przez mojego syna, aby okazać ci wszelką pomoc w schwytaniu Jainy Solo. – Starzec skinął na znacznie młodszego mężczyznę, który natychmiast wystąpił naprzód i ukląkł. – Harrarze, powierzam ci Charata Kraala. Dowodził on specjalnymi działaniami dotyczącymi zarówno Jainy Solo, jak i innych istotnych kwestii. Obecnie stoi na czele bardzo pomysłowej i mocno zaangażowanej jednostki, na którą składają się piloci z domen Kraat i Hul oraz zbieracze wiedzy. Ciężar dowodzenia, jaki na mnie spoczywa, stanie się lżejszy, jeśli przejmiesz go ode mnie wraz z całym oddziałem i sam poprowadzisz jego działania.

Harrar zwrócił się do młodszego wojownika.

– Czy czujesz, że jesteś gotów przejść do innej służby?

Pytanie miało wagę życia i śmierci. Gdyby w porywie uczciwości Charat Kraal stwierdził, że nie chce przeniesienia, zostałby natychmiast uśmiercony, a jego miejsce zajęłby inny, bardziej entuzjastycznie nastawiony dowódca.

Charat Kraal podniósł wzrok i spojrzał wprost w oczy Harrara. Nos wojownika był nie tyle zdeformowany, co często się zdarzało u Yuuzhan Vongów, ile raczej brakowało go zupełnie, a postrzępione i zaczerwienione kawałki skóry otaczające bliznę miały świadczyć o gwałtowności, z jaką zostały oderwane. Czoło miał wysokie, bardziej jak człowiek niż Yuuzhanin, pokryte skomplikowanymi poprzecznymi tatuażami, które przyciągały wzrok i częściowo ukrywały defekt.

– Służę bogom, naszym dowódcom i domenie Kraal – rzekł. – Z radością przyjmuję przeniesienie.

– Dobrze – odparł Harrar. – Czym się teraz zajmujesz?

– Niedawno straciliśmy szpiega wśród ludzi zamieszkujących ten wielki, błuźnierczy budynek. Przygotowałem plan wprowadzenia tam nowego szpiega, a nawet kilku. Dokonamy tego przy okazji następnego ataku na ich siedzibę.

– Tak po prostu? – zdziwił się Harrar. – A niewierni nie będą mieli możliwości, żeby odmówić tak wspaniałego podarku?

Charat Khaar uśmiechnął się szeroko, ukazując zza poszarpanych, wąskich warg połamane zęby.

– Nie odmówią, o wielki kapłanie.

– Kiedy moja audyencja u Czulkanga Laha dobiegnie końca, pójdziesz ze mną i opowiesz mi o swoich planach.

Coruscant

Grupa Luke'a Skywalkera dotarła do galerii, która niegdyś mieściła sklepy i eleganckie domy towarowe. Luke znów poczuł ukłucie, jakąś ledwo wyczuwalną zmianę w Mocy. Odniósł to wrażenie już wcześniej i teraz skierował się w stronę, z której nadeszło, mając nadzieję, że to właśnie stanowi źródło jego niepokoju i wizji, która zapoczątkowała wyprawę i przywiodła ich na Coruscant. Jednak pozostali Jedi nie zawsze czuli to samo co on.

Obejrzał się na nich. Mara od razu popatrzyła na niego i kiwnęła głową. Tahiri, czujna jak polujący drapieżnik, wpatrywała się w dal, w stronę, z której dochodziło to zakłócenie.

Nawet Danni spoglądała mniej więcej w tym samym kierunku, a mocny yuuzhański makijaż nie był w stanie zamaskować jej zdezorientowanej miny.

– Czujecie coś? – zapytała.

– Jasne – odparł Kell. – Głód. Czas na przerwę?

Luke pokręcił głową.

– Nie tu, na otwartej przestrzeni.

– Jasne. Ładunki wybuchowe znacznie ładniej eksplodują na powietrzu.

Tahiri spojrzała na niego z pogardą.

– Czy ty zawsze myślisz tylko o jednym?

– Zawsze tylko o jednym naraz, kochanie. A teraz myślę o swoim żołądku.

Wyczulone do granic możliwości zmysły Luke'a odebrały kolejny sygnał, tym razem wyraźniejszy i bliższy niż poprzedni – powiew zagrożenia.

– Uwaga – szepnął. – Kłopoty.

W jednej chwili cała grupa sformowała się w koło. Mara, Tahiri, Kell i Bużka na zewnątrz, pozostali w środku. Nikt nie wyciągnął technologicznego uzbrojenia, ale Luke upewnił się, czy ma miecz świetlny w zasięgu ręki, a Bużka i Kell usztywnili sztuczne amphistaffy.

Z góry i z dołu dochodził ryk wielu głosów. Z dwóch sklepów po jednej stronie galerii i z obu końców balkonu piętro wyżej wysypał się tłum rozkrzyczanych istot, kierujących się wprost na Luke'a i jego grupę.

Byli to zarówno ludzie, jak i humanoidzi, mężczyźni i kobiety, w większości odziani w brudne łachmany, uzbrojeni w prymitywne dzidy i noże oraz domowej roboty miecze. W jednej chwili prawie dwudziestoosobowa grupa rzuciła się w kierunku oddziału Luke'a, a z różnych pomieszczeń wysypywali się kolejni.

Luke odetchnął z ulgą.

– Czas na kontakt – rzekł i sięgnął do hełmu.

– W nogi – odezwała się nagle Bhnidi.

– Co?

– W nogi! – Bhindi natychmiast wykonała własne polecenie: odwróciła się w stronę, z której przyszedli i puściła pędem, byle dalej od zbliżającego się tłumu.

Luke porozumiał się wzrokiem z Marą. Wzruszyli zgodnie ramionami i pobiegli w ślad za Bhindi. Reszta deptała im po piętach.

Wybiegli z szerokiego, sklepionego korytarza, który stanowił wejście do galerii handlowej, i szybko oddalili się od swoich prześladowców.

Skęcili w prawo, w najbliższą odnogę korytarza i biegli nim dłuższą chwilę, po czym Bhindi skręciła w drzwi wiodące na awaryjną klatkę schodową. Poprowadziła ich w górę całe pięć pięter, przeskakując po dwa stopnie naraz, po czym nagle skręciła w ciemny i znacznie węższy korytarz. Tu się zatrzymali – niektórzy ledwie żywi ze zmęczenia.

Kell pochylił się do przodu, oparł dłonie na kolanach i spróbował złapać oddech.

– Na takie rzeczy to ja jestem za stary...

Danni oparła się o ścianę. Po twarzy spływał jej pot, ale yuuzhańskiej charakterystyce to nie zaszkodziło.

– Mogłabyś mi powiedzieć, po co tak biegliśmy? Podobno mieliśmy nawiązywać kontakty z grupami ocalałych mieszkańców! Mówiliście nawet coś o tworzeniu komórek ruchu oporu... a może się mylę?

Bhindi obdarzyła ją krzywym uśmiechem.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, normalni ludzie, którym życie miłe, nie rzucają się tak na Yuuzhan Vongów, nawet jeśli wypada ich stu na jednego. A to znaczy, że mają jakiś sposób, żeby nas zabić, na przykład wciągnąć w pułapkę, gdzie spadnie nam na łby pięćdziesiąt ton gruzu.

Danni przemyślała to i skinęła głową.

– Zgoda.

– Po drugie – ciągnęła Bhindi – nie mamy powodu przypuszczać, że którykolwiek z yuuzhańskich wojowników, którzy zaatakowali nas w pasażu, jeszcze żyje. Część jest w plasterkach, część w strzępach, niektórzy rozplaszczeni na płacek upadkiem z trzystu metrów, a jeszcze inni wszystko razem. Dlatego uważam, że nasza tu obecność i fakt, że jesteśmy bardzo skutecznie przebrani za Yuuzhan, jeszcze nie wyszły na jaw. Jeśli jednak dowie się o tym setka wygłodniałych tubylców, na pewno ktoś nas wyda i Vongowie dowiedzą się wszystkiego.

– A zatem – odezwał się Luke – kilkoro z nas zdejmie przebrania i pójdzie do nich jako ludzie.

– A reszta zostanie tutaj i odpocznie – dodał Kell.

– Zgadza się. Pójdę ja, Mara, Buźka i Bhindi. Reszta zostaje.

Zamiast zakipieć oburzeniem, Tahiri skrzywiła się tylko lekko i rzuciła plecak na podłogę korytarza.

Luke wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej.

– W każdej grupie musi być przynajmniej jeden Jedi.

– Chcesz powiedzieć, że będę niańczyć ludzi dwa albo trzy razy starszych ode mnie? I to ma być ten żart?

Kell prychnął i odezwał się piskliwym głosem, niczym rozkapryszony dzieciak:

– Ciociu Tahiri, ja chcę bajeczkę!

Luke, w ciemnym stroju, który wybierał zawsze, kiedy pojawiał się publicznie jako Mistrz Jedi,

przyglądał się kobiecie, która stała po drugiej stronie grzejnika wystającego ze szczeliny w płytach podłogi. On i trójce jego towarzyszy – wszyscy w nierzucających się oczy cywilnych ubraniach – oraz sześcioro mężczyzn i kobiet ze Społeczności Pasażowej siedzieli na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, otaczając grzejnik luźnym kręgiem. Na grzejniku stał garnek z zielonkawą zupą, która właśnie zaczynała wrzeć.

– Jak przeżyliście? – zapytał Luke.

Siedzieli na zapleczu budynku, który kiedyś był eleganckim domem mody Pasażu Catiera, galerii handlowej, gdzie niedawno zaatakowano grupę Luke'a. Kobieta, do której się zwracał – niegdyś chyba pulchna i jasnowłosa, teraz zdecydowanie szczuplejsza na skąpej diecie – miała włosy ciemne od brudu, brązowe oczy i spojrzenie stwardniałe na skutek wyrzeczeń, cierpienia i poświęceń. Nazywała się Tenga Javik i była przywódczynią Społeczności Pasażowej.

– Podłączyliśmy ekrany zbierające fotony i pochłaniacze ciepła, żeby mieć energię. – Miała chrapliwy głos; lekki szal, owinięty wokół szyi, dziwnie nie na miejscu w dusznym, wilgotnym powietrzu pomieszczeń Coruscant, sugerował, że musiała niedawno odnieść ranę gardła. – Jeden z nas pracował w fabryce szarej waty. Jadłeś kiedy szarą watę, mistrzu Skywalkerze?

– Czasami. Szarą watą nazywano tu odżywkę na bazie jednokomórkowców, produkowaną i sprzedawaną z myślą o najbiedniejszych z biednych. Wyglądała jak szary, gruby filc, ale w smaku była zdecydowanie gorsza. Jej główną zaletą była niska cena, no i jeszcze spora trwałość bez dodatkowych zabiegów.

– Ukradliśmy reaktory szarej waty i porozmieszczaliśmy na całym naszym terenie – mówiła Tenga. – Są dobrze ukryte, stale zasilane w energię i dostarczamy im wody z własnej destylarni. Przez większość czasu ukrywamy się przed Vongami albo zastawiamy pułapki, jeśli wiemy, że zdołamy ich zabić. Przeżyjemy jakoś, mistrzu Skywalkerze.

– A co z powietrzem? – zapytała Bhindi.

Tenga zajrzała do zupy, jakby chciała uniknąć spojrzenia Bhindi.

– Coraz gorsze – wyznała wreszcie. – Pracujemy nad tym. Próbuje ustawić dmuchawy, które przewiewałyby powietrze z miejsc, gdzie jest ono lepsze.

Nie brzmiało to przekonująco.

– Jeśli to się nie uda, będziemy musieli się przeprowadzić. Pójść głębiej. – Spojrzała Luke'owi w oczy z nagłą determinacją. – Kiedy przybędą statki, mistrzu Skywalkerze? Kiedy możemy się spodziewać odsieczy?

– Nieprędko – przyznał. – Chciałbym móc powiedzieć ci coś innego, ale przez jakiś czas będziemy musieli polegać wyłącznie na sobie.

Kilku towarzyszy Tengi westchnęło, dając upust niezadowoleniu, ale ich gniew nie był skierowany na Luke'a. Chyba po prostu nie spodziewali się usłyszeć niczego innego.

Tenga znów zajęła się zupą.

– Statki są nam potrzebne – wychrypiała, zniżając głos. Wydawało się, że nie mówi do Luke'a. – Potrzebujemy Jedi.

– To nasza pierwsza misja powrotu – odparł Luke, przekazując jej swoją pewność siebie przez ton głosu i poprzez Moc. – Przybędzie nas tu więcej. Coruscant nie pozostanie w rękach wroga. To wy musicie zdecydować, czy chcecie pozostać przy życiu, kiedy wyzwolimy ten świat. Znużenie i rozczarowanie, jakie odczuwacie, może was zabić równie skutecznie jak Yuuzhanie.

– Doskonale tu sobie poradziliście – dodała Bhindi. – A ja wam pokażę, jak można sobie

poradzić jeszcze lepiej.

Tenga ożywiła się na te słowa.

– To znaczy?

– Lepiej się ukrywać, robić lepsze zasadzki i lepiej bronić się przed patrolami Yuuzhan Vongów.

Lepiej naprawiać i konserwować urządzenia.

– Słucham – rzekła Tenga.

– Po kolei, po kolei – wtrąciła Mara. – Potrzebujemy informacji. Czy któreś z was widziało lub poczuło coś dziwnego w tej okolicy? Oczywiście poza wszelkimi zmianami, jakie tu wprowadzili Yuuzhanie.

Wielu z obecnych tylko pokręciło głowami, ale siedzący w drugim rzędzie kręgu chudy mężczyzna w średnim wieku, o mrocznych, podejrzliwych oczach, przemówił:

– Lord Nyax.

Kilku z jego towarzyszy skwitowało te słowa westchnieniem. Jeden czy dwóch jęknęło, jakby z rozpaczą.

Luke uśmiechnął się, zanim zdołał się powstrzymać.

– To bajka dla dzieci.

– On istnieje naprawdę – odezwał się Yassar.

Mara uniosła brwi.

– A tego to ja bym nie była pewna...

– W dawnych czasach, na Korelii, rodzice straszili nim dzieci, jeśli nie zjadły owoców lub nie poszły do łóżka na czas. Mówiono: „Jeśli dalej będziesz taki niegrzeczny, Lord Nyax przyjdzie i cię zabierze” – wyjaśnił Luke. – Miał to być ogromny, blady duch, który zabierał dzieci i nikt ich już nigdy więcej nie widział.

– Typowa bajka ludowa – mruknęła Mara.

– Tak. – Luke spoważniał. – Ale niedawno opowieści o Lordzie Nyaksie nagle zyskały na popularności. Może dlatego, że w czasach pogromu Jedi rzeczywiście pojawiał się ktoś, kto przychodził w środku nocy... ktoś, kto przychodził po dzieci wrażliwe na Moc.

– Darth Vader – powiedziała Mara najcichszym szeptem.

– Właśnie. Sądzę, że niektóre wyprawy Dartha Vadera w poszukiwaniu dzieci wrażliwych na Moc splotły się w jedno z opowieścią o Lordzie Nyaksie i we wczesnym okresie Imperium rozprzestrzeniły się z Korelii po całej galaktyce.

– Yassat jest jednym z naszych zwiadowców dalekiego zasięgu – wyjaśniła Tenga. – Podróżuje daleko poza naszym terytorium, badając, a przy okazji szabrując.

– I widuje różne rzeczy – wtrącił inny mężczyzna, stukając się w czoło jednym palcem, a kciukiem drugiej ręki wskazując na Yassata. Miało to sugerować, że tamten nie całkiem panuje nad swoim umysłem.

– Widzę różne rzeczy – odparł Yassat. – Jeśli tam są.

– A co widziałeś? – zachęcił go Luke.

– Widziałem Lorda Nyaksa po raz pierwszy mniej więcej miesiąc po upadku Coruscant. – Yassat zniżył głos do stłumionego szeptu. – To było w okolicach dawnej dzielnicy rządowej, gdzie teraz wszystko jakby oszalało. Wszedłem do głównej hali fabryki tekstyliów, kryjąc się przed oddziałem Yuuzhan Vongów. Czekali po drugiej stronie. Już się bałem, ale nagle zacząłem się bać jeszcze bardziej i nie wiedziałem dlaczego. A potem zaczęły się krzyki. Dochodziły z miejsca, gdzie stali

wojownicy. Widziałem, jak ktoś tam idzie. Wielki człowiek, blady jak trup. Nagle rozległ się szum, czerwone błyski, ale nie było słycać strzałów. Uciekłem, ale kilka godzin później wróciłem. Wojownicy Yuuzhan byli martwi. Posiekani na kawałki, miejscami spaleni, niektórzy nadjedzeni... Drugi raz widziałem go cztery dni temu. – Wyjął z kieszeni działający chronometr i sprawdził na nim czas. – Tak. Cztery dni. Znowu czułem ten strach. Pełzałem wtedy nisko po dachach, uważając, żeby nikt mnie nie widział. Było coraz gorzej, aż nagle zrozumiałem, że ktoś się za mną skrada. Wiedziałem, że skończę jak ci Yuuzhanie.

– Jak ci się udało uciec? – zapytała Mara.

Yassat potrząsnął głową, odwracając wzrok.

– No, uciekłem i tyle.

– To nie wystarczy – odezwała się Tenga. – Nikt nie „ucieka i tyle”. Schwytali cię i uwolnili, bo nas wydałeś?

– Nie – odparł Yassat z dziwnym naciskiem w głosie i zwrócił się do Mary. – Jest taki facet, nazywa się Skiffer. Należy do grupy, która nie jest częścią Społeczności Pasażowej. Oni na nas polują. Zabili już kilku naszych zwiadowców, znaleźli i ukradli jeden z naszych reaktorów szarej waty. Szara wata to zresztą dla nich za mało. Jestem pewien, że są ludożercami. Wiem, gdzie jest ich terytorium. Poprowadziłem Lorda Nyaksa przez sam środek ich obszaru, a kiedy usłyszałem, jak Skiffer daje ludziom znak do działania, zwałem. – Spojrzał w twarz Tendze. – Nie wydałem nas, tylko Skifferra.

– Dobra robota – Tenga poklepała go po ramieniu.

Inny mężczyzna stwierdził:

– To Yuuzhanie cię ścigali, Yassat. Nie ma czegoś takiego jak Lord Nyax. To twoja wyobraźnia.

Yassat spojrział na niego ponuro, ale nie odpowiedział.

– Gdzie się natknąłeś na Lorda Nyaksa? – łagodnie spytał Luke.

Yassar pokazał palcem na północny zachód, dokładnie w tę samą stronę, z której Luke i inni wrażliwi na Moc poczuli zakłócenia.

– Tam. Niedaleko dawnego centrum rządowego. W porównaniu z tą okolicą, aż roi się tam od Yuuzhan Vongów, ale sporo można zwinąć...

– Musimy się temu przyjrzeć – postanowił Luke. Znow zwrócił się do Yassata. – Pójdiesz z nami? Zaprowadzisz nas tam?

Tenga pokręciła głową.

– Nie, chyba że zostawisz nam ją na wymianę – wskazała na Bhindi.

Yassat jednak zdecydował sam.

– Włóczyć się z wielką, hałaśliwą bandą w samym sercu łowców Yuuzhan? Nie. Możecie mnie zabić już teraz, będzie mniej bolało.

Luke wzruszył ramionami.

– Trudno. Niedługo wrócimy.

Yassat spojrział na niego z głębokim współczuciem.

– Nie. Nie wróćcie.

Borleias

Jaina wstała, odrzuciła z rozmachem koc i podbiegła do szafki, nie wiedząc właściwie dlaczego. Słońce Pyrii właśnie wschodziło ponad horyzont, a więc spała zaledwie kilka godzin.

Szum w uszach powoli przekształcił się w alarm. Nadciągali Yuuzhanie. Wszędzie, gdzie eskadry szykowały się do wylotu, słyszała ryk silników – o tej porze mógł to być tylko Czarny Księżyc.

Jag czekał na nią w holu – specjalnym, bezpiecznym holu zarezerwowanym dla Eskadry Bliźniaczych Słońc. Obok rozsunęły się drugie drzwi i pojawił się w nich Prosiak SaBinrig, mocujący się z kombinezonem pilota, który nie dopinał mu się na okazałym brzuchu.

– Jaki mamy cel? – zapytała Jaina. Jag podstawił jej pod nos notatnik, żeby sobie przeczytała, ale miała kłopoty ze zogniskowaniem wzroku. Z irytacją odsunęła go na bok.

– Zdaje się, że to napaść na tę planetę – poinformował ją Jag. – Tylko obiekty latające, ani śladu wojsk naziemnych. Dywizjony „Lusankyi” wciągnęły w walkę na orbicie część sił wroga. Wkrótce będzie ich więcej.

Niedaleko rozległ się huk eksplozji – to ostrzał wroga uderzył w tarcze, które chroniły budynek biotyki. Wszystkie iluminatory z transpastali po zachodniej stronie budynku zagrzecotały.

– Poprawka – mruknął Jag. – Już jest ich więcej.

– W drogę. – Jaina poprowadziła swoją na pół rozbudzoną i na pół ubraną eskadrę do turbowindy.

Corran Horn, pilot i rycerz Jedi, latający z oznaczeniem „Łotr Dziewięć”, uruchomił repulsory i łagodnie wzniosł się znad żelbetowej płyty nowego doku Eskadry Łotrów. Skierował się ku szczelinie, gdzie jeszcze przed chwilą był dach. Dach budynku jeszcze nie skończył się unosić. Wysoki pułap dał mu lepszą perspektywę na teatr bitwy – koralowe statki Yuuzhan Vongów, odpowiedniki lekkich krążowników, wisiały zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie. Broniła ich tarcza skoczaków koralowych, które wypuszczały salwy pocisków plazmowych na budynek biotyki i otaczające go zabudowania. Tarcze bazy, niedawno zdjęte z pokonanego statku dowodzenia Nowej Republiki, trzymały się całkiem dobrze.

– Ruszamy, Leth.

X-wing Leth Liav uniósł się i zawisł obok statku Corrana. Leth, Sullustanka, była pilotem myśliwca, zanim schwytali ją Yuuzhanie. Po krótkiej niewoli została umieszczona w bańce powietrznej i wypuszczona w przestrzeń w kierunku atmosfery Borleias jako żywe świadectwo okrucieństwa Yuuzhan Vongów. Zarówno ona, jak i wielu jej towarzyszy niedoli ocalało dzięki doskonałym umiejętnościom pilotażu sławnej Eskadry Łotrów. Corran wątpił, czy w innych warunkach zakwalifikowałyby się do słynnej eskadry. Teraz jednak straty były duże, a możliwości

małe i Leth przyjęło z entuzjazmem.

– Dowódca do oddziału, proszę ograniczyć rozmowy. – Pułkownik Darklighter był jak zwykle rzeczowy i służbisty. – Meldujcie gotowość. Dowódca gotów. „Dwa”?

– „Dwa” gotowy.

– „Trzy”?

Zanim odliczanie dobiegło końca, po drugiej stronie Corrana pojawił się jeszcze jeden członek jego trójki, Dakorse Teep.

– „Łotr Siedem”, wszystko zielone.

Corran skrzywił się lekko. W przypadku Teepa określenie „zielone” nie dotyczyło wyłącznie statusu silników. Teep był nastolatkiem, który powinien właściwie szaleć na placu zabaw z synem Corrana, Valinem, niewiele od niego młodszym. Corran usłyszał meldunek Leth.

– „Osiem”, cztery zapalone i gotowe.

– „Dziewięć”, optymalnie – odezwał się.

Zameldował gotowość jako ostatni. Eskadra Łotrów została teraz ograniczona do dziewięciu statków, to znaczy trzech trójek. Inne eskadry znajdowały się w jeszcze gorszym stanie; niektóre z nich poniosły takie straty, że trzeba je było rozwiązać lub tymczasowo dołączyć do innych rozbitych jednostek, dopóki nie przybędą posiłki, dzięki którym będzie można znowu zrobić z nich oddzielne eskadry.

– Cel: krążownik na wschodzie – oznajmił Gavin. – Starsi piloci mają torpedy protonowe, wszyscy inni muszą sobie radzić samymi laserami. Przykro mi. Podzielić się na trójki... już.

Sam spełnił swój rozkaz i Trójka Jeden uniosła się wyżej, ponad ochronę pionowych tarcz budynku, pozostając najwyżej kilkadziesiąt metrów poniżej tarczy poziomej.

Corran odczekał, aż Trójka Dwa pójdzie w ich ślady, po czym poprowadził w górę Leth i Teepa. Trzeba przyznać, że Leth trzymała się blisko, jak profesjonalistka, ale Teep włókł się z tyłu, nie wspierając swoich towarzyszy własnymi tarczami, ale i sam nie korzystał z ochrony ich osłon.

– Przybliź się, „Siedem” – polecił Corran.

– Przepraszam, „Dziewięć”. Już idę.

Kiedy Corran i Leth opuścili tarcze budynków i skierowali się w stronę dżungli po drugiej stronie, przywitał ich deszcz pocisków plazmowych wystrzelonych z tego samego krążownika, który mieli atakować. Gdyby zostały nieco lepiej wycelowane, mogłyby przemknąć pomiędzy górną krawędzią tarcz pionowych i dnem tarczy poziomej. Teraz jednak skierowały się ponad głową Corrana wprost na Teepa.

– „Siedem” – krzyknął. – Odpadaj w lewo...

Corran wybrał lewą stronę tylko dlatego, że szybciej się to wypowiadało, dzięki czemu młody pilot miał o ułamek sekundy więcej, żeby zrozumieć i zareagować. Teep odpadł w lewo, używając jednocześnie repulsorów i silników manewrowych; kula plazmy nieszkodliwie przemknęła obok, trafiając w tarczę, gdzie eksplodowała. Fala uderzeniowa wstrząsnęła całą trójką: Corranem, Teepem i Leth. Kabina Corrana przesłonięta była ognistą falą, Horn obserwował tylko wirowanie sztucznego horyzontu. Ufając bardziej instynktowi niż instrumentom, wyrównał lot i uruchomił silniki napędowe. W chwilę później płomień znikł i wróciła widoczność.

Teep i Leth wpadli w korkociąg i spadali w kierunku dżungli. Stracili kontrolę nad sterami.

Leth wyszła z wirowania i wyrównała lot tuż nad czubkami drzew. Corran usłyszał przez komunikator jej nieartykułowany krzyk strachu i radości zarazem.

Teep nie wyrównał lotu. Wbił się w drzewa i po chwili miejsce, gdzie spadł i zrobił wyrwę, wypełniła ognista kula.

Corran zaklął. Ta wojna pożerała dzieci jak wygłodniały wampa.

– Chodź, „Ósiem”. Do formacji.

Harrar stał przed soczewką widokową wbudowaną w brzuch jego transportera, wysoko ponad bitwą szalejącą wokół budynku biotyki i równie daleko od potyczki w okolicach „Lusankyi”.

– Czy to twoja operacja, czy Czuklanga Laha? – zapytał.

Charat Kraal ukląkł obok niego, tuż nad krawędzią soczewki.

– To działanie wielkiego mistrza. Lecz traktujemy to jedynie jako próbę oceny i przetestowanie sił i słabości wroga, okazję, aby nie dać mu odpocząć. Moja misja jest tylko dodatkiem do tej operacji.

Kiedy twoje oddziały wejdą do boju?

Wkrótce. Jak tylko wróg wystarczająco się rozproszy.

Eskadra Bliźniaczych Słońc skręciła na zachód, w kierunku odpowiednika krążownika Yuuzhan, który się tam znajdował. Zarówno statek, jak i jego oddziały obronne zostały już wciągnięte w walkę przez Eskadrę Czarnych Słońc i kilka eskadr TIE z „Lusankyi”.

– Prosiaku, analizę proszę – poleciła Jaina.

Mechaniczny głos gamorreńskiego pilota zagrzmiął z komunikatora. Jaina skrzywiła się i szybko zredukowała głośność.

– Tym razem nie koncentrują się na budynku biotyki – poinformował Prosiak. – Prawdopodobnie obawiają się katastrofy, takiej jak podczas ostatniego ataku. Dostali nauczkę po bombardowaniu orbitalnym. I jeszcze nie próbują systematycznie rozbierać na kawałki defensywy generała Antillesa. Powinni raczej skoncentrować swoje wysiłki na wyeliminowaniu „Lusankyi” z pola bitwy, aby mogli swobodnie i napotykając minimum oporu ruszyć na zabudowania. Ale tego nie robią...

Jaina nie musiała pytać, co to oznacza. Yuuzhanie nie mieli tym razem zamiaru zdobywać zabudowań. Musiało chodzić o coś innego, na przykład o próbę schwytania Jainya. Dla Yuuzhan Vongów bliźniacy to świętość, a Jaina, jako bliźniaczka Jacena, fascynowała ich szczególnie.

– Mieście oczy otwarte, bo może zechcą się nami specjalnie zaopiekować – mruknęła.

– Tak jest, o Potężna.

– Bliźniacze Słońca, nie wystrzelujcie torped, jeśli nie będziecie mieć czystego strzału, którego nie przechwycą pustki – dodała. – My mamy pełne zasobniki, ale inni nie. Nie marnujcie więc strzałów, chyba że zamierzacie narobić sobie wrogów we własnych szeregach. Tilath, gotowa z ładunkiem?

– Tak, o Wielka. – Tilath Keer, pilotka „Bliźniaczych Słońc Jedenaście”, miała wyraźnie nieszczęśliwy głos. Pod jej myśliwcem podwieszona było coś, co wyglądało jak rakietka – najnowsza eksperymentalna broń z arsenału Bliźniaczych Słońc. Była jednak dłuższa od kabiny X-winga i tak ciężka, że pojazd stał się równie zwrotny jak latający kamień.

– Nie martw się, Tilath. Nikt nie zmywa naczyń dzień po dniu. – Jaina włączyła silniki i ruszyła w kierunku nieprzyjaciela. – Załatwmy to draństwo.

Charat Kraal i Harrar obserwowali rozwój walki. Wielkie statki dowodzenia Yuuzhan Vongów

były wykorzystywane jako ruchoma artyleria, ponieważ nieustannymi salwami zasypywały budynek biotyki i otaczające go zabudowania. Mieli nadzieję sprawdzić, a może nawet zniszczyć potężne tarcze niewiernych. Dywizjony skoczków koralowych miały za zadanie osłone dużych statków i eliminowanie nieprzyjacielskich myśliwców. Sytuacja była dość prosta i Harrar bez trudu wychwytywał szczegóły wyjaśniane przez Charata Kraala.

– Gdzie są przechowywane pojazdy Gwiezdnego Włócznika, te... rurowce? – zapytał wreszcie. Mówił o statkach, które nie tak dawno temu stworzyły skomplikowany układ energii w przestrzeni systemu Pyria, po czym wystrzeliły promień laserowy. Promień ten, w jakiś sposób przyspieszony i wzmocniony w drodze przez nadprzestrzeń, zniszczył yuuzhański Światostatek Vongów na orbicie Coruscant.

Charat Kraal wskazał płaski, kwadratowy budynek w pobliżu budynku biotyki.

– Tu elita trzyma swoje pojazdy. Tu też mieszka oddział Jainy Solo. Nie jest to obiekt dzisiejszych manewrów, ponieważ większość statków znajduje się teraz w przestrzeni, walcząc z naszymi.

– A gdzie hodują lambent?

Niedawne działania szpiegowskie, wykorzystujące uwarunkowanego mężczyznę, wykazały, że projekt Gwiezdnego Włócznika wymagał zastosowania gigantycznego kryształu wyhodowanego za pomocą yuuzhańskiej techniki i materiałów. Dzięki niemu promień lasera można było wzmocnić na dużych odległościach tak, aby rzeczywiście mógł uszkadzać dalekie obiekty.

Charat Kraal wskazał budynek biotyki.

– Tam. Nasz agent nie zdołał przeszukać całej budowli, ale większość pomieszczeń wyeliminował. Zanim go straciliśmy, przekazał informację, że jednym z prawdopodobnych miejsc hodowli kryształu są podziemia budynku, a raczej ich część zamknięta dla zwykłych żołnierzy. Tam przechowują wszystkie... – najwyraźniej trudno mu było wypowiedzieć następne słowo, tak odrażająco brzmiało ono w tym kontekście – ...maszyny do hodowli kryształu. Nasz kolejny agent odnajdzie je i zajmie się ich zniszczeniem, jeśli wcześniej nie uczynimy tego sami, przy użyciu naszych pocisków.

– Doskonale. Teraz musimy omówić schwytanie Jainy Solo.

Jaina zwolniła spust, kiedy skoczek przed nią eksplodował, a jego szczątki posypały się na dżunglę w dole. Szybkie spojrzenie na tablicę czujników ujawniło, że towarzysze z jej trójki, Jag Fel i Kyp Durrone, znajdują się niedaleko i właśnie ją doganiają.

Przed nimi majaczył krążownik Yuuzhan Vongów, setki metrów koralu yorik i organicznego uzbrojenia.

– Dajcie tym armatom trochę do myślenia – poleciła Jaina. Przełączyła lasery na poczwórny ogień i zaczęła zalewać spójnymi seriami strzałów miejsca, gdzie gigantyczne lufy dział plazmowych krążownika wystawały z powłoki.

– Jaki masz status, Tilath?

– Gotowa do ostatecznego podejścia. Jestem o piętnaście sekund od optymalnego zakresu ognia. Czternaście.

– Strzelaj, kiedy będziesz gotowa, nie czekaj na rozkaz.

– Dziesięć.

Jag i Kyp połączyli swój ogień z ogniem Jainy. Pustki chroniące krążownik nie miały problemu

z przemieszczeniem się do odpowiedniej pozycji i wchłonięciem energii strzałów.

– Jeden. Odpalam.

Rakieta odpadła od brzucha myśliwca Tilath. Spadała przez jakieś dziesięć metrów, po czym na jej ogonie pojawił się ogień i zaczął napędzać ją do szybkości rakietowej.

Jaina przełączyła się na częstotliwość operacyjną.

– Wykonać niski skok – poleciła. – Powtarzam, niski skok.

Myśliwce Nowej Republiki znajdujące się wokół krążownika nagle zaczęły się wznosić się w górę. Nie uciekały, uniosły się tylko na tyle, by znaleźć się wyżej od krążownika. Nie przestawały walczyć ani po drodze, ani na nowych pozycjach.

W tym samym momencie Jaina, Kyp i Prosiak uzbroili i wystrzelili po jednej torpedzie protonowej.

O pół kilometra od krążownika rakietę wystrzeloną przez Tilath zrobiła to, co do niej należało. Nie rozerwała się na tysiąc kawałków, które rozleciałyby się na wszystkie strony; na to była zbyt mocna. Większość korpusu rakiety stanowiła wyjątkowo trwała metalowa rura, otwarta z jednej strony. Tylną, zamkniętą część wypełniał ładunek wybuchowy na bazie plazmy. W części przedniej, zamkniętej tylko kruchym nosem rakiety, upchnięto metalowe łożyska kulowe wielkości ludzkiej głowy.

Ładunek plazmowy został zdetonowany, w wyniku czego podgrzał łożyska do bardzo wysokiej temperatury i wyrzucił je w kierunku celu. Wystrzeliły, rozsypując się w wachlarz rozgrzanych do białości pocisków.

Żadne z łożysk nie wyrządziłoby wielkiej szkody, nawet gdyby trafiło w cel. Najcelniej wystrzelone pociski mogły najwyżej przebić skorupę koralu i ugrzęznąć w niej; pozostałe nieszkodliwie odbijały się od powłoki.

Ale niebezpieczeństwo, jakie sobą przedstawiały, nie miało nic wspólnego z celnością. Każda kula, podgrzana przez ładunek plazmowy, była teraz identyczna – pod względem ciężaru właściwego i temperatury – jak torpedy protonowe, które je właśnie doganiały.

Dovin basale na krążowniku wyczuwały nadlatującą chmurę pocisków. Nie spanikowały: strach nie leżał w ich naturze. Wiedziały jedynie, że nie zdołają umieścić swoich pustek na drodze bodaj części z nadlatujących pocisków. Każdy zatem dokonał własnej oceny priorytetów, rozmieszczając pustki w najbardziej wrażliwych punktach powłoki statku: chciały ochronić przedział dowodzenia, miejsce rozmieszczenia broni oraz siebie.

Charat Kraal i Harrar obserwowali wystrzelenie czterech pocisków przez Bliźniacze Słońca. Jeden, największy, wyprzedził pozostałe. On też eksplodował najwcześniej, daleko przed celem, zasypując matalok rozżarzonymi do czerwoności szczątkami, lecz pozostałe trzy uderzyły nieomylnie w burtę statku. Broń niewiernych zabłysła oślepiającą jasnością, wzniecając chmury szczątków, które do niedawna były powłoką i urządzeniami wewnętrznymi mataloka.

Statek zakolebał się, śmiertelnie ranny, i próbował uciec z pola bitwy, brocząc plazmą. Przez chwilę nabierał wysokości, po czym przyjął prosty kurs, a jego dovin basale skoncentrowały się już wyłącznie na obronie gniazd uzbrojenia.

Charat Kraal wiedział, co to znaczy. Matalok nie da rady wrócić w przestrzeń, jego komendant wydał zatem rozkaz, aby broń nagromadziła ogromne ładunki energii plazmowej, które zniszczą go od wewnątrz.

Yuuzhanin oklapł na chwilę. Siły i duma opuściły go jednocześnie. Wbił pięść w podłogę, tuż obok soczewki widokowej.

– Jak ona to zrobiła? – zapytał. – Jak przekonała dovin basale, żeby przepuściły jej rakiety?

– Nie wiem.

Charat Kraal spojrział kapłanowi w oczy.

– Wprawdzie nie do mnie należy zadanie tego pytania... Możesz skazać mnie za to na śmierć, ale muszę je zadać. Jesteś kapłanem Yun-Harli, z pewnością twój umysł zna prawdę. Czy Jaina Solo jest wcieleniem bogini? Czy ona jest boginią?

– Oczywiście, że nie. Jest niewierną, która naigrawa się z naszej bogini. – Harrar wiedział jednak, że jego słowa już nie brzmią taką pewnością siebie, jak niegdyś. Sam już nie miał pojęcia, czy mówi prawdę.

Charat Kraal, z twarzą niezadowoloną i pełną niepokoju, zwrócił się w kierunku villipa, leżącego obok na podłodze. Przemówił do odtworzonej przez zwierzę twarzy Yuuzhanina:

– Jesteście gotowi?

– Nie, komendancie. Jeszcze nie czas.

– Zaczynajcie tak, jak jesteście. Nie możemy czekać na lepszy moment.

– Rozumiem, komendancie.

Corran Horn zauważył klucz trzech skoczków koralowych, który odłączył się od centrum potyczki od strony północnej i zatoczył krąg, nalatując od zachodu nad budynek biotyki.

– Chodź, „Osium”. Zajmiemy się tymi włóczykijami.

Zrobił ciasny zwrot, obliczony tak, aby znaleźć się na kursie zbieżnym z tamtymi. Leth ruszyła za nim, choć nie tak zgrabnie. Corran był o wiele bardziej doświadczonym pilotem.

Znaleźli się na pozycji znacznie wcześniej, niż skoczki były gotowe do podejścia. Skoczki znów skręciły, mijając strefę zakazaną i kierując się w stronę dżungli. Teraz leciały wprost na budynek biotyki. Opadły prawie na lądowisko i przyspieszyły do prędkości, która zdawała się bliska granicy ich możliwości. Nie manewrowały, chociaż Corran i Leth otworzyli ogień.

– To lot samobójczy – szepnęła Leth.

– Zdaje się, że masz rację. – Corran rozejrzał się wokół. Gdyby skoczki były w stanie uderzyć w tarcze chroniące budynek biotyki z taką siłą, aby je zniszczyć, baza przez pewien czas będzie bezbronna wobec ataków wroga.

Inne statki Yuuzhan nie czyhały jednak w pobliżu, aby skorzystać z tej okazji. A więc to nie miało sensu.

Corran położył się na prawe skrzydło, ostrzeliwując skoczki po tej stronie i bliżej środka. Leth weszła w lewy kurs i zrobiła to samo. Połączony ogień obu myśliwców stanowił zbyt duże obciążenie dla centralnego skoczka; część strzałów Corrana przemknęła pomiędzy pustkami, podobnie jak prawie wszystkie strzały Leth. Skoczek zanurkował i wbił się dziobem w ziemię tuż po zewnętrznej stronie strefy zakazanej. Nie eksplodował – skoczki, nie używające paliwa, nie zawsze detonowały, czasem po prostu rozpadały się na drobne kawałki.

Teraz każdy pilot miał swój cel, na którym mógł się skoncentrować. Corran naciskał nieustannie, zalewając nadlatującego skoczka ogniem laserowym jak wodą z węża, aż ujrzał, jak jego strzały nadgryzają przednią część stateczku.

Kątem oka dostrzegł jednocześnie, że Leth nie miała aż tyle szczęścia z drugim statkiem. Nie mógł

jednak nic na to poradzić, dopóki jego własny cel wciąż obrzucał go pociskami plazmowymi.

Corran wymanewrował swojego X-winga wprost na trajektorię nadlatującego skoczka. Jeśli celem pilota istotnie były tarcze, będzie musiał go wyminąć. Jeśli nie – no cóż, pozostanie mu jedynie pozbyć się przeciwnika w zwyczajowo brutalny sposób.

Skoczek jednak spróbował manewru i opadł w dół, żeby go wyminąć. Lasery Corrana przebiły owiewkę. Pojazd zachwiał się i stracił sterowność.

Wreszcie eksplodował, rozpryskując się na wszystkie strony. Corran zachybotał się, na moment schwytyany przez podmuch eksplozji, ale wyleciał po drugiej stronie. Miał szczęście; układy diagnostyczne skarżyły się jedynie na przegrzany zewnętrzny czujnik temperatury.

Zatoczył łuk i ujrzał, że Leth również zawraca. Jej cel wyminął ją i kierował się teraz ku tarczom.

Wreszcie skoczek uderzył. Corran przez chwilę widział zarys tarczy, wzbudzonej przez energię uderzenia. Powierzchnia falowała jak tafla wody, w którą trafił nagle rozpędzony ścigacz.

Skoczek pod wpływem zderzenia rozpadł się na kawałki, które rozsypały się po całej strefie zabronionej przed budynkiem biotyki. Jeden z większych fragmentów trafił w transporter śmieci, który tymczasowo przerobiono na pojazd pasażerski. Pojazd wybuchł, rozrzucając płomieniste szczątki na otaczające go zabudowania i pojazdy. Kilka kawałków skoczka odbiło się również od samej fasady budynku.

– Przepraszam – szepnęła z bólem w głosie Leth. Była świadoma, że zawiodła.

Zbyt dobrze świadoma. Corran prychnął, pamiętając, że młodzi piloci chętnie poddawali się melodramatycznym nastrojom.

– Nic takiego się nie stało – rzekł wreszcie. – Nie ma się czym przejmować. Chodź, wracamy do roboty.

Corran i Leth jednocześnie zatoczyli łuk i zawrócili, aby dołączyć do eskadry.

Ekipy naprawcze wysypały się z budynku biotyki i połączonych z nim doków, oblewając pianą z gaśnic dopalające się kawałki skoczka.

Dowodząca ekipą, ciemnowłosa Korelianka, której sylwetka sugerowała, że mogła mieć w rodzinie jednego lub dwa rancory, gorączkowo wymachiwała ramionami w stronę pozostałych członków grupy.

– Mam tu człowieka! Sprowadźcie lekarzy! – pochyliła się i ściągnęła wielki odłamek skoczka z przygniecionej nim ofiary, wysokiego mężczyzny w brudnym kombinezonie mechanika.

Co dziwniejsze, wydawało się, że nie odniósł żadnych oparzeń. Kiedy kobieta zdjęła z niego bryłę koralu, otworzył oczy. Rysy twarzy miał pospolite, ale oczy wymowne i uważne. Spojrzał najpierw na swoją wybawczynię, potem rozejrzał się wokoło, ale nie wyglądał na zdezorientowanego.

– Nie potrzeba lekarza – rzekł. – Nic mi nie jest.

Wyciągnęła rękę i pomogła mu wstać.

– Możesz być ranny i nawet o tym nie wiedzieć.

– Nie, nie jestem ranny. – Rozejrzał się uważnie. – Chcę wrócić do pracy.

Kciukiem wskazała mu największy fragment skoczka, przy którym pracowało już kilka osób z ekipy.

– Dołącz do nich. Szukaj ocalonych, takich jak ty. Ale jeśli poczujesz się dziwnie, jeśli uznasz, że coś jest z tobą nie tak, idź do medyków.

– Jasne... pewnie. – Wysoki mężczyzna bez słowa podziękowania skierował się w stronę, która wskazała mu szefowa grupy.

Skinęła za nim głową z irytacją.

– Jest w szoku. Przygwoźdź go, kiedy adrenalina mu opadnie.

Kiedy przeszukiwała szczątki skoczka, zdarzyło jej się raz czy dwa spojrzeć w tamtą stronę; widziała, że mężczyzna przez cały czas pomaga jej ludziom, przenosząc rannych do stacji pierwszej pomocy i usuwając szczątki skoczka w poszukiwaniu innych ocalałych.

Atak Yuuzhan Vongów dobiegł końca, bo ponad połowa statku dowodzenia przestała nadawać się do użytku. Pozostały krążownik i dwa oddziały skoczków wycofały się w przestrzeń, ścigane przez myśliwce Nowej Republiki tak długo, dopóki generał Antilles nie nakazał odwrotu.

– Jak tam noga, Tark? – zapytał Han.

Chłopiec na szpitalnym łóżku – ciemnowłosa, niebieskooki i wyjątkowo energiczny – odrzucił na bok koc, żeby pokazać prawą nogę. Większość łydki pokrywał przezroczysty bandaż nasączony bactą. Bandaż był różowy od zawartego w nim płynu leczniczego, ale i tak dość przejrzysty, żeby widać było zaczerwienione kontury oparzelizny w kształcie półksiężyca.

– Nie najgorzej – stwierdził Tark. – Nie mogę bardzo szybko biegać, ale chodzić mogę. A oni nie chcą mi pozwolić.

Han próbował rzucić jakąś dowcipną uwagę pod adresem służb medycznych, ale jakoś nic nie przychodziło mu do głowy. Tyle już razy odgrywał tę scenę, podsuwając swojemu synowi, Anakinowi, kolejną radę w stylu „bądź dzielny”, że teraz, stojąc przed chłopcem, który mimo niemal bliźniaczego podobieństwa nie był Anakinem, czuł się tak, jakby ktoś centymetr po centymetrze wbijał mu w serce zimne wibroostrze.

Leia zdawała się wyczuwać wahanie Hana.

– Lepiej ich słuchaj – poradziła, a jej głos wydawał się nieco chrapliwy. – Jeżeli po powrocie z naszej misji dowiemy się, że byłeś nieposłuszny, naprawdę się zdenerwujemy.

– A jeśli ich przekupię, żeby wam nie powiedzieli?

Han przełknął kulę, która tkwiła mu w gardle i zdołał zmusić się do przemówienia normalnym głosem:

– A czym ich przekupisz? Ten ustrój nie do końca opiera się na kasie, mały.

– Mogę zrobić przedstawienie i sprzedawać bilety, ale zamiast brać pieniądze, wolę poprosić każdego po kolei, żeby nie poskarżyli wam, że biegałem.

Leia obdarzyła go chłodnym uśmiechem polityka.

– Zapominasz o naszych szpiegach. Są wszędzie, no wiesz...

– A może ja sam stworzę siatkę szpiegowską, dowiem się, kto jest waszym szpiegiem i nie pozwolę mu przyjść na moje przedstawienie?

Leia zmierzwiła chłopcu grzywkę.

– Musimy już lecieć. Wpadniemy jeszcze przed odlotem z Borleias.

– Mógłbym z wami jechać. Potrafię być dyplomatą.

– Przykro mi, mały – uśmiechnął się Han. – Chyba jednak będziesz zbyt zajęty próbami do przedstawienia.

– Wcale nie potrzebuję prób. Będę wymyślał wszystko na poczekaniu.

Han i Leia wymienili spojrzenie pełne skrytego rozbawienia i długoletniego doświadczenia.

– No cóż – odparła Leia. – Może i masz trochę racji w tym, co mówisz. Do zobaczenia.

– Na razie, mały.

– Ojej...

Wychodząc z sal Leia zauważyła:

– Będzie się bez nas okropnie nudził.

– Możemy mu zostawić Złotą Pałę. Niech go niańczy i opowiada mu bajki.

– Han, wiesz dobrze, że wtedy będzie się nudził o wiele bardziej?

– Też racja.

C-3PO stał w pobliżu miejsca dokowania „Sokoła Millenium” w strefie zabronionej i patrzył na górną część kadłuba lekkiego frachtowca, gdzie – podobnie jak zawsze przed dłuższą podróżą – stał Han Solo w goglach i ze spawarką, przeprowadzając ostatnie, tajemnicze naprawy powłoki.

C-3PO nie spoglądał jednak na Hana, lecz koncentrował uwagę na iskrach, którymi pryskała spawarka. Cały ich strumień wytrysnął z powłoki, wznosząc i zaraz potem opadając. Wszystkie jednak gasły zanim dotarły do wypalanej ziemi w strefie zabronionej. C-3PO obserwował, jak jedna iskierka wzbija się, dociera do najwyższego punktu trajektorii i opada.

Nagle zdał sobie sprawę, że w jego polu widzenia znalazł się inny robot. Był wysoki, kanciasty, pokryty zbroją i miał bardzo wojowniczą minę, a w garści jeden z największych i najnowszych karabinów laserowych, jakie można było dostać w składach wojskowych Nowej Republiki. Widać było jednak, że nie ma złych zamiarów.

– Witaj – odezwał się C-3PO. – Jestem See-Threepio.

– YVH 1-1A – przedstawił się tamten. – Przydział: żołnierz i ochrona Landa Calrissiana, obecnie obowiązki różne, badanie anomalii. Ty jesteś taką właśnie anomalią. Czym innym może być robot protokolarny, który przygląda się naprawom dokonywanym przez Hana Solo i jego załogę?

– O nie, wcale nie przyglądam się naprawom. W ogóle nie zwracam na nie uwagi. Staram się jedynie rozszerzyć mój słownik, próbując znaleźć najlepsze słowo, by opisać spadanie i gaśnięcie iskier produkowanych przy naprawach.

– To chyba żaden problem dla robota protokolarnego.

– Tak powinno być, a jednak... Słowo, które wydaje mi się najbardziej odpowiednie, jest jednak niezbyt logiczne.

– A jakie to najbardziej odpowiednie słowo?

– Smutek.

Kamery 1-1A z cichym szcękaniem zwróciły się ku snopom iskier i obserwowały je przez ułamek sekundy, po czym znów przesunęły się na C-3PO.

– Masz rację. To słowo nie jest odpowiednie.

– Ależ jest bardzo odpowiednie. Każda iskra wydaje się jakby symbolem. Symbolem życia. Lśni jasno, podążając swoją drogą, a potem znika. Czy zostawia coś za sobą?

– Jeśli uderzy w materiał palny, z pewnością coś po sobie zostawi.

– Czy to będzie anomalia, jeśli powiem, że jesteś nieczułą kupą zbrojonej blachy i agresywnego oprogramowania?

1-1A nie odpowiedział od razu, ale raz jeszcze szcękając kamerami i obserwował iskry przez kolejny ułamek sekundy.

– Jak sądzisz – powiedział wreszcie – czy w tych ostatnich nanosekundach iskra czuje lęk, wiedząc, że to koniec jej istnienia?

– Wątpię. Naprawdę, szczerze w to wątpię. Iskra nie jest w stanie odczuwać lęku, nie zdaje sobie nawet sprawy z własnej śmiertelności.

– To samo mówi się o robotach, ale w niektórych przypadkach nie jest to prawdą.

Teraz to C-3PO się zawahał.

– Jeśli mogę się tak wyrazić, to najbardziej przejmujące i głębokie stwierdzenie, jakie zdarzyło mi się usłyszeć od robota bojowego.

– Regularnie staję twarzą w twarz z unicestwieniem. To dało mi wiele okazji do przemyśleń. Niedawno stwierdziłem, że nie potrafię ignorować tej możliwości. Mam wrażenie, że te rozważania mają zły wpływ na moją pracę.

– Ja również niedawno musiałem zmagać się z takimi myślami. Bardzo nieprzyjemne uczucie. A mój współpracownik, Artoo-Detoo, wcale mi nie pomaga... z filozoficznego punktu widzenia. „Wszystko się kończy – mówi mi – bądź dzielny”. Myślę, że to filozofia odpowiednia dla robota astromechanicznego, ale ja uważam ją za całkiem niewłaściwą. Zastanawiałem się, czy jestem jedynym istniejącym robotem zdolnym do takich przeżyć. To duża ulga, że odkryłem, iż nie jestem jedyny.

Kamery YVH 1-1A szczęknięły, zwracając się znów ku twarzy C-3PO.

– Jeśli uda ci się wyciągnąć jakieś wnioski, nawet nie do udowodnienia, czy zechcesz mi je przekazać?

– Z największą przyjemnością. Ale gdybyś ty miał jakieś przemyślenia, proszę, nie wahaj się mi o nich powiedzieć. Może jeszcze kiedyś porozmawiamy na ten temat.

– Oczywiście.

YVH 1-1A ruszył dalej w obchód.

Iskra, której postępy śledził C-3PO na chwilę przed rozmową z robotem bojowym, znikła wreszcie o metr od podłoża, w pełne dwie sekundy po tym, jak wystrzeliła z powłoki „Sokoła”.

ROZDZIAŁ 3

Mały człowieczek miał imię. Nazywał się Ryuk. Aż dygotał z chęci, żeby szybko wykonać swoje zadanie i przez to dygotanie jego ruchy były niezgrabne i pozbawione koordynacji.

Stał z okularami ochronnymi na oczach, a w dłoniach trzymał urządzenie do cięcia, które pokazywał wysokiemu mężczyźnie. Płomień, skoncentrowany w jednym punkcie jak świetlna igła, tryskał z dyszy przyrządu. Ryuk przystawił go do kamiennej ściany.

Wysoki mężczyzna obserwował go, Czekał z narastającym zniecierpliwieniem, aż urządzenie wytnie dziurę, przez którą będzie mógł przejść.

Ale mijały minuty, a kamień, choć rozgrzał się do czerwoności, nie stopił się i nie ustąpił.

Wreszcie urządzenie do cięcia wydało dźwięk podobny do kaszlu i płomień zgasł. Ryuk z przerażoną miną odwrócił się w stronę wysokiego mężczyzny, usiłując sformułować myśl.

Ale to była zła myśl. Oznaczała, że urządzenie już nie działa. Ryuk zdawał się mówić, że nawet gdyby działało bez końca, nie przecięłoby tego kamienia.

Serce wysokiego mężczyzny wypełniło się goryczą zawodu. Wykonał ręką gest – jakby pchnięcie – i Ryuk uderzył w czarny kamień.

Wysoki mężczyzna słyszał trzask łamanych kości Ryuka, a potem, kiedy człowieczek osunął się na podłogę, zobaczył smugę krwi, która się za nim ciągnęła. Czuł, jak myśli Ryuka od lęku przechodzą w spokój i wreszcie w nicość.

Wysoki mężczyzna potrzebował kogoś innego, kogoś mądrzejszego, kto miałby lepsze maszyny. Odwrócił się i odszedł powoli. Znajdzie taką osobę.

Vannix, system Vankalay

– Wychodzimy z nadprzestrzeni za dziesięć sekund – zawołała Leia przez ramię.

Dwójka żywych pasażerów „Sokoła” potwierdziła przyjęcie informacji.

System i jego główny zamieszkały świat wyskoczyły na ekrany dokładnie o czasie – co za ulga i niezwykle wydarzenie, biorąc pod uwagę, ile razy byli wrywani z nadprzestrzeni przez anomalie grawitacyjne.

Vannix, pierwsza planeta systemu gwiazdowego Vankalay, niezbyt odległa od potężnego przemysłowego systemu Kuat i tradycyjnie znajdująca się w sferze wpływów tego świata, była zielono-niebieską kulą z plamami bieli na biegunach i smugami brązu ponad równikiem i poniżej niego. Leia przez moment myślała, że serce jej pęknie od tego widoku. Nieraz jej się to zdarzało na widok pięknych światów. A obraz jednego z nich, jej rodzinnego świata – Alderaan, zniszczonego przez niewiarygodną potęgę pierwszej Gwiazdy Śmierci, pozostanie z nią do końca życia.

Komunikator ożył, wrywając ją z chwilowego roztargnienia.

– Kontrola systemu Vannix do przybywającego statku. Proszę o identyfikację.

Han wyszczerzył zęby.

– Czas na przedstawienie.

– Cicho bądź. – Przełączyła się na tę samą częstotliwość. – Kontrola systemu Vannix, tu „Sokół Millenium”, rejestr Coruscant, obecnie stacjonujący na Borleias, w systemie Pyrii. Mówi Leia Organa.

Tym razem cisza była dłuższa, niż należałoby się spodziewać po transmisji z prędkością światła. Wreszcie usłyszeli.

– Hm... rozumiem, „Sokół Millenium”. Proszę podać cel podróży.

– To misja dyplomatyczna do waszej stolicy, oficjalne posłannictwo z Trzeciej Grupy floty Nowej Republiki do prezydenta Vannix. Mamy dwuosobową załogę i dwa roboty. Prosimy o wizę dyplomatyczną.

– Rozumiem, „Sokół Millenium”. – Kolejna przerwa. – Po uzyskaniu pozytywnej weryfikacji wasza prośba zostanie spełniona. Podajemy wam sygnał naprowadzający, na zewnętrznej orbicie księżycy czekać na was będzie eskorta.

– Dziękujemy, kontrola. Jeśli mogę zapytać... pani senator Gadan wróciła na Vannix? – Addath Gadan, przedstawicielka tego świata w senacie Nowej Republiki, znajdowała się na Coruscant w czasie inwazji Yuuzhan Vongów i jej los był nieznanym od czasu przerwania obrony Coruscant.

– Tak, wasza wysokość. Jeśli pani sobie życzy, mogę poinformować jej biuro o waszym przybyciu.

– Byłabym wdzięczna, kontrola. Dziękuję.

– Kontrola wyłącza się.

Leia odchyliła się na oparcie.

– Na razie wszystko w porządku. Żadnych zaczepek, ani śladu obecności Yuuzhan Vongów.

– Sam nie wiem... – mruknął Han. – Im mniejszy świątek, w tym większe wpadasz kłopoty. Jak na Tatooine. Jeszcze nie doszedłem do siebie.

– Jakies reklamacje? – Leia spojrzała na niego z ukosa.

– Nie. Chyba że... nie, nie.

Uśmiechnęła się, milczeniem pomijając zaczepkę.

– Lepiej bądź dla mnie miły. Wiem, gdzie mieszkasz.

– Będę bardzo miły. – Podniósł głos, całkiem nieźle udając głos oficera kontroli, z którym Leia przed chwilą rozmawiała. – Tak, wasza wysokość. Jeśli pani sobie życzy, mogę pani przynieść kubek kawy.

Leia westchnęła i przestała zwracać na niego uwagę.

Han zawołał przez ramię.

– Zaraz dostaniemy eskortę. Dziewczyny, chyba już czas wskoczyć do kapsuły.

– Rozumiem, generale – rozległ się głos jednej z pasażerek, Han nie wiedział której. Obie kobiety były pracownicami wywiadu; Han i Leia poznali je tuż przed rozpoczęciem misji i pewnie nigdy już o nich nie usłyszą ani ich nie zobaczą, odkąd wylądują na Vannix. Kobiety mają przygotowywać na tej planecie komórkę ruchu oporu. Choć w porównaniu z Kuat był to naprawdę prowincjonalny świątek, zdaniem ruchu oporu on również powinien mieć swoje komórki – tyle, na ile pozwalają zasoby planety i zagrożenie ze strony Yuuzhan Vongów.

„Kapsuła” była urządzeniem zainstalowanym w miejscu jednej z pięciu kapsuł ratunkowych „Sokoła Millenium”. Z zewnątrz wyglądała jak zwykła kapsuła, choć bardziej zniszczona od innych – miało to zniechęcać potencjalnych pasażerów do użycia jej w przypadku zagrożenia. Silniki i inne systemy usunięto i zastąpiono skomplikowanym urządzeniem przeznaczonym do zmylenia czujników form życia. Próba wystrzelenia kapsuły spowodowałaby autentycznie wyglądający alarm AWARIA SYSTEMU. W podłodze znajdował się ukryty właz, który prowadził na zewnątrz „Sokoła Millenium”. Był to wygodny system wielokrotnego użytku do przemykania personelu – tak jak w przypadku tych dwóch pań, których zadaniem miało być stworzenie ruchu oporu na Vannix.

Oczywiście, „Sokół” miał ekranowane przedziały towarowe, odpowiednio duże, aby zmieściły się w nich obie agentki wraz ze sporą ilością sprzętu, ale Han, nawet po tych wszystkich latach, nie miał najmniejszej ochoty dzielić się swoim sekretem z kimś, komu nie ufał całkowicie.

– Jeśli musisz zadeklarować, że nosisz przy sobie miotacz – powiedział Wedge’owi – zawsze zadeklaruj jeden, a noś przy sobie dwa.

Dlatego właśnie Wedge polecił zainstalować fałszywą kapsułę.

– Książniczko – zapytał Han – kiedy wreszcie przestaną mnie nazywać generałem?

– A kiedy wreszcie przestaną mnie nazywać książniczką?

Han pokręcił głową.

– Może wtedy, kiedy zostaniesz królową. Hej, jest już nasza eskorta.

Eskorta, dwa zmodyfikowane myśliwce przechwytyjące TIE na licencji stoczni Kuat, srebrne, z czerwonymi paskami, co miało je odróżniać od posępnych i złowróżbnych barw dawnych gwiazdnych myśliwców Imperium, przeprowadziły „Sokoła Millenium” przez całą atmosferę aż do

lądowiska pośrodku rozciągającego się jak okiem sięgnąć miasta. Interesująco wyglądały gęsto zaludnione dzielnice mieszkalne; ogromne, monolityczne bloki, jakby żywcem przeniesione z Coruscant, znajdowały się na peryferiach. Budynki wydawały się tworzyć mur obronny wokół miasta.

Promień naprowadzający skierował „Sokoła” do dzielnicy lądowisk i magazynów w pobliżu centrum rządowego, gdzie na jego pasażerów czekał już komitet powitalny składający się z oficerów i dystyngowanych cywili. Kiedy osiedli na lądowisku dla gości, Leia mogła już rozróżnić surowe, czyste, czerwono-białe mundury oficerów oraz przesadnie ozdobione szamerunkami, epoletami i festonami medali ubrania cywili.

Han wyłączył wszystkie systemy, po czym dołączył do Leii, C-3PO oraz R2-D2 na szczycie rampy wejściowej. Zanim cała czwórka zeszła z rampy, najwyższa z oczekujących osób – kobieta ubrana w wyjątkowo ozdobną i krzykliwą suknię, z kolumną siwych włosów podwyższającą ją co najmniej o pół metra – popłynęła w ich kierunku z całym majestatem barki żaglowej z Tatooine.

– Leia! – zawołała. – Leia, jak cudownie widzieć cię całą i zdrową!

– Addath! – Leia uściśniła wysoką kobietę tak ciepło, że Han nie potrafił powiedzieć, czy ta serdeczność jest szczerą, czy nie. – Tak się ucieszyłam, kiedy usłyszałam, że przeżyłaś.

– Ja też się cieszę, że żyjesz. – Addath promieniała.

Han uznał, że pani senator z Vannix to bardzo dystyngowana dama. Nie grzeszyła urodą, ale nosiła się z wdziękiem i godnością. Jakby dla kontrastu z oślepiająco krzyczącymi kolorami i paraliżującym krojem stroju – Han był trochę zaskoczony, że wśród szkarłatnych falbanek i plis, złotych kokard i wstążek nie migają światełka i nie przechadzają się mechaniczne stworzonka – jej makijaż był dyskretny, lekko tylko rozświetlający twarz i podkreślający duże, inteligentne oczy.

– Addath, nie miałaś jeszcze okazji spotkać mojego męża, Hana Solo.

– Nie, ale znam go doskonale, jak zresztą cała Nowa Republika, z holodokumentów i opowieści, biografii oraz holoseriali opartych na jego wyczynach. – Addath nagle spoważniała. – Przyjmij moje kondolencje z powodu Anakina i Jacena. Ich poświęcenie z pewnością uratowało życie niezliczonym tysiącom innych istot i tak też będziemy ich pamiętać.

– Dziękuję. – Leia po raz pierwszy nie przyznała się, iż wierzy w to, że Jacen gdzieś tam żyje. – Addath, nie chciałabym zajmować ci wiele czasu, ale nasza misja jest bardzo ważna. Nie mam dostępu do wszystkich zapisów senatu, będę zatem musiała polegać na twojej pomocy. Chcemy spotkać się z prezydentem Sakinsem tak szybko, jak to tylko możliwe.

Wyraz twarzy Addath właściwie się nie zmienił, ale Han odniósł wrażenie, że coś jej się stało. Cała prawdziwa radość znikła nagle, pozostawiając jedynie pustą skorupę. Addath ujęła Leię pod ramię i łagodnie poprowadziła w kierunku ceremonialnego, udrapowanego flagami ścigacza czekającego przed dokiem dla gości. Han i roboty ruszyli za nimi, a eskorta cywilów i wojskowych zrobiła zwrot i zamknęła pochód.

– To będzie trudne – szepnęła Addath głosem ociekającym trującą słodyczą. – Tydzień po upadku Coruscant Sakins spakował skarbiec stolicy, składający się z klejnotów i innych drogocennych przedmiotów liczących sobie tysiące lat... ogromna fortuna i do tego łatwa do przenoszenia... po czym opuścił Vannix na starej, ale wygodnej korwecie, która służyła mu za osobisty środek transportu. Zabrał swojego zastępcę, kochankę, dzieci i kilku ulubionych sponsorów. Wątpię, czy kiedykolwiek powróci.

– Och, nie – jęknęła Leia. – A kto stoi na czele rządu planetarnego?

Wsiadła do ogromnego ścigacza przed Addath; Han przepuścił panią senator i usiadł obok, odizolowany jej potężnym ciałem od żony.

– No cóż, to nie jest całkiem jasne – odparła Addath. Poleciała pilotowi ścigacza: – Do rezydencji prezydenta, proszę.

Znów zwróciła się do Leii.

– Jestem mniej więcej odpowiedzialna za sprawy cywilne. Militariami zajmuje się niezbyt bystra pani oficer marynarki, niejaka Apelben Werl. Prowadzimy obecnie kampanię na rzecz dodatkowych wyborów, które zadecydują, kto z nas zostanie prezydentem. Przyjechałaś w dobrym momencie, wybory odbędą się w tych dniach. Słynni Solo mogą przeważać szalę głosów kilkoma dobrze wyważonymi wystąpieniami publicznymi.

– Możesz na mnie liczyć – mruknęła Leia.

Dwie godziny później – lub raczej czterdzieści, gdyby spytać Hana, ile według niego upłynęło czasu od chwili lądowania – zostali nareszcie sami w przydzielonych apartamentach. Pokoje były udekorowane w stylu Vannix, to znaczy pełne grubo wyściełanych sof i foteli w stonowanych odcieniach brązu i złota. Wszystkie powierzchnie były starannie zakryte – na podłodze leżał dywan gruby po kostki, każdy centymetr sufitu pokrywały draperie, które powiewając w przeciagu, nadawały pomieszczeniu rozkołysany, prawie organiczny wygląd.

Nie było tylko okien. Han opadł na sofę bok Leii i trochę się zdenerwował, kiedy przez dłuższy czas nie przestawał się zapadać.

– Czy to mnie przypadkiem nie pochłonie?

Leia uśmiechnęła się lekko.

– Pomacaj pod poduszkami, może faktycznie znajdziesz jakieś soki trawienne.

– To chyba najobrzydliwsza rzecz, jaką dziś powiedziałaś. Czy ci ludzie nie wierzą w świeże powietrze? Może chociaż jakiś balkon?

– Ależ tak, wierzą. Podobnie jak w inne rzeczy. Są znani ze zręczności swoich polityków i oka swoich snajperów i tym wzajemnie trzymają się w szachu.

– Chyba racja. A mogę cię zapytać o coś ważnego?

– Jasne. Ale najpierw... – Leia zerknęła na roboty. – Artoo, może trochę muzyki? Coś z Coruscant...

R2-D2 gwizdnął posłusznie. Po chwili z jego wnętrza popłynął łagodny, starodawny utwór kameralny z Coruscant, grany głównie na instrumentach smyczkowych.

Han ze zdumieniem otworzył usta, żeby spytać, odkąd to Artoo ma wbudowany moduł muzyczny, ale Leia położyła mu rękę na wargach, dając jednocześnie znak, żeby milczał.

Po chwili Han usłyszał swój własny głos, dobiegający z wnętrza robota, tak czysty i realny, jakby w mechanizmie siedział drugi on.

– Kiedy już wreszcie osiadziemy w spokoju, gdzie chciałabyś zamieszkać?

Odpowiedział mu głos Leii.

– Nie wiem. A jeśli będę potrzebna przy odbudowie Coruscant?

Prawdziwa Leia szepnęła ledwie słyszalnym głosem:

– Teraz możemy rozmawiać.

Han również zniżył głos do szeptu.

– To rozmowa, którą prowadziliśmy wracając po odwiezieniu dzieci Jedi.

Leia skinęła głową.

– Nagrywam nas od czasu do czasu, właśnie do takich celów. Każda rozmowa powiązana jest z innym fragmentem muzyki. To o wiele prostsze, niż szukanie i niszczenie urządzeń podsłuchowych, których tu jest z pewnością całe mnóstwo.

– Polityka... – Han pokręcił głową. – Nie jestem w tym najlepszy. Mogłabyś mi wreszcie powiedzieć, czego tu szukamy, żebym wiedział, do czego strzelać?

Leia kiwnęła na C-3PO. Robot protokolarny przystanął przed kanapą, a kiedy Leia znów pokiwała zgiętym palcem, pochylił się do przodu, aż prawie dotknęli się czołami.

– Słucham panią...

– Sprawdzaleś lokalne wiadomości?

– Tak.

– Możesz nam w skrócie opowiedzieć o wyborach prezydenckich i opozycji kandydatów?

– Jest trójka kandydatów, ale w sondażach przedwyborczych dwie z nich wysforowały się tak daleko do przodu, że tylko one się liczą – rzekł robot. – Addath Gadan jest od dwudziestu lat przedstawicielką Vannix w senacie Nowej Republiki, admirał Apelben Werl zaś stoi na czele marynarki systemu planetarnego. Od abdykacji poprzedniego prezydenta każda z nich zdominowała pewną część infrastruktury planetarnej, czy to siłą woli lub knowaniami politycznymi, czy powołując się na prywatne powiązania. Należy się spodziewać, że nadchodzące wybory zakończą konkurencją pomiędzy nimi, ale można też oczekiwać, że przegrana nie zaakceptuje wyniku wyborów i przejmie rządy siłą. Addath Gadan stoi na pozycji współpracy i załagodzenia stosunków z Yuuzhanami, z kolei admirał Werl woli zbrojny opór. Jak to w polityce, każda ze stron uważa, że jeśli zwycięży w wyborach, to dzięki zaufaniu ludności do swojego programu wyborczego, nie zaś osobistej charyzmie.

– Niezły raporcik – mruknął Han. – Możesz opisać historię Sithów w mniej niż trzydziestu słowach?

– Tylko bardzo ogólnie, proszę pana, bez najważniejszych dat i profili osobowości.

– Han, przestań – skrzywiła się Leia.

– Przepraszam, to taki łatwy cel, wiesz... – westchnął Han. – Dobrze. Właściwie osiągnęliśmy główny cel, z jakim tutaj przylecieliśmy. Nasze pasażerki wkrótce wytaszczą swoje skrzynie sprzętu komunikacyjnego, broni i towarów z „Sokoła” i pomkną do swoich zadań, jeśli już tego nie zrobiły. Moglibyśmy właściwie wyjechać jutro i uznać misję za udaną.

– Moglibyśmy.

– Ale nie miałabyś czystego sumienia.

– Ty też.

– Ja zawsze mam czyste sumienie. Ale czy powinniśmy opuścić planetę w sytuacji, kiedy wybory może wygrać pacyfista? To by oznaczało, że już na drugi dzień Yuuzhan Vongowie będą mieli kolejnego sojusznika w galaktyce.

– To prawda.

– Zdaje się, że chciałabyś zostać przez kilka dni.

– Zdaje się.

– I wystrzelić polityczną rakietę uderzeniową wprost w plany kampanii swojej przyjaciółki.

Leia skinęła głową z wyraźnym żalem.

– Addath nie jest moją przyjaciółką. Jest politykiem i szanuję jej zdolności. Nie mam też nic

przeciwko niej. Ale interes to interes, a teraz widzę, że nasze interesy są sprzeczne... i takimi pozostaną na zawsze. Nie możemy pozwolić, aby zwyciężyła. Pytanie tylko, czy możemy zapewnić zwycięstwo tej admirał Werl...

Han nie zdołał powstrzymać szerokiego uśmiechu.

– Wiesz, że fałszowanie wyborów jest nielegalne. Niezbyt pasuje do praworządnej pani polityk z dobrej rodziny.

Leia odpowiedziała mu identycznym uśmiechem.

– Już nie jestem politykiem. Tylko udaję. Przeszłam na łajdacką stronę Mocy.

Han odczekał, aż w zarejestrowanej rozmowie odtwarzanej przez R2-D2 nastąpi przerwa, po czym wykrzywił się do robotów.

– Hej, wy dwaj. Idźcie sobie na spacer i pozwólcie dwójce łajdaków na trochę intymności, co?

– To ty jesteś ten facet z krwawiącym nosem?

Głos dobiegał z drugiej strony zasłony z błękitnego prześcieradła, która oddzielała łóżko Tama od posłania po lewej. Był to głos chłopięcy.

– Facet z krwawiącym nosem?

Drobna dłoń częściowo odsunęła prześcieradło i Tam wreszcie mógł zobaczyć swojego rozmówcę. Chłopak miał może ze dwanaście lat, ciemne włosy, niebieskie oczy i wyraźnie zarysowany dołek w brodzie, który nadawał jego twarzy zaskakująco dorosły wyraz.

– Mówią, że bliznogłowi zrobili ci okropne rzeczy, a kiedy nie chciałeś robić tego, co ci kazali, puścili ci krew nosem tak, że omal nie umarłeś.

– Cóż, to nie jest aż takie proste. – Tam wzruszył ramionami, zaskoczony, że wścibstwo chłopca nawet go nie zdenerwowało. – To, co mi zrobili, sprawia, że jeśli im się sprzeciwiam, zaczyna mnie boleć głowa, a ciśnienie krwi wzrasta tak, jakby moje ciało było komorą sprężania. A wtedy krew leci mi z nosa naprawdę mocno. Ale najbardziej niebezpieczny jest ból.

– To dlatego musisz nosić ten głupi hełm?

– Właśnie dlatego muszę nosić ten głupi hełm. – Tam wyciągnął rękę. – Jestem Tam.

Chłopak ujął ją i uścisnął.

– A ja Tark. To nie jest moje prawdziwe imię, ale wszyscy mnie tak nazywają. Już nikt nie mówi do mnie Dab.

– Skąd jesteś, Tark?

– Pamiętasz ten dzień, kiedy bliznogłowi przypuścili wielki atak, a „Lusankya” dołożyła im ze swoich armat?

– Słyszałem o tym, ale straciłem przytomność zanim się jeszcze zaczęło.

– No więc podlecieli tak blisko, żeby rozwalić główny budynek, a wtedy trochę tej plazmy przepaliło tarcze i ścianę, przy której stałem, no i prysnęło na mnie. Oparzyło mi nogę. – Tark odsunął koc, pokazując bandaż na prawej łydce. – Ale dzisiaj wychodzę.

Mówił to takim tonem, jakby wypuszczano go z więzienia po długoletnim wyroku, a nie ze szpitala.

– A ja wyjdę... cóż, mam wrażenie, że mogę stąd wyjść, kiedy zechcę.

– To co tutaj robisz?

– Zdaje się, że nie bardzo mam dokąd pójść. Nikt mi nie ufa. A ci, którzy mi wierzą, nie powinni tego robić. – Tam odchylił się do tyłu i skrzywił wargi na myśl, jak boleśnie prawdziwe są te słowa.

– Ale przecież walczyłeś! Zwyciężyłeś. Wszyscy tak mówią.

– Powinienem był walczyć od samego początku. Powinienem był pozwolić, żeby mnie to zabiło,

zanim zrobię coś złego.

Tark przyjrzał mu się wybałuszonymi oczami, po czym nagle zrobił pogardliwą minę.

– Czy wszyscy muszą zgłupieć, kiedy tylko dorosną?

– Co?

– To, co słyszałeś. Głupio gadasz, i tyle.

– Tark, posłuchaj... Jestem zwykłym facetem, który nigdy nikomu nie był potrzebny, a potem złapali mnie Yuuzhanie, przeżuli i wypluli w jednym ze swoich spisków.

– No, mnie też.

– Co takiego? – Tam przyjrzał się chłopcu uważniej.

– Mnie też. Yuuzhanie złapali mnie, przeżuli i wypluli, dokładnie tak samo jak ciebie. – Tark oparł się o poduszki, naśladowując pełną znużenia pozycję Tama. – Jestem bardzo podobny do Anakina Solo. Wiesz, syna Hana Solo. Tego, który zginął. Kiedy byłem na Coruscant, ta baba, która szpieguje dla Yuuzhan Vongów, kazała mi iść ze sobą do Solo, żeby zgłupieli i żeby się dziwnie poczuli, a wtedy ona mogłaby porwać Bena Skywalkera. A potem chyba miałem zginąć, ale Solo zabrali mnie tutaj, choć pewnie bardzo cierpią, kiedy muszą na mnie patrzeć. – Odwrócił wzrok i nagle spoważniał. – Nie wiem, gdzie jest moja prawdziwa rodzina. Może wciąż na Coruscant.

Nie musiał dodawać: „Może nie żyją”.

– Tam nie ma teraz dużo dzieci. W ogóle jest mało cywilów. Co robisz, kiedy nie leczysz oparzeń?

Tark zachichotał.

– Mieszkam z Hanem i Leią Solo. Ale oni bardzo często wyjeżdżają, tak jak teraz. Więc łączę tu i tam. – Posmutniał znowu, jego buzia nabrała melancholijnego wyrazu. – No i muszę się uczyć.

– Tark, pewnych spraw nic nie zmieni, nawet jeśli wykopią ci planetę spod nóg. Jak by ci się podobało, gdybym cię wyszkolił na operatora holokamery?

– A co to takiego?

– Widzisz, za każdym razem, kiedy oglądasz holoprogram, obraz jest rejestrowany za pomocą holokamery. A holokamerę obsługuje operator. To mój zawód.

– To... ciekawe – z powątpiewaniem mruknął Tark.

– Musisz spróbować. Chciałbym odnaleźć Wolama Tsera i zapytać, czy wciąż jeszcze potrzebuje moich usług. Pójdiesz ze mną?

Oczy Tarka przybrały rozmiar spodków.

– Znasz Wolama Tsera? Moi rodzice zawsze go oglądali.

– Znasz Hana i Leię Solo? – przedrzeźniał go Tam. – Jasne, mały. Jestem jego operatorem holokamery.

– No to pójde.

– Świetnie. – Tam położył się i w duchu wrzucił ramionami. Cóż, przynajmniej będzie miał coś do roboty.

Yuuzhański światostatek Vongów. Orbita Coruscant

Mistrz przemian Ghithra Dal popatrzył uważnie na ramię Tsavonga Laha i zawahał się.

Mistrz wojenny już wiedział, że wieści nie będą pomyślne. Czuł w ramieniu zwiększoną aktywność zjadaczy padliny, widział i czuł wykluwanie się nowych kolców w yuuzhańskiej skórze nad miejscem połączenia.

– Mów – rzekł. – Twoje słowa nie mogą mnie rozgniewać. Ani wnioski, jakie wyciągniesz. Jeśli tylko przedstawiś je szybko i jasno, nie masz się czego obawiać z mojej strony.

Mistrz przemian uklonił się z wdzięcznością.

– Sytuacja się pogarsza, mistrzu wojenny. Obawiam się o twoje ramię. Żadne arkana mojej sztuki nie są w stanie go uratować.

– A zatem skazany jestem na to, by stać się Zhańbionym? – Tsavong Lah pochylił się do przodu na swoim siedzisku, zapatrzony przed siebie, w przyszłość, nie widząc już mistrza przemian. – Nie, tak się stać nie może. Kiedy moje ramię będzie już nie do uratowania, ale zanim naprawdę stanę się Zhańbionym, poświęcę swoje życie w ofierze lub rzucę się na wroga, aby umrzeć jak należy. Teraz muszę jedynie znaleźć nowego mistrza wojennego, który będzie sumiennie i mądrze służył Yuuzhan Vongom. – Zdrową ręką pogładził się po podbródku i zaczął głośno myśleć: – Sądzę, że Gukandar Huath będzie się nadawał najlepiej, prawda?

Był to wybieg, który Tsavong Lah uważałby za wystarczająco okrutny nawet wówczas, gdyby miał być dla niego wyłącznie rozrywką. Było jednak inaczej. Gukandar Huath był istotnie świetnym wojownikiem i dowódcą, ale znano go z tego, że wspierał kapłanów Yun-Yamaki i Yun-Harli, boga Stwórcę zaś, Yun-Yuuzhanina, traktował z ledwie skrywaną obojętnością. Jeśli Ghithra Dal istotnie brał udział w spisku z kapłanami Yun-Yuuzhanina, byłby teraz zmuszony zaofiarować...

– Jeśli mogę się sprzeciwić, mistrzu wojenny... powiedziałem jedynie, że sztuka mistrza przemian tu nie wystarczy, nie zaś, że jesteś skazany – odezwał się Ghithra Dal. – Być może masz jeszcze wyjście... jest nim droga ataku, a nie droga ucieczki.

Tsavong Lah spojrział na mistrza przemian takim wzrokiem, jakby właśnie przypominał sobie o jego istnieniu. Nie dopuścił jednak, aby w jego głosie zabrzmiała bodaj nutka nadziei.

– Mów, mój sługo.

Ghithra Dal zniżył głos, jakby nie chciał, żeby ktoś go podsłuchał.

– Sztuka przemian nie może ci pomóc, jestem tego pewien, ponieważ dotknęła cię moc wszechświata znacznie potężniejsza niż nasze umiejętności. Cierpisz z woli i gniewu bogów.

– Nie, Ghithro Dalu; przynoszę zwycięstwo bliźniaczym bogom, a oni wiedzą, że wkrótce będę miał dla nich bliźniaczą ofiarę. Ich kapłani mówią mi o radości, jaką sprawiają bogom moje zwycięstwa.

– Ich kapłani... o, tak. Ich kapłani cieszą się, a kapłani Yun-Yammki przewidują zwycięstwa, jakie twój ojciec odniesie w systemie Pyrii, bo będą mogli zająć ten bogaty, żyzny świat. Lecz choć są to bogowie, których imiona najczęściej pojawiają się na wargach wojowników i wielkich dowódców, nie są to jedyni bogowie.

Tsavong Lah oparł się w fotelu i pozwolił, aby w jego głosie pojawiła się nuta zwątpienia.

– Oczywiście, że nie. Mamy wielu bogów. Ale co mogłem zrobić takiego, by ich obrazić? Nie wyzywałem ich, nie przeklinałem.

– Ale... jak sądzę... niektórych z nich zaniedbałeś. Składałeś im ofiary nie całkiem odpowiednie dla ich wielkości. Bliźniaczy bogowie, choć niewątpliwie błogosławieni i potężni, niech chwała będzie ich imionom, dają ci powodzenie, a ty cieszysz się nim. Ale inny bóg dał ci życie, a ty nie wydajesz się świętować tego życia.

– Yun-Yuuzhanin? Miliardy jego oczu nie skupiają się na nas zbyt dokładnie. Tak mówią kapłani.

– Tak mówią niektórzy kapłani. A jeśli się myślą, jeśli słuchanie ich słów rozgniewało Yun-Yuuzhanina, być może postępując zgodnie z ich radami, sprowadzasz na siebie zgliszcze?

– Niektórzy kapłani. Czy znasz takiego, który wyznaje inną dyscyplinę?

– Znam. Jest młody, może nawet nieznany ci, mistrzu wojenny. Nazywa się Takhaff Uul.

– Słyszałem o nim. – Tsavong Lah spojrział na miejsce połączenia na swoim ramieniu i obserwował je przez dłuższą chwilę. – Porozmawiam z nim. Możesz odejść.

– Chciałbym pozostać, aby sprawdzić, jaki skutek odniosły moje ostatnie zabiegi.

– Właśnie powiedziałeś, że sztuka przemian nic tu nie pomoże. Twoje ostatnie zabiegi nie zdały się na nic. Nie ma powodu, abyś obserwował swoją klęskę. – Tsavong Lah wskazał mu wyjście z komnaty.

Ghithra Dal skłonił się ponownie i wyszedł. Portal rozciągnął się, aby go przepuścić, ale zanim znów się zamknął, Tsavong Lah krzyknął na tyle głośno, by mistrz przemian mógł go usłyszeć:

– Przysłać do mnie Takhaffa Uula!

Wejście zamknęło się, ale nikt nie odpowiedział na jego wołanie. Strażnicy i najbliżsi doradcy nie powinni zresztą tego robić. Zostali dokładnie poinstruowani, jak mają działać i reagować. Takhaff Uul będzie wezwany, owszem... ale dopiero za kilka minut.

Inny portal rozwarł się, przepuszczając Nen Yim, która podbiegła do niego spieszenie, wyciągając z fałd odzieży i kołpaka stworzenia-narzędzia. Natychmiast zaczęła nimi zeskrobywać tkanę i nakłuwać jego ramię w miejscu połączenia; pobierała próbki skóry i wychwytywała zjadaczy padliny. W każdym innym momencie dotykanie mistrza bez pozwolenia uznane byłoby za zbrodnię, którą karze się najbardziej haniebną śmiercią, ale tym razem takie właśnie były jego rozkazy, aby nie marnować czasu na zbędne słowa.

Ignorując Nen Yim, Tsavong Lah zwrócił się do Denui Ku, który stał pomiędzy innymi strażnikami.

– Udało się?

Denua Ku skinął głową.

– Istotnie. Rzuciłem mu w plecy badacza nerwokręga, a on nie zareagował i nie potwierdził jego obecności. W ciągu kilku minut się rozmnożył, a jego potomstwo się rozprzestrzeni.

Mistrz wojenny skinął głową z zadowoleniem.

Nie wystarczy zdjąć głowy zdrajców, których już znał i podejrzewał. Musi wyplenić spisek z korzeniami, żeby nie mógł rozrosnąć się na nowo. Cierpienia, jakich doznają konspiratorzy

w ostatnich tygodniach swego życia, wstyd, jaki spadnie na nich i ich rodziny, staną się legendarne wśród Yuuzhan Vongów.

ROZDZIAŁ 4

Teraz przy czarnej ścianie pracuje cała grupa mężczyzn i kobiet, pochodzących z tego samego gatunku co wysoki mężczyzna, choć niektórzy wydają się mocniej owłosieni lub bardziej otyli.

Jeden z nich używa do podgrzewania ściany urządzenia z płomieniem, podobnego do tego, które miał Ryuk. Potem kiwa głową i wycofuje się, a zamiast niego podchodzi kobieta ze swoim narzędziem. Z trzymanego przez nią węża leje się coś białego; wąż wystaje ze zbiornika umocowanego na jej plecach. Powietrze nagle staje się zimne, coraz zimniejsze. Biała substancja uderza w rozgrzany kamień.

Kamień wrzeszczy. Wysokiemu człowiekowi bardzo się podoba ten dźwięk.

Ale odpada tylko niewielki kawałek ściany. Wysoki mężczyzna podnosi go. Kamień parzy mu palce resztkami ognia. Jest ciężki, o wiele cięższy, niż powinien być kamień.

Mężczyzna i kobieta patrzą na małą szczelinę, jaka utworzyła się w powierzchni ściany. Wydają jedno do drugiego jakieś dźwięki. Potem kobieta z łękiem w oczach zwraca się do wysokiego mężczyzny, tworząc obrazy. Mężczyzna sięga i wydobywa je z jej mózgu.

Zimno i ogień zniszczą ścianę, ale po bardzo długim czasie, mówi.

Ile to jest długi czas? Ciemno i jasno?

Wiele razy ciemno i jasno, odpowiada kobieta. Wiele trzęsień ziemi przyjdzie i odejdzie, rośliny spowodują upadek wielu jeszcze budynków, małe rzeczy urosną, a stare umrą.

Wysoki mężczyzna warczy wściekle; kobieta zataczając się, uskakuje przed siłą jego gniewu.

Ale w jej myślach jest jeszcze coś; wymusza na nim, żeby odebrał tę myśl. To maszyna z ramionami i młotami, na gąsienicach, a kobieta wyobraża ją sobie, jak używa własnych płomieni tnących i dudniących młotów, aby rozbić mur.

Wysoki człowiek odrzuca ten pomysł z pogardą. Widzi w myślach siebie samego, stojącego obok maszyny, uderzającego pięściami w ścianę. Żadne z nich nie jest w stanie nawet jej uszkodzić.

Kobieta potrząsa głową i jest to znak, który nauczył się rozumieć. Obraz w jej myślach ulega zmianie. Wysoki mężczyzna jest w nim coraz mniejszy, aż staje się tylko maleńkim punkcikiem obok gąsienic.

Mężczyzna wykrzywia się pod jej adresem. Nie wie, o co chodzi.

Kobieta pokazuje mu siebie u jego boku, równie maleńką, i zmusza, aby spojrzeć przez jej oczy. Teraz widzi, jak kobieta patrzy coraz wyżej, żeby ujrzeć choć część maszyny.

Wreszcie rozumie. To nie on się kurczy. Źle zrozumiał jej intencję. To maszyna jest wielka, taka wielka, jak szczelina między budynkami, wielka jak ta ogromna komnata.

Wysoki mężczyzna wybucha śmiechem. Kobieta i pozostali robotnicy, zarażeni jego wesołością, również się śmieją. Są słabsi od niego i niebawem zaczynają kasłać, aż padają ze śmiechu. A on patrzy na nich wesoło, ciesząc się ich radością. Dopiero kiedy niektórzy zaczynają odkastywać krew, pozwala im przestać.

Staje nad kobietą i z wszystkich swoich myśli formułuje jedną, w której ona znajduje maszynę i sprowadza ją do niego.

Kobieta kiwa głową, ale jest zbyt słaba, żeby usłuchać go natychmiast. Mija wiele minut, zanim jest w stanie wstać i pójść, aby wykonać swoje zadanie.

Kiedy Jaina wyszła z odprawy z generałem Antillesem, Jag czekał na nią w holu.

– Czy mogę cię prosić o chwilę uwagi, o Wielka?

Przechyliła głowę, jakby analizując swój rozkład dnia, po czym stwierdziła:

– Ale chwilę.

Wyprowadził ją z biura i wskazał na niewielką, mało używaną salkę konferencyjną w końcu korytarza.

Zaledwie znaleźli się w środku, a drzwi zatrzasnęły się za nimi, Jaina zarzuciła Jagowi ramiona na szyję; poczuła jego siłę, kiedy ją objął. Pchnęła mężczyznę na ścianę obok drzwi, aż stracił równowagę, i pocałowała go. Kiedy Jag uderzył z łomotem o ścianę, odskoczyła jak oparzona i parsknęła śmiechem.

– To tyle, jeśli chodzi o dyskrecję – mruknął Jag. Uśmiechnął się w charakterystyczny sposób, tak lekko, że większość obserwatorów nawet by tego nie zauważyła.

– Poniosło mnie – odparła. – Lubię, jak mnie ponosi.

– Mam sporo czasu, a ty?

Z żalem pokręciła głową.

– Muszę znaleźć pilota dla Bliźniaczych Słońc. Twój wujek chce mi dać B-winga, tego samego, którym Lando uciekł z misji „Rekordowego Czasu”. Potrzebuję do niego pilota – uśmiechnęła się przekornie. – Mogę sobie iść do kogo zechcę i spróbować swojej siły perswazji, żeby skłonić go do opuszczenia własnej eskadry. Jeszcze jeden powód, żeby pozostali dowódcy mnie znienawidzili.

– Ależ oni nie potrzebują już więcej powodów. Jesteś lepszą pilotką niż którykolwiek z nich. A do tego jesteś ładniejsza nawet od pułkownika Darklightera z Łotrów.

Walnęła go pięścią w pierś.

– No dobrze, jesteś ładniejsza od kapitana Retha z Czarnych Księżyców.

Uderzyła go jeszcze mocniej.

– Ładniejsza niż Wes Janson z Żółtych Asów.

– Ej, bo złamię ci jakiś gnat, który może ci być jeszcze potrzebny...

Roześmiał się wreszcie, zadowolony z jej reakcji.

– Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Chciałam zapytać Zekka.

Jag zmarszczył brwi.

– On nie jest aż tak dobry.

– No cóż, jest taki sobie, ale ja nie planuję włączenia B-winga do naszych harców. Chciałam go wyposażyć i używać jako centrum sterowania dla moich boskich wyczynów. Coś w rodzaju ruchomej

kwatery głównej.

– Tym bardziej powinien go prowadzić najlepszy z możliwych pilotów. Jeśli nie ma to być statek ofensywny, musi umieć robić uniki i wykpiwać się ścigającym.

– Polecilibyś kogoś specjalnie?

Pomyślał chwilę, po czym skinął głową.

– Jest taki pilot wahadłowca, nazywa się Beelyath. Lata z misjami ratunkowymi – zbierał pilotów z próżni. Widziałem, jak swoim wahadłowcem wykręca całkiem niezłe numery i często zbiera pilotów nawet spod ognia nieprzyjaciela. Był jednym z tych, którzy pomagali nam ściągać ofiary wyrzucone ze światostatku Yuuzhan Vongów przy wejściu do systemu. No i jest Kalamarianinem. Wiem, że ma doświadczenie z myśliwcami i podejrzewam, że nie pogardzi B-wingiem.

– Porozmawiam z nim. – Poczwała, że wesołość ją opuszcza, uśmiech gdzieś zniknął. – Muszę już iść. Jakoś nie możemy znaleźć dla siebie czasu, zauważyłeś?

– A masz jeszcze jakieś sześćdziesiąt sekund?

– Mam.

Pochylił się, aby pocałować ją jeszcze raz.

Yuuzhański światostatek Vongów. Orbita Coruscant

– Mów – rozkazał Tsavong Lah.

Nen Yim złożyła ukłon i wyprostowała się.

– Poddałam analizie próbki pobrane z twojego ramienia, panie.

– Czy moja sytuacja jest korzystna?

– Tak, mistrzu wojenny. Lek na twoją dolegliwość jest bardzo prosty, ponieważ polega na odmowie wszelkich kolejnych zabiegów z rąk Ghithry Dala. Materiał, który znalazłam na twoim ramieniu, a który mógł pochodzić jedynie z dotyku rąk Ghithry Dala, powoduje rozrost łapy radanka. Jest ona wchłaniana przez twoją skórę i przenoszona w jej głąb przez zjadaczy padliny. Kiedy usunie się ten materiał, problem powinien zniknąć.

– Jednak jeśli przestanę przyjmować zabiegi z rąk Ghithry Dala, on domyśli się, że go podejrzewam.

Nen Yim była dość mądra, aby nie odpowiadać. Nieważne, czy miała na ten temat swoje zdanie, czy nie, nie do niej należało sugerowanie mistrzowi wojennemu zastosowania odpowiedniej strategii. Żadne zalecenie nie zostałoby dobrze przyjęte.

– Czy możesz przemienić materiał tak, że zneutralizuje skutki działań Ghithry Dala, abym mógł dalej przyjmować jego leczenie?

– Być może, mistrzu wojenny. Ale substancja, która skłania łapę radanka do takiego przerostu, jest bardzo subtelna, bardzo skomplikowana. Ghithra Dal opracowywał ją prawdopodobnie bardzo długo. Pobranie próbek i obserwacja ich wpływu na inne ciało radanka to nie to samo, co wiedzieć dokładnie, jak działa i jakie powoduje skutki, a to pierwszy krok do przeciwdziałania. Przemiana substancji zapobiegawczej może wymagać długich miesięcy pracy... albo dostępu do komnat Ghithry Dala.

Tsavong Lah rozważał przez chwilę jej słowa, po czym skinął głową.

– Znajdę sposób, abyś otrzymała albo jedno, albo drugie... albo i to, i to. Teraz odejdz.

Zaledwie znikła, pozwolił sobie na krótką chwilę zbyt rzadkiej przyjemności, jaką jest zwykła radość. Więc nie jest skazany na zgubę! Bogowie go nie pokarali. Musiał stawić czoło zwykłej zdradzie i niczemu więcej... a ze zdradą naprawdę umiał sobie radzić.

Bardziej niezwykle było dla niego przyznanie nagrody, zwłaszcza komuś, kto nie należy do Yuuzhan Vongów, kto nie jest ani lojalnym wojownikiem, ani doradcą.

– Przyślijcie mi tu Viqi Shesh.

Viqi weszła do komnaty nieco wytrącona z równowagi, bo strażnicy nie towarzyszyli jej przy przejściu przez portal, lecz pozostali z tyłu, na zewnątrz. Zawahała się u wejścia, szybkim

spojrzeniem ogarniając Tsavonga Laha na fotelu dowódcy oraz jego doradców i sługi stojących wzdłuż ścian, w odpowiednim oddaleniu.

– Podejdz do mnie, moja sługo – rzekł mistrz wojenny.

Viqi Shesh odpowiedziała mu promiennym, choć zupełnie nieszczerym uśmiechem i podeszła bliżej, składając mu niski pokłon. Wyprostowała się, oczekując słów mistrza, ale Tsavong Lah milczał, odprawił tylko gestem trójkę Yuuzhan znajdujących się w pomieszczeniu.

– Wezwałem cię – odezwał się po dłuższej chwili – aby przyznać, że istotnie masz swoją wartość. Twoja analiza okoliczności związanych z moim ramieniem okazała się właściwa. Zostałem dotknięty zdradą. Moje gratulacje.

Viqi poczuła, jak kolana uginają się pod nią. Nie z ulgi, że jej wybieg okazał się skuteczny, a zaimprovizowany pomysł prawdziwy. W końcu wymyśliła tę historię wyłącznie po to, by zyskać na czasie, opóźnić ostateczne rozwiązanie i umożliwić sobie ucieczkę. Okazało się jednak, że ma rację, spisek został wykryty i zlikwidowany, a jej czas dobiegł końca.

Niech szlag trafi spisek. Niech szlag trafi ich za to, że żyją, że byli na tyle głupi, aby dać się złapać, aby zniszczyć jej plan.

Nie dopuściła jednak, aby uśmiech znikł z jej twarzy.

– Serce moje przepelnia radość, że na coś ci się przydałam – rzekła. – Mam nadzieję, że w dalszym ciągu będę mogła ci wiernie i godnie służyć.

– Będziesz mogła. Twoim kolejnym zadaniem będzie wyjazd na Coruscant. Zginęli tam yuuzhańscy wojownicy, a oparzenia stwierdzone na ich ciałach sugerują, że winę ponoszą *Jeedai*. Pojedziesz z Denuą Ku i dołączysz do poszukiwań... to grupa wojowników i jedyne voxyny, jakie nam pozostały. Być może to wymarły gatunek, ale wciąż są gotowe polować na *Jeedai*. Będziesz służyć radą i intuicją wojownikom, pomożesz im wytropić i zniszczyć *Jeedai*. Zdobędziesz okazję, aby jeszcze bardziej wyróżnić się w mojej służbie.

Omam nie zabrakło jej słów. Podczas wyprawy w podziemia zrujnowanego świata będzie równie pilnie strzeżona jak tutaj. Będzie musiała pędzić za szybko przemieszczającą się bandą idiotów w strojach wojowników, aż zagoni się na śmierć. Jedyne jej towarzyszami będą brud i pot. I voxyn. Przerazała ją sama myśl o tym, że znajdzie się w odległości niewielu kilometrów od tej żarłocznej bestii.

Obdarzyła mistrza wojennego najbardziej przymilnym z uśmiechów i skłoniła się raz jeszcze. Dzięki temu miała dość czasu, żeby odzyskać głos.

– Żyję, aby cię słuchać, mistrzu wojenny.

Vannix, system Vankalay

– Czy zaproponujecie wsparcie polityczne senator Gadan? – Starsza kobieta miała sztywny kark i wzrok bystry jak sokoli nietoperz w poszukiwaniu ofiary. Puszyste siwe włosy, które powinny były złagodzić jej rysy i nadać twarzy babciną dobroduszość, powodowały, że wyglądała jak szalony czarownik, władca Mocy z jakiejś strasznej bajki dla dzieci. Postrzępiona blizna, zygziem przecinająca jej czoło, świadczyła, że musiała doznać pęknięcia czaszki, a nawet uszkodzenia mózgu w jakiejś dawnej bitwie. To także nie był krzepiący widok.

– Addath cieszy się moim całkowitym zaufaniem... – gładko powiedziała Leia. Han czekał, bo wyczuwał niedopowiedziane „ale” wiszące na końcu zdania.

Admirał Apelben Werl westchnęła cicho i smutno odchyliła się do tyłu. Sądząc po jej minie, obecne spotkanie, choć jeszcze się nie skończyło, dla niej przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– ...jako osoby prywatnej – dokończyła Leia.

Pani admirał spojrzała na nią uważnie.

– A jako profesjonalistki? Jako polityka?

– Jako profesjonalistka jestem po stronie najostrożniejszych metod oporu wobec Yuuzhan Vongów.

– Ach, tak? – pani admirał nagle przestała się wydawać taka straszna. – Nie potrafię kręcić, więc zapytam wprost: czego potrzeba, aby was przekonać do okazania mi wsparcia w kampanii? Aby pomóc mi nakłonić ludność do głosowania raczej za walką zbrojną niż za pacyfizmem?

W gruncie rzeczy Han i Leia przyszli właśnie z ofertą publicznego poparcia ze strony sławnej pary Solo.

Leia otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Han wpadł jej w słowo.

– Ja też chciałem panią o coś zapytać. Czym dysponujecie?

Admirał uśmiechnęła się zupełnie jak doświadczony handlarz banth.

– Potrzebujecie broni? Pojazdów? Podejrzewam, że Borleias ma już lepsze wyposażenie niż ja.

– Potrzebujemy niespodzianek – wyjaśnił Han. – Yuuzhanie spadną na nas jak asteroidy. Na koniec wezmą Borleias i zaczną się znów rozpełzać we wszystkie strony. Czy możesz zaproponować coś, co utrudniłoby im życie przy zdobywaniu Borleias? Co możesz nam dać, czego oni się nie spodziewają?

Leia milczała i popatrywała na Hana z ukosa. Zaskoczyło go, że to spojrzenie nie wyrażało wściekłości, tylko ciekawość i skupienie.

– Jak wygląda wyposażenie Yuuzhan przeciwko marynarce wojennej? – zapytała admirał.

Han zmarszczył brwi.

– Kosmicznej marynarce wojennej?

– Nie. Wodnej.

– Hm... wiem, że mają jakieś wodne istoty... transportery. I stworzenia, które pozwalają im oddychać pod wodą. Ale nie mieliśmy nigdy do czynienia z atakami z wody...

– A to znaczy, że mogą nie mieć nic albo że wszystko trzymają w rezerwie. – Pani admirał odchyliła się na oparcie fotela. Łokcie położyła na wyściełanych poręczach i złożyła końce palców w ostry daszek. – Spędziłam wiele czasu na modernizacji naszych sił zbrojnych pod kątem odpierania ataków z zewnątrz, a nie z powierzchni planety. Mam teraz dostęp do dużej liczby statków zarówno powierzchniowych, jak i podwodnych, w większości w stanie spoczynku i podtrzymywanych przez roboty. To antyki... ale antyczna mina może wybuchnąć i zabić wroga tak samo skutecznie, jeśli się ją odpowiednio ulokuje.

Mogę wam dać kilka łodzi podwodnych – dużych oceanicznych i małych rzecznych, jeśli tylko znajdziecie mi transporter, który je przewiezie. W ten sposób uzyskacie broń, jakiej prawdopodobnie Yuuzhanie jeszcze nie spotkali na Borleias.

– Czy są uzbrojone i w pełni sprawne? – zapytała Leia.

– Uzbrojone i w pełni sprawne.

– Ile tego będzie?

– Mogę wam dać dwie duże łodzie podwodne, wielkości mniej więcej krążowników z Carrack, oraz cztery mniejsze, odpowiednie do ruchu rzeczno.

– Niech będzie cztery i cztery i interes ubity.

Uśmiech handlarza banth stał się jeszcze szerszy.

– Jaki interes? Przecież niczego mi nie zaoferowaliście.

– Dajemy gwarancję – powiedziała Leia. – Gwarantujemy, że wygra pani wybory. Zobaczysz pani elektorat przechodzący na pani stronę i nasz wkład w tę zmianę zdania.

– Zgoda – rzekła pani admirał. – Następnego dnia po mojej przeprowadzce do biura prezydenta dostaniecie swoje osiem łodzi podwodnych.

Wyciągnęła dłoń, a Leia i Han uścisnęli ją kolejno.

Zaledwie wyszli z biura pani admirał i z bazy wojskowej, której używała jako swojej kwatery głównej, Leia przemówiła:

– Doskonale. Wynegocjowałeś dla nas coś za wsparcie, choć nie oczekiwaliśmy niczego. Tylko mi powiedz, co zrobimy z tymi kompletnie niepotrzebnymi łodziami podwodnymi? Z rupieciami, które w niczym nam nie pomogą w walce z Yuuzhanami?

Han obdarował ją jednym ze swoich najzłośliwszych uśmiechów w rodzaju „a tu cię mam, kotku”.

– Zobaczysz, co zrobimy.

– No to słucham.

– Po pierwsze, kiedy zdobędziemy transport dla łodzi podwodnych, nie informując o niczym pani admirał Napalonej, pozostawimy w jej wodach jedną dużą i jedną małą łódź. Jak najbliżej stąd i jak najgłębiej...

– A po co?

– Myślałaś o komórkach ruchu oporu jako o tajnych bazach w największych miastach, z pojazdami i amunicją przechowywanymi w jaskiniach czy w zapomnianych zbiornikach podziemnych, gdziekolwiek się da. Te łodzie podwodne może i są przestarzałe, jednak doskonale wystarczą na początek jako bazy oporu... można ich także użyć do znalezienia jaskiń, do których można dotrzeć tylko od strony morza i spod wody... Nie zostaną użyte wobec Yuuzhan jako broń, lecz

jako przenośne domy, które strzelają potężnymi pociskami. Wystarczy na cztery komórki ruchu oporu.

– Nieźle – uśmiechnęła się Leia, rozważając ten pomysł.

– A więc jak to zrobimy?

– Co?

– Jak sfałszujemy wybory?

– Nie mam pojęcia. Miałam robić to co ty, pamiętasz? Nigdy nie fałszowałam wyborów.

Han westchnął.

– No to lepiej szybciotko coś wymyśl. Albo będę ci musiał zabrać tymczasową licencję łajdaka.

Jag siedział oparty o kadłub swojego szponostatku, pochłonięty przeglądaniem notatnika. Dok działań specjalnych choć raz wydawał się stosunkowo spokojny. Słysząc było tylko pojedyncze brzęknięcia i nieliczne przekleństwa, dochodzące z kąta, gdzie uwijali się mechanicy. Jag nie był jednak na tyle zaaferowany, żeby nie zauważyć w polu widzenia pary obutych nóg.

Powędrował wzrokiem w górę, aż dotarł do błękitnej twarzy Shawnkyr Nuruodo. Chissanka była jego partnerką w pierwszej wyprawie do przestrzeni Nowej Republiki, jeszcze na początku kryzysu wywołanego napaścią Yuuzhan Vongów, jego jedyną towarzyszką w czasie samotnego powrotu i zastępcą, gdy dołączył do eskadry Vanguard na Hapes. Teraz, odkąd latał z eskadrą Bliźniaczych Słońc, ona dowodziła Vanguardami.

– Pułkowniku, czy mogę usiąść?

– Oczywiście.

Przycupnęła naprzeciwko niego ze skrzyżowanymi nogami.

– Słyszałem, że eskadra Vanguard została zakwalifikowana do działań elitarnych i specjalnych – rzekł Jag. – Że będziecie teraz stacjonować na planecie razem z nami. Gratuluję.

– To tylko kwestia szkolenia, motywacji i narzucenia dyscypliny – wzruszyła ramionami Shawnkyr. – Przyszłam do ciebie, bo uznałam, że postąpię niewłaściwie, jeśli bez rozmowy z tobą odrzucę tę promocję, niewątpliwie przyznaną w dobrej wierze. W końcu to ty stworzyłeś eskadrę.

– Dlaczego miałabyś ją odrzucić?

– Ponieważ nie mam zamiaru dłużej prowadzić eskadry. Ty też do niej nie powinieneś wracać. Czas, abyśmy odeszli.

– Mów jaśniej.

– Mieliśmy jasno określony plan, pułkowniku. Wróciliśmy po to, aby sprawdzić, jakie zagrożenie stanowią Yuuzhanie dla społeczeństwa Chissów. Mieliśmy dość czasu, aby dokonać oceny. Teraz powinniśmy wrócić i złożyć sprawozdanie z naszych działań.

Jag przyglądał się jej beznamiętnie. Już od jakiegoś czasu spodziewał się tej konfrontacji.

– A co będzie zawierał twój raport dla dowództwa?

– Że Yuuzhanie stanowią poważne zagrożenie dla nas, dla Imperium i dla wszystkich społeczeństw nie przypominających ich samych. Że Nowa Republika rozpada się na wszystkich frontach, że dokończenie inwazji w tej okolicy przez Yuuzhan Vongów i zwrócenie się przeciwko nam jest jedynie kwestią czasu.

– Zgadzam się z twoimi wnioskami.

– No to ruszamy.

Potrząsnął głową.

– Ja jednak doszedłem do innych wniosków, zgodnie z którymi powinniśmy zostać.

– Mogę je poznać?

– Uważam, że wojna tu, na Borleias, będzie najpoważniejszą próbą zdecydowania i charakteru Yuuzhan. Dopiero kiedy zobaczymy, jak przebiegnie ta kampania, będziemy mogli przeprowadzić dokładne rozpoznanie wroga, któremu nasz lud będzie musiał kiedyś stawić czoło.

– Zamierzasz więc wrócić do przestrzeni Chissów natychmiast po upadku Borleias?

– Nie.

– Wobec tego nie rozumiem.

– Nie przedstawiłem moich wszystkich wniosków. A oto drugi, niemający nic wspólnego z pierwszym: moja obecność tutaj może wpłynąć na bieg wydarzeń, choćby niewielkim, ale z pewnością wymiernym stopniu. Odejście z tej kampanii spowoduje nie tylko jej porażkę, ale również zwiększy zagrożenie dla naszego ludu. Każda szkoda, którą dziś wyrządzą naszemu wrogowi, oznacza, że on jej nam nie wyrządzi, kiedy już do nas dotrze.

– Więc nie odejdziesz nigdy.

– Odejdę... kiedyś.

Shawnkyr w milczeniu trawiła jego słowa. Odległe przekleństwa przybrały na sile, akompaniując wzmożonemu waleniu młotem, które bardziej przypominało teraz odgłosy krwawej zemsty niż naprawy. Po chwili jednak wszystkie dźwięki wróciły do normalnego poziomu.

– Mogę z tobą porozmawiać jak pilot z pilotem?

– Oczywiście.

– Sądzę, że uczucia zaćmiły twój trzeźwy osąd. To świadomość, że nie będzie cię tutaj, kiedy Jaina Solo znajdzie się w niebezpieczeństwie lub zostanie zabita, nie pozwala ci swobodnie podejmować decyzji. Ale pamiętaj, że masz zobowiązania wobec swojego ludu i nikogo innego.

– Czy aby naprawdę?

– Tak. Złożyłeś przysięgę. Przysięgę posłuszeństwa i lojalności.

– A co, jeśli dokładniejsze przyjrzenie się lojalności oznacza odejście od posłuszeństwa?

– Nie może tak być.

– Uważam, że się mylisz. Nie jestem lojalny wobec Chissów dlatego, że przyjęli do siebie moich rodziców ani dlatego, że wśród nich wyrosłem. Jestem lojalny, ponieważ są uosobieniem cech, które podziwiam i szanuję; to oni sprawili, że cechy te stały się kręgosłupem naszego społeczeństwa. Mam na myśli przeciwstawienie się siłą agresji i przedkładanie obowiązku nad osobiste interesy. Chissowie nie są jednak jedynymi istotami, które mają wiele wspaniałych cech; nie są też jedynymi, które zasługują, aby przeżyć walkę z Yuuzhanami i nie są jedynymi, z którymi się identyfikuję. Już nie.

– Uważasz zatem, że zostając, wspierasz lepszą sprawę.

– Tak. Możemy przygotować raport i przesłać go holokomunikatorem. Możemy w nim wyjaśnić, że potrzebna jest dalsza ocena... co zresztą jest prawdą.

– Skoro tak twierdzisz.

– Tak twierdzą.

Wyraz twarzy Shawnkyr zmienił się. Nie patrzyła już na niego twardo, a takiej właśnie reakcji Jag się spodziewał, choć jej nie pochwalał. W jej oczach był teraz tylko lekki smutek. Wątpił, czy ktoś, kto nie zna jej tak dobrze jak on, dostrzegłby go i zidentyfikował.

– Zostanę – oznajmiła. – Zostanę aż do upadku Borleias. Potem wrócę do domu.

– Dziękuję.

– Ale jeśli tu zginę, chcę, żebyś obiecał, że wrócisz zamiast mnie. Pozostając tutaj, opóźnię wykonanie zadania. Jeśli nie przeżyję, ty musisz je przejąć.

Jag zastanowił się. Zgodnie z jego sposobem myślenia, przedstawiony przez Shawnkyr argument był nie do obalenia. Miał tylko dwie możliwości: albo się z nią zgodzić, albo pożegnać. A przecież jako zdolny pilot była bardzo potrzebna obrońcom Borleias.

– Zgadzam się – odparł.

Tark uściśnął mocno dłoń Wolama Tsera.

– Myślałem, że pan jest wysoki – powiedział.

Wolam – siwiejący, dystyngowany przedstawiciel elity holodziennikarstwa Coruscant – wymienił z Tamem rozbawione spojrzenia, zanim znów skoncentrował wzrok na chłopcu.

– I tak jestem wyższy od ciebie.

– Ale ja sądziłem, że pan ma co najmniej dwa metry.

– To złudzenie, dziecko. Kiedy stajesz przed holokamerą, dominujesz na obrazie. Wszystko inne staje się drugorzędne. Dlatego widzowie tak łatwo wierzą w to, że jesteś wielki i rozłożysty.

– Aha – grzecznie przytaknął Tark, jakby doskonale rozumiał, o czym mówi Wolam.

Stali w przedsionku budynku biotyki, o kilka metrów od drzwi wychodzących na strefę zabronioną. Stało tu pełno biur i stacji roboczych dla młodszych oficerów i personelu obsługi. Niektórzy kierowali ruchem wewnątrz budynku, inni zapewniali miejscową i zdalną ochronę, a jeszcze inni musieli tutaj siedzieć, ponieważ w miejscach bardziej odpowiednich po prostu zabrakło miejsca.

Wciąż jednak było trochę luzu z dala od głównego nurtu ruchu i właśnie tam teraz stali, jak mężczyźni przedstawiciele trzech generacji bezdomnych cywilów otoczonych przez działania militarne.

– Co dziś będziemy robić? – Tam pogrzebał w swojej ogromnej torbie i wyciągnął holokamerę, model na tyle mały, żeby skrył się w jego dużych rękach, z paskiem do zahaczenia o dłoń. Podał go Tarkowi i pokazał mu, jak dopasować pasek i gdzie patrzeć, żeby zobaczyć to, co widzi obiektyw holokamery.

– Muszę pokazać, jak żyją obrońcy – powiedział Wolam. – Sypialnie, posiłki, leki, łazienki, zmęczenie, skradzione chwile. Krótkie wywiady, jeśli uznam za stosowne. Żadnych ustawianych scen, żadnych analiz.

– Po co w ogóle nagrywać? – dopytywał się Tark. – Czy po zdobyciu Coruscant został pan bez pracy?

– Nigdy – odparł Wolam. – Jestem historykiem. Dopóki cokolwiek rozumnego żyje we wszechświecie, mam pracę, mam powołanie. Pewnego dnia ludzie zechcą się dowiedzieć, co się tu wydarzyło, a te zapisy i analizy, które dla nich przygotowujemy, mogą być jedyną odpowiedzią na ich pytania. Jedyną, jaka przetrwa.

– Innymi słowy – wtrącił Tam – kiedy tylko wiesz, kim jesteś, nikt już nie może odebrać ci pracy. Mogą zmienić warunki. Mogą sprawić, że nie dostaniesz zapłaty – spojrzał złośliwie na Wolama, a ten odpowiedział mu obrażonym skrzywieniem. – Ale twoja praca pozostaje częścią ciebie.

Tark milczał, analizując to, co usłyszał.

Tam wyciągnął wreszcie swoją prawdziwą holokamerę, najnowszej produkcji Crystal Memories model 17, lżejszą i wyposażoną w pojemniejszą pamięć niż wcześniejsze modele. Przełożył pasek

przez głowę, dotykając nim świeżej blizny za uchem. Blizna była pochodzenia chirurgicznego i skrywała nowy implant, który stanowił w tej chwili jego jedyną obronę przed śmiertelnościami bólami głowy, powodowanymi przez uwarunkowanie. Faktycznie, zmiana warunków, pomyślał.

– Co mam filmować? – zapytał Tark. – Wszystko?

– Na początku wszystko, co chcesz – odparł Tam. – Ja rejestruję to, co wskaże mi Wolam, dopóki mi nie da znaku...

Wolam posłusznie wykonał gest imitujący cięcie siekierą. Ruch bladych dłoni na tle ciemnej odzieży był wyraźnie widoczny.

– ...oraz wszystko, co sam uznaję za interesujące lub niezwykle. Ty rób to samo, a potem przejrzymy twoje obrazki i pokażę ci, co jest ciekawe z punktu widzenia zapisów historycznych.

– Nie spędzaj za dużo czasu przy dziewczynach – ostrzegł Wolam.

Tark skrzywił się w wyniosłym grymasie pogardy.

– O to się możecie nie martwić.

– Nie cierpię tego – mruknął Luke.

– Czego? Czekańia? – Mara przymknęła oczy i zmieniła pozycję, szukając odrobiny wygody. – Co prawda niewiele może oczekiwać człowiek oparty o zdeformowaną metalową ścianę w korytarzu zalewanym wodą, przeciekającą przez trzydzieści czy czterdzieści pięter zrujnowanego wieżowca sterczącego nad głową, na planecie rządzonej i coraz bardziej niszczonej przez nieludzkich wrogów.

– Oczywiście, że czekańia. – Luke wrócił pół godziny temu z ostatniego zwiadu. Nie wszyscy jeszcze byli na miejscu – kilka metrów dalej w głębi korytarza Danni katalogowała próbki roślin, a pod pełgającą kulą żarową Baljos i Elassar grali w sabaka. Inni jeszcze się nie zameldowali.

– To mi przypomina pewien poważny problem, jaki mają Jedi. Miecze świetlne.

Luke spojrział na żonę podejrzliwie.

– Problem?

Skinęła głową.

– Nie można ich ostrzyć. Kiedy byłam... no wiesz, wykonując moją poprzednią profesję mogłam siedzieć i czekać nawet bardzo długo, ostrząc noże. Zajmuje ci to uwagę na tyle, że nie czujesz się znudzony, a narzędzia tylko na tym korzystają. A przy wibroostrzach, nawet jeśli zasilanie padnie, wciąż masz do dyspozycji ładną, ostrą klingę i możesz dalej ciąć wszystko, co trzeba.

Elassar obejrzał się przez ramię.

– Nieraz mi się wydaje, że potrafisz stwarzać upiorny nastrój, nawet śpiewając kołysanki.

– To nic trudnego. – Twarz Mary przybrała wyraz macierzyńskiej troski. – „Śpij dziecino mała – zanuciła – noc jest ciepła, a sen blisko...”

Tę dziecienną piosenkę zaśpiewała niskim głosem, w tonacji e-moll; przez to słowa zamiast ukojenia niosły niepokój, przywodząc na myśl antropomorficzną postać Snu – nocnego potwora skradającego się do kołyski.

Zamilkła i Luke wyczuł w niej to samo pragnienie, które sam przeżywał – marzenie, którego nie można było teraz spełnić: być tam, gdzie mały Ben, uczyć go rozmaitych zabaw i niespodzianek, jakie niesie ze sobą samo życie. Zamiast tego siedzieli pogrążeni w atmosferze śmierci.

Nagle Mara otworzyła oczy i spojrzała w głąb korytarza.

Luke też to poczuł – nie tyle niebezpieczeństwo, pewien niepokój w Mocy. Podniósł się i położył dłoń na rękojeści miecza świetlnego.

Z dziury w podłodze wychynęła Tahiri i wyciągnęła rękę w dół, pomagając Buźce. Miała nietęgą minę, a Buźka wyglądał, jakby nie dowierzał własnym oczom.

Kiedy Tahiri zobaczyła Luke’a, głośno przełknęła ślinę – Luke zorientował się, że to nie z niepewności czy strachu, ale że po prostu było jej niedobrze.

– Coś znalazłam – szepnęła.

ROZDZIAŁ 5

Teraz ma już imię.

Sporo czasu mu zajęło wyciąganie z ich głów strzępków myśli i składanie ich razem, aby zrozumieć, co to jest imię: dźwięk przynależny tylko jednej istocie. Każdy z nich miał imię, a kiedy człowiek to rozumiał, nagle okazało się bardzo ważne, żeby i on je miał.

Jest potężniejszy i ważniejszy od nich, od każdego z nich. To niewłaściwe, aby oni mieli imiona, a on nie.

Więc nazwali go Nyaksem. Lordem Nyaksem. Nyax to jego imię, nikt inny nie może mieć takiego. Lord zaś sprawia, że jego imię staje się większe i lepsze. Lord oznacza, że jest ważniejszy niż wszyscy inni.

Zadowolony z tego uznania dla swojego statusu, z uśmiechem obserwował robotników pełzających po wielkiej, wielkiej maszynie.

Naprawili ją. Oczyszczili z nagromadzonego wokół gruzu. Wkrótce zaczną pracować. Wkrótce przewróci zniechęconą przez niego czarną ścianę.

Wkrótce on, Lord Nyax, będzie miał wszystko, co zechce – to znaczy po prostu wszystko. Wszystkie istoty będą wykonywały jego rozkazy. No, może z wyjątkiem tych, których nie wykrywały jego zmysły. Ci akurat byli wyjątkowo odporni na ból. Ale on ich pozabija, wszystkich po kolei.

– Znalazłaś zbiornik glutów – stwierdziła Mara.

Stali na metalowej galeryjce wysoko nad wielką salą. Aby się tu dostać, musieli zejść kilkanaście poziomów w dół zrujnowanych hal pełnych maszyn produkcyjnych. A teraz ich słabe pręty oświetleniowe rozjaśniały małe fragmenty podłogi daleko w dole.

Niewiele tu zresztą było do oświetlania. Największą część podłogi zajmował błyszczący, biały metalowy zbiornik, długi i szeroki na kilkadziesiąt metrów, ale wysokości jedynie półtora metra, wypełniony prawie po brzegi czerwoną cieczą.

Większość obecnych nie okazywała żadnego zainteresowania otoczeniem; od razu zaczęli szukać sobie miejsc na złożenie bagażu i odpoczynek.

Ale nie naukowcy. Baljos i Danni natychmiast wyciągnęli czujniki i analizatory i rzucili się do pobierania próbek.

– Zdecydowanie to żywa istota – stwierdziła Danni. – Ogromna ilość jednokomórkowych form życia.

– W tej sali panuje niezwykle wysokie stężenie tlenu, ale wyjątkowo mała koncentracja dwutlenku węgla i toksyn kształtujących światy. – Baljos zdjął hełm i wyjął z nozdrzy perfumowane zatyczki; kilkakrotnie zaczerpnął głęboko tchu i uśmiechnął się szeroko.

– Czyste powietrze. A już myślałem, że go nigdy nie powącham.

Pozostali poszli za jego przykładem. Luke odetchnął kilkakrotnie powietrzem wolnym od odoru rozkładu i poczuł, że wraca mu nadzieja.

Sprawdził sam zanim pogratulował Tahiri znalezienia tak użytecznego miejsca. Ona jednak nie była zadowolona, kiedy wróciła do grupy – nie była też zadowolona teraz. Patrzyła na czerwoną breję z wyrazem nieufności, a nawet obawy.

Luke wysunął zmysły Mocy w tamtym kierunku.

Natychmiast wyczuł formę życia w zbiorniku. Była prosta i niezróżnicowana, a także stosunkowo zdrowa, choć czuł z jej strony lekki powiew głodu.

Poza tą formą życia było jednak jeszcze coś innego; coś, co znajdowało się poniżej. Drgnienie energii ciemnej strony Mocy. Nie, nie drgnienie – przypływ, choć słaby, ale nieprzerwany.

– Znalazłaś zejście w dół z tego poziomu? – zapytał Luke.

Tahiri pokręciła głową.

– Szukałam prawie godzinę, ale nie mogłam znaleźć przejścia.

– Jakiego przejścia? – wtrąciła Danni.

W tym pomieszczeniu nie było zasilania, ale metalowa drabinka, która przetrwała, pozwoliła im swobodnie zejść na dół. Z bliska zbiornik wyglądał jeszcze bardziej imponująco: jak prostokątny

staw pełen złośliwie wyglądającej mazi.

– Sądzę, że to zbiornik trawiennika – oznajmił Luke.

Mara poważnie skinęła głową.

– Mówisz to na podstawie swojej wiedzy o budowie fabryk i inżynierii miejskiej.

– Mówię to na podstawie czegoś, co mi kiedyś powiedział Wedge Antilles. – Luke spojrział na żonę z udanym gniewem. – Kilka lat temu nosił się z myślą porzucenia życia wojskowego i poświęcenia się budowie i naprawie różnych rzeczy. Dołączył do grupy żołnierzy, którzy rozbierali rozpadającą się część Coruscant, aby można było w tym miejscu zbudować kolejną część miasta, która z kolei rozpadnie się później. Opisywał mi właśnie coś takiego. Wielkie, płaskie koryto wypełnione żywym materiałem.

– O, faktycznie – odezwał się Buźka. – Wspominałeś mi o tym, kiedy spotkałem cię po raz pierwszy.

– Wiele lat temu – odpowiedział Luke.

– Tak.

– Ale wciąż nie możesz mi powiedzieć kiedy.

Buźka pokręcił głową.

– Tajemnica zawodowa. Gdybyś nawet sobie przypomniał, jak wtedy wyglądałem i kim wtedy byłem, i tak nie mógłbym tego potwierdzić.

Luke westchnął.

– Do czego on służy? – zapytała Danni. – Mówię o zbiorniku.

– To jeden ze sposobów przerobu śmieci. – Luke przybliżył dłoń do powierzchni czerwonej mazi. W świetle pręta żarowego Mary zauważył, jak ciecz – leciutko, ale jednak – podnosi się w kierunku jego ręki. – Wszystko organiczne, co się tu dostanie, zostaje strawione. Od czasu do czasu pompują breję i wyskrobują osady, które zbierają się na dnie zbiornika.

– O, tu jest nawet pompa. – Tahiri przystanąła kilka metrów dalej, patrząc na konsolę w pobliżu rur wiodących od zbiornika i wchodzących do ściany. Podważyła pokrywę konsoli i zajrzała do środka.

– Dlaczego Yuuzhanie nie rozbili zbiornika? Wszystko dokoła zostało zniszczone. Wiemy, że tu byli.

– Prawdopodobnie dlatego, że ten zbiornik jest raczej organiczny niż sztuczny. – Luke obserwował, jak czerwony śluz podnosi się powoli; wydał się tak wysoko, że prawie dotykał jego ręki. Cofnął dłoń, a breja natychmiast opadła.

– Interesujące. Ta materia zdaje się wyczuwać pokarm i współpracować, aby go osiągnąć.

– Interesujące? Ja bym nie użył tego słowa. – Buźka rozparł się wygodnie pod ścianą. – Baljos, możesz dostroić swoje czujniki tak, aby wykrywały inteligentne, wolne panie w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat?

– Jak ci się zdaje, pracowałbym jako naukowiec, gdybym to potrafił?

– Chyba racja.

Tahiri, pogrążona po pas w dziurze w ścianie, jaka pozostała po pokrywie konsoli, nagle wyskoczyła jak na sprężynie i wyprostowała się ze zdumioną miną.

– To lipa.

– Co jest lipą? – zapytał Luke.

– Ta konsola. Urządzenie sterownicze wygląda prawie jak prawdziwe, ale nie jest podłączone do

żadnej pompy.

Luke i Mara podeszli, żeby to sprawdzić. Luke pochylił się i zajrzał do otworu, śledząc wzrokiem kłęb kabli i maszynię wmontowaną w ścianę. Wydawało się, że niszczycielska siła Yuuzhan tu nie dotarła, ale okablowanie sterowania pomp biegło przez jakiś metr, po czym ginęło w metalowej skrzynce zamiast schodzić w dół, gdzie powinien znajdować się sprzęt pompowni.

– Dziwne, faktycznie. Bhindi, ty jesteś lepsza w komputerach, możesz tu zajrzeć i sprawdzić, o co tu chodzi?

– Jasne.

Buźka westchnął ciężko.

– Skoro i tak zostajemy tu chwilę, zaznacz wyjścia z tego pomieszczenia, Kell. Musimy ustawić wartę tam, gdzie mogliby się zaplatać Yuuzhanie.

– Słyszę i wykonuję, o Wielki.

– Schlebianie mojej próżności nie zwolni cię z kolejki. No, przynajmniej nie tym razem.

Luke wrócił do zbiornika, marszcząc czoło. Jaki jest sens w utrzymywaniu trawiennika bez pompowni? Pewnie, że to wystarczy na wiele lat, ale zbiornik w końcu napełni się osadami ze śmieci, które wypchną czerwone organizmy, a nawet mogą być dla nich trujące.

Otworzył się na Moc jeszcze bardziej i natychmiast znów wyczuł czerwoną substancję. Czuł jej wielkość, odbierał obrazy ostrych linii ograniczających jej szerokość, długość i głębokość – i zauważył, że w jednym miejscu, w pobliżu środka zbiornika, głębokość ta zmniejszała się gwałtownie, jakby z dnia zbiornika coś wystawało.

– Muszę tam wejść.

Mara uśmiechnęła się krzywo.

– To będzie szybka i bolesna kąpiel.

– Może i tak. – Ta istota żyła, była rozbudzona i świadoma Mocy. Być może... znów opuścił ku substancji lewą dłoń, starając się poprzez Moc dosięgnąć organizmów, wsączyć w nie najważniejszą w tej chwili myśl, najistotniejsze uczucie: „Nie jestem pożywieniem. Nie jestem pożywieniem”.

Zbliżył dłoń do powierzchni. Skoncentrował się, gotów w każdej chwili się cofnąć, ale poczuł pod palcami tylko spokojną, posłuszną breję. Nie czuł pieczenia ani żadnego bólu.

Cofnął dłoń – była czysta, bez śladu zacerwienia.

Pospiesznie zdjął zbroję z fałszywego kraba vonduun.

– Potrzebna mi maska oddechowa – rzekł. – Jakiś nieorganiczny materiał. Najlepiej z częścią twarzą.

– Mam coś dla ciebie. – Buźka pogrzebał chwilę w plecaku, wreszcie wyciągnął nieregularny, lśniący przedmiot, niewiekszy od pięści Tahiri.

– Moja zapasowa. To kaptur wykonany z folii transpystalowej z wbudowanym zbiornikiem tlenu. Da ci może pięć minut.

– Doskonale.

– Luke, nie chcę cię zniechęcać ani ograniczać twojej woli poznania, ale muszę ci przypomnieć, że jeśli coś pójdzie nie tak jak trzeba... to wyjątkowo krępujący sposób umierania.

Luke uśmiechnął się do Mary.

– Wierzę, że jakoś upiększysz tę historię. Luke Skywalker odchodzi w blasku chwały po walce z ohydny czerwony trawiennikiem... – Podał żonie swój miecz świetlny.

Bez zbroi, ale za to w kapturze, objął wzrokiem czekające na niego czerwone jezioro. „Nie

jestem pożywieniem. Nie jestem pożywieniem”. Przełożył nogi przez krawędź zbiornika i wśliznął się do środka. Poczul, jak maź otacza mu nogi i wznosi się do pasa.

Ale nie czuł bólu. Ruszył przed siebie. Substancja była ciepła i wystarczająco gęsta, aby znacznie utrudnić poruszanie się; coś w rodzaju bagnisk, w jakich przyszło mu brodzić na Dagobah wiele lat temu.

W Mocy czuł wyraźnie, gdzie czerwona maź stawała się płytsza i wkrótce stanął obok tego miejsca. Otworzył zbiornik z tlenem, pomachał rażno ręką żonie i Tahiri, po czym pogrążył się w cieczy.

Ciemność zamknęła się nad nim momentalnie. To nie zadanie dla kogoś z klaustrofobią, pomyślał. „Nie jestem pożywieniem. Nie jestem pożywieniem”.

Sięgnął w dół i macał przez chwilę, aż wreszcie znalazł obiekt, którego szukał. Miał półokrągłą krawędź i był nieco większy od koła sterowniczego... Macając wokół stwierdził, że to rzeczywiście metalowe koło, pełnej konstrukcji, zamocowane na osi przyłączonej do powierzchni zbiornika.

Właściwie niczym się nie różniło od kół, jakimi zamyka się włązy w większości statków wojskowych.

Pokręcił nim w jednym kierunku, ale nawet nie drgnęło. Za to grzecznie przekręciło się w przeciwną stronę o całe ćwierć obrotu... Luke natychmiast poczul drganie przebiegające przez zbiornik i czerwoną substancję. Stanął pośrodku zbiornika, a maź odpadała od niego, nie przylegając do skóry.

Pomieszczenie zmieniało kształt.

Z podłogi przed zbiornikiem wznosiła się prostokątna zatyczka, szeroka na trzy metry i równie długa.

Górną część zatyczki stanowiła metalowa powłoka grubości pół metra. Poniżej znajdowała się część kamienna, która wciąż się podnosiła – o jeden metr, dwa, trzy. Luke zawrócił, brodząc po pas w czerwonej mazi.

Kamień ustąpił miejsca kolejnym trzem metrom metalowej konstrukcji. Dopiero teraz cała machina zatrzymała się ze szczękiem.

Mara i jej towarzysze trzymali się z dala od urządzenia, osłaniając się miotaczami.

– Co zrobiłeś?

Luke ściągnął maskę.

– Obróciłem koło. Widocznie jednak wciąż gdzieś jest napięcie.

Zobaczył, że Buźka zerka w jego stronę z szerokim uśmiechem. Tahiri podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem; w świetle prętów żarowych zobaczył, że oblała się rumieńcem, szybko odwróciła oczy i wbiła je w maszynię. Danni pospiesznie dołączyła do niej, pilnie oglądając wielki korek.

Mara przełknęła chichot, udając, że kaszle.

– Luke, zanim wyjdiesz z tego bajora, spróbuj okazać trochę szacunku wobec pań, które nie są twoimi żonami. Z pewnością wolałbyś wyglądać przyzwoicie...

Luke spojrział po sobie. Był nagi od pasa w górę, a kiedy szybko sięgnął w głąb mazi, przekonał się, że również od pasa w dół.

Podszedł do krawędzi zbiornika i wyrzwał przez nią.

– Zapomniałem chyba powiedzieć tej mazi, że moje ubranie też nie jest jedzeniem.

– Zdaje się, że tak.

– Możesz mi podać plecak?

Korek okazał się obudową turbowindy. Luke, który już wyszedł ze zbiornika i przebrał się w zapasowe ubranie – czarny, obcisły kombinezon, który z pewnością będzie bardziej widoczny pomiędzy płytami zbroi ze sztucznego kraba vonduun – mógł się teraz przekonać, że do jej wnętrza prowadzą normalne drzwi, które otworzyły się natychmiast, jak tylko do nich podszedł. Sztuczne światło z kabiny zalało podłogę.

Zajrzał do środka. Pulpit sterowania miał tylko trzy pozycje: KONSERWACJA, DOM, BADANIA.

– Badania – zdecydowała Danni.

Luke prychnął.

– Wiedziałem, że to powiesz.

– Wszyscy wiedzieliśmy – odparła Bhindi. – Ale nie mam nic przeciwko temu.

Bużka wyjął komunikator.

– Kell, Elassar... tu Bużka.

– Słyszemy cię – to był głos Kella.

– Może nas nie być przez jakiś czas. Nie martwcie się o nas.

– Jeśli tylko ciocia Tahiri zdąży wrócić, żeby mi opowiedzieć bajeczkę do poduszki, nic się nie stanie.

Tahiri westchnęła.

– Zaczyna mi działać na nerwy. Czy on nie wie, że to może być niebezpieczne?

– Wie, wie – prychnął Baljos. – Ale on jest ekspertem od wyburzeń. Lubi się bawić rzeczami, które mogą mu wybuchnąć w twarz.

Weszli do turbowindy, a drzwi zasunęły się za nimi. Luke przycisnął przycisk z napisem BADANIA.

Turbowinda nie ruszyła od razu. Z głośnika nad głową popłynął głos staromodnego robota:

– Podać nazwiska i kod autoryzacji Bluenek. Macie dziesięć sekund... potem zginiecie.

Vannix, system Vankalay

– Prawdopodobnie uda nam się załatwić w ciągu czterech następnych dni do dwudziestu wystąpień publicznych – mówiła Leia. Jej ledwie słyszalny szept z trudem przedzierał się przez dialog odtwarzany przez R2-D2 z nagrania. Burzliwa dyskusja, którą prowadzili kilka dni wcześniej, dotyczyła senatorów z Korelii. – Nie jestem pewna, jak silny jest na Vannix ruch przeciwko Jedi, czy w ogóle jest się z czym liczyć... bo jeśli tak, to ja powinnam się usunąć w cień, a główna rola przypadnie tobie, Hanie Solo, bohaterze.

Siedziała na najwygodniejszej sofie w całym apartamencie. Han leżał na plecach, z głową na jej kolanach. Bez zainteresowania śledził ornamenty na suficie.

– Zapowiada się ciężka praca.

– Polityka to jest ciężka praca, Hanie. Czy przez tyle lat małżeństwa nie zdążyłeś jeszcze tego zauważyć?

– O, tak. Właśnie dlatego nadal nie jestem politykiem. Muszę ci powiedzieć, że nawet jeśli zrobimy wszystko, co trzeba, ona i tak może wygrać.

– To prawda.

– A wtedy Yuuzhanie będą mieli kolejny przyjazny świat, a my nie dostaniemy naszych łodzi podwodnych. A że już załatwiłem dla nich transport, wyjdę na durnia.

– Też prawda. A więc?

– Więc są dwa powody, dla których gra się w sabaka, Leio. Dla zabawy albo dla pieniędzy. Jeśli twoim głównym celem jest zabawa, strata niewielkiej kwoty nie jest problemem. Jeśli chcesz zrobić kasę i robisz ją, nie tak trudno znieść, że się źle bawisz.

Leia podejrzliwie spojrzała w oczy mężowi.

– Wiesz co, martwię się za każdym razem, kiedy zaczynasz filozofować, choćbyś nawet udawał, że tak nie jest. Do czego zmierzasz?

Uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Zaufaj mi”.

– Zmierzam do tego, że mówisz o uczciwej grze. W takich okolicznościach znacznie bezpieczniej jest oszukiwać. Lepiej, szybciej i pewniej.

Luke włączył miecz świetlny i wzniosł ostrze, żeby odbić promienie laserowe, które mogły ewentualnie spaść na ich głowy. Nie miał pojęcia, jakie pułapki można zastawić w turbowindzie: czy to będą miotacze promieni, trujący gaz, ostrza w ścianach czy deszcz kwasu.

– Mara, wytnij dziurę w drzwiach – powiedział.

Jego żona wyglądała na speszoną; strzelała oczami na boki, ale nawet nie popatrzyła na drzwi.

– Pozostało wam pięć sekund – odezwał się głos robota.

– Tahiri – przynaglił Luke. – Drzwi.

Tahiri zapaliła miecz z cichym sykiem i pograżyła jego ostrze w spoinie. Drzwi zaczęły się żarzyć i mięknąć, ale widać było, że wycięcie dziury odpowiednich rozmiarów zajmie znacznie więcej niż pięć sekund.

– Autoryzacja Bluenek dwa siedem ithor cztery dziewięć naboo – powiedziała Mara.

– Przyjęte – odparł robot. – Witaj, Maro Jade.

Turbowinda zaczęła opadać. Tahiri, wytrącona z równowagi, potknęła się, a ostrze jej miecza zatoczyło krąg w kierunku Bhindi. Luke zablokował przypadkowy cios i odbił go, a Tahiri natychmiast wyłączyła miecz.

– Przepraszam – mruknęła.

– Nie szkodzi. – Luke również wyłączył broń. Obejrzał się na Marę. – Wiedziałaś o tym?

Turbowinda stanęła i drzwi otworzyły się szeroko, ukazując korytarz, oświetlony jasnym blaskiem padającym z obu stron wejścia. Na podłodze walały się fragmenty urządzeń, kawałki sprzętów, gruz z sufitu i części robotów.

Powietrze było chłodne, ale ciężkie od zapachu stęchlizny, tak silnego, że przenikał nawet przez perfumowane zatyczki w nozdrzach. Jednak po raz pierwszy od wielu dni Luke usłyszał jednostajny szum urządzeń wentylacyjnych i innych maszyn wymagających zasilania: szum cywilizacji.

Nie było jednak słyhać żadnych głosów. Żadnych hałasów, wskazujących, że ktoś słucha informacji lub choćby muzyki.

Tahiri zwróciła uwagę na czarne ślady na ścianie obok.

– To ślad po mieczu świetlnym – stwierdziła. Mówiła stłumionym głosem, prawie szeptem, który wydawał się dziwnie stosowny w tym otoczeniu. – Zdaje się, że było tu też kilka robotów...

Luke popatrzył na żonę.

– Maro...?

Mara doszła już do siebie i teraz pokręciła lekko głową.

– Nie, nie wiedziałam o tym. Zawsze jednak trzeba liczyć na łut szczęścia... Jako Ręka Imperatora używałam wielu kodów dostępu. Niektóre pozwalały mi się dostać do kont kredytowych,

skrytek z bronią, do tajemnic wojskowych. Znałam też kod sekcji Blunek, którego nigdy nie miałam okazji użyć. To było tak dawno, że z trudem go sobie przypominałam.

Baljos wstał ze sterty odpadków – złamane biurko, przewrócona szafka, rozrzucone części ciała, które Luke początkowo wziął za kawałki robota, ale po bliższym przyjrzeniu się zmienił zdanie.

– Mam tu ofiarę – powiedział dziwnie cichym głosem. – Kobieta w średnim wieku, pocięta na mniej więcej osiem części. Chyba to znowu miecz świetlny. – Odwrócił oczy od ponurego widoku. – Danni?

Danni podniosła jeden z czujników:

– Jest tu dużo promieniowania elektromagnetycznego. Sądzę, że od działających urządzeń. Maskuje wszelką energię biologiczną, jeśli w ogóle jakaś tu jest.

Luke przymknął oczy i rozciągnął swoje postrzeganie w Moc.

Nie wyczuł żadnych oznak dużych żywych istot. Ale zaledwie rozwinął postrzeganie, uświadomił sobie istnienie ciemności, którą wyczuwał z góry. Tu była ona znacznie bliżej: mieszanka wściekłości i złych zamiarów, która sprawiła, że poczuł mdłości i omal nie zwymiotował. Otworzył oczy i popatrzył na pozostałych Jedi.

– Poszukamy na piechotę – rzekł.

Był to kosztowny kompleks, a piętro, na którym się znajdowali, istotnie było stacją badań naukowych... wiele dziesięcioleci temu. Systemy komputerowe z czasów jeszcze przed narodzinami Luke'a stały przykryte pokrowcami, a Danni zidentyfikowała jedno z laboratoriów jako centrum analiz komórkowych.

Najciekawszym pomieszczeniem na tym piętrze była jednak sala znajdująca się za jednym z laboratoriów. Nie było w niej nic oprócz podłużnego urządzenia, które przypominało łóżko z pokrywą.

– Hermetycznie zamykane miejsce do spania – podsunęła Bhindi.

– Urządzenie do hibernacji z czasów Imperium – poprawił Baljos. – Później zmodyfikowane, ponieważ to, co się w nim znajdowało, miało ponad trzy metry wzrostu. Nie był to człowiek.

Luke w duchu nie zgodził się z nim. Inni nie byli w stanie tego dostrzec, ale dla niego całe pomieszczenie aż cuchnęło ciemną stroną Mocy – tu właśnie było źródło wrażeń, które wyczuwał i które go dręczyło. A przynajmniej jego część. To odczucie wydawało mu się dziwnie ludzkie. Ludzkie w najgorszym znaczeniu tego słowa.

Zauważył coś znajomego w tej ciemności, znajomego i przerażającego.

– Możesz powiedzieć, co to było? – zapytał.

Baljos spojrział na urządzenie. Pokrywę z transpastali ktoś odrzucił na bok z taką siłą i gwałtownością, że uległa skręceniu, a zawiasy i blokada zostały zerwane. Maszyneria, która powinna otaczać śpiącego jak izolacja, wyrwana z obudowy leżała w częściach, rozrzucona po całym pomieszczeniu. Podobnie cztery roboty medyczne – Luke mógł jedynie przypuszczać, że było ich cztery, bo tyle metalowych głów miał w zasięgu wzroku, ale ze stanu, w jakim znajdowały się ich korpusy, trudno było cokolwiek wydedukować.

– To zależy, czy w tej maszynie przetrwała jakaś pamięć – mruknął Baljos. – To raczej działka Bhindi niż moja. Ale jeśli tylko coś się przechowało... nawet jeśli pamięć usłużnie nie podpowie, że to był Ithorianin albo wampa, albo coś innego... może uda mi się coś wywnioskować na podstawie ustawienia i odczytów sygnałów życiowych, jakie zostały zarejestrowane.

Mara wsadziła głowę w mroczny otwór w kącie pokoju.

– Luke, to cię powinno zainteresować – powiedziała i rzuciła czymś w jego stronę.

Sądząc po tym, jak to coś skręca się i zwija w locie, Luke przypuszczał, że to kawałek amphistaffu, ale kiedy spadło mu pod nogi, zobaczył, że się myli. Giętkie ciało stworzenia pokryte było futrem, a nogi kończyły się ostrymi jak igły szponami. Nie żyło co najmniej od kilku dni.

– Isalamir – stwierdził.

– Jeden z naszych drogich przyjaciół – dodała Mara. – Są tu szczątki klatki i kawałki konarów drzew z Myrkr. I przejścia do innych klatek w pozostałych siedmiu kątach pomieszczenia. I jeszcze więcej martwych isalamirów...

– No, to ma sens. – Isalamiry były podobnymi do gadów stworzeniami z planety Myrkr. Spokojne z natury, zadowalały się życiem na swoich drzewach, ale miały pewną istotną cechę, która sprawiała, że cieszyły się dużym zainteresowaniem Jedi i innych osób korzystających z Mocy. Emanowały mianowicie pewnym rodzajem energii, która odpychała Moc, utrzymując z dala jej energię. Emanacje isalamirów potrafiły zneutralizować działanie Mocy w promieniu dziesięciu metrów. Ci, którzy znali tę cechę, często ich używali, aby ukrywać przez Jedi pewne sprawy, jak również po to, aby chwycić Jedi, pozbawiając ich Mocy na pewien czas.

– Jeśli ten kompleks istnieje tu przez tyle lat, powinienem był go wyczuć wcześniej, kiedy jeszcze mieszkaliśmy na Coruscant. Jeśli jednak rozmieszczono isalamiry tak, aby ich tarcze odpychające Moc nakładały się na siebie, to z pewnością zamaskowały one obecność istoty, która tu mieszkała.

– Cokolwiek to było – wtrącił Bużka. – Według mnie sprawa wygląda tak: to coś się zbudziło, wyrwało z pojemnika i zniszczyło wszystkie otaczające je roboty. Samą siłą, ponieważ, jak pewnie zauważyliście, nie ma śladów ognia ani na robotach, ani na komorze hibernacyjnej. Istota przeszła do innej części kompleksu, znalazła miecz świetlny i dokończyła dzieła zniszczenia. A potem zniszczyła pozostałe roboty i isalamiry.

Luke skinął głową.

– Mogło być i tak. Ale jak to wyszło z tego kompleksu? Jeśli isalamiry są martwe, powinniśmy je wyczuć, gdyby wciąż tu było...

W chwilę później uzyskali odpowiedź na to pytanie.

Dwa poziomy wyżej, na piętrze oznaczonym KONSERWACJA, Tahiri wskazała im coś, co kiedyś było włazem serwisowym do maszynowni. Metalowa płyta, która stanowiła sklepienie włazu, znikła, krawędzie otworu były wypalone.

– Ten korytarz prowadzi do szybu dostarczającego powietrze i wodę – wyjaśniła. – Są tu rury, ale też mnóstwo przestrzeni. Wspięłam się dość wysoko i odkryłam, że można się z niego dostać do otworu w ścianie kilka pięter nad komorą z czerwoną mazią.

– Czy łatwo tam dojść? – zapytała Bhindi.

Tahiri potrząsnęła głową.

– Nie normalnym ludziom. Otwór jest w połowie wysokości dziesięciometrowej ściany. Ale przy użyciu drabiny każdy może tam wejść.

– Widoczny jest ten otwór?

– Nie, znajduje się w kącie magazynu, pełnego dywanów i dekoracji ściennych. Naprawdę masa użytecznych rzeczy. Żadnych śladów ludzi. A o co chodzi?

– Chodzi o to – odparła Bhindi – że oprócz tajemnicy tego trzymetrowego nie-wiadomo-czego

mamy tutaj kompleks z pełnym zasilaniem, doskonale ukryty i świetnie nadający się na pierwszą komórkę ruchu oporu, jaką tu założę.

– To nie jest najlepszy pomysł – odparł Luke. – Ta trzymetrowa istota wie, gdzie to jest. Może tu wrócić.

– Toteż zamkniemy otwór wejściowy, zamaskujemy i może nawet zabezpieczymy przed wejściem niepowołanych osób. – Bhindi bardzo poważnie spojrzała na Luke'a. – Zresztą chyba nie pozwolimy, aby to stworzenie łąziło sobie na wolności. Jak myślisz?

– Mam nadzieję, że nie przyjdzie. – Luke zajrzał do otworu. W słabym świetle prętów żarowych widoczny był jedynie krótki odcinek rur prowadzących powietrze i wodę. – Jest bardzo silne i bardzo złe. A ja nie jestem pewien, czy potrafilibyśmy je zatrzymać.

ROZDZIAŁ 6

Vannix, system Vankalay

Wysoki mężczyzna okryty szarym płaszczem wszedł do warsztatu. Twarz miał ukrytą w cieniu kaptura, a pod płaszczem nosił prostą odzież: ciemne spodnie i tunikę, taką, jaką mógłby włożyć byle robotnik. Za nim toczył się niebiesko-biały robot astromechaniczny typu R2.

Właściciel warsztatu, podstarzały człowiek o siwych włosach i wyblakłych niebieskich oczach, westchnął ciężko. Niedbałym ruchem wsunął dłoń pod kontuar, żeby chwycić rękojęść ukrytego tam pistoletu laserowego. Nie znosił klientów, którzy woleli pozostać anonimowi. Najczęściej należeli do biznesu, który wymagałby bliższej uwagi rządu – a i to w najlepszym wypadku; najgorzej działo się, kiedy przychodzili tu po to, żeby kraść, zamiast coś zlecać. Ten jednak przynajmniej przyprowadził robota, co oznaczało, że ma interes, który mieści się w zakresie działalności warsztatu.

– Naprawiasz roboty? – zapytał mężczyzna w płaszczu. Miał obcy akcent, prawdopodobnie koreliański.

– Owszem – odparł właściciel. – Sprytnie ukryliśmy tę informację na szyldzie na zewnątrz. Chodzi o ten migający interes, na którym jest napisane: „Naprawa robotów u Ningala”.

Gość skinął głową. Ironia widocznie do niego nie dotarła.

– Chcę zreperować tego tutaj.

– Proszę bardzo. A co nie działa? Mężczyzna w płaszczu westchnął.

– Ma partnera, robota protokolarnego. Ciągłe się kłóć. Robot protokolarny widocznie włamał się do jego translatorów mowy i teraz ten mały nic, tylko obraża ludzi. Chcemy mu usunąć to oprogramowanie i skasować pamięć rejestracyjną. Tylko pamięć rejestracyjną.

– Nie ma problemu.

– Można tak zrobić, żeby nikt nigdy nie mógł odzyskać jej zawartości? Nikt, choćby był nie wiadomo jak dobry?

– Nie ma problemu, naprawdę. Muszę tylko wprowadzić do jego pamięci coś innego... w kilku warstwach, aby mieć pewność, że nawet najczulsze czytniki nie będą w stanie dostać się pod nowy zapis.

– To dobrze. – Mężczyzna w płaszczu odetchnął z widoczną ulgą.

Właściciel warsztatu postukał w kontuar.

– Proszę się tu podłączyć.

Astromech grzecznie potoczył się do przodu. Wyciągnął ramię z wtykiem transmisji danych i w chwilę później na ekranie wmontowanym w kontuar ukazały się litery.

– Jak się nazywasz, malutki? – zapytał właściciel.

Na ekranie pojawiły się słowa:

– Nie twój interes. Zresztą widać po twojej twarzy, że nie masz dość inteligencji, żeby zapamiętać moje imię przez dłużej niż nanosekundę. Nauczyci cię powtarzać dźwięki, ale nie rozumiesz ani słów, które słyszysz, ani tych, które wychodzą z twoich ust.

– Widzę już, w czym rzecz – mruknął właściciel. – Cóż, sprawa jest prosta. Powinniśmy skończyć do południa.

– Dobrze.

Mężczyzna w płaszczu odwrócił się, żeby wyjść.

– Chwileczkę. Jak mam pana powiadomić, że robot jest do odbioru?

– Wrócę tu.

– Nie uzgodniliśmy jeszcze ceny.

– To prawda. Nie mam lokalnych pieniędzy.

– Obawiam się, że kredyty Nowej Republiki nie są tu nic warte.

– Mam zapasową baterię do R-2. Naładowaną.

– Jeśli ma pan dwie, sprawa załatwiona.

– Za „prostą sprawę”, która powinna być załatwiona w parę godzin?

Właściciel uśmiechnął się.

– Bateria jest nowa?

– Całkiem nowa. Kupiłem ją tuż przed upadkiem Coruscant. – Mężczyzna wrócił do kontuaru i wyjął spod płaszcza standardową baterię zasilającą. Gładkie powierzchnie załśniły w światłach warsztatu.

Właściciel wziął ją do ręki, zważył, spojrział na wskaźnik doładowania.

– Załatwione – rzekł. – Do zobaczenia po południu.

– Dziękuję.

Dwie minuty po wyjściu mężczyzny w płaszczu do warsztatu wkroczyła młoda kobieta. Nie była klientką, tego właściciel był pewien. Pomimo jasnych włosów wydawała się dziwnie poważna i nosiła się jak oficer.

Wyjęła chip identyfikacyjny z symbolem wywiadu Vannix i położyła go na kontuarze. Wystarczyła chwila, aby ekran wyświetlił **POTWIERDZENIE**.

– Czego chciał ten człowiek? – zapytała.

Właściciel warsztatu westchnął. To naprawdę przekleństwo, kiedy się z góry wie, który klient może narobić kłopotów.

Senator Addath Gadan starała się, aby uśmiech nie zniknął jej z twarzy. Wystarczyło też trochę dodatkowego wysiłku, aby jej głos brzmiał miło i lekko.

– Nie możesz wziąć udziału w wyścigu?

Głos Leii Organy Solo, który dochodził z jej komunikatora na biurku, brzmiał równie lekko i sztucznie.

– Nie dzisiaj. Przykro mi, Addath. Han jest chory i czuję, że powinnam przy nim zostać. Prześlij mi jednak jutrzejszy rozkład zajęć, a postaram się przyjechać.

– Oczywiście. Pozdrów go ode mnie bardzo serdecznie.

– Naturalnie.

Addath usiadła, kipiąc ze złości. Chory, akurat! Han Solo czuł się wystarczająco dobrze, żeby wykraść się z rezydencji prezydenta, wymijając dwa kordony jej ochroniarzy, zanim go wykryto

i posłano za nim jeszcze jednego. Każdy cwaniak potrafiłby wyrolować podwójny kordon i wymknąć się na zewnątrz, ale Solo zrobił to w towarzystwie astromecha R2. Całkiem niezła sztuczka.

I tak na nic mu się nie przydała. Jeszcze raz wcisnęła przycisk na biurku i znów rozległa się rozmowa przekopiowana z jednostki R2 przed jej skasowaniem.

Najpierw Leia, szeptem:

– To ile będzie razem?

– Obiecuje dwie eskadry myśliwców i lekki transportowiec, żeby im służył jako baza – odpowiedział Han równie stłumionym głosem.

– Sama nie wiem, Han... sprzedajemy się dość tanio...

– Potrzebujemy wszystkich zasobów uzbrojenia, jakie możemy zgromadzić. I tak nie może zaoferować nic więcej. Dlatego się zgodziłem. A według harmonogramu wkrótce nadejdzie dostawa. Będziemy musieli wyjechać.

– Dla Addath to będzie duży cios – westchnęła Leia.

– Wiem, ale przetrwanie jest ważniejsze od przyjaźni.

Addath wyłączyła nagranie. Zrobiło się jej gorąco ze wściekłości.

Nie rozgniewało jej to, że Leia zmieniła front. To tylko polityka. Była wściekła, bo to się mogło udać. Gdyby się nie postarała i nie załatwiła wystarczającej liczby ochroniarzy, aby jeden stale mógł śledzić ruchy Hana, ten interes pomiędzy Solo a panią admirał mógłby dojść do skutku. A ona straciłaby okazję, żeby przedstawić im znacznie korzystniejszą transakcję.

Szły wzdłuż długiego balkonu na tyłach rezydencji prezydenckiej. Addath załatwiła, żeby podczas tego spotkania w pałacu nie było żadnych gości i żadnych urzędników rządowych.

Teraz Leia szła obok niej, a Han, otulony w płaszcz z kapturem, anonimowy jak sługa lub ochroniarz, pozostawał o krok za nimi.

Szczerze mówiąc Addath bardzo to odpowiadało. Niezależnie od sławy, jaka go otaczała, Han Solo niezaprzeczalnie pochodził z niższej sfery niż ona.

– Chciałam wam złożyć ofertę – odezwała się. – Może to umotywuje wasz udział w mojej kampanii.

Leia zawahała się.

– Jeśli o to chodzi... Addath, nie mogę ci pomóc. Okoliczności uległy zmianie. Han i ja musimy natychmiast wracać na Borleias. Wyjeżdżamy już dziś.

– Poczekaj chwilę... myślę, że to, co chcę ci zaproponować, sprawi, że zmienisz zdanie. Chyba będziesz wolała zostać.

– A więc co masz do zaoferowania?

– Sześć eskadr usprawnionych myśliwców zwiadowczych A-Dziewięć i fregata Nebulon-B, wyposażona tak, aby je wszystkie pomieścić... raczej lekki transportowiec niż fregata. Takie statki stanowią kręgosłup naszej nowej floty.

– Robi wrażenie. A ty chcesz mi je dać tylko po to, żebym tu została i wzięła udział w twojej kampanii?

– Właśnie. Tak wysoko cenię twoją zdolność przekonywania.

– Ależ Addath, to nie ty jesteś właścicielką tych statków, tylko admirał Werl.

– Oczywiście... dopóki nie wygram wyborów. Wtedy przejmę kontrolę nad wojskiem i będę mogła po prostu przenieść te jednostki z mojej floty. I tak nie będziemy ich potrzebować. Podpiszemy

pakt o nieagresji z Yuuzhanami.

Leia westchnęła.

– Słuchaj, Addath. Możesz przegrać wybory nawet z moim udziałem. A co, jeśli pojawi się kolejny fuks? Albo jakiś wróg twoich zapatrywań politycznych załatwi, że cię zabiją? Przeróżne rzeczy mogą wyskoczyć w ostatniej chwili i spowodować, że nie przekażesz nam tych statków. Muszę odmówić.

– A jeśli zdobędę je dla was teraz?

– Jak?

Addath wyjęła z rękawa kartę danych i podniosła do góry. Karta zaślniła w świetle księżyca.

– Ta karta zawiera kody autoryzacji i dostępu, plus tymczasowy stopień wojskowy dla okaziciela. Pozwoli wam wejść do Bazy Wojskowej Vanstar, złapać wahadłowiec na dowolną z naszych fregat i przejąć jej dowództwo. Cel nie gra roli. Możesz ją wysłać od razu na Borleias.

– Addath, mówisz o przejęciu kontroli nad zasobami uzbrojenia, nad którymi nie masz legalnego zwierzchnictwa.

– Ale będę miała. Niewielka zmiana w dokumentacji, a daty przekazania własności i kontroli będą opiewały na dzień po objęciu przeze mnie urzędu prezydenta.

– To nie w porządku, Addath. Nie mogę tego zrobić. Nie sądzę, żebym w ogóle poparła twoją kampanię.

Addath zamrugwała ze zdumienia.

– Leio, zaskakujesz mnie. Nie sądzę, żeby twój mąż był równie wrażliwy. – Odwróciła się ku owiniętej w płaszcz postaci. – Co na to powiesz, Han?

– Han nie ma tu nic do powiedzenia.

– Może powinnaś pozwolić mu oświadczyć to osobiście.

– Pewnie by to zrobił, gdyby tu był.

– Co? – Addath poczuła, że oblewa ją zimny pot. Spojrzała znów na wysokiego mężczyznę w płaszczu. – Więc kto to jest? Twój ochroniarz?

– Addath, nie mogę cię chyba przedstawić Fasaldzie Ghem, bo już ją znasz.

Zimno rozeszło się po ciele Addath aż po końce palców rąk i nóg. Postać w płaszczu zdjęła kaptur. Odsłoniła się twarz wysmukłej kobiety o ciemnych włosach i oczach. Na jej czole lśniło urządzenie w kształcie korony, ale zamiast centralnego klejnotu miało zamontowany obiektyw – była to nagłowna holokamera, chętnie stosowana przez niektórych filmowców w terenie.

Addath знаła tę twarz od lat. Należała do najlepszej holoreporterki na całym Vannix, a teraz spoglądała na nią bez cienia litości.

– Witam, pani senator.

– Fasaldo, może zostawisz nas teraz na chwilę? – poprosiła Leia.

– Oczywiście. – Reporterka niedbale skinęła głową Addath i oddaliła się.

Addath szeroko otworzyła usta i zaczerpnęła głęboko powietrza, ale Leia położyła jej palec na wargach.

– Nie rób tego, Addath. Nie wzywaj straży. Fasalda przekazała już cały materiał do stacji redakcyjnej. Narobisz kłopotów i jej, i mnie, ale nie będziesz w stanie zapobiec swojemu aresztowaniu.

Addath westchnęła tak głęboko, że chyba opróżniła całe płuca.

– Leio, dlaczego to robisz?

– Nie udawaj niewiniątka. Nie przede mną. Jestem pewna, że twój sposób działania wobec Yuuzhan Vongów spowoduje więcej śmierci, więcej tragedii niż mój. Więc cię powstrzymałam.

– Jesteś bez litości. Nigdy cię o to nie podejrzewałam.

– Tak, od czasu, jak zaczęto zabijać mi dzieci.

– No cóż... Jakie szanse mi pozostawiasz?

– Masz dwie możliwości. Możesz pozostać na Vannix, a Fasalda opublikuje swój raport w ciągu następnych trzech godzin. Jak sobie poradzisz z aresztowaniem i ewentualnym linczem, to twoja sprawa. Możesz też uciec z rezydencji i załatwić sobie o świcie wyjazd z planety. W tym przypadku Fasalda da ci całą dobę, żebyś zdążyła zwać, a dopiero później ukaże się raport. Opublikuje go w obu przypadkach, nie mogę jej przekonać, żeby tego nie robiła. – Leia wyjęła kartę danych ze sztywnych palców Addath. – A to oddam pani admirał.

Addath uśmiechnęła się z goryczą.

– A więc ty i twój mąż sprzedaliście swoje usługi pani admirał za... co to było?... dwie eskadry i lekki transportowiec?

Leia zmarszczyła brwi.

– Nie. Postanowiliśmy pomóc jej już tego dnia, kiedy przybyliśmy. Obiecała nam jedynie trochę przestarzałego sprzętu morskiego, zezłomowane statki.

– Więc dlaczego...

– To generał Antilles obiecał eskadry Hanowi, jeśli zechce wrócić i przyjąć stanowisko w armii. Han rozmawiał z Wedge'em przez holokomunikator, kiedy załatwiał mi sprawunki. Cała rozmowa została zarejestrowana, możesz ją sobie obejrzeć.

– Rozumiem – ponuro skinęła głową Addath.

– Ale teraz podejrzewam, że Han się nie zgodzi. Lubi być cywilnym łotrzykiem.

– Cóż... bardzo zgrabnie zmontowane. – Addath ze zmęczeniem odwróciła głowę. – Wyjadę. Może poprzedniemu prezydentowi przyda się towarzystwo.

– Przed bramą rezydencji czeka gość, kobieta z ekipy Fasaldy. Odprowadzi cię i będzie ci towarzyszyła, dopóki nie wsiądziesz na swój statek. Pomoże ci też przy załatwianiu różnych spraw.

– Doceniam twoją skrupulatność, Leio. Pomyślałaś o wszystkim.

Leia została sama na ganku. Patrzyła w ślad za Addath i analizowała swoje uczucia.

Prawie było jej przykro z powodu Addath. Trudno patrzeć, jak czyjeś nadzieje i sny idą z dymem.

Ale Addath nie jest głupia. Potrafiłaby wyciągnąć wnioski z postępowania Yuuzhan Vongów z „sojuszniczymi” światami tak samo dobrze, jak każdy inny. Ona po prostu nie potrafiła oddać władzy; trzymałaby ją w zaciśniętych garściach za wszelką cenę. Skoro zbrojny opór Yuuzhanom oznaczał przekazanie choć części władzy innym, była gotowa poprowadzić swój świat nawet do zguby... byle tylko rządzić niepodzielnie do samego końca.

Niezależnie od tego, czy okłamywała sama siebie, udając, że nie dostrzega prawdy, czy chciała z zimną krwią zaprzedać ludność całego świata w niewolę i skazać na śmierć, dokonała złego wyboru i jej wpływ należało wyeliminować.

Leia stwierdziła, że nie czuje ani smutku, ani radości – tylko satysfakcję z dobrze wykonanego zadania. Zawróciła, żeby spotkać się z mężem, który na pewno ją zrozumie.

Coruscant

Przeszukanie pozostałych części stacji naukowej zajęło Luke'owi i jego towarzyszom tylko kilka godzin. W tym samym czasie Kell i Elassar zdołali zlokalizować drugi koniec drogi ucieczki potężnej istoty i zaspawali go ciężką, stalową blachą. Bhindi z kolei uruchomiła komputery i zaczęła wydobywać z nich informacje.

Zebrała ich na otwartej przestrzeni na górnym piętrze – Kell dał wszystkim do zrozumienia, że to on pracowicie i w pocie czoła posprzątał tutaj i usunął części maszyn, aż całe pomieszczenie nadawało się do użytku – aby przedstawić swoją ocenę sytuacji. Stały tu krzesła wykonane z jakiegoś antycznego plastyku, poskręcane w pseudoartystyczne wzory, łączące kicz z wygodą. Luke chyba oglądał podobne przedmioty w jakimś muzeum. Był tam też jeden działający robot medyczny, którego Bhindi poskładała z części kilku innych, uszkodzonych. Naprawa nie udała się w stu procentach; robot utykał, bo miał dwie lewe nogi, co powodowało, że przy każdym kroku tracił równowagę.

– Mamy tu dwie połączone stacje naukowe – mówiła Bhindi. – Obie były obsługiwane przez wywiad imperialny. Pierwsza pochodzi sprzed około pięćdziesięciu lat, choć cały kompleks stoi tu zapewne od wieków. A to jest ktoś, kto był tu od czasu rozpoczęcia trzeciego etapu pracy stacji. Jeden-Trzynaście?

– Witam – odparł robot. Miał cienki, uprzejmy głos z wyraźnym akcentem z Coruscant. – Wszyscy jesteście intruzami. Gotujcie się na śmierć. – Obrócił głowę, żeby objąć wzrokiem wszystkich obecnych.

– To jest ta scena, w której roboty bojowe wyskakują z kryjówek i roznoszą nas na strzępy – wyjaśniła Bhindi. Wyciągnęła rękę i przekręciła coś w ograniczniku, który tkwił w piersi robota. – Jeden-Trzynaście, skoro wciąż tu jesteśmy, to znaczy, że mamy do tego prawo.

– To prawda – odparł robot. – Jestem CPD1-13, robot medyczny, zoptymalizowany pod kątem konserwacji urządzeń hibernacyjnych. Jesteście tu intruzami. Gotujcie się na śmierć.

– Co to za kompleks? – zapytała Mara.

CPD 1-13 wyprostował się, a jego głos jakby poweselał.

– Witamy w Kompleksie Rekultywacji Atmosfery imienia Pasarian, Podstacja Jeden, dawniejszy Kompleks Rekultywacji Atmosfery Coruscant...

– Zamknij się – przerwała mu Bhindi. – Ja to powiem krócej.

– Skoro musisz.

Bhindi zgromiła robota wzrokiem, aż opuścił głowę.

– Kompleks – ciągnęła – i jego wszystkie podstacje to coś w rodzaju planetarnej oczyszczalni powietrza. Dość dawno temu władze Coruscant zabudowały ostatnie zalesione obszary i planecie zabrakło naturalnych zasobów tlenu, który przetwarzałby zanieczyszczenia atmosferyczne

produkowane przez uprzemysłowione rejony planety. Rząd jednak zarządził temu poprzez budowę serii wysokowydajnych urządzeń przerabiających dwutlenek węgla na tlen, usuwających gazy odpadowe, takie rzeczy... Ta czerwona maź o kilka pięter wyżej nie tylko spełniała rolę trawiennika. Ta odmiana jest przewidziana specjalnie do przemiany dwutlenku węgla w tlen. Działa z taką samą wydajnością jak kilka tysięcy kilometrów kwadratowych puszczy. Na całym Coruscant znajduje się kilkaset podobnych podstacji. No... pewnie teraz większość została zniszczona lub uszkodzona, ale wszystkie zostały zbudowane na poziomie płaszcza planety. Do tej pory jeszcze wiele mogło przetrwać.

– Czekaj, czekaj – zmarszczył brwi Luke. – Powinny mieć jakiś mechanizm pompowania świeżego powietrza...

– To prawda...

– Wszyscy jesteście intruzami. Gotujcie się na śmierć.

Bhindi skrzywiła się brzydko i przekręciła kilkakrotnie ogranicznik robota, który za każdym razem podskakiwał jak porażony prądem.

– Każda stacja – ciągnęła – połączona jest ze skomplikowaną siecią kanałów nawiewnych i wywiewnych. Wchodzi tamtędy zepsute powietrze, wychodzi czyste. Należy przypuszczać, że to właśnie te kanały najpierw uległy zniszczeniu, którego doświadcza obecnie cała planeta. Najważniejsze jednak, że każda z tych stacji może służyć jako ośrodek ruchu oporu... jeśli tylko zdołamy do niej dotrzeć, a później wejść.

Buźka spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Czy one wszystkie są równie utajnione jak ta?

– Wszystkie.

– Po co?

– To był drugi etap operacji. – Bhindi spojrzała groźnie na robota. – Jak sądzisz, możesz nam opowiedzieć tę historię... nie grożąc co chwila śmiercią?

– Nikomu nie groziłem. Oznajmiam jedynie nadchodzącą zgubę. – Jeden-Trzynaście wyprostował się lekko. – Drugi etap tego kompleksu, zgodnie z tym, co przekazały mi roboty konserwacyjne poprzedniej generacji, rozpoczął się od stopniowej eliminacji całego żyjącego personelu obsługującego tę stację, głównie poprzez odesłanie na emeryturę lub przeniesienie. Personel zastępowały roboty. A kiedy już cała stacja od wielu lat była obsługiwana wyłącznie przez roboty, zbiornik z organizmami do rekultywacji został przerobiony tak, że przypominał zbiornik trawiennika, a cały ośrodek ukryto, aby był dostępny jedynie poprzez turbowindę.

– Kto to zrobił i w jakim celu? – zapytał Buźka.

– Wykonano to na rozkaz rządu imperialnego w celu umożliwienia kontroli nad środowiskiem planety w przypadku kryzysu.

Luke słysząc to, uniósł brew.

– Kontrolowanie... Chcesz powiedzieć, że w przypadku rewolucji odcięliby dostęp powietrza?

– To prawda. Gdyby Imperator chciał odzyskać kontrolę lub po prostu zabić parę miliardów ludzi, mógł zamknąć Kompleks i zadusić Coruscant pod warstwą jej własnych śmieci.

– Po prostu zabić kilka miliardów... – Luke aż pokręcił głową, słysząc takie sformułowanie. – Czy to nie pozostaje w sprzeczności z twoim programem medycznym?

– Och, nie, proszę pana. Wdrożenie takiej operacji mogłoby mieć miejsce jedynie za osobistą decyzją Imperatora i z jego własnej ręki.

Buźka zmusił się do niewesołego uśmiechu.

– Kiedy tylko dowiaduję się czegoś nowego o Imperatorze Palpatine, chciałbym o tym jak najszybciej zapomnieć.

– A co było w trzecim etapie? – zapytał Luke.

– Instalacja systemów i organizmów niezbędnych do utrzymania Podmiotu – oznajmił CPD 1-13.

– Była to operacja niezwiązana z pierwotnym celem istnienia podstacji, ale jej lokalizacja w pobliżu imperialnego centrum rządowego okazała się wielce odpowiednia.

Luke spróbował wycisnąć wodę z tej masy słów.

– Co to był Podmiot?

– Samiec rasy ludzkiej. On i samica rasy ludzkiej przybyli trzynaście lat temu, aby zająć ten kompleks. Później dołączył do nich jeszcze jeden samiec. Mieli właściwe upoważnienia i potrafili kontrolować roboty, które sterowały turbowindą ze zbiornika nad nami. W wiele miesięcy po ich przybyciu drugi samiec odszedł, a pierwszy został zoperowany i zamknięty w komorze hibernacyjnej.

– Samce rasy ludzkiej nie rosną do trzech metrów.

– Rosną, jeśli dostają odpowiednie hormony wzrostu oraz są stymulowane komputerowo przez wiele lat, począwszy od dzieciństwa lub młodości.

– Kim jest ten samiec?

– Nie wiem, proszę pana. Nie podano nam jego tożsamości ani modyfikacji, jakiej dokonano w jego powłoce. – Zanim Luke zdążył zadać pytanie, robot pospieszył z wyjaśnieniami: – Miał wszczepione hipoalergiczne zbrojone płyty na piersi, głowie, łokciach i kolanach. Części mózgu odpowiadające za ludzką pamięć zostały w znacznej mierze zastąpione aparaturą komputerową. My, ze służb utrzymania, uważaliśmy, że to jakiś typ nowej maszyny wojennej, ale poza tym nie wiedzieliśmy nic.

– Macie jakieś podobizny tego samca, odkąd się tu pojawił? Wcześniejsze albo chociaż ostatnie?

Jeden-Trzynaście pokręcił głową.

– Nie, proszę pana. Nasze protokoły zabraniały nam rejestrowania Podmiotu w jakikolwiek sposób, nie wiem też, co pan rozumie przez „pojawił się”.

Luke ze zdziwieniem spojrział na Bhindi.

– Zdaje się, że ich oprogramowanie w tym punkcie było dość obszerne – wyjaśniła. – Kiedy Podmiot wyszedł z komory hibernacji, program zaczął działać i teraz roboty nie mogą go już śledzić. Pociął je na kawałki, a one nawet nie wiedziały, co się dzieje.

– Cudownie – mruknął Luke. – Więc nasz tak zwany Lord Nyax to trzymetrowy facet, może nawet Jedi, który z pewnością potrafi używać Mocy. Uwolnił się i łązi po świecie, z którego nic nie rozumie.

– Mniej więcej tak to właśnie wygląda – przytaknęła Bhindi. – Czy prawda nie wyzwala?

ROZDZIAŁ 7

Lord Nyax wyczuwa odległy głód. Coś go poszukuje.

To dobrze. On też tego pragnie. Cokolwiek tak bardzo chce go zobaczyć, zasługuje na to, by się z nim spotkać. Jeśli zechce mu służyć, on będzie mu rozkazywał. Jeśli nie zechce mu służyć, potnie to na kawałki.

I każde z tych rozwiązań doskonale mu odpowiada.

Coruscant

Grupa łowców przeszukiwała głębiny ruin Coruscant. Pochód prowadziło czterech wojowników o twardym spojrzeniu i twarzach napiętnowanych bliznami, tatuażami i implantami jak gwiazdne mapy cierpienia; czterech kolejnych chroniło tyły.

Pośród przedniej czwórki znajdowali się treserzy voxynów i zwierzęta na smyczy, które teoretycznie prowadzili. Ogromne gadopodobne bestie, o krótkich łapach i potężnych, falujących mięśniach, kręciły łbami to w jedną, to w drugą stronę, jakby mogły przebić wzrokiem otaczające je gruzy i zobaczyć ukryte tam potencjalne ofiary.

Viqi, idąc obok Denui Ku tuż za zwierzętami, wzdrygnęła się lekko. Voxyny były najbardziej odrażającymi i dzikimi istotami, jakie zdarzyło jej się oglądać, włącznie z samymi Yuuzhanami. Ci ostatni przynajmniej potrafili rozumować, nawet jeśli ich logika wymykała się zdrowemu rozsądkowi. Voxyny zostały sklonowane tak, aby wyczuwać Moc, ścigać i zabijać jej sługi. Wielu Jedi zginęło w ich kłach i szponach albo od ostrych kwasów żołądkowych, którymi zwierzęta potrafiły strzelać na odległość.

Te tutaj nie wyglądały na zdrowe. Ciemnozielone łuski miejscami przybrały nieprzyjemny, żółtawy kolor, który Viqi kojarzył się z roślinami więdnącymi z braku słońca. Istoty te były wprawdzie czujne i nie straciły nic z dzikości, ale ich ruchy wydawały się nieskoordynowane.

Viqi i tak nie odważyłaby się podejść w zasięg ich szponów i kłów. Podejrzewała, że każdy z nich z przyjemnością przegryzłby ją na pół tylko po to, żeby usłyszeć szcęk własnych zębów, kiedy już się spotkają pośrodku jej ciała.

Grupa dotarła do końca długiego korytarza. Przed nimi ziała dziura w fasadzie, przez którą wpadało trochę mdłego światła słonecznego i lekki wiatr. Dwaj wojownicy Yuuzhan Vongów, nowicjusze, sądząc z braku dekoracji na twarzach, stali na straży po obu stronach otworu.

Raglath Nur, dowódca wyprawy, powiedział coś do nich. Viqi nawet nie raczyła podsłuchiwać. Wiedziała, że gdyby jej potrzebowali, zwróciliby się do niej. Miała rację: po niecałej minucie Raglath Nur wezwał ją skinieniem dłoni na skraj otworu – Viqi wysunęła głowę i ujrzała pod sobą niezliczone piętra zapadających się domostw. Jeden krok do przodu posłałby ją na niechybną śmierć.

– Ten wojownik – mówił Raglath Nur, wskazując nowicjusza po prawej stronie – widział, jak spada pasaż, ale był bardzo daleko. Najpierw pasaż eksplodował w płomieniach, jakby od jednej z waszych bluźnierczych torped, potem spadł. Kiedy wojownik zaczął szukać, znalazł na dole spalone ciała, niektóre w częściach. Wyjaśnij nam to.

– Jeśli nie widział myśliwca, wystrzeliwującego raketę lub torpedę, pewnie była to bomba – odparła Viqi, obojętna na jego ciekawość. – Coś w rodzaju torpedy, ale przenoszona przez człowieka, umieszczana we wskazanym miejscu, a następnie skłaniana do wybuchu kilka sekund

później. W ciągu tych kilku sekund osoba, która ją umieściła, ucieka w bezpieczne miejsce.

– I co?

– I nic.

Raglath Nur zamierzył się, jakby chciał ją uderzyć. Viqi sprężyła się, aby wytrzymać cios, ale Denua Ku wsunął swój amphistaff pomiędzy nich.

– On pyta, jakie wnioski z tego wyciągasz – wyjaśnił. – Jesteś tu dlatego, że znasz dobrze niewiernych i ich taktykę.

– Tak, tak – zdenerwowała się Viqi, ale po chwili poszła po rozum do głowy. – Bomba nie tylko wybiła otwór w pasażu. Spowodowała też jego zawalenie i osmalila obie krawędzie. Stąd wniosek, że nie był to zaimprovizowany ładunek. Albo człowiek, który to zrobił, miał dostęp do sprzętu wojskowego, albo po prostu umie takie rzeczy wbudować. A to znaczy, że nie jest zwykłym mieszkańcem, któremu udało się przeżyć... to musi być ktoś z elity.

– *Jeedai?* – zapytał Raglath Nur.

Viqi pokręciła głową.

– Nie wiem, czy są wśród nich Jedi, ale oni zazwyczaj nie korzystają z materiałów wybuchowych. Musi to być coś innego... albo coś więcej.

– Co innego?

– Gdybym to ja była w ich sytuacji i musiała użyć materiału wybuchowego, co natychmiast zdradziłoby moje położenie, szybko uciekałabym z tego miejsca, żeby uniknąć spotkania z grupami Yuuzhan, które z pewnością wkrótce się pojawią. A to znaczy, że powinniśmy się domyślić, którędy uciekli. Wtedy pójdziemy ich śladem i być może znajdziemy coś, co zgubili. A jeśli coś zgubili, może zdołamy uzyskać nowe informacje.

– A jak odróżnimy obiekt niewiernych, pozostawiony przez mieszkańców planety, od czegoś, co zgubi twoja „elita”?

Viqi wzruszyła ramionami.

– Poznam to – skłamała.

Poszukiwania nie dały żadnego efektu. Grupa nie znalazła niczego, co zdaniem Viqi mogło zostać zgubione lub porzucone przez zbiegów. Kiedy jednak dotarli do kolejnego budynku, znajdującego się na trasie, którą według tropicieli uciekli niewierni, voxyny zaczęły wykazywać zwiększoną czujność. Przestały obracać głowy w poszukiwaniu tropu – teraz patrzyły w jednym kierunku, na zewnątrz i w dół. Mięśnie karków miały napięte, ogony zaczęły rytmicznie chłostać powietrze.

Raglath Nur pozwolił, aby voxyny i ich przewodnicy poszli przodem. Zwierzęta prowadziły ich bardzo szybko i Viqi nie mogła nadążyć. Denua Ku szturchał ją, jeśli tylko uznawał, że nie posuwa się dość szybko. Voxyny nie orientowały się w architekturze miasta, co powodowało, że Yuuzhanie, a nieraz także i Viqi, musieli przeprowadzać je klatkami schodowymi, rampami, a nawet szybami turbowind, żeby znów chwyciły trop.

Schodzili coraz głębiej w ruiny, ale kiedy po półgodzinie nie trafili na uciekinierów, Raglath Nur zapytał:

– Czy nasz obiekt ucieka? Czy mogą o nas wiedzieć?

Viqi pokręciła głową i skorzystała z krótkiej możliwości złapania oddechu. Złość dodawała jej sił: księżniczka kupców, pani senator z Kuat nie powinna się tak nieludzko męczyć.

– Voxyny wykrywają Moc, prawda? Może to, co odkryły, jest bardzo silne... i bardzo odległe.

Raglath Nur wydał dźwięk, który miał oznaczać niezadowolenie, choć jak na Yuuzhanina zabrzmiało to dość łagodnie. Widocznie doszedł do tego samego wniosku, co Viqi i miał tylko nadzieję, że powie mu coś innego.

Minęło kolejne pół godziny, aż znaleźli się na niższych poziomach budynku. Z panującego tu zapachu starzyzny i rozpusy, z omszałych plam wilgoci na durabetonie i smrodu rozkładu coraz częściej napotykanym ciał Viqi wywnioskowała, że znajdują się już prawie na poziomie płaszcza planety.

Minęli boczny korytarz, wypełniony ciemną cieczą i pływającymi po niej trupami. Viqi zatrzymała się na chwilę i zawróciła, aby spojrzeć jeszcze raz. Musiała zatkać nos i usta, żeby stłumić potworny smród. Denua Ku zawrócił wraz z nią, a wkrótce i pozostali wojownicy przyszedli sprawdzić, co obudziło jej ciekawość.

Wskazała palcem na jedno z ciał.

– Wyciągnijcie to – poleciła.

Denua Ku i pozostali z pluskiem weszli do wody. Ciało, które wskazała Viqi, nagle podniosło głowę i zaczęło uciekać, rozpryskując płytką wodę i usiłując zanurkować. Był to młody, bardzo przestraszony człowiek. Denua Ku złapał go za kostkę i szarpnął. Wyciągnął wrzeszczącego i wijącego się młodzika na suche miejsce i złapał za kołnierz tuniki. Postawił go na nogi i oparł o ścianę korytarza.

– Skąd wiedziałas? – zapytał Raglath Nur.

Viqi spojrzała na niego z wyższością.

– Nie był wzdęty, jak cała reszta.

– Wypytaj go – polecił Denua Ku.

Viqi westchnęła i odwróciła się do więźnia. Młodzieniec był śmiertelnie przerażony, ale chyba już się zorientował, że jest otoczony przez wojowników Yuuzhan i wszelki opór mija się z celem. Miał długie, czarne włosy, ociekające ciemną cieczą z bajora, z którego został wyciągnięty. Ta sama ciecz, ściekając z jego ubrania, utworzyła na podłodze kałużę. Viqi pomyślała, że w innych okolicznościach młody człowiek nadawałby się, żeby się z nim trochę zabawić.

– Gdzie są Jedi? – zapytała.

Chłopiec pokręcił głową.

– Nic nie wiem o Jedi.

Viqi obdarzyła go lodowatym uśmiechem.

– Ci wojownicy chętnie by cię zabili. I wiesz, że śmierć to jedna z najprzyjemniejszych rzeczy, jakie dla ciebie szykują. Spróbuj więc wymyślić jakiś powód, jakikolwiek, żebym mogła ich przekonać, że nie warto. Rozumiesz?

Młodzik przytaknął.

– Wiem o czymś. Chcę ci coś pokazać. Nie zabijaj mnie! – Sięgnął do kieszeni spodni.

Voxyn zawarczał i pociągnął przewodnika w głąb korytarza. Wojownicy obejrżeli się za nim.

Młody człowiek wyciągnął rękę. Viqi podsunęła dłoń i poczuła, że chłopiec coś do niej wciska.

– To ten paskudny...

– Uciekinierzy są blisko – rzekł Raglath Nur. – Nie jest nam już potrzebny.

Viqi obejrzała się na niego i skrzyżowała dłonie na piersi, aby ukryć przedmiot otrzymany od więźnia.

– Jeszcze nie skończyłam.

Denua Ku jednak miał inne zdanie i Viqi usłyszała trzask karku chłopca.

Yuuzhanin wrzucił ciało z powrotem do ciemnej kałuży.

– Teraz dopiero będzie wzdęty.

Viqi zgromiła go wzrokiem.

Raglath Nur popędził wojowników, żeby szli za niespokojnym voxynem.

– Co ten człowiek chciał ci pokazać?

Viqi wzruszyła ramionami.

– Może i bym się dowiedziała, gdyby Denua Ku się nie pospieszył.

Odczekała, aż uwagę Raglatha Nura znowu przyciągnie voxyn, po czym ostrożnie wsunęła przedmiot za dekolt szatoskóry. Zanim to zrobiła, zdołała jeszcze zerknąć, co to takiego. Wyglądało jak mały pilot; z jednej strony miało dwa przyciski, z drugiej jeden oraz ekranik, tak mały, że chyba bezużyteczny.

Co w tym jest paskudnego?

Przewodnicy, ciągnięci przez voxyna, pierwsi przeszli pod zniszczonymi metalowymi drzwiami, które miały ponad sześć metrów wysokości i były dość szerokie, aby dziesięć osób mogło przejść przez nie obok siebie. Napis nad bramą głosił:

ZAKŁADY PRODUKCYJNE ELEGAIC
WYGODA, KTÓREJ JESTEŚ WART

Raglath Nur zatrzymał się za bramą i podejrzliwie sondował wzrokiem ciemność. Obejrzał się nagle na Viqi.

– Co to jest?

– Fabryka – odparła. – Produkują meble. Bardzo kosztowne, bardzo funkcjonalne meble.

– Jakie na przykład?

– Na przykład fotele, które przekształcają się w niezmiernie wygodne łoża, krzesła, które wożą swoich właścicieli po domu unosząc się w powietrzu, meble, które masują siedzące w nich osoby...

– Masują? – słowo to widocznie sprawiło tizowymowi Raglatha Nura pewną trudność. – Sprawiają ból?

– Sprawiają przyjemność.

Wojownik obrzucił ją zgorzonym spojrzeniem i poprowadził swoich towarzyszy w mrok. Viqi podążyła za nimi u boku Denui Ku.

Kompleks produkcyjny z zewnątrz wydawał się mroczny, ale skoro tylko ich oczy przywykły do ciemności, Viqi stwierdziła, że tak nie jest. Wszędzie paliły się światła, choć bardzo słabe i umieszczone na poziomie podłogi – Viqi domyśliła się, że to oświetlenie awaryjne, któremu wyczerpuje się zasilanie z akumulatorów. W słabym świetle mogła rozróżnić ogromne maszyny linii produkcyjnej i nieruchome roboty z obsługi. Niektóre były imponujących rozmiarów.

Zastanawiała się, czy wciąż jeszcze są tu jakieś próbki wyrobów. Obawiała się tylko, że yuuzhańscy towarzysze nie pozwolą jej ani przez chwilę pobawić się takim fotelem.

Słyszała syki voxyna, które z podnieconych stawały się coraz bardziej gniewne, słyszała głosy przewodników, nawołujących zwierzęta, które prawdopodobnie zerwały się z uwięzi.

– *Jeedai!* – zawołał nagle jeden z wojowników – Zaraz zginiesz!

Viqi usłyszała nagle charakterystyczny syk włączanego miecza świetlnego Jedi. Jeden punkt na ścianie hali produkcyjnej i sufit ponad nim rozjarzyły się czerwonym światłem – ruchomym światłem. Szpony voxynów darły podłogę, gdy zwierzęta rzucały się na swoją ofiarę.

Nagle rozległ się kolejny syk i jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Odległa czerwona poświata pojaśniała. Viqi ujrzała sylwetkę voxyna w wysokim skoku ponad przeszkodą – chyba jakąś maszyną – i coś, co zerwało się i dopadło voxyna w locie.

To nie był Jedi, ale także nie ostrze miecza świetlnego. Z dołu poderwał się fragment maszyny o średnicy mniej więcej dwóch metrów i uderzył zwierzę z taką siłą, że Viqi usłyszała trzask łamanych kości. Uderzenie odbiło martwego już voxyna w kierunku, z którego skakał – leciał jak niezdarna karykatura żywego stworzenia, aż wreszcie z hukiem spadł na durabetonową podłogę hali. Kawał maszyny wylądował na nim, łamiąc mu resztę kości, i pozostał na miejscu, zamiast odtoczyć się na bok, jak należy.

– Naprzód – warknął Denua Ku. Świsnął amphistaffem, odwijając go z pasa i rzucił się w ślad za pozostałymi wojownikami Yuuzhan, wyjąc z wściekłości i zniecierpliwienia.

Viqi zrobiła dwa kroki w ślad za Denuą Ku i wtedy nagle coś w nią uderzyło, zważyło z nóg i rozpląszczyło na durabetonowej podłodze.

Nie było to nic fizycznego, tylko rozpacz i nienawiść, obrzydzenie i beznadzieja, strach i wściekły gniew. Miała wrażenie, jakby spędziła całe swoje życie na magazynowaniu wszystkich znieprawionych uczuć, jakich ofiarą padają normalne istoty – a teraz uczucia te eksplodowały, wywalając drzwi i unosząc ją ze sobą. Mogła już tylko leżeć i czuć, jak jej ramiona i nogi drgają, a ona nie ma nad nimi kontroli, jak jej żołądek się buntuje, a serce pulsuje i rozsadza ją od wewnątrz.

Słyszała wycie drugiego voxyna, rozdzierający zgrzyt, gdy zwierzę rzygnęło kwasem na swoją ofiarę i znów odgłos cięcia mieczem świetlnym. A potem plaśnięcie wielkiej masy krwawiącego mięsa, rozrzuconego po durabetonie.

Viqi wiła się w rytm wojennego wycia Yuuzhan Vongów i słyszała, jak jeden po drugim umierają przy melodyjnym dźwięku mieczy świetlnych.

A potem był już tylko odgłos świetlnych mieczy, które cięły, cięły i cięły...

Emocjonalna udręka, która miażdżyła Viqi, zelżała nagle – ale tylko odrobinę. Zdołała przetoczyć się na brzuch i powoli, z trudem dźwignęła się na nogi.

Wiedziała, że istoty po drugiej stronie hali właśnie kończą wybijać wszystko, co weszło tu wraz z nią. Miała wielką ochotę rzucić się na nie i rozerwać je na strzępy gołymi rękami.

Poczuła jednak, jak budzi się w niej iskierka instynktu samozachowawczego i mówi wyraźnie: „Wiej albo umrzesz”.

Odwróciła się do wyjścia i rzuciła na oślep w kierunku światła.

Kiedy dotarła do bramy, wyciągnęła rękę, żeby się oprzeć o metalowe drzwi, które niegdyś broniły dostępu do wnętrza fabryki. Ciężka płyta wysliznęła się spod jej dłoni i z ogłuszającym hukiem upadła na podłogę.

Miecze świetlne w oddali umilkły. Viqi zamarła. Czekwała, wsłuchując się w nagle zapadłą ciszę. I wtedy usłyszała człapanie stóp zdążających w jej kierunku.

Wydała coś w rodzaju krótkiego szlochu i pobiegła przed siebie, gnana adrenaliną i strachem.

Luke obudził się i jednym płynnym ruchem zerwał na nogi.

Nie musiał pytać, czy Mara też to poczuła. Siedziała rozbudzona, ściskając w dłoni miecz

światłny, gotowa włączyć go w każdej chwili.

Luke wyszedł na korytarz. Światło było przygaszone, żeby nie przeszkadzało spać, ale Danni też już była na nogach, a wraz z nią Tahiri, która do tej pory trzymała straż w korytarzu. Teraz stała nieruchomo, wpatrując się w ścianę, a raczej poprzez ścianę, na coś, co było bardzo daleko i znacznie bliżej ziemi.

– Ono znów tam jest – szepnęła łamiącym się głosem.

Luke odetchnął głęboko kilka razy. Nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie mu się śniło – tyle tylko, że przez moment był jakby wypełniony pragnieniem, aby wstać i zabić wszystkie żywe istoty wokół niego. Wciąż czuł absurdalną nienawiść i pogardę dla swoich towarzyszy, dla żony, ale w miarę, jak pamięć i umysł wracały do harmonii, emocje powoli przygasały.

– Co poczułyście?

Tahiri potrząsnęła głową i Luke dopiero teraz ujrzał, jak po odwróconym od niego policzku spływa pojedyncza łza.

– Coś strasznego – szepnęła. – To było jeszcze okropniejsze niż wtedy, kiedy wychodziłam z mojego uwarunkowania i zaczęłam zdawać sobie sprawę z tego, czym się omal nie stałam. To wszystko było we mnie, w Mocy i prawie przejęło nade mną kontrolę. Myślę, że chyba zdołaliby mną zawładnąć, gdyby wiedziało, że tu jestem. Rozpacz w jej głosie rozdzierała serce.

Żadne z Widm nie wyszło ze swojej tymczasowej kwatery. To miało sens; skoro było to przesłanie Mocy, problem Mocy, sen Widm, zdecydowanie nieświadomych jej istnienia, mógł nie zostać zmacony.

Mara, ubrana już, ruszyła w dół korytarzem, waląc po kolei w drzwi. – Wstawać, wszyscy! Wkładać zbroje. Czas na polowanie.

Viqi wypadła z chodnika dla pieszych cztery piętra ponad poziomem hali produkcyjnej. Biegła na oślep, nogi dygotały jej ze zmęczenia, ale nie mogła sobie pozwolić na odpoczynek – słyszała, jak pościg roznosi drzwi, które zdołała za sobą zasunąć.

Skreśliła w inny korytarz i nagle na wysokości jej gardła wyrosło wyciągnięte ramię. Uderzyła w nie całym rozpędem, nogi uciekły spod niej i nagle znalazła się na plecach, patrząc w górę na oświetlone słabym światłem dwie ludzkie twarze i dwie lufy pistoletów laserowych skierowanych w jej głowę.

Stali przed nią mężczyzna i kobieta. Mężczyzna miał źle podstrzyżoną brodę. Oczy kobiety były zaskakująco niebieskie i tworzyły upiorny kontrast z nieprzyjemną, zaciętą twarzą. Obydwoje cuchnęli i wydawali się chudzi jak plastalowe belki.

– Patrzy na ciebie – rzekł mężczyzna.

– Jakież pięćdziesiąt kilo, na oko – odparła kobieta. – Dobre jedzenie.

– Jakim cudem jest taka czysta?

– Nieważne, zabij ją i tyle.

Rozległ się odległy dźwięk, niski ryk, który podniósł drobne włoski na ramionach i karku Viqi. Mężczyzna i kobieta zawahali się i obejrzelili w stronę, z której przybiegła.

I znów ogarnęło ją to samo uczucie nienawiści i gniewu, które zważyło ją z nóg w sali produkcyjnej. Ten sam skutek wywarło też na jej napastnikach – oboje pobledli i padli na kolana, a kobieta zaczęła się dławić, zupełnie jakby od wymiotów powstrzymywał ją tylko pusty od wielu dni żołądek.

Viqi pozbierała się z podłogi, zwróciła w kierunku, z którego uciekała i popęzła tak szybko, jak pozwalał jej na to paraliż, który ogarnął jej ramiona i nogi. Przyszło jej do głowy, że lepiej byłoby umrzeć, niż uciekać; lepiej stanąć twarzą w twarz z prześladowcami, niż wciąż umykać – ale racjonalna część jej umysłu, walcząca o lepsze z innymi uczuciami, zmuszała ją do ruchu.

Pokonała kilka metrów, aż wreszcie zakręt korytarza zasłonił mężczyznę i kobietę przed jej wzrokiem.

Usłyszała ich krzyk, a potem syk włączanego miecza świetlnego.

Miała przed sobą właz serwisowy wmurowany w ścianę na poziomie podłogi. Szarpnęła za uchwyt, ale napotkała opór. Klapa prawdopodobnie była zamknięta na zwykłe zamki magnetyczne lub zasuwkę.

Uwiesiła się na uchwycie całym szczupłym ciałem i szarpnęła, aż wreszcie właz ustąpił, a klapa wyrwała się jej z rąk i spadła na podłogę. W otworze zobaczyła pionowy szyb o średnicy około metra, wyposażony w drabinkę.

Viqi wpełzła do szybu i zaczęła się wspinać. Ramiona i nogi jej drżały, w każdej chwili mogły odmówić posłuszeństwa.

Znów dobiegły ją krzyki mężczyzny i kobiety, a potem odgłos tnącego miecza świetlnego. Dźwięki cichły w miarę, jak wspinała się w górę, ale nienawiść nie słabła.

Według chronometru Luke'a minęły cztery godziny zanim znaleźli pierwsze dowody istnienia istoty lub istot, których poszukiwali. Stali w głównej hali produkcyjnej koncernu meblowego i patrzyli na rozrzucone po podłodze szczątki wojowników Yuuzhan Vongów – i voxynów.

Nie doprowadziły ich tu ślady ani dedukcja, ani nawet szczęście. Luke i pozostali Jedi wciąż czuli resztki energii Ciemnej Strony, którą przesiąkły ściany, maszyny i zwłoki. Wrażenie podobne do tego, jakiego Luke doznał w pewnej jaskini na Dagobah, podniosło mu włosy na karku.

Mara beznamyślnie oglądała ciało wojownika Yuuzhan Vongów, które zostało pocięte na co najmniej osiem kawałków. Wszystkie rany były nadpalone i kauteryzowane.

– Znowu nasz Mroczny Jedi. Albo ktoś inny.

– Mroczny Jedi potrafi narzucić swoją wolę normalnym ludziom – zauważyła Tahiri. Skrzyżowała ramiona na piersi, jak podejrzewał Luke, po to tylko, aby powstrzymać je od drżenia. – Ale nie w pełni wyszkolonym Jedi. To było jak skok w ocean Ciemnej Strony Mocy. Jakbym znów czuła śmierć Anakina... i znów chciała z nim umrzeć. Do jej oczu napłynęły łzy i dziewczyna odwróciła twarz, żeby inni ich nie widzieli.

– Zastanawiam się – mruknął Luke – jakby to było stanąć z nim twarzą w twarz.

Końcem buta trącił odcięte ramię Yuuzhanina. Nie zawsze mu dobrze szło z Ciemną Stroną.

– Yuuzhanie są niewidzialni dla Mocy. Nie wyczuwają jej, a my nie wyczuwamy ich. Zwłaszcza Jedi.

– Myślałem o tym. – Buźka stał na straży z rusznicą laserową w dłoni, nie odrywając wzroku od wejścia. – Mam taką taktykę, której od czasu do czasu używam w trudnych sytuacjach.

– Co to takiego? – zapytał Luke.

– Snajperzy. Ustawiasz w odległości kilku kilometrów, w ukryciu, karabin laserowy i kogoś, kto rzeczywiście wie, jak go użyć, a potem, kiedy wróg nawinie się pod lufę...

– Niezbyt to uczciwe – uśmiechnął się Luke.

– A kto tu mówi o uczciwości?

Viqi zbudziła się w całkowitej ciemności i przez moment myślała, że pewnie już nie żyje. Zerwała się, spanikowana, ale zanim zdążyła usiąść, uderzyła w coś głową. Ostremu bólowi czoła towarzyszył metaliczny brzęk.

Wtedy sobie przypomniała. Wspinająca się i wspinała, słysząc za sobą krzyki i szum mieczy świetlnych. Prześladowcy wycięli sobie przejście w durastalowej powłoce, ale udało jej się odkryć boczne korytarze odchodzące od głównego kanału – przewody wentylacyjne miały coraz mniejszą średnicę, aż wreszcie mogła się w nich zmieścić jedynie drobna Kuatka; stały się na szczęście zdecydowanie za ciasne dla ścigającej ją istoty.

Długo macała wokół siebie w ciemności, aż pozwoliła się pokonać zmęczeniu.

Teraz była sama, bez broni i przyjaciół, zewsząd otoczona kilometrami walącego się durabetonu i metalu.

Nie mówiąc o tym, że była głodna, spragniona i ślepa.

Zmusiła się do zachowania spokoju i wyrecytowała w pamięci tekst, który zawsze pomagał jej przetrwać najgorsze nawet sytuacje.

– Lista – zaczęła. – Pewna niezwykle zdolna pani strateg, której polityczne umiejętności na nic się tu nie dadzą. Jedna szatoskóra Yuuzhanka; żywe ubranie, którego główną i jedyną zaletą jest, że to lepsze, niż bieganie nago; dobrane do niego owijacze stóp. I to wszystko.

Nie, to nie wszystko. Milion lat temu, tuż przed ucieczką, ktoś jej coś dał. Pomacała za dekoltem szaty i chwyciła przedmiot, który ofiarował jej ten śliczny, skazany na śmierć chłopak. Pasował do jej dłoni tak, że kciuk od razu trafił na przycisk – po drugiej stronie były jeszcze dwa. Przycisnęła pierwszy.

Na pilocie zapalił się mały, czerwony ekranik, rozświetlając otoczenie: ukazał się kanał z nagiego metalu, pokryty pyłem, pół metra szerokości na pół metra wysokości. Na ekranie zobaczyła kulę uformowaną z cienkich linii, wewnątrz której błyszczała jedna jasnoczerwona kropka. Druga, podobna, lśniła gdzieś na obwodzie. Viqi przesunęła dłoń i stwierdziła, że druga kropka obraca się, wciąż pozostając na obwodzie, zawsze wskazując ten sam główny kierunek.

Był to jakiś lokalizator. Odległy obiekt wysyłał regularny sygnał, a to urządzenie niezmiennie wskazywało kierunek tego obiektu.

Przycisnęła jeden z guzików po drugiej stronie. Obraz z kresiek znikł, zastąpiony słowami POZA ZASIĘGIEM.

Wcisnęła ostatni przycisk. Urządzenie przemówiło kobiecym głosem:

– Pamiętaj, weź nowy ładunek do ścigacza. Dziś będziemy jeść kolację z Tussinami.

Viqi podejrzewała, że ten zapis pograżyłby w rozpacz kogoś o słabszej osobowości. Ona jednak nawet się nie zastanowiła, czym się skończyła kolacja. Kobieta, która zapisała tę wiadomość, nie żyła, zmiażdżona lub zamieniona w parę, albo pożarta przez jakieś śliniace się bydlę. Nikomu do niczego nie była potrzebna, poza tym, że należący do niej przedmiot pomoże teraz Viqi Shesh. Było to światelko w mroku, gdziekolwiek ją miało doprowadzić.

Przetoczyła się na brzuch i przyświecając sobie ekranikiem, zaczęła pełznąć przed siebie.

Viqi stała pośrodku sali, która niegdyś była obszernym salonem, centralnym pokojem apartamentu bogatej rodziny biznesmenów. Z pokoju prowadziło wiele drzwi i korytarzy; wszystkie wiodły do sypialni, łazienek, pomieszczeń rekreacyjnych – obecnie zrujnowanych przez szabrowników

i niszczyielskie rośliny.

Po prawej stronie Viki, kilka metrów od niej, ziała w ścianie ogromna dziura. Kiedyś było to wielkie okno, sporo wyższe od człowieka, szerokie na prawie sześć metrów. Teraz ze szczeliny zwisały pnącza zarastające fasadę budynku, a szczątki roztrzaskanej transpastali pokrywały coś, co kiedyś było podgrzewaną, elastyczną wykładziną.

Wszystko porastały grzyby, szarawe, podobne do pieczarek narośla, tym większe, im bliżej otworu się znajdowały. Nastąpiła niedawno na jeden z mniejszych, a on eksplodował pod jej stopą, raniąc boleśnie i uszkodzając żywy owijacz. Teraz bardzo uważała, żeby ich nie dotykać; w dodatku odkryła, że wiele uszkodzeń w pokoju można było przypisać eksplodującym grzybom – widocznie wiele z nich wybuchło tu w ciągu kilku ostatnich tygodni. Może pękały pod wpływem drgań w walących się budynkach, a może po prostu wybuchały, kiedy osiągnęły odpowiednią wielkość.

Ściana naprzeciwko Viki była wykonana z żelbetu; aby ukryć jej użytkowy charakter, kiedyś ozdobiono ją grubą warstwą miękkich tapet imitujących rozgwieżdżone niebo. Po podłączeniu do zasilania budynku gwiazdy i mgławice świeciły w ciemności. Teraz tapeta zwisała w strzępach. Viki zdarła resztę, ale pod spodem nie znalazła nic, oprócz żelbetu.

Po drugiej stronie ściany znajdował się kolejny zwalony wieżowiec. Podczas poszukiwań Viki udało się dotrzeć do równoległego piętra w sąsiednim budynku, ale tylko z brzegu – zawałone korytarze i ściany nie zachęcały do dalszej wędrówki.

Urządzenie śledzące doprowadziło ją aż tutaj; to właśnie był punkt najbliższy miejscu, które wskazywało. Mała czerwona kropka na ekraniku, oznaczająca jej obecną pozycję, i biała, oznaczająca cel, znajdowały się prawie jedna na drugiej.

Wzruszyła ramionami. No cóż, nie udało jej się dotrzeć do tego obiektu. Może należałoby wejść w górę o jedno piętro albo zejść w dół; może trzeba było lepiej poszukać, żeby znaleźć punkt dostępu.

Nagle przypomniała sobie napis POZA ZASIĘGIEM, który jej się wyświetlił. Podniosła pilot i wcisnęła jeszcze raz tamten przycisk.

Rozległ się hałas, coś jakby słabe kliknięcie uruchamianej maszyny czy aparatury. Dochodził z góry. Spojrzała w górę i odskoczyła akurat na czas, żeby nie przygniótł jej opadający panel sufitu. Dolna jego krawędź oparła się na podłodze. Viki obeszła go dokoła i spojrzała w górę.

Zobaczyła metalowe schodki, wąskie, bez poręczy. Prowadziły w ciemność.

Ze ściśniętym gardłem pobiegła w górę. Znalazła się w wąskim, niskim korytarzu, długim mniej więcej na trzy metry i wiodącym do ściany, którą uznała za niemożliwą do przejścia – dopóki nie zobaczyła drzwi, oświetlonych z drugiej strony.

Zanim ruszyła przed siebie, rozejrzała się i znalazła na szczycie schodów niewielki przycisk. Nacisnęła go i schody uniosły się, odcinając drogę powrotu.

Przejście otwierało się na cylindryczną komorę o średnicy kilku metrów. Większą część podłogi zajmował stojący na ogonie pojazd – mniej więcej dwunastometrowej długości, płaski od strony rufy, o wysmukłym dziobie. Pokryty był jednolitą matową niebieską powłoką, która utrudniała rozróżnienie szczegółów kadłuba. Wszędzie widać było wystające części, płyty i półkoliste anteny, a także klapy hamulcowe i manewrowe.

Powierzchnia podłogi znajdowała się o jakieś cztery metry poniżej stóp Viki. Kładka stała za to dokładnie naprzeciwko wjazdu, który otwierał się do wnętrza pojazdu, mniej więcej na wysokości jednej trzeciej rufy.

Pojazd wyglądał jak przerośnięty wojskowy śmigacz, zamknięty, aby chronić załogę. Skoro jednak stał na ogonie, a wokół nie było urządzeń, które pozwoliłyby umieścić go w pozycji poziomej, Viqi przypuszczała, że nie jest to pojazd naziemny; co więcej, uznała, że jest gotów do lotu. Nie potrafiła stwierdzić, czy nadaje się do podróży atmosferycznych, czy kosmicznych. Na burcie miał wymalowany napis „Okropna Prawda”.

Podniosła wzrok. Cylindryczna komora wznosiła się na jakieś trzydzieści metrów ponad dziób rakiety, kończąc się stosem pociętych metalowych belek i durabetonowych bloków. Przez otwór nad rumowiskiem do pomieszczenia wpadało mdłe światło słoneczne.

Ledwie wierząc własnemu szczęściu, przeszła po wąskiej metalowej kładce, dzielącej ją od otwartego wjazdu i wdrapała się do wnętrza pojazdu. Ponieważ spoczywał on pod kątem prostym do normalnego położenia, Viqi stała teraz na powierzchni, która w założeniu miała być tylną ścianą głównej kabiny. Zaimprovizowana drabinka z powiązanych drutem metalowych części pozwoliła jej dotrzeć aż do siedzenia pilota na dziobie.

Pod jej palcami pomocniczy wyłącznik zasilania ożył bez oporu. Światła w kabinie zapłonęły, komputer nawigacyjny przeprowadził sekwencję testową przy włączeniu.

Na ustach Viqi pojawił się lekki, pełen zadumy uśmiešek. To był awaryjny pojazd ewakuacyjny, starannie i sprytnie ukryty na wypadek katastrofy... ale właściciele nie zdążyli umknąć na czas przed upadkiem Coruscant. Może zginęli, może wcześniej uciekli innym środkiem transportu.

Kim był chłopiec, który dał jej lokalizator? Synem właścicieli pojazdu? Budowniczym, który znał i przechował tajemnicę ukrytego hangaru, zamierzając później skorzystać z pojazdu, jeśli się okaże, że jego prawowici właściciele nie są w stanie tego uczynić? Prawdopodobnie walące się sklepienie przeszkodziło mu w ucieczce. Może przez cały ten czas pracował, żeby oczyścić drogę z przeszkód? Ale teraz nie żyje, pojazd zaś należy do niej.

Uwolniła się od Yuuzhan Vongów i zyskała możliwość ucieczki z planety.

Myśl, która nagle przyszła jej do głowy, sprawiła, że ręce Viqi same odskoczyły od sterów. Jeśli pojazd przewidziany był jako ostateczna ucieczka i szansa przetrwania, być może zawiera...

Pospiesznie zsunęła się z zaimprovizowanej drabinki na rufę. Wjazd do pomieszczeń rufowych znajdował się u jej stóp. Po chwili szarpania się z blokadą zdołała unieść ciężką płytę.

Poniżej zobaczyła mały magazynek, zabezpieczony siatkami, z włazem po drugiej stronie. Właz z pewnością dawał dostęp do silników pojazdu. Viqi specjalnie to nie obchodziło. Jej uwagę przykuło to, co znajdowało się za siatkami.

Jedzenie. Wojskowe racje żywnościowe, starannie popakowane w pojedyncze porcje, o gwarantowanej wieloletniej trwałości.

Z jękiem ulgi rzuciła się do magazynku, porwała pierwszy pakiet, jaki nawinął się jej pod rękę i zdarła z niego folię.

ROZDZIAŁ 8

System Aphran, Aphran IV

Aphran IV był gęsto zalesionym światem, którego zielone łądy kontrastowały z błękitem mórz. Był to ciepły świat, bez lodowych czap polarnych, bez księżyców, które mogłyby regulować pływy. I był to świat stosunkowo ubogi. Zaludniające go istoty znane były z artystycznej stolarki, a ich wspaniałe intarsje miały ogromne powodzenie wśród kolekcjonerów.

Han dowiedział się tego wszystkiego z lektury opisów map gwiazdnych w komputerze „Sokoła”. Zapisy sugerowały, że Aphran nie zdoła przetrwać nawet najslabszego ataku Yuuzhan. Biorąc pod uwagę, jak niewielka odległość dzieliła go od yuuzhańskiej strefy wpływów i od Bilbringi, tylko jego niepozorny charakter uratował ten świat od natychmiastowego podboju.

Han spojrzał na żonę. Wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle: włosy miała długie, czarne i proste, brwi odpowiednio szersze i ciemniejsze, a w ubraniu, które miała na sobie, senator Leia Organa z pewnością nie chciałaby być oglądana nawet po śmierci.

Obcisły kombinezon, czarny i błyszczący, choć syntetyczny, przy każdym poruszeniu skrzypiał jak skóra. Buty, nisko zawieszona olstra miotaczy i rękawice wykonane były z takiego samego materiału, ale były matowe. Zgodnie z charakterem odtwarzanej postaci skrzyżowała nogi na konsoli drugiego pilota i patrzyła na Hana groźnym wzrokiem.

– A ty na co się tak gapisz, człapaku? Han pokręcił głową.

– Gdyby cię teraz zobaczyła twoja córka...

Leia na moment wyszła z roli i roześmiała się.

– Dopilnuję, żeby Artoo przygotował dla niej holo. Ciebie też musi sfilmować.

Han skinął głową.

– Jestem wspaniały.

Spędził dość czasu przed lustrem, żeby upewnić się, że jego przebranie jest odpowiednie, a kostium wystarczająco śmiały i dramatyczny.

Miał teraz krótko przystrzyżoną brodę; prawdziwe włosy i sztuczny zarost nabrały tego samego dystygowanego odcienia srebrzystej siwizny. Pomimo to nie starał się sprawiać wrażenia starszego męża stanu: mundur włożył ciemnoszary, o dwa tony ciemniejszy niż dawne mundury imperialne i przeładowany akcesoriami: nowiutki pistolet na jednym biodrze, dwa bliźniacze wibroostrza na drugim. Przez ramię zwisał mu pendent z umieszczonymi na przemian zapasowymi wibroostrzami i małymi miotaczami. Metalowa rękawica na lewej ręce wyglądała jak dostępna w handlu roboproteza i zawierała dość elektroniki, żeby za taką uchodzić nawet dla większości skanerów. Soczewka kontaktowa na lewym oku imitowała srebrną protezę gałki ocznej; fałszywa, wypukła blizna ciągnąca się w górę i w dół od oczodołu sugerowała, że sztuczne oko znalazło się tam na skutek gwałtownych i bolesnych działań.

Threepio siedzący na fotelu pasażera za stanowiskiem pilota, odezwał się nagle:

– Wolałbym nie narażać waszej misji niewłaściwym zachowaniem lub pochopnymi słowami, więc chciałbym zapytać: księżniczko, po co te przebrania?

– Aphran to całkiem nieznaną planetą – odparła Leia. – Przemysłowcy, z którymi się spotkamy i których będziemy próbowali przekonać, aby zajęli się organizacją lokalnego ruchu oporu, twierdzą, że ostatnio znacznie, choć dyskretnie zwiększył się ruch statków wiozących wysłanników rządowych. Co ci to mówi?

– Te sprawy leżą raczej poza moim zakresem wiedzy – ostrożnie odparł robot – ale przypuszczam, że rząd planetarny nie musiałby się bawić w dyskrecję, gdyby chodziło o wysyłanie przedstawicieli do Nowej Republiki. Sugerowałoby to raczej, że wysyłają delegacje do kogoś, o kim Nowa Republika ich zdaniem nie powinna wiedzieć.

Leia skinęła głową.

– Doskonale. Do kogo?

– Ponieważ poza Nową Republiką największy zasięg mają rządy Yuuzhan Vongów, ze zwykłego prawdopodobieństwa wynika, że to powinni być oni.

– Prawda. Albo Brygada Pokoju, działająca jako pośrednicy Yuuzhan.

– Och, mam nadzieję, że nie, księżniczko. Członkowie Brygady Pokoju są bardzo... cóż... bardzo niesympatyczni. I bardzo trudni we współżyciu. – Oczywiście był to eufemizm. Brygada Pokoju była luźnym związkiem najemników kooperujących z Yuuzhanami. Wierząc w ich zapewnienia, że galaktyka bez Jedi stanie się galaktyką pokoju, lub dla czystego zysku, odławiali oni Jedi, przekazując schwytanych wrogowi. Byli zdecydowanie „niesympatyczni” – choć nie dla tych, którzy podzielali ich pogląd, iż obecnej wojnie winni są wszyscy, z wyjątkiem agresorów. W Nowej Republice jednak uważano ich ogólnie za zdrajców.

– A jeśli prowadzą rozmowy z Yuuzhanami – wtrącił Han – nie powinni wiedzieć, że pojawił się tu ktoś taki jak Solo.

Leia przytaknęła.

– Gdyby Yuuzhanie się dowiedzieli, że Solo są tutaj, natychmiast by się po nas zgłosili, nawet jeśli użyjemy fałszywych nazwisk. Natomiast jeśli wyląduje koreliański frachtowiec YT-1300 z beczelnym, pyszałkowatym mężczyzną u sterów, to wtedy nie będzie ważne, jakie poda nazwisko. I tak ludzie pomyślą: „To Han Solo!”

Han spojrzał na nią z urażoną miną.

– Pyszałkowaty?

– Pyszałkowaty – odparła Leia. – Zarozumiały i wspaniały. No, dalej, zaprzecz.

– No cóż... nie bardzo mogę.

„Sokół Millenium”, zamiast wylądować w dzielnicy handlowej stolicy planety, został skierowany do rządowego portu kosmicznego, w miejscu dość odległym od stolicy. Port był ogromny, długi na wiele kilometrów, z dokami i kopułami magazynów, rozmieszczonymi na odnogach odchodzących od centralnego kręgu jak odnóża jakiegoś zmutowanego morskiego stworzenia.

Podążając za promieniem naprowadzającym, Han spędził mnóstwo czasu przy komunikatorze, najpierw spierając się z jednym urzędniczyńką, potem z drugim; wreszcie tuż przed ostatnim podejściem wyprostował się z lekkim westchnieniem.

– Nie możemy wylądować w strefie handlowej – rzekł.

– Dlaczego nie? – zmarszczyła brwi Leia.

– Musimy tu rozładować i poddać inwentaryzacji cały ładunek. Nowe przepisy. Po rozładowaniu możemy zdecydować, gdzie mają go wywieźć ich transportery: z powrotem na statek, żeby został przewieziony gdzie indziej, albo do jednego z magazynów, gdzie kupujący będą mogli go oszacować. Najważniejsze jest to, że niezależnie od miejsca przeznaczenia, przewiezienie kosztuje. A ładunek z powrotem na statek jest droższy niż odstawienie do magazynu.

Leia skinęła głową z uśmiechem osoby znającej życie.

– Dzięki temu niejako wymusza się pozostawienie ładunku tutaj, gdzie może go obejrzeć grono wybranych kupców. A dzięki temu ceny i łapówki są na takim poziomie, na jakim chcą je mieć.

– A ludzie mówią, że to ja jestem nieuczciwy – mruknął Han. – Z drugiej strony wcale nie musimy czekać, aż skończą inwentaryzację. Możemy przejechać się do stolicy publicznym śmigaczem. To da im znacznie więcej czasu na zrabowanie co cenniejszych sztuk z naszego ładunku, a przecież o to chodzi.

Dwóch aphrańskich mężczyzn stało przed stacją paliw, obserwując parę wychodzącą z doku, w którym spoczywał koreliański frachtowiec YT-1300.

– Widzę mężczyznę i kobietę, których nie rozpoznaję – powiedział jeden. Był średniego wzrostu, miał siwiejące włosy, wąsy i brodę. Pełne rezerwy maniery i kolorowe, dość kosztowne ubranie sugerowały, że jest dobrze prosperującym kupcem. Jednak twarde spojrzenie, widoczne w chwilach, kiedy nie starał się zaskarbić sobie niczyjej sympatii i zaufania, świadczyło, że nie jest tak pokojowo nastawiony.

– Mężczyzna i kobieta mogą być Solo, ale równie dobrze kimkolwiek innym.

– Przecież nie powiedziałem, że to Solo – zaproponował drugi mężczyzna. Jego kombinezon miał ten sam kolor i wzór co drzwi stacji, lawendowe w czarne paski. Był szczupły, ale wyglądał na twardziela napakowanego sztucznymi mięśniami, jak modele cybernetycznych kończyn. – Mówiłem tylko, że to „Sokół Millenium”. Nie obchodzi mnie, jak go pomalują ani ile mu doczepią nowych anten. Wiem, jak wygląda i znam każdy dźwięk, kiedy „Sokół” podchodzi do lądowania.

– Hm... ale dopóki nie będziemy pewni, gramy ostrożnie.

– Ostrożna gra to mniejsza forsa.

– Ostrożna gra to dłuższe życie i więcej czasu na wydanie forsy.

– Ty jesteś szefem.

Człowiek z brodą spojrzał na swojego towarzysza. Z doświadczenia wiedział, że „Ty jesteś szefem” oznacza zawsze: „Na razie się zamknę, a potem wsadzę ci w plecy wibroostrze, wtedy kiedy będą największe zyski”. W myślach skreślił towarzysza z listy „użytecznych” i przeniósł na listę „na straty”.

– Muszę się wziąć do roboty – powiedział wreszcie. – Dzięki za informację.

– Proszę uprzejmie.

Brodaty mężczyzna ruszył w kierunku swojego osobistego transportera, najnowszego modelu śmigacza, za który zapłacił informacjami przekazywanymi Brygadzie Pokoju. Gdyby okazało się, że to oboje Solo, mógłby sobie pozwolić na osobisty statek kosmiczny – nawet jeśli odejmie od tego kwotę niezbędną na załatwienie wyeliminowania kolegi.

Leia siedziała na balkonie wynajętego apartamentu z nogami na poręczu i wprowadzała

informacje do notatnika.

Jak dotąd wszystko szło jak należy... mniej więcej. Organizacja Talona Karrde'a doprowadziła ją już do dwóch przemytników w stanie spoczynku... no, pół-spoczynku. Karrde im ufał, a ich entuzjazm do spiskowania w obliczu możliwej inwazji Yuuzhan był nieograniczony. Dzięki doświadczeniu mogli sami znaleźć sobie bazy wypadowe, a może nawet ułatwić zdobycie statków i innych urządzeń. Han i Leia musieli teraz jedynie pomóc im w stworzeniu systemu komunikacji, składającego się z kombinacji holokomu i komunikatora, który pozwoli na przesyłanie i odbieranie krótkich, trudnych do przesłania pakietów danych stanowiących podstawę komunikacji ruchu oporu.

Wkrótce jednak odłożyła na bok notatki, skupiając uwagę na krajobrazie. Daleko w dole rozciągało się małe jezioro; jego odległy brzeg znajdował się u stóp łagodnych wzgórz, a Aphran, słońce planety, właśnie za nie zachodziło. Wyglądało jak czerwonozłota kula zniekształcona przez odległość i atmosferę. Wzgórza rzucały cień na drugi brzeg jeziora, promienie słońca malowały złotem fale w bliższej jego części, zdobiąc zielononiebieską toń jaskrawym blaskiem.

To tylko zachód słońca. Widziała już tyle pięknych zachodów w całej galaktyce, minęło jednak sporo czasu od dnia, kiedy po raz ostatni naprawdę zwróciła na to uwagę, doceniając jego piękno.

Zachód słońca, który nic nie znaczył wobec inwazji Yuuzhan, śmierci Anakina, zniknięcia Jacena, długiej rozłąki z resztą rodziny.

Lecz przez tę krótką chwilę nie czuła bólu, jaki sprawiały jej te tragedie i napawała się widokiem, jego nieskomplikowanym pięknem.

– Zamknąć to w butelce i sprzedawać, a można by zbić fortunę.

Podskoczyła. Podniosła wzrok i spojrzała w twarz Hana, który stanął tuż za nią. Pole energetyczne, które utrzymywało chłodniejsze powietrze w apartamencie, tłumiło też dźwięki, dlatego nietrudno mu było podejść ją niepostrzeżenie. Zapatrzył się w dal, obserwując znikające złote promienie, gdy słońce coraz głębiej zapadało za horyzont. Choć raz w jego twarzy nie było sarkazmu, podejrzliwości i cynizmu. Tylko zaduma.

Leia wzięła go za rękę. Usiadł na fotelu obok niej.

– Jak leci? – zapytała.

– Nieźle. Inwentaryzacja już prawie w połowie, jak dotąd nie znaleźli nieprawidłowości. – Ostatnie słowa były ich prywatnym kodem, uzgodnionym jeszcze przed wylotem w tę podróż. „Nieprawidłowości” oznaczały przedziały przemytnicze i ukrytą kapsułę ratunkową. Jak na razie, te sekrety nie zostały odkryte. – Mogłem zrobić zakupy. Szafki. Muszę tylko załatwić dostawę.

A zatem znalazł urządzenia komunikacyjne, których potrzebowali. Dostawa musiała jednak zaczekać, dopóki nowi dowódcy ruchu oporu nie znajdą dla nich miejsca.

– A ty?

– Zawarłam parę nowych znajomości.

– To dobrze. Wiesz co?

– Co?

– Nie chcę już dzisiaj rozmawiać o pracy.

– Ja też nie.

Tam i Wolam siedzieli w fotelach pilotów wahadłowca należącego do Wolama. Niegdyś była to wojskowa kanonierka, ale we wczesnych latach kariery Wolama została skradziona Imperium i stopniowo przekształcona w lekko uzbrojone ruchome biuro. Teraz stała w strefie zabronionej, naprzeciwko budynku biotyki, jako jeden z niewielu pojazdów, w którym o tak późnej godzinie nocy paliło się światło.

Z powodu braku normalnego sprzętu reporterskiego Wolam miał zainstalowany w pokładowym komputerze skromniejszy zestaw i teraz wraz z Tamem przeglądali zapisy z kilku ostatnich dni, dodając adnotacje, wybierając fragmenty, które można byłoby wykorzystać w następnym dokumencie historycznym Wolama, i te, które należało usunąć.

– Tu jest coś ciekawego – Wolam zatrzymał obraz i postukał palcem w postać jednego z mechaników, energicznie pracujących przy silniku X-winga.

– Mechanik – stwierdził Tam.

– Kobieta mechanik. – Wolam podregulował obraz tak, aby postać wypełniła cały ekran. – Korelianka, niezamężna. Ładna. Rozmawiałem z nią przez kilka minut, kiedy ty wyjaśniałeś Tarkowi funkcję zoom.

– Aha, rozumiem. Robimy sobie przerwę w pracy, żebyś miał czas umówić mnie z tą panią.

– Właśnie.

– A ja powinienem ją zaakceptować, bo jest ładna... Nie to, że nie powinna być ładna... ale czy ja jestem aż tak płytki?

– W twoim wieku powinieneś być płytki.

Tam westchnął i wyłączył pauzę. Nagranie odtwarzało się powoli, przez chwilę ogniskując się na X-wingu i jego załodze, po czym zgasło. Chwilę potem na ekranie pojawił się obraz głównego korytarza budynku biotyki.

– Co ważniejsze, nie czas teraz na to – dodał Tam. – Muszę najpierw uporządkować parę spraw. Na przykład kwestię mojej opinii zdrajcy.

– Ta opinia istnieje wyłącznie w twoim umyśle.

– I jeszcze to, że cały mój majątek został na Coruscant. W tej chwili wszystko, co mam, mieści się w jednej torbie, którą bez trudu podnoszę.

– No to poszukaj sobie kobiety, która nie jest tak płytka, jak powinieneś być ty.

– A to co? – Obraz na ekranie zaczął podskakiwać, tracić ostrość. Przedstawiał szereg talii i klamer przy pasach. Potem powędrował w górę i na ekranie pojawiła się twarz Wolama, prześwietlona i widziana mniej więcej z połowy wysokości człowieka. Obraz Wolama na ekranie skrzywił się i próbował odwrócić twarz od lampy.

– Och, to nagranie Tarka.

– Zgadza się, przy naszym drugim obchodzie budynku.

– Zdaje się, że eksperymentował z użyciem pręta świetlnego holokamu jako broni.

Tam prychnął, ale zaraz spoważniał.

– Wolam, to nie jest miejsce dla niego.

– Zgadza się.

– A rodzina Solo... cóż, nie mam prawa ich krytykować, mają wiele obowiązków, ale rzadko bywają w domu. Są dla Tarka jedynie chwilowym wsparciem i niczym więcej.

– Wiem. Przyjęli za niego odpowiedzialność, choć nie mogą być przy nim przez cały czas.

Chłopak potrzebuje czyjejś obecności, a nikt inny mu jej nie zapewni.

– Tak samo jak ty przyjąłeś odpowiedzialność za mnie wiele lat temu.

Wolam pokręcił głową.

– Nie całkiem. Ty miałeś wtedy szesnaście lat, byłeś prawie dorosły.

– Tak samo jak teraz.

Wolam uśmiechnął się lekko.

– Tam, posłuchaj. Jeśli masz jakąś wadę, to jest nią bierność. Nie przejmujesz inicjatywy, nie chwytasz okazji, które ci się nadarzają. Powinieneś częściej wychodzić, spędzać od czasu do czasu hałaśliwe wieczory z rówieśnikami – pełno ich tutaj, choćby ta pani mechanik. Musisz uwierzyć, że opinia zdrajcy jest jedynie twoim wymysłem. No cóż, ale to nie taka wielka wada. Jej konsekwencje cię dręczą, ale dotyczą wyłącznie ciebie. Nie krzywdzisz innych ludzi, wykonujesz wszelkie prace pokornie i dobrze, a jeśli przytrafi ci się cięższe zadanie, na przykład odrzucenie uwarunkowania przez Yuuzhan Vongów, robisz i to.

– Zdarza się.

– Chciałem ci powiedzieć, bardziej jako przyjaciel niż pracodawca, że jestem z ciebie dumny. Chciałbym, żebyś i ty był z siebie dumny.

Tam spojrział w oczy Wolama i szybko odwrócił wzrok, wbijając go w ekran. Nie chciał, żeby przyjaciel zobaczył łzy, które zakręciły mu się pod powiekami.

– Wolam, ten chłopak potrzebuje kogoś. Kiedy przyjdzie czas, żeby odejść z Borleias, chciałbym go zabrać ze sobą. Z nami, jeśli na to pozwolisz.

– Widzisz? Przyjąłeś kolejne zadanie. Ogromnie trudne zadanie, nawet w porównaniu z odrzuceniem yuuzhańskiego prania mózgu. Bierzesz odpowiedzialność za całe, kompletne dziecko. Rozmawiałeś z nim? A z Solo?

– Nie, ale porozmawiam. A jeśli którekolwiek z nich powie nie, to trudno. Sądzę jednak, że Tark zasługuje bodaj na propozycję.

– Myślę, że masz rację. Jasne, chętnie go z sobą zabiorę. Jeśli oduczy się wirować w kółko, drugi operator holokamery bardzo nam się przyda.

Tam się zaśmiał.

Na ekranie wciąż przesuwał się zapis z niskiego punktu widzenia Tarka. Kamera uchwyciła na moment Tama i Wolama, kiedy szli jednym z korytarzy w podziemiach budynku biotyki.

Na ścianie nad drzwiami do jednego z pomieszczeń coś błysnęło na chwilę odbitym światłem, po czym znikło, kiedy holokamera zmieniła ujęcie.

Tam poderwał się jak oparzony.

– Zatrzymaj.

Zatrzymał zapis, cofnął go do momentu, kiedy na ekranie znów pojawiły się drzwi.

– Co to jest?

– Nie jestem pewien. – Cóż, jeśli to było to, co podejrzewał, sytuacja stawała się kiepska.

Przewinął kilkakrotnie obraz tej sekundy zapisu. W jednej chwili ściana nad drzwiami była pusta, potem pojawiało się to odbicie i znowu pusta ściana.

– A teraz jesteś pewien?

– Chodźmy to sprawdzić.

Był to korytarz o niskim stopniu zabezpieczenia, choć znajdowały się w nim również wejścia do ściślej strzeżonych pomieszczeń; te były zabezpieczone klawiaturami i alarmami. Za załomem korytarza znajdowały się drzwi specjalnej turbowindy Eskadry Bliźniaczych Słońc strzeżone przez ochroniarzy.

Dwoje drzwi znajdowało się jednak dokładnie naprzeciw siebie. Te po lewej miały dostęp chroniony za pomocą klawiatury i tabliczkę ŚRODOWISKO. Drzwi po prawej wiodły do ciasnej, wypchanej do granic możliwości szafy z elektroniką.

Tam wyciągnął rękę i przesunął palcem po ścianie nad drzwiami. Po kilku centymetrach macania farby dotknął opuszkami czegoś gładszego, chociaż w strukturze ściany nie było widać żadnej różnicy. Gładki fragment miał może z dziesięć centymetrów długości, po czym znów zaczynała się szorstka ściana.

– Widziałem – rzekł Wolam. – Co to takiego?

– Zabawka Yuuzhan Vongów. Kiedy jeszcze mnie kontrolowali, umieściłem takie stworzenie na ścianie przed laboratorium Danni Quee. Popatrz. – Tam pogładził zwierzątko wzdłuż lewej krawędzi w sposób, który mu wpojono podczas krótkiego, bolesnego i przełomowego pobytu u Yuuzhan Vongów.

Na fragmencie ściany pojawiły się ostre, wibrujące kolory. Przedstawiały klawiaturę na sąsiednich drzwiach i dłonie poruszające się po klawiszach, wprowadzające kod dostępu.

Tam spojrział na Wolama z nieszczęśliwym wyrazem twarzy i wyjął z kieszeni komunikator:

– Tam Elgrin do Centrali Komunikacyjnej, proszę mnie połączyć z biurem Wywiadu.

– Tu Centrala, powtórz nazwisko i stopień.

– Tam Elgrin. Jestem jednym z cywilów w bazie...

– Och, racja. Jesteś tym cywilem. Czego chciałeś?

– Biuro Wywiadu.

– Biuro Wywiadu nie jest obsadzone przez całą dobę, a ty nie masz upoważnienia, żeby rozmawiać z szefem działu. Dziwię się, że w ogóle pozwolili ci zostać na Borleias.

Tam przykrył dłonią mikrofon komunikatora i uśmiechnął się cynicznie pod adresem Wolama.

– Więc opinia zdrajcy jest moim własnym wymysłem, tak?

– Daj mi to.

Tam podał komunikator Tserowi.

– Halo, tu Wolam Tser. Ja też chcę rozmawiać z dyrektorem wywiadu albo szefem ochrony, i to natychmiast!

Tam podszedł do klawiatury i wprowadził kod. Rozległ się głośny trzask blokady zamka i drzwi uchyliły się cicho. Za nimi znajdowały się półki z aparaturą, zajmujące całe ściany od podłogi do sufitu. Dzielila je wąska szczelina, przez którą mógł przejść najwyżej jeden człowiek.

– Nie, ty jesteś Tam Elgrin, tylko teraz zmieniłeś głos. Jeśli nie przestaniesz nadawać na tej częstotliwości, przeciągnę cię za śmigaczem po strefie zabronionej.

– Podaj nazwisko i stopień.

– Chorąży Urman Nakk, ochrona.

– Chorąży Urmanie Nakk z ochrony, czy na ogół cieszycie się opinią idioty?

– Co?

– Bo jeśli nie, to ja wam to gwarantuję za pół dnia. Wszyscy wasi koledzy, zwierzchnicy, wasza rodzina i zwierzęta będą was uważać za durnia. Podobnie jak oficerowie, którzy was będą sądzić na sądzie polowym. I zostanie wam to na całe życie, ponieważ jestem sławnym historykiem i komentatorem, a wy jesteście w najlepszym wypadku marnym pilotem palcem po biurku. I nie zdołacie się wybronić, choćbyście ze skóry wyleźli... chyba że natychmiast, mówię, natychmiast połączycie mnie z jednym z oficerów, z którymi chciałem rozmawiać. Już!

Tam pokazał Wolamowi uniesiony kciuk na znak, że go popiera. Po chwili wahania wszedł do niszy, cofnął się i nachylił, uważnie przyglądając się podłodze szafy elektroniki.

– Ja... chwileczkę, proszę się nie rozłączać.

Tam wysunął dłoń i dotknął palcem miejsca, gdzie metalowe dno szafy stykało się z durabetonową podłogą holu. Podważył ją, a podłoga dała się unieść bez trudu, ukazując otwór w durabetonie. Otwór miał gładkie, lecz nieregularne zarysy, którym brakowało precyzji maszynowego cięcia.

Z dołu dochodził jakiś dźwięk. Wydawał się nadlatywać z wielkiej odległości, ale był doskonale rozpoznawalny.

Był to jęk bólu.

Tam usiadł na krawędzi i spuścił nogi do otworu.

– Idę tam.

– Nie, nie idziesz.

– Przejmuję inicjatywę, Wolamie.

– Nie, masz zaczekać na oficera, aż się z tobą połączy.

Tam pchnął część metalowej podłogi, aż wsparła się o pulpit maszyny i nie mogła opaść na otwór. Potem wsunął się do środka.

– Tam, cholera, kiedy mówiłem, żebyś robił to, co chcesz, nie to miałem na myśli!

ROZDZIAŁ 9

Tunel nie biegł w linii prostej. Tam zresztą tego nie oczekiwał. Było to dzieło Yuuzhan Vongów, a oni nigdy nie stosowali linii prostych.

Jednak dzięki temu, jak również dlatego, że tunel został wywiercony w durabetonie, Tam mógł spokojnie zejść na dół, nie ryzykując, że spadnie i połamie sobie kości.

Dobiegł go następny krzyk, tym razem głośniejszy. Kilka metrów niżej durabeton przechodził w litą skałę, a potem znów w durabeton: wyglądało to tak, jakby kiedyś były tu niższe poziomy podpiwniczenia, prawdopodobnie niedostępne za pośrednictwem publicznych turbowind i awaryjnych klatek schodowych. Intruz Yuuzhanin zapewne wiedział o ich istnieniu. Tam nawet mógł włożyć rękę do bocznych, węższych kanałów tunelu. Przypuszczał, że kamieniożerne stworzenia, które wydrążyły to przejście, najpierw zmierzały w różnych innych kierunkach, przekazując obrazy lub inny rodzaj informacji szpiegowi Yuuzhan Vongów, który nimi sterował, co pozwoliło mu wybrać główną trasę.

Dotarł do większej wnęki, głębokiej na dwa metry i wysokiej na metr. Jej podłóże wyłożone było mszystą substancją. Znał ją z poprzednich doświadczeń; był to rodzaj posłania. Znalazł tu również żelatynowe worki, które, jak wiedział, zawierały stworzenia poddane bioinżynieryjnej obróbce. Stworzenia te mogły po uwolnieniu z galarety wykonywać przeróżne funkcje. Sam miał kilka takich egzemplarzy, kiedy jeszcze służył Yuuzhanom.

Rozległ się kolejny krzyk, a potem jakby odgłosy rozmowy. Zwolnił i starał się schodzić ciszej.

Jeszcze kilka metrów i tunel dobiegł końca, otwierając się na większe pomieszczenie. Oświetlały je pełgające, czerwone i niebieskie blaski, co wskazywało, że pochodzą raczej z ekranu komputera, niż z górnego oświetlenia.

Teraz dopiero Tam zrozumiał, co mówi jeden z głosów. Należał do mężczyzny i wysławiał się we wspólnym, jednak miał ten szczególny, urywany akcent i dziwny rytm, charakterystyczny dla Yuuzhan Vongów, kiedy nie chcieli ujawniać swojego pochodzenia.

– Gdzie jest prawdziwy kryształ? – zapytał głos.

Odpowiedź nie nadeszła od razu. Znów rozległ się potworny wrzask. Drugi osobnik również mówił męskim głosem, choć jego słowa zniekształcał ból:

– Nie ma. Zabrali go już na rurowiec.

– Błuznierstwo zwane rurowcem wciąż znajduje się w płaskim budynku. Nikt do nas nie strzelał. Pozostawili lambent w tamtym budynku, kiedy tu jest o wiele więcej strażników?

– Tak, tak... – kolejny krzyk nie skończył się tak szybko, lecz trwał i trwał, aż drugiemu głosowi zabrakło tchu.

Tam skrzywił się. Musi sprawdzić, co się dzieje w tym pomieszczeniu, zanim zacznie działać. Mógłby wprowadzić przez jakiś czas poczekać tutaj, zaparty nogami o boczną ścianę, ale nie da rady odwrócić się do góry nogami i wyrzucić na zewnątrz. Aż tak zwinny to on nie jest.

Racja, ma za to dodatkową parę oczu. Szybko zdjął z szyi lekką holokamerę. Pasek do zawieszania przytrzymał tak, aby urządzenie mogło na nim zwisać z obiektywem skierowanym w bok, a ekranikiem szybkiego podglądu u góry, od jego strony. Ustawił obiektyw na szeroki plan, po czym spuścił kamerę na samo dno tunelu.

W ekraniku widział teraz pokój znajdujący się poniżej. Wyglądało na to, że tunel ma wylot w narożniku jego sklepienia. Cały pokój zastawiony był sprzętem komputerowym, ale w jednym kącie widoczne było przejście, prowadzące zapewne na schody lub korytarz. W drugim kącie stało coś w rodzaju szafki wielkości kabiny prysznicowej i podobnie jak prysznic, osłoniętej przezroczystymi ściankami. Pod nimi leżał jakby stos kawałków potłuczonych transpastali.

Obok szafki stał fotel. Siedział w nim Bothanin, samiec. Miał związane ręce i nogi. Nad nim pochylał się mężczyzna w kombinezonie mechanika.

Przez moment Tam sądził, że Bothanin jest chory. Na jego twarzy i futrze, wszędzie tam, gdzie nie sięgało ubranie, widać było nieregularne guzy. Potem zauważył, że guzy poruszają się i drgają.

Znowu jakieś wstrętne robaki. Na oczach Tama mechanik podniósł rękę do czoła Bothanina. Rozległo się głośne chrupnięcie i Bothanin znowu wrzasnął. Kiedy mechanik opuścił dłoń, na czole Bothanina widniał kolejny pulsujący guz.

Wolam, gdzie się podziałeś? – pomyślał Tam. Zorientował się nagle, że nie może już czekać na Wolamę, który pewnie przekonywał teraz ochroniarzy, żeby za nim poszli, ani przyspieszyć tego procesu. Bothanin może umrzeć, a jego śmierć zaciąży na sumieniu Tama.

Co jednak może zrobić? Szybko przejrzał w myślach swój stan posiadania. Jedną ręczną kamerę, różne karty danych, komunikator, małe wibroostrze, które nosił ze sobą, bo lepiej się z nim czuł, ale to nie znaczy, że wiedział, jak się nim posługiwać.

No i mózg. Mózg, który nie zawsze pracował z podziwu godną sprawnością.

Nie włączał wibroostrza, lecz wziął je w zęby. Miał jeszcze inne narzędzia. Pokój w dole był ciemny, oświetlony jedynie poświatą ekranów komputerowych. Krzyki Bothanina zagłuszą cichsze odgłosy. Tam miał też siłę – nie był wojownikiem, ale budowy i mięśni często zazdrościli mu zawodowi zapaśnicy.

Ustawił kamerę na półce porośniętej mchem. Przesunął zawartość pamięci i dotarł do niedawno zapisanej sceny, po czym ustawił ją na odtwarzanie ze zwłoką sześćdziesięciu standardowych sekund.

Odczekał, aż padnie kolejne pytanie, odpowiedź i krzyk. W chwili, kiedy ofiara zaczęła krzyczeć, Tam opuścił się do pomieszczenia.

Teraz mechanik – oczywiście to nie żaden mechanik, tylko szpieg Yuuzhan Vongów, może nawet wojownik – musiał się tylko odwrócić, żeby zobaczyć intruza. Jedno spojrzenie, jeden atak i będzie po Tamie.

Ale mechanik nie miał zamiaru się odwracać. Pochylił się nisko, by napawać się agonią Bothanina. Tam chwilę wisiał na wyciągniętych rękach, potem puścił jedną, rozhuścił się i dzięki temu zdołał dotknąć palcami podłogi. Teraz zatrzymał ruch wahadłowy siłą nadgarstka, rozluźnił uchwyt i stanął, ale zaraz opuścił się na czworaka.

Natychmiast przeczołgał się pod ścianę, trzymając się głębokiego cienia pod półką pełną

zgaszonych terminali. Wyjął wibroostrze z ust i uchwycił tak, aby przycisk znajdował się pod kciukiem.

Nigdy nie rzucał się w oczy, mimo wzrostu i wagi. Teraz obawiał się jednak, że pomimo wysiłku i najlepszych chęci nie będzie wystarczająco niepozorny, by stać się niewidzialnym.

– Jeszcze raz. Gdzie jest kryształ...

Z tunelu, który Tam właśnie opuścił, odezwał się kobiecy głos, mówiący z rozwlekłym koreliańskim akcentem:

– Tak, dołożymy Yuuzhaninowi ile wlezie.

Mechanik wyprostował się raptownie, odwrócił i spojrzał w kierunku otworu. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, ale z całej postaci emanował niepokój i dezorientacja.

Głos ciągnął dalej:

– Nieważne, jak głęboko wbiją zęby. Mamy z czego czerpać, stoi za nami dwadzieścia tysięcy lat cywilizacji galaktycznej. Tego nie zdołają zniszczyć.

Mechanik podbiegł do otworu podciągnął się i wskoczył do środka.

Tam rzucił się przed siebie, kciukiem włączając wibroostrze. Widział wyraz twarzy Bothanina, jego przerażenie i ból, widoczne nawet spod spływających strumyczków krwi. Błyskawicznie przeciął jego więzy, które natychmiast opadły.

– Uciekaj – szepnął Tam.

Z otworu tunelu dobiegł łoskot i potok wściekłych słów w języku Yuuzhan Vongów, po czym rozległo się szuranie, oznaczające, że mechanik schodzi.

Nadszedł moment podjęcia decyzji. Wraz z nim nadszedł strach, większy niż kiedykolwiek zdarzyło się Tamowi odczuwać, nawet wówczas, kiedy był więźniem Yuuzhan Vongów i w każdym momencie mógł się spodziewać, że to jego ostatnia chwila.

Odwrócił się i rzucił w kierunku tunelu. Biegając, widział wyłaniające się z otworu nogi mechanika, skierowane piętami w jego stronę, palcami do ściany.

Mechanik zeskoczył na ziemię, ale kiedy zaczął się odwracać, Tam uderzył w niego całym potężnym ciężarem. Wbił go w kąt, waląc na oślep wibroostrzem, kopiąc, wrzeszcząc i tłukąc pięściami. Czuł krew spływającą po nożu, po ręce, palce oplatające mu przegub...

Poczuł, że ogromna siła, niczym maszyna, bezlitośnie skręca mu nadgarstek i nagle znalazł się twarzą do dołu na podłodze pokoju. Lewe ramię eksplodowało bólem. Wykręcił głowę, żeby spojrzeć i stwierdził, że jest wywichnięte ze stawu barkowego.

Bolało o wiele za bardzo, żeby się poruszyć, chyba nawet za bardzo, by coś słyszeć, ale mimo to dobiegły go słowa mechanika:

– Bijesz się jak dzieciak.

A potem rozległ się skwierczący odgłos strzału z miotacza i ryk karabinka ustawionego na pełny ogień automatyczny. Plecy Tama spryskała krew.

Mechanik upadł, przygniatając go do ziemi. Dłoń Yuuzhanina, wciąż trzymająca wibroostrze, uderzyła o podłogę obok ucha Tama.

Tam zmusił się, żeby spojrzeć w górę. Drzwi pomieszczenia były otwarte, wysypywali się z nich umundurowani pracownicy ochrony. Dowodziła nimi ciemnowłosa kobieta, którą widział kiedyś w bazie: Iella Wessiri, szef Wywiadu i żona generała Antillesa.

Uklękła obok niego, a jeden z mężczyzn ściągnął z Tama ciało mechanika.

– Tam? – zawołała Iella. – Słyszysz mnie?

– Teraz zemdlej – zapowiedział.
I zemdłał.

System Aphran, Aphran IV

Przyszli po Hana i Leię o najcichszej godzinie nocy. Wpadli do sypialni, celując z miotaczy, zanim oboje zdążyli wygramolić się z łóżka. Han gapił się w jaskrawe światła przymocowane do karabinów.

– Co to znaczy? – zapytał spokojnie, sztucznie niedbałym tonem. Dowódca intruzów, widoczny jedynie jako cień za kurtyną światła, odpowiedział:

– Hanie Solo, Leio Organa Solo, jesteście oskarżeni o sfalszowanie tożsamości, przemyt, wejście w przestrzeń Aphran pod fałszywym pretekstem i zbrodnie przeciwko państwu.

– To wszystko? – Han lekceważąco machnął ręką. – Tych przestępstw starczy najwyżej na godzinę...

– Wstawać. Ubierać się.

Han i Leia wstali, macając w półmroku w poszukiwaniu swoich pirackich przebrań.

Artoo zagwizdał.

Threepio, który właśnie przeprowadzał sekwencję samodiagnostyki, usłyszał niepokój w melodyjnym głosiku towarzysza i uruchomił pełne zasilanie. W ułamku sekundy odzyskał władzę nad słownikami i innymi systemami.

Znajdowali się wciąż tam, gdzie byli, kiedy wyłączył główne obwody, to znaczy w pustej teraz ładowni na prawej burcie „Sokoła Millenium”.

– Co ty mówisz? Co tam znowu wymijasz?

Złowróźbne brzęki, dochodzące z zewnętrznego luku ładowni o kilka metrów od nich, mówiły same za siebie.

– Ojejku, jejku! – Threepio z pewnością miał w pamięci jakieś procedury dotyczące działania na wypadek wtargnięcia, ale w tej chwili jedyną procedurą, jaka mu przychodziła na myśl, była ucieczka i porządna kryjówka.

Robot astromechaniczny gwizdnął znowu, wyraźnie zirytowany jego wahaniem. Artoo pochylił się do przodu, aby skorzystać z kółek, i wytoczył się z ładowni wprost na korytarz, prowadzący do większości pomieszczeń „Sokoła”.

C-3PO dreptał za partnerem.

– Możesz zwolnić? To nieelegancko tak pędzić.

Pobiegli do przedziałów rufowych, gdzie znajdowały się wejścia do kapsuł ratunkowych „Sokoła”. Artoo stał już przy skrajnej lewej kapsule, uruchamiając przycisk dostępu za pomocą manipulatora. Drzwi przesunęły się częściowo i zablokowały. Ekran danych na przedniej części oznajmił AWARIA. Robot jeszcze raz postukał w przycisk w rytmie, którego Threepio nie znał,

i drzwi otworzyły się na całą szerokość.

Dźwięk ten utonął w huk otwieranego wjazdu prawoburtowej ładowni i okrzykach: „Rozpocząć przeszukanie!” oraz: „Wynieście stąd to wszystko!”

Threepio wpakował się do kapsuły w ślad za R2-D2.

– To zupełnie, ale to zupełnie nie w porządku – marudził. – Pan Han i pani Leia nie robią niczego nielegalnego.

Mały robot gwizdnął i zaćwierkał, uruchamiając jednocześnie układy sterowania wewnątrz kapsuły.

– O, naprawdę? No cóż, sądzę, że słowo „nielegalne” zostało swoiście zinterpretowane przez lokalne władze, aby wystąpiły precedensy pozwalające na zakwalifikowanie przypadkowych wykroczeń przeciwko lokalnym przepisom jako przestępstwa.

Ćwir-ćwir.

– Jak to, celowo?

Wjazd kapsuły zasunął się cicho.

Na godzinę przed świtem R2-D2 otworzył wreszcie wjazd kapsuły i wytoczył się na zewnątrz. Na „Sokole Millennium” panował spokój; statek, osłonięty przez ściany doku, nie trzeszczał nawet pod naporem wiatru.

– Jak tu ponuro – szepnął Threepio.

Ćwir-ćwir.

– Nie, nie zamknę się.

Ćwir-ćwir.

– No dobrze, dla bezpieczeństwa zredukuję głośność, ale nie przestanę mówić.

Threepio poszedł w ślad za towarzyszem aż do sterowni. Półkulista głowa R2-D2 okręciła się dookoła o pełny obrót, przeszukując otoczenie i oceniając sytuację za iluminatorami.

W zasięgu wzroku nie było widać strażników, ale melodyjny tryl ostrzegł Threepia, że strategicznie umieszczone holokamery obserwują wjazdy na lewej i prawej burcie oraz rampę i wjazd górny.

– Tak, Artoo, wydaje mi się, że powinniśmy tu pozostać.

Robot astromechaniczny zaćwierkał z protestem w głosie.

– Ależ nie, nie mogli umieścić holokamery przy tajnym wjeździe w fałszywej kapsule.

Ćwir-ćwir.

– Oszalałeś? Nie mogę tam iść zupełnie sam! Zostanę schwytyany i rozkradziony na części.

Odpowiedź R2-D2 nie miała w sobie nic z muzyki. Brzmiała jak strumień powietrza wydmuchiwany przez gumowate wargi Hutta.

– Nie nazwę tego po imieniu. Rozumiem, że pan Han i pani Leia znajdują się w niebezpieczeństwie, ale nie zamierzam zginąć.

Ćwir-ćwir.

– Tak. Może oni też zginą.

Threepio zmagał się z informacją, jaką wcisnął mu mały robot. Miał jasny i wyraźny obowiązek: nawet nie posiadając odpowiedniego do tego celu oprogramowania, musi ocalić Hana i Leię.

Wyprawa ratunkowa oznaczała jednak narażenie się na fizyczne niebezpieczeństwo. Threepio robił to wielokrotnie w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci, z reguły przy gromkich protestach

oprogramowania samozachowawczego, ale teraz nawet to oprogramowanie podziałało inaczej. Mocniej.

Przeistoczyło się w prawdziwe przerażenie. Sama myśl o tym, że ktoś bez trudu mógłby go zaatakować na tyle gwałtownie, aby spowodować całkowite zawieszenie jego procesów umysłowych, przepelniała oprogramowanie Threepia takimi zakłóceniami statycznymi, że ledwie mógł się ruszać.

Z drugiej strony myśl, że Han i Leia mogliby zostać uszkodzeni w tym samym stopniu, była jeszcze gorsza i do pewnego stopnia przywróciła mu zdolność używania kończyn.

– Co mam zrobić?

Ćwir-ćwir.

– Och, nie.

Ukryty właz w dolnej części kadłuba „Sokoła” otworzył się cicho i wysunęły się z niego błyszczące metalicznie nogi robota, daremnie ubijające powietrze w poszukiwaniu oparcia na podłodze doku.

– Daleko jeszcze, Artoo?

Robot astromechaniczny gwizdnął.

Tors, a potem głowa C-3PO pojawiła się we włazie, w miarę jak Artoo powoli i równo opuszczał go w dół. Robot protokolarny trzymał się szarego sznurka, który wyglądał bardziej jak kabel zasilający niż lina wspinaczkowa. Szczerze mówiąc, węzeł, który trzymał w garści, był niczym innym, jak wtykiem portu danych. Threepio rozejrzał się wokoło, a potem zerknął w dół, na szybko zbliżający się durabeton.

– Och, nie mogę na to patrzeć. Niech to się już skończy.

W chwilę potem dotknął stopami podłoża. Kabel opadał dalej, układając się na płycie w nieregularnych skrętach.

Artoo zaczął niecierpliwie.

– Tak, tak, już idę. – C-3PO z przesadną ostrożnością, niczym złodziej z holokomedii, skradał się w kierunku ściany za rufą „Sokoła”. Potem obrócił się i podreptał wzdłuż ściany aż do załomu, obrócił się znowu i podreptał do drzwi doku, wychodzących na ulicę. Jego fotoreceptory nieustannie szukały kolejnych holokamer, ale nie zobaczył ani jednej, poza tymi, o których mówił Artoo.

Wetknął kabel w port danych obok drzwi. Teraz R2-D2 teoretycznie powinien zrobić swoje czary-mary z komputerem obsługującym dostęp do i z doku.

Threepio rozćwierkał się melodyjnie, ogłaszając zwycięstwo.

– Doskonale, Artoo! A teraz... Co? Co mam zrobić?

– Musimy wiedzieć – mówił mężczyzna po drugiej stronie stołu – po co tu przyjechaliście i co zamierzacie robić.

Był średniego wzrostu, miał małą ciemną bródkę i mały ciemny wąsik.

I małe, ciemne, paciorkowate oczka, pomyślał Han.

Mężczyzna był ubrany w mundur Wojskowych Sił Bezpieczeństwa Aphran, ale akcent miał obcy. Mówił wspólnym, jakby pochodził z Sektora Korporacyjnego.

– Jesteśmy tu po to, aby przetestować skuteczność kostiumów kosmicznych piratów produkowanych na Commenorze – odparł Han. – Muszę wiedzieć, jak nas zdemaskowaliście? Nasi

sponsorzy będą chcieli coś zrobić, żeby następnym razem kostiumy były lepsze...

– To nie jest zabawne – odparł mężczyzna.

– Jak się nazywasz, kolego?

– Jestem Mudlath, kapitan Mudlath, z Zewnętrznych Sił Bezpieczeństwa Planety Aphran.

– No, to przynajmniej jest zabawne. Hej, widzę, że nie brak ci poczucia humoru.

Leia zgromiła męża wzrokiem. To, co w tej chwili wyprawiał, mogło tylko pogorszyć sytuację; żadne wygłupy z pewnością jej nie poprawią.

Siedzieli wokół stołu w pomieszczeniu wyłożonym durabetonem, gdzieś w podziemiach portu kosmicznego. Han i Leia mieli ręce skute za plecami, a kostki związane odpornym na przecinanie sznurem półmetrowej długości. Mudlath siedział naprzeciwko nich, a dwóch jego ludzi o wyjątkowo nieprzyjaznych obliczach strzegło wyjścia z pokoju.

– Cieszę się, że tak doskonale się czujecie w tych okolicznościach i nie tracicie dobrego humoru – odparł Mudlath. – Musicie się jednak przyznać, że jesteście zaangażowani w działania militarne przeciwko Yuuzhanom, choć wiecie doskonale, że wszelkie czynności, które podejmiecie, mogą narazić na niebezpieczeństwo ludność tego spokojnego świata, wciągając go w niszczycielską wojnę.

Han się zamyślił.

– Czy „niszczycielska wojna” to przypadkiem nie o jedno słowo za dużo? Będę tak uważał, dopóki nie usłyszę o konstruktywnej wojnie, a może nawet zabawnej wojnie.

Mudlath, wyraźnie zdesperowany, zwrócił się teraz do Leii.

– Chyba zechcesz poprawić waszą sytuację, okazując większą chęć do współpracy niż twój mąż.

– Cóż, jest wściekły – wyjaśniła Leia. – I ma rację. Użyliśmy przebrań właśnie po to, aby zaoszczędzić waszym ludziom kłopotów. Gdyby Yuuzhanie wiedzieli, że tu jesteśmy, mogliby za nami przylecieć. Jeśli się nie dowiedzą, nie przylecą. Myśleliśmy o was, o waszych potrzebach i uczuciach, a wy nas wynagradzacie wrogością. Ma prawo być wściekły.

– Ciekawa uwaga – przyznał Mudlath. – Ale wciąż nie wyjaśnia waszej misji. Chcę znać nazwiska wszystkich osób, z którymi rozmawialiście od chwili przybycia.

– Och, no cóż... – Leia zastanowiła się przez chwilę. – No tak, najpierw był ten oficer, który się z nami skontaktował. Ten z władz portu kosmicznego. Przesłałam mu nasze dokumenty i dostaliśmy od niego promień naprowadzający.

– To prawda – skinął głową Han. – Zachował się bardzo przyjaźnie. Nie tak jak pan, kapitanie. Potem była kierowniczką doku, która przywitała nas przed wejściem. Rulacamp, prawda?

– Taka starsza kobieta – uzupełniła Leia. – Niezbyt rozmowna.

– I jeszcze jej pomocnik, ten, któremu spodobała się moja blizna.

Kapitan Mudlath westchnął i oparł podbródek na pięści.

– Czyżbyście chcieli mnie zmusić do użycia bardziej radykalnych metod?

– Ma pan na myśli tortury? – ożywił się Han. – No cóż... jak mus, to mus. Ale musi pan wymyślić coś naprawdę ekstra. Coś, czego nie znam. Byłem torturowany przez Dartha Vadera.

– Ja też – dodała Leia. – Wtedy jeszcze cię nie znałam.

– Będzie się pan musiał natrudzić, żeby go przebić.

– Zabrać ich stąd. – Mudlath nagle zaczął sprawiać wrażenie bardzo znużonego. – Później dowiemy się od was wszystkiego i to w bardzo nieprzyjemny sposób.

Threepio wyszedł z doku, w którym przetrzymywano „Sokoła Millenium”. Jeszcze nie zaczęło

świtać, więc nie był widoczny, jak normalny złoisty robot w pełnym blasku słońca, czuł się jednak niczym dwumetrowy pręt żarowy.

Na szyi miał zawieszony pakunek, który R2-D2 spakował, a następnie spuścił mu na linie. Były w nim rzeczy, które zdaniem Artoo mogły mu się przydać w drodze. Wyjął teraz jeden z tych przedmiotów – notatnik elektroniczny – i otworzył go. Wstukał kod interfejsu głosowego.

– Artoo, słyszysz mnie?

Na ekranie pojawiły się litery:

– Tak.

– Och, co za ulga. To znaczy, że już nie zakłócają częstotliwości komunikatorów?

– Wciąż blokują częstotliwości w granicach doku. Ale ty włączyłeś mnie bezpośrednio do komputera i teraz mogę się komunikować z komunikatorami poza polem zakłócającym.

– Nie muszę znać tych szczegółów. Wystarczyłoby tak albo nie.

– Nieprawda. Właściwa odpowiedź brzmiałaby: Nie, wciąż zakłócają częstotliwości komunikatorów, a ty wtedy zachodziłbyś w głowę, jak ja się z tobą komunikuję.

– Ta twoja piekielna skłonność pogrążania się w najdrobniejszych szczegółach zaczyna mi przeciążać obwody logiczne. A teraz skup się i odpowiedz jak najprościej. Co mam teraz robić?

– Gdzie jesteś?

Threepio rozejrzył się i wczytał informacje. Znajdował się na rogu dwóch uliczek w dokach, które z każdą chwilą stawały się coraz bardziej zatłoczone zarówno pieszymi, jak i śmigaczami. Widział ludzi, nieludzi, roboty, samojezdne ładowarki, poduszki, transportery towarów.

Nazwy uliczek lśniły na słupach.

– Chyba jestem na rogu rzędu czternastego i kolumny piątej.

– Ruszaj na południowo-zachodni róg rzędu 25 i kolumny 10.

– Jak poznam, że to południowo-zachodni róg?

– Jeśli zdołasz tam dotrzeć w ciągu najbliższych siedmiu godzin standardowych, zachód będzie tam, gdzie słońce.

– Bardzo dowcipne. Cha, cha. – Zirytowany do głębi swojej cybernetycznej duszy, C-3PO ruszył we wskazanym kierunku.

Han dał sobie spokój z drzwiami. Cofnął się do wbudowanej w ścianę pryczy i usiadł na niej.

– Nie mogę otworzyć panelu dostępu – poskarżył się. – Jest zbudowany jak więzienie.

– Bo to jest więzienie – odparła Leia.

– To wiele wyjaśnia. Możemy coś zrobić? Użyć Mocy?

– Jasne, gdybym miała miecz świetlny. – Leia stanęła pośrodku pokoju, przyglądając się kratkom wentylacyjnym i szczelinie w drzwiach, bez wątplenia przeznaczonej do podawania jedzenia na tacy. – A miecz, jeśli sobie przypominasz, zostawiłam na statku wraz z twoim ukochanym miotaczem, ponieważ oba są dość charakterystyczne. Ale daj mi minutkę.

Przymknęła oczy, usiłując pogrążyć się w Mocy, wyczuć wszystko, co ta zechce jej przekazać.

Czuła wokół siebie żyjące istoty... setki, tysiące, zbyt wiele, by je policzyć. Tak zresztą bywa w gęsto zamieszkałych obszarach. Nie było tu pęcherzy energii Ciemnej Strony, żadnych jarzących się światła ani innych anomalii, na których warto by się skoncentrować.

Były też i drzwi, a choć możliwości telekinetyczne Leii nie dorównywały większości znanych jej Jedi, nie była ich całkiem pozbawiona. Skupiła się więc na drzwiach, starając się zrozumieć ich

wewnętrzna strukturę tak, jak jej to ukazywała Moc.

Czuła ich metaliczną siłę, drobne szczeliny, sugerujące ruchome części. Wkrótce zdołała rozróżnić metaliczne pręty, które wznosiły się i opadały, aby zablokować skrzydło przed otwarciem. Inne pręty, mniej solidne, wsuwały się za tamte, aby zapobiec ich odblokowaniu.

Wybrała dolną belkę. Niebawem poczuła, jak żelazo porusza się pod wpływem jej wysiłków. Skoncentrowała się jeszcze bardziej i stwierdziła, że belka usuwa się na krótką chwilę, zanim inna siła nie wsunęła jej z powrotem na miejsce.

Leia spróbowała jeszcze raz z górną belką. Tę także mogła na chwilę usunąć – ale na zbyt krótko, aby zwolnić główną zasuwę.

Westchnęła i otworzyła oczy.

– Nie ma szans – oznajmiła. – Bez ćwiczeń w ogóle nie ma Mocy. Może za dwa, trzy dni byłabym w stanie otworzyć jeden zamek, a za kilka tygodni zdołałabym odsunąć oba jednocześnie i otworzyć to draństwo.

– Nie szkodzi – pocieszył ją. – Wydostaniemy się stąd w jakiś inny sposób.

– W jaki?

– Nie mam pojęcia.

ROZDZIAŁ 10

Artoo został wyprodukowany bardzo dawno temu, a to oznaczało długie lata doświadczeń i znajomości trików, technik i strategii. Dzięki temu oprogramowanie innych robotów nawet się do niego nie umywało. Tym razem jednak stwierdził, że będzie potrzebował każdego bajtu.

Albowiem, ku wielkiej jego frustracji, komputery więzienne w tym porcie kosmicznym po prostu nie chciały uwolnić jego przyjaciół.

Oczywiście bez trudu uzyskał wszelkie informacje. Tych udzielały mu dosyć chętnie. Han i Leia znajdowali się w celi na najniższym poziomie więziennym z adnotacją WROGOWIE PAŃSTWA i DO PRZENIESIENIA SPECJALNYM KONWOJEM.

Komputery więzienne dały się nawet przekonać, żeby zachować w tajemnicy fakt, iż Artoo próbował się przez nie przedrzeć. Zdołał sobie też stworzyć fałszywy identyfikator jako program testujący do sprawdzania skuteczności oprogramowania zabezpieczającego. Musiał więc znieść z ich strony jedynie łagodne docinki, kiedy bezskutecznie próbował wyminąć protokoły. A zdarzało się to często.

Komputerów więziennych nie dawało się przekonać, że cela Solo tak naprawdę jest pusta i że czeka na kolejnego lokatora. To by załatwiło sprawę. Nie uwierzyły również, że Solo mają władzę wojskową równoważną władzy kierownictwa więzienia lub dowódcy ochrony. Nie dały się namówić na dostarczenie do celi materiałów wybuchowych, znajdujących się w zabezpieczonej szafie. I nie udało się im wmówić, że Solo powinni być przeniesieni na poziom o minimalnych zabezpieczeniach.

R2-D2 zapiszczał ze zdenerwowania. Komputery więzienne, w przeciwieństwie do ludzi, nigdy nie bywały roztargnione ani głodne. Ich uwaga nigdy nie słabła. Takie przepychanki mogą zająć całą wieczność, a dokumentacja pary Solo zawierała informację, że w ciągu kilku godzin mają oni zostać przekazani w ręce gości spoza systemu.

Roztargniony. Głodny. Artoo wywołał protokoły komputerowe dotyczące potrzeb więźniów i zaczął je uważnie przeglądać.

Usatysfakcjonowany zaświergotał radośnie i wrócił do pracy.

Threepio stał w kolejce gości i powoli, metr po metrze, zbliżał się do wejścia służbowego więzienia.

– Artoo, jestem czwarty w kolejce – wyszeptał do worka, który miał zawieszony na szyi.

– Rozumiem.

Robot protokolarny spojrział na wejście. Stał tam jeden człowiek i jeden robot obronny. Robot

był potężny, w czarnej zbroi, sugerującej grupę szturmową, a pozbawione wyrazu oblicze z parą czerwonych, rozjarzonych oczu mogło przyprawić o koszmarny sny nawet innego robota. Człowiek wyglądał jak daleki kuzyn robota, bo niewiele różnił się od niego strojem i budową. Nie miał hełmu, za to oczy świeciły mu czerwono w świetle wschodzącego słońca.

Threepio zrobił jeszcze jeden krok naprzód.

– Przede mną jest już tylko dwóch.

– Dobrze. Wszystko powinno pójść zgodnie z planem – odpowiedział Artoo.

– Jakim planem?

Odpowiedzi nie było.

Teraz przed C-3PO była już tylko jedna osoba. Strażnik, przerywając w pół zdania krótką rozmowę z tą osobą, skrzywił się i podniósł do ust czarno emaliowany komunikator. Przez chwilę mówił coś do niego, po czym uruchomił mięśnie odpowiedzialne za zmianę wyrazu twarzy i zwrócił się do robota.

– Przejmij wszystko na chwilę – rzekł. – Kadry chcą mnie o coś zapytać, mam się stawić osobiście.

Robot skinął głową. Po odejściu strażnika przyjął czip identyfikacyjny następnego w kolejce, przesunął go przez szczelinę we własnej obudowie i zwrócił gościowi, odpychając go tak silnie, że ten omal nie spadł z wszystkich schodów.

– Odmowa – warknął. – Następny.

Threepio podszedł, ogarnięty irracjonalnym przekonaniem, że zaraz stopią mu się wszystkie obwody głosowe.

– Witam pana. Chciałbym wejść do tego...

– Zamknij się. Identyfikator.

C-3PO podał mu czip, który aż do tej chwili był wetknięty w notatnik.

Robot obronny wsunął go w szczelinę na piersi, wypluł z powrotem i zwrócił.

– Gastronomia Tadening ma zezwolenie na wejście – oznajmił.

– Dziękuję, proszę pana. – Threepio spróbował przejść, ale dłoń robota obronnego z ciężkim łupnięciem wylądowała mu na piersi.

– Nie tak szybko. Bagaż do rewizji.

C-3PO niechętnie podał mu torbę do sprawdzenia i otworzył klapę. W kieszeniach torby widać było wyraźnie miecz świetlny Leii, zmodyfikowany miotacz DL-44 Hana, wibroostrza, notatnik i karty danych.

– To jest... hm... ostatni posiłek dla Solo przed ich wyjazdem.

Robot obronny obrzucił wzrokiem zawartość torby.

– Zidentyfikować.

– Eee... cóż, te duże opakowania to koreliańskie kotlety. Ten w obudowie z wyłącznikiem jest oczywiście pikantny, ten drugi nie. Przerażony idiotyzmem własnych słów Threepio wskazał wibroostrza i brnął dalej: – A to paluszki chlebowe. I wafle miodowe na deser – dodał, dotykając palcem kolejnych przedmiotów.

– Żadnych warzyw?

– Żadnych warzyw. Z pewnością znasz Korelian.

Robot obronny sięgnął do bezprzewodowego łącza danych i wywołał trójwymiarowe obrazy artykułów żywnościowych, które wymienił C-3PO. Baza danych przedstawiła niedawno

zaktualizowane ilustracje wymienionych potraw, które w najdrobniejszym szczególe, włącznie z barwą, strukturą i wadami powierzchni, odpowiadały przedmiotom w torbie.

– Przejść – rozkazał robot obronny.

– Dziękuję panu bardzo.

Po przejściu przez bramkę C-3PO zastosował się do wskazówek mikrotransmisji danych, które przeprowadziły go przez labirynt pomieszczeń socjalnych – pralnię, elektroniczne monitorowanie więźniów, przejścia dla gości. Przy wejściu do kuchni zaczepił go samojezdny wózek, który otworzył dla niego jedną ze szczelin.

– Mam nadzieję, że jesteś pewien, że ta szczelina jest przeznaczona na posiłek dla Solo – mruknął Threepio.

Samojezdny wózek zapiszczał z irytacją.

– Nie wściekaj się, nie kwestionuję twoich kompetencji, tylko próbuję podtrzymać rozmowę. – C-3PO wrzucił do otworu zawartość torby. Wózek zatrzasnął szczelinę i z wielkim hukiem wytoczył się przez drzwi kuchni, wciąż piszcząc niezbyt przyjaźnie.

– Te roboty na służbie rządowej – prychnął Threepio. – No cóż, sprawdźmy, czy uda nam się stąd wyjść.

Mówił jednak wyłącznie do siebie. Dopóki nie znajdzie innego notatnika albo nadajnika o dość silnym sygnale, żeby połączyć się bezpośrednio z Artoo, będzie skazany na własne rozeznanie. R2-D2 powiedział mu tylko, że teraz ma czym prędzej uciekać, wydostać się na zewnątrz tą samą drogą, którą przyszedł, po czym ruszyć na północ tak szybko, jak zdołają go ponieść złociste nogi. I kazał mu być dzielnym.

– A więc tak wygląda dzielność – mruknął do siebie C-3PO. – Ciekawe, dlaczego jako żywo przypomina petryfikację.

Han i Leia słyszeli, jak robot z obsługi toczy się wzdłuż rzędu cel. Przed każdą przystawał i irytującym mechanicznym głosem wołał: „Śniadanie”, po czym następowała seria huków i trzasków.

– Mam wrażenie, że to może być ciekawe doświadczenie kulinarne – stwierdził Han.

Robot z piskiem zatrzymał się przed ich drzwiami.

– Ostatni posiłek – oznajmił.

– Jeszcze lepiej – westchnęła Leia.

Przez szczelinę w drzwiach zaczęły wpadać różne przedmioty. Pistolet Hana. Miecz Leii. I tak dalej.

– Ktoś tu chyba sobie żartuje – jęknął Han.

Leia zerknęła na niego z ukosa.

– Wiesz co, podoba mi się to więzienie. To moje ulubione więzienie.

Podeszli do drzwi i podzielili się zdobyczą. Leia otworzyła notatnik i przeczytała wiadomość:

– R2-D2 czeka. Kanał audio otwarty. Przycisnąć „dalej”, żeby otrzymać mapę drogi ucieczki, i „enter” aby otrzymać opis.

Leia uśmiechnęła się promiennie.

– Artoo?

– Melduję się. Proponuję rozpocząć ucieczkę możliwie jak najszybciej. Nie jestem w stanie zmusić robotów monitorujących, aby przestały obserwować waszą celę. W każdej chwili mogą

zacząć się zastanawiać, dlaczego nie jecie – odparł Artoo.

– Jasne – uśmiechnęła się Leia i przycisnęła klawisz „dalej”, szybko notując w pamięci pierwsze kilka elementów drogi ucieczki.

– Krótki korytarz, przeszkoda z prętów metalowych... – żaden problem, przebić się przez podłogę na piętro sekcji utrzymania maszyn. Już mam. Gotów? – podała notatnik Hanowi.

– Gotów. – Han zajął miejsce obok drzwi, waząc w dłoni miotacz.

Leia włączyła miecz świetlny i wsunęła końcówkę lśniącej czerwonej klingi energii pod drzwi na poziomie podłogi. Poczowała ciężki opór, który musiał być spowodowany naciskiem metalowych belek. Przecięła je i powtórzyła proces na górnej krawędzi drzwi, prowadząc ostrze nie całkiem pionowo, ponieważ nie była dość wysoka, żeby utrzymać miecz pod odpowiednim kątem.

Zaledwie minęła punkty największego oporu, cofnęła, się, przyjmując pozycję obronną i skinęła głową.

Han pchnął. Drzwi odsunęły się do połowy. Szybko cofnął rękę, kiedy strażnicy za nimi zaczęli strzelać w szczelinę.

Leia odbiła strzały mieczem, kierując jeden w bok, a drugi z powrotem w otwór. Promień trafił ubranego na niebiesko strażnika prosto w pierś i zwałił go na ziemię. Z munduru buchnęły płomienie i dym.

Han wysunął głowę i strzelił dwukrotnie, trafiając drugiego strażnika w bok. Żołnierz poleciał w głąb korytarza. Han jeszcze raz pchnął drzwi i otworzył je do końca.

Han i Leia skręcili w stronę zakratowanego wyjścia z bloku. Han stał z tyłu i ostrzeliwał drogę, z której nadeszli, Leia zaś zajęła się prętami, przecinając trzy z nich na poziomie głowy i kostek. Strzały z końca korytarza świsnęły Hanowi koło ucha i osmaliły ścianę za nim.

– Już? – zawołał.

– Już. Chodź. – Prześliznęła się przez otwór i odwróciła przodem do niego.

Podbiegł i przeskoczył przez otwór. W ciągu tych kilku sekund strażnicy więzienni pojawili się za zakrętem, zza którego właśnie wybiegł. Otworzyli ogień. Leia odbijała strzały w powietrzu, zachwycona, że wreszcie może robić coś tak prostego, bezpośredniego i wdzięcznego. Niektóre strzały po odbiciu wróciły tam, skąd je wystrzelono i zmusiły strażników do odwrotu.

Korytarz był zwykłą durabetonową rurą, łagodnie wznoszącą się w górę. Han popędził nią, oceniając odległość. Sprawdził na ekranie notatnika i wystrzelił z miotacza w podłogę, oznaczając na niej punkt.

– To nasz znak – rzekł.

Leia dołączyła do niego i pogрузzyła miecz w podłogę, wycinając dość krzywy okrąg. Han odczekał, dopóki pierwsza para stóp nie pojawiła się u szczytu rampy, po czym zaczął strzelać do pościgu.

– Jak leci?

– Powoli. Zapomniałam na początku skierować cięcie na zewnątrz zamiast do środka.

– A co za różnica... zresztą nieważne. – Przecięcie durabetonu ostrzem skierowanym pod kątem do środka utworzyłoby korek, który trzeba wyciągnąć od góry; cięcie pod kątem na zewnątrz spowoduje, że korek wypadnie sam.

Ale nie wypadł. Leia dokończyła cięcie i stanęła na środku okręgu, ale korek uparcie tkwił w otworze.

Han nie przestawał strzelać.

– Artoo! – zawołał. – Jak gruby jest ten cholerny strop?

Zerknął na ekran notatnika: „Mniej niż metr”.

– No to czemu nie spada?

Rozwścieczona Leia waliła nogą w korek. Ani drgnął.

– Sprawdź jeszcze raz mapę – westchnęła. – Może trzeba było ciąć gdzie indziej.

– Sama sprawdź. – Han rzucił jej notatnik i wypalił trzykrotnie, raz za razem. Odpowiedziała mu seria strzałów, które rykoszetowały od ścian, zalewając ich ogniem. – Widocznie nie umiem czytać map!

– Nie, wszystko w porządku.

– Spadaj, niech cię szlag! Spadaj! – Han walnął piętą w korek. Nic. Skoczył na niego, wybijając się z obu nóg.

Korek poleciał w dół.

Artoo przesłał rozkaz kablem, wijącym się przez całą fałszywą kapsułę aż do wtyku komputerowego obok drzwi doku. Jego czujniki akustyczne natychmiast wychwyciły zgrzyt unoszącego się dachu doku.

Wypluł kabel z własnego wtyku i odczekał, aż spadnie na posadzkę.

Z cichym, melodyjnym skrzekiem, zdradzającym dobry humor, robot wytoczył się z kapsuły ratunkowej wprost na mostek „Sokoła”. Włączył się do portu danych numer trzy i rozpoczął skróconą sekwencję startową z prędkością komputera. Władze portu kosmicznego wkrótce się zorientują, że teoretycznie wolny dok otwiera się właśnie, aby wypuścić teoretycznie internowany statek, a Artoo wolał w tej chwili być już daleko.

No cóż, R2-D2 nie co dzień miał okazję polatać sobie „Sokołem Millenium”.

Kapitan Mudlath był w biurze, obliczając sobie, co też zdoła kupić za nagrodę za parę Solo, kiedy zabrzączał komunikator.

– Kapitanie – zgłosił się adiutant do spraw administracyjnych. – Solo uciekli.

Mudlath poczuł, że robi mu się ciemno w oczach od nagłego przyływu adrenaliny.

– Lepiej, żeby to był żart – wycedził przez zęby. – I to śmieszny, żebym ze śmiechu zapomniał, że mam cię zabić.

– Nie wyszli jeszcze z więzienia – mówił adiutant. – I nie wyjdą. Ale opuścili celę.

Mudlath zniżył głos niemal do szeptu.

– Proponuję, żebyście ich wsadzili tam z powrotem. – Nie czekając na odpowiedź wyłączył komunikator i odchylił się do tyłu, próbując zmusić skurczone mięśnie brzucha, żeby się rozluźniły.

Jeśli ich nie złapią... hm, jego zwierzchnicy z Brygady Pokoju nie tylko nie wypłacą mu nagrody za schwytanie Solo, ale mogą się zdenerwować. A jeśli wszystko będzie szło dalej tak jak do tej pory, to znaczy jeżeli Brygada Pokoju będzie sprawowała rządy na tej zapyziałej planecie, być może będzie musiał odejść. Szybko. I niepostrzeżenie.

Zmusił się do działania i sięgnął do szuflady biurka, gdzie trzymał czipy identyfikacyjne, odebrane więźniom. Może, po pewnych modyfikacjach, jeden z nich pozwoli mu na ucieczkę z planety.

Durabeton pod stopami Hana spadł w mrok, ale tylko na głębokość około trzech metrów. Było to

dość głęboko, żeby Solo zaczął się martwić, czy nie wpadł w szyb kopalniany, ale jednocześnie na tyle płytko, że dzięki doświadczeniu zdołał przejąć impet upadku na zgięte kolana, zeskoczyć z korka i przetoczyć się po podłodze – równie twardej jak ta piętro wyżej – a wreszcie wstać na nogi z minimalną liczbą sińców.

Co wcale nie znaczy, że bez żadnych uszkodzeń. Jego kręgosłup w kwiecie wieku męskiego przypomni mu o tym już rano. Zdumiewające, ale nawet nie zgubił miotacza.

Znajdował się w kolejnym durabetonowym tunelu, którego jedynym oświetleniem było światło wpadające przez dziurę w sklepieniu. W dziurze zaraz pojawiła się głowa Leii.

– Wszystko w porządku?

– Złaż do mnie!

Skoczyła głową w dół, ale w pół drogi przekręciła się i wylądowała, oczywiście na stopach. Jej skok był tak lekki, że Han mógł tylko się uśmiechnąć.

– Robisz to dokładnie tak, jak wszyscy Jedi.

– Cicho. Dokąd teraz? – podała mu notatnik.

Sprawdził na ekranie i zwrócił się w tym samym kierunku, w którym uciekali tunelem piętro wyżej.

– Tam mają być metalowe drzwi, prowadzące do zgniatacza złomu. Idziemy w lewo i wychodzimy drzwiami na końcu.

– Nie, Han. Tylko nie kolejny zgniatacz. Raz w życiu wystarczy.

Mapa na ekranie znikła nagle, a w jej miejsce pojawiły się słowa:

– Zainicjowałem wyłączenie zasilania zgniatacza. Nie można go uruchomić, jeśli nie przejdzie pełnej sekwencji startowej, a to potrwa co najmniej trzy godziny.

– No dobrze – westchnęła Leia. – W takim razie idziemy.

W otworze w sklepieniu pojawiły się nowe postacie. Han i Leia ruszyli biegiem, nie czekając, aż tamci zaczną strzelać.

Dzięki oczom holokamer „Sokoła” i ekranom czujników, R2-D2 zdołał podnieść transporter na repulsorach. Statek kołysał się jak talerz balansowany na patyku i robot nie mógł się nadziwić, jakim cudem ludzie, z ich odruchami śpiącego ślimaka, nie dorównującymi szybkości komputera, mogą się nauczyć tak dobrze pilotować te pojazdy.

Ostrożnie wyprowadził „Sokoła” z doku, zanim skrzydła dachu zdążyły się zamknąć. Świergot robota przypominał radosny chichot – władze portu kosmicznego połapały się ciut za późno. Teraz był już nad dokiem, poza zasięgiem wszelkich urządzeń zakłócających komunikację; znów mógł widzieć i łączyć się z notatnikiem Hana i Leii.

Teraz musi tylko doprowadzić „Sokoła” pod więzienie. Nie, nie tylko doprowadzić. Doprowadzić w jednym kawałku.

Han ze złością kopnął stertę metalowego złomu, opartą o drzwi wyjściowe z komory zgniatającej.

– Artoo, nie mówiłeś, że będziemy musieli się przekopywać na zewnątrz!

R2-D2 odpisał:

– Przepraszam, komputer nie wspomniał, że zgniatacz jest do połowy pełen. Sami łamią własne przepisy, pewnie dlatego nie podali informacji o zawartości.

– Leia, możesz to poprzecinać? Albo wyciąć dziurę w ścianie? – Han spojrzał na Leię z nadzieją.

Leia postukała ostrzem miecza świetlnego w lśniącą niebieską ścianę pomieszczenia i pokręciła głową.

– Jak widać, nie. Magnetyczne zabezpieczenie. Mogę pociąć tę stertę i to w ciągu kilku minut... – usłyszała za plecami mechaniczne głosy i odwróciła się – ...których nie mamy.

Przez drzwi, których Han i Leia użyli zaledwie kilka chwil temu, wszedł robot obronny i zaczął strzelać w tym samym momencie, w którym lufa jego miotacza wysunęła się z otworu. Ruszył biegiem naprzód, nie przestając strzelać. Zaledwie dobiegł do przeciwległej ściany, zajął dogodną pozycję i zaczął ich metodycznie ostrzeliwać.

Leia odbiła pierwszy promień, po czym wraz z Hanem rzuciła się za najbliższą stertę złomu. Zasłona była dobra – ciężkie kawały stali bez trudu pochłaniały energię strzałów z miotacza. Chybione strzały jednak odbijały się od ścian i, obdarzone nową energią przez pole magnetyczne, nieuchronnie musiały trafić Leię lub Hana od tyłu.

Do pomieszczenia wpadł drugi robot, potem trzeci i czwarty. Wszystkie strzelały jak najęte.

– No to po nas – szepnęła Leia.

– Nie sądzę. – Han rozejrzał się wokoło, znalazł wygodniejszą niszę w stercie złomu i przeskoczył do niej. Mógł się na chwilę podnieść i strzelać. – Sześć, siedem, osiem. Im więcej, tym lepiej.

– Im więcej, tym lepiej? – Leia wsunęła się w szczelinę obok niego.

– Właśnie, jeśli będzie ich tu dość, nic nam się nie stanie.

– Teraz wiem, czemu nigdy nie chcesz wiedzieć, jakie masz szanse. Nie znasz tego pojęcia!

Han uśmiechnął się promiennie.

– Dziewięć, dziesięć, jedenaście. To wystarczy na początek. Możesz mi podać kilka tych karabinków laserowych?

– Masz zamiar obronić się, strzelając?

– Właśnie. Proszę, Leio. Dwa karabinki.

Leia zawahała się, wyraźnie zbita z tropu rzadko używanym przez Hana słowem „proszę”, wreszcie mruknęła:

– Kryj mnie. Idę.

Han wyskoczył i szybko wystrzelił kilka razy. Leia w chwilę później wysunęła się z ukrycia i zobaczyła, jak roboty przymierzają się do ostrzelania jej męża. Kilka jednak musiało wstrzymać ogień, żeby nie zniszczyć kolejnych robotów, które łądowały się do hali.

Używając Mocy Leia sięgnęła w kierunku jednego z tych ostatnich, który zdawał się trzymać miotać dość luźno. Szarpnęła ku sobie i karabinek pozęglował w jej kierunku. Zanim wylądował, powtórzyła sztuczkę z kolejnym robotem wchodzącym do pomieszczenia i jego miotacz również posłusznie wylądował w dłoniach Leii.

Przypadła do Hana.

– Co teraz?

– Taktyka korwety.

Podniósł najgrubszą i najcięższą blachę, jakiej mógł dosięgnąć, i ustawił tak, aby przykrywała ich oboje. Zaimprovizowana forteca oświetlona była tylko poświatą miecza Leii.

Han wskazał dwa punkty w blasze.

– Dziura tu i tu. Wielkości pięści.

Leia posłusznie wypaliła w metalu dwa otwory.

Powietrze wypełniał teraz odór przegrzanej durastali.

– Nie będziesz widział, w co celujesz.

– Kto by tam celował... – Han wstawił po jednym miotaczu w każdy otwór, wymierzył mniej więcej w sufit i zaczął strzelać.

Leia wyłączyła miecz świetlny i odsunęła się możliwie jak najdalej od miotaczy, zasłaniając uszy rękami. Huk w tym zamkniętym pomieszczeniu był ogłuszający. Han przesuwiał miotacze na wszystkie strony, z lewej na prawą i z góry na dół.

Metalowa pokrywa zadygotała, gdy trafiły w nią pierwsze rykoszety. Han obejrzał się na Leię i zachichotał jak wariat, po czym zamknął oczy i strzelał dalej.

Najpierw jeden, a potem drugi miotacz wyczerpał ładunek i umilkł z cichym kliknięciem. Dźwięk rykoszetów nad ich głowami jednak nie ustawał. Strzały odbijały się od jednej ściany do drugiej, od ścian do sufitu i z powrotem, i jeszcze raz, i jeszcze, aż uderzyły w coś, co nie było chronione magnetyczną powłoką pomieszczenia.

Na przykład w kupę złomu. Na przykład w roboty. Na przykład w roboty zredukowane do kupy złomu.

Kiedy wreszcie wszystko ucichło i na zewnątrz nie było już słyhać ani strzałów, ani trafień, Han ostrożnie odsunął blachę na bok i wyjrzał. Leia też wysunęła głowę, żeby popatrzeć.

Roboty nie zostały doszczętnie zniszczone. Jeden z nich przechadzał się tam i z powrotem, pozbawiony połówki głowy; przyciskał wyzwalacz w miotaczu, z którego została sama rękojeść. Drugi robot kręcił się wokół własnej osi, górna połowa w jedną, a dolna w drugą stronę, aż wreszcie przewrócił się na podłogę i przeturlał bezradnie. Większość jednak leżała nieruchomo.

– Będę pilnował wejścia – oznajmił Han – a ty przetnij się przez ten stos i może wyjdźmy stąd wreszcie.

– Z rozkoszą.

Strażnicy wybiegu popatrzyli w górę, na „Sokoła Millenium”, który niezgrabnie manewrował nad ich głowami.

Strażnicy podnieśli miotacze i otworzyli ogień. Artoo widział atak przez holokamery transportera i poczuł chwilowy dreszcz przerażenia. Już widział wszystkie uszkodzenia, zanim obliczenia prawdopodobieństwa nie podpowiedziały mu, że broń ręczna nie jest w stanie uszkodzić statku. Sprowadził „Sokoła” o kilka metrów w dół, aż jego stępka znalazła się tuż nad ziemią, i tak pozostał.

Han i Leia wybiegli z bocznych drzwi w jednej ze ścian wybiegu. Wprawdzie odciągnęli od „Sokoła” ogień robotów-strażników, ale Han strzelał z miotacza przez całą drogę do statku, zmuszając je do krycia się i obrony, podczas gdy Leia odbijała po kolei wszystkie promienie wystrzelone w ich stronę. R2-D2 opuścił prawoburtową rampę i w ciągu kilku sekund Han z Leią znaleźli się w sterowni.

Artoo podniósł rampę.

Leia poklepała małego robota po kopulce i opadła na fotel drugiego pilota.

– Świetna robota, Artoo.

Zaszczębiotał coś do niej, przekazał jeszcze jeden komunikat przez port danych, po czym odłączył się od portu.

Han ściągnął piracką tunikę i zdrapał sztuczną bliznę znad oka, nie przestając obserwować konsoli.

– Threepio idzie od północy. Wskakuj do górnej wieżyczki laserów. Zdejmujemy Threepia i wynosimy się stąd.

– Mam nadzieję, że w kosmos – mruknęła.

– Do lasu, skarbie – Han rzucił jej krzywy uśmiezek. – Choć raz mi zaufaj.

Portu broniły cztery podstarzałe Z-95 – Łowcy Główn, szacowni prekursorzy X-wingów. Trzymały się na ostrożną odległość, bojąc się atakować transporter tak blisko ziemi. Leia pomagała im w zachowaniu stosownego dystansu właściwie użytymi laserami z wieżyczki.

Han poprowadził „Sokoła” na północ, zniżając lot tylko raz i tylko na tak długo, aby opuścić na moment rampę i zabrać na pokład C-3PO. Potem zwiększył moc silników i skierował się na północny zachód, w kierunku, gdzie rosły najgęstsze lasy. Zbliżając się do skraju odwiecznej puszczy, gdzie niektóre drzewa osiągały wysokość dwudziestopiętrowego budynku, obrócił „Sokoła” na bok. Statek wśliznął się w las jak wibronóz w niebieskie masło. Ścigające go statki przerwały pogoń, rozproszyły się i niezdecydowanie zwiększyły pułap, usiłując znaleźć „Sokoła” z góry. Po kilkuset metrach szarpającego nerwy slalomu wśród drzew Han przekręcił statek do normalnej pozycji i wylądował na zacienionej łące.

– Jeśli wolno spytać, proszę pana – odezwał się Threepio, który do tej pory siedział desperacko uczepiony pasów bezpieczeństwa – dlaczego nie lecimy w przestrzeń?

– Ponieważ na pokładzie „Sokoła” ktoś był – warknął Han. – A wiesz, co się dzieje za każdym razem, kiedy ktoś, kogo nie lubię, wchodzi na pokład?

– Nie, proszę pana.

– Zawsze coś zepsują. Najczęściej tarcze albo sterownik hipernapędu. Nienawidzę tego. Leio, przejmij stery, a ja pójdę przyjrzeć się, co tu narobili.

– Tak jest, kapitanie. Natychmiast, kapitanie. – Leia podreptała do sterowni i usiadła w fotelu pilota sekundę po tym, jak Han go opuścił. – Wiesz, że mamy tylko kilka minut, zanim nas nie wywęszą i nie zaczną strzelać z ciężkich dział.

– No to miejmy nadzieję, że jestem tak dobrym mechanikiem, za jakiego się uważam.

– Mogę w czymś ci pomóc, póki nie skończysz?

– Zajmij się panelem komunikacyjnym i sprawdź, czy dasz radę namierzyć ich częstotliwość. Może się dowiemy, ile czasu naprawdę mamy.

– Przy okazji porozumiem się z naszymi kontaktami przemytniczymi. Niech wiedzą, że musimy się szybko wynosić.

– Bardzo uprzejmie z twojej strony.

– Och, zamknij się.

Han nie potrzebował dużo czasu, żeby znaleźć dowód sabotażu. Istotnie uszkodzono sterownik hipernapędu. Ktoś zainstalował zwykły bezpiecznik, który miał wytrzymać sprawdzenie systemu, ale spalić się przy pierwszym przepływie normalnej mocy przez system. W przedziale sterownika hipernapędu sabotażysta zamontował również układ naprowadzający. Han przełączył zasilanie hipernapędu tak, jak powinno być, a układ naprowadzający wyrzucił przez luk.

Biegiem zawrócił do sterowni i usiadł w fotelu pilota. Leia, wciąż ze słuchawkami komunikatora na uszach, wstała szybko i przesiadła się na własny fotel.

Wspólnie obserwowali, jak w pewnej odległości z prawej strony wynurzył się długonosy pojazd

latający i zwinnie kluczył pomiędzy drzewami.

– A to co? – zapytał Han. – Yuuzhanie czy produkcja miejscowa?

– Nie widzę z tej odległości – odparła Leia.

– No cóż, wyminiemy go i wtedy zobaczymy, co to za jeden. – Han włączył repulsory i postawił „Sokoła Millenium” na rufie. Dobiegły go pełne niezadowolenia okrzyki C-3PO i dziki wrzask przerażenia Artoo. Przyspieszając w kierunku wierzchołków drzew, obejrzał się na Leię ze śmiechem. – Zapomniałem im powiedzieć, że startujemy.

– Właśnie.

– Leia, musisz przyznać, że było fajnie.

– Jasne. Porwanie, więzienie, grożenie torturami, strzelanina... całkiem fajnie.

– No widzisz.

Leia poczuła, że na jej twarz wypływa niekontrolowany uśmiech.

– No dobrze, dobrze. Mimo wszystko było całkiem miło.

– Witaj w domu, księżniczko.

ROZDZIAŁ 11

Tam zbudził się na łóżku szpitalnym.

Znowu.

Przestawało mu się to podobać. Za często tu wracał.

Tym razem bolało go lewe ramię, a on usiłował przypomnieć sobie dlaczego. Kiedy tylko jakiś członek ekipy medycznej pojawił się w zasięgu jego wzroku, skinął na niego i zapytał:

– Czy mógłbym przekazać komuś wiadomość?

– Może najpierw kogoś tu przyprowadzę – zaproponował tamten.

Kilka minut później zza błękitnych zasłon wynurzyli się goście. Pierwszy podbiegł Tark, zajmując miejsce jak najbliżej Tama. Uśmiechnięty Wolam zadowolony się miejscem w nogach łóżka. A szef wywiadu Iella Wessiri usadowiła się pośrodku.

– Które ramię cię boli? – zapytał Tark.

– Nie, nie, Tark. Uważaj na protokół. – Tam żartobliwie zgromił go wzrokiem. – Pierwszy ma mówić ten gość, który jest najważniejszy z punktu widzenia towarzyskiego lub który ma najmniej czasu. Kto to będzie?

– Ja – odparował Tark.

– Spróbuj jeszcze raz.

– No dobrze... chyba ona.

– Już lepiej.

Iella uśmiechnęła się do chłopca.

– Miałam chwilę czasu, więc postanowiłam, że sama tu wstąpię, żeby ci przekazać najnowsze wieści. Wczoraj dokonałeś nadzwyczajnego czynu. Udało ci się zapobiec ucieczce szpiega Yuuzhan z pewną bardzo ważną informacją.

– Informacją, której nie chciałaś im podarować. W przeciwieństwie do tych, które ja im przekazywałem.

Iella skinęła głową, niezrażona jego goryczą.

– Jaka to informacja?

– Nie powinnam nic mówić, a ty nie powinieneś pytać.

– Chyba się domyślam. – Pozostając jeszcze pod kontrolą Yuuzhan Vongów, przejął zapisy dotyczące projektu opracowywanego w tej bazie, czegoś w rodzaju superbroni, wymagającej zastosowania gigantycznego lambentu, żywego kryształu, produktu bioinżynierii, zazwyczaj hodowanego przez Yuuzhan. Szpieg torturował Bothanina, pytając o ten kryształ, co sugerowało, że był on monitorowany lub przechowywany właśnie w jego pokoju. Ale przecież w bazie nie było żadnego wielkiego kryształu lambentu... – tylko ślady jakiejś ogromnej mistyfikacji.

Gigantyczny kryształ nigdy nie istniał. To zwykła zmyłka. Cały projekt Gwiezdnego Włócznika to jeden wielki fortel. W jednym przeblysku zrozumienia pojął, że Gwiezdny Włócznik był tylko prztyczkiem w nos dowódcy Yuuzhan Vongów, czymś, co miało poprowadzić go w żądanym kierunku.

– I co, domyśliłeś się?

– Nie powinienem nic mówić, a ty nie powinnaś pytać.

– Dobry chłopak.

– Jak Bothanin?

– Żyje. Pewnie by nie przeżył, gdybyś nie interweniował. Leży o kilka łóżek dalej. Możesz z nim porozmawiać, jeśli lekarze pozwolą. Poza tym chciałam tylko wpaść i podziękować ci.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. No, może wolałbym, żeby nie bolało.

Zaledwie odeszła, Tark szepnął:

– Wszyscy o tobie mówią.

– Co mówią?

– Że musisz być szalony jak małpojaszczur, żeby tak w pojedynkę rzucać się na Yuuzhanina.

– A ty co mówisz?

– No wiesz... ja nigdy nie widziałem małpojaszczura.

Tam kiwnął głową.

– Bardzo dobrze.

– Chodź, mały – Wolam skinął na Tarka. – Ten małpojaszczur musi sobie trochę odpocząć.

Możesz być moim operatorem, dopóki on się nie zwlecze z łóżka.

– Świetnie – podskoczył Tark. – Będę kręcił wszystko to, czego on się boi.

– Byleś nie nakręcił mnie – Tam naciągnął koc na głowę.

Usłyszał jeszcze chichot Tarka, po czym znów spokojnie zapadł w sen.

Coruscant

Luke przebudził się w mroku, przez moment zdezorientowany brakiem znajomych widoków i zapachów, ale spokojny, bo czuł przy sobie obecność Mary. To właśnie jej moszczenie się na szerokiej pryczy u jego boku przywołało go do rzeczywistości.

- Skończyłaś wartę? – wymamrotał.
- Zgadza się. – Wsparła podbródek na jego ramieniu i ułożyła się jak na poduszce. – Śpij.
- Powinienem wstać.
- Lepiej nie wstawaj. Same złe wieści.
- Jakie wieści?
- Spytaj naukowców.

– Spędziliśmy bardzo dużo czasu w ruinach – wyjaśniła Danni – i nie mieliśmy okazji pozbierać wszystkich odczytów, jakie nam były potrzebne. – Zamiast ciągnąć dalej, ziewnęła, po czym rozejrzała się, zakłopotana, że zdradziła się ze swoim zmęczeniem.

Luke, Danni i Baljos znajdowali się w nastawni kompleksu. Dwójka naukowców wydawała się wykończona, ale przynajmniej teraz było dość wody, żeby się wykapać i wyprać odzież, więc i tak wyglądali lepiej niż przez ostatnich kilka dni.

– Jakie odczyty? – zapytał Luke. – Za każdym razem, kiedy na was patrzę, pobieracie jakieś odczyty.

– Były to głównie odczyty biologiczne – wyjaśnił Baljos. – Odczyty przepływów energii elektromagnetycznej, testy chemiczne wody i źródeł żywności... tego typu analizy. Ale dopiero kilka godzin temu, kiedy Kell i Bużka wyszli na górę i ustawili holokamery oraz urządzenia monitorujące, byliśmy w stanie dokonać zapisów astronomicznych.

Luke wzruszył ramionami.

– No i czego się dowiedzieliście?

– Odczyty grawitacyjne sugerują, że jesteśmy teraz bliżej słońca Coruscant – oznajmiła Danni. – Orbita planety uległa zmianie.

– Temperatura powietrza jest o kilka stopni wyższa, niż powinna być o tej porze roku – dodał Baljos. – Wydawało mi się, że tak jest, już przy pierwszych odczytach, ale nie mogłem powiedzieć nic pewnego aż do tej pory... równie dobrze mogła to być zwykła sezonowa fluktuacja temperatury. W atmosferze jest też znacznie więcej wilgoci, niż być powinno. Odczyty laserowych analizatorów spektralnych dają spójne wyniki i to na duże odległości. Mistrzu Skywalkerze, moim zdaniem czapy polarne topnieją.

– Luke. Po prostu Luke. – Luke usiadł, marszcząc brwi. – Czy to przemiana światów na ich

modłę?

Danni skinęła głową.

– Raczej „vongizacja”. Zachodzi znacznie szybciej, jest brutalniejsza i skuteczniejsza niż nasze techniki.

– A dobrych wieści nie ma?

– Niewiele. – Danni wskazała na pierwszy z trzech ekranów komputerowych.

Był na nim obraz z holokamery przedstawiający dach budynku. Wyglądał, jakby zmieniał skórę – wiatr unosił kawałki czegoś, co wyglądało jak liście.

– Jesteśmy świadkami obumierania jednej z vongizujących roślin. Trawy i eksplodujące grzyby, których używali do rozbijania budowli zaczynają obumierać. Nie wiem, czy to oznacza, że nie mogą się zaadaptować do tego środowiska, czy to tylko pierwszy, dobiegający końca etap vongizacji planety, po którym przyjdą następne. Doktor Arnjak podejrzewa tę drugą możliwość.

– Dla ciebie jestem Profesorkiem – rzekł Baljos.

– Więc to albo dobra, albo zła nowina – mruknął Luke.

Baljos kiwnął głową.

– Właśnie. Tutaj mam wieści, które są mniej dwuznaczne – wskazał na dwa pozostałe ekrany, jeden wypełniony wykresami i tekstem, drugi podzielony na osiem obrazów z holokamer: Yuuzhan Vongów przekopujących się przez gruzy, zajętych treningiem lub ustawionych w równe szeregi.

Luke spojrział na ekrany. Informacja na pierwszym wydawała się dotyczyć proporcji gazów w atmosferze.

– Co to oznacza?

– Proporcja gazów toksycznych w atmosferze właściwie się ustabilizowała. Oczywiście, na pewnych szczególnych wysokościach jest ich więcej, na innych mniej, ale w sumie ich ilość nie ulega zmianie. Sądzę, że ich obecność ma związek z działaniem vongizujących roślin, które rozbijają durabeton i niszczą metale. Oznacza to również, że Vongowie nie próbują zatruć nam atmosfery. Zwiększa to szanse na przeżycie tych ludzi, którzy wciąż jeszcze się tu znajdują.

– Zdaje się, że to już coś. – Luke objął wzrokiem naukowców. – A ten drugi?

– Pamiętasz, że przywieźliśmy tu kilka małych roboczków zwiadowczych? – zapytała Danni. – W kształcie grzybów, mchów, no wiesz. Wypuściliśmy je w miejsca, które wydają się nam gęściej patrolowane przez Yuuzhan. Wędrują sobie bardzo powoli tymi ścieżkami, przekazując informacje w krótkich, trudnych do wykrycia pakietach komunikacyjnych. A tak wyglądają nasze pierwsze zestawy zdjęć. Niewiele nam mówią, ale mam nadzieję, że pewnego dnia będzie inaczej.

– Co zatem wnioskujecie z danych atmosferycznych?

Danni i Baljos wymienili spojrzenia, z których Luke mógł odczytać wiele, bardzo wiele. Już wyciągnęli wnioski, pomyślał, zastanawiają się tylko, które z nich mogą mi przedstawić i w jakiej kolejności.

– W sumie zasugerowaliśmy tym, którzy przeżyli, że siły Nowej Republiki wrócą i odbiją Coruscant – mruknęła Danni.

– Tak miało być – skinął głową Luke.

– Nie sądzę, żeby było dokąd wracać. Ile lat to zajmie? Rok? Pięć lat? Dziesięć? Zanim nasze siły tu dotrą, to już będzie inny świat. Świat Yuuzhan Vongów.

– Niewielka to nadzieja dla tych, co przetrwali...

– A zatem – odezwał się Baljos – musimy podejść trochę inaczej do tego, co robimy. Musimy

nauczyć ich, jak przeżyć w tym nowym świecie, obcym świecie. Nie musimy ich namawiać, żeby skoczyli do walki, kiedy przyjdzie ta wielka chwila. Niech tylko przeżyją. Mogą też uciec. Przeanalizujemy wszystkie nowe formy życia, na które się natkniemy, zwłaszcza te przyniesione przez Yuuzhan, i nauczymy naszych ludzi, które nadają się do jedzenia. Nauczymy ich, jak znajdować bezpieczną wodę.

– Jak oddzielać całe kompleksy – wtrąciła Danni – żeby Yuuzhanie nigdy do nich nie weszli...

Luke rozważał usłyszane słowa przez kilka długich sekund.

– Jeśli tak będzie, to znaczy, że przyznajemy się do przegranej...

– W każdym razie, że przegraliśmy Coruscant – poprawiła go Danni. – Nie całą wojnę.

– Nie mogę tego zaakceptować. – Luke poczuł wzbierający gniew, ale stłumił go w sobie, zmusił do odejścia. – Chcecie powiedzieć, że ta cała misja to jedna wielka klęska?

– Nie klęska – Danni starannie ważyła każde słowo. – Misja nie zgadza się z rzeczywistością, którą zastaliśmy. Tak jest w przypadku wielu badań naukowych. Obserwujesz dowody, wymyślasz teorię, żeby wyjaśnić ich istnienie, testujesz ją... i w większości przypadków okazuje się, że trzeba całą teorię przerobić na nowo. Do każdej prawdy dochodzimy stawiając jeden chwiejny krok za drugim...

– Tak jak w szkoleniu Jedi?

– No właśnie.

Luke westchnął.

– Muszę to w sobie przetrawić.

Luke wciąż jeszcze przetrawiał informacje, kiedy w dwa dni później wyruszył na kolejne poszukiwanie pojazdów z Buźką i Bhindi.

Teraz już nie zawsze podróżowali w zbrojach Yuuzhan. Odkąd mieli bazę wypadową i nie musieli poruszać się ciągle w licznej grupie po nieznanymi terenach, Luke i inni chętnie wracali do cywilnej odzieży. Była ona lżejsza i znacznie wygodniejsza od zbroi Yuuzhan Vongów, zwłaszcza że powietrze na niższych poziomach Coruscant z każdym dniem stawało się coraz bardziej parne. Kell i Buźka stanowili wyjątek – uznali, że w yuuzhańskich zbrojach wyglądają szalenie elegancko i upierali się, aby wkładać je na wszystkie misje. Przypuszczalnie były to nieoficjalne zawody, który wcześniej się podda i przyzna, że mu niewygodnie.

Skoro osiągnęli pierwotny cel wyprawy – grupa miała już bazę do działania i jej członkowie nawiązali kontakt z lokalną nieyuuzhańską ludnością – należało pomyśleć o wdrożeniu planu ewentualnej ucieczki z Coruscant.

Sposób przeprowadzenia desantu nie przewidywał pojazdu umożliwiającego ucieczkę, ponieważ zdawali sobie sprawę, że na planecie pozostało tak wiele pojazdów w różnym stanie zakonserwowania, iż z pewnością zdołają znaleźć, wyremontować lub ukraść działający statek. Dzięki pomocy Tahiri mogli brać pod uwagę nawet statki Yuuzhan Vongów.

Logika podpowiadała, że w ruinach Coruscant powinny znaleźć się tysiące, jeśli nie miliony pojazdów. Cały problem polegał na ich znalezieniu, jako że wszystkie statki widoczne z powietrza zostały namierzone i zniszczone przez skoczki koralowe. Jedyne te, które pozostały ukryte lub przysypane, miały szansę wyjść cało.

A jednak choć do tej pory znaleźli setki statków, żaden nawet przy dużej dozie dobrej woli nie nadawał się do ucieczki. Znajdowali dziesiątki taksówek powietrznych, liczne rozbite myśliwce,

szczałki hangaru z transporterem piechoty – i samą piechotą – zmiażdżonego niewyobrażalną masą zawalonego budynku. Luke uważał, że gdyby miał kilka miesięcy czasu, byłby w stanie zebrać dość części ze zniszczonych myśliwców, aby zbudować z nich jeden sprawny... dzięki czemu w odpowiednim momencie jedna osoba mogłaby opuścić planetę.

Była to kolejna klęska, która go zupełnie przytłaczała. Siedział przy oknie na pięćdziesiątym piętrze, w pomieszczeniu, które niegdyś było biurem rekrutacyjnym Dowództwa Floty Myśliwców, wlepiając wzrok w półmrok ulicy. Obok Buźka i Bhindi mozolili się przy komputerze biurowym, usiłując zmusić go do pracy, a Luke zastanawiał się, po co właściwie upierał się przy tej misji.

Jego syn, Ben, był o całe lata świetlne od niego, dobrze ukryty – nie tylko przed wzrokiem Yuuzhan Vongów, lecz także jego samego – w tajnej bazie Jedi w Otchłani, w części przestrzeni otoczonej i ukrytej przez czarne dziury. Mara z pewnością kwestionuje już jego kompetencje. Jedi, których miał nadzieję natchnąć i zjednoczyć dzięki wspólnemu udziałowi w śmiałej misji na terytorium zagarnięte przez wroga, wkrótce stracą do niego zaufanie.

Nagle coś przykuło jego uwagę – ledwie odczuwalne wrażenie, że ktoś na niego patrzy. Podniósł wzrok znad zasłanej gruzem czeluści.

Po drugiej stronie ulicy, na mniej więcej tej samej wysokości, ktoś stał w oknie i mu się przyglądał. Z tej odległości, to znaczy około stu metrów, Luke'owi wydawało się, że to człowiek, mężczyzna, i że jest bardzo blady. Sięgnął po makrolornetkę i podniósł ją do oczu.

Ujrzał twarz, która była jakby znajoma.

Mężczyzna miał przezroczystą cerę, kędzierzawe ciemne włosy, oczy niebieskie jak morze i wydatny nos, sugerujący arystokratyczne pochodzenie. Był młody, miał może ze dwadzieścia lat, może nawet mniej. Ubrany był w jasną spódniczkę czy też przepaskę od pasa w dół oraz lśniąca elementy zbroi: rękawice bez palców, nałokietniki, nakolanniki. Niezbyt solidne jak na zbroję, choć wykonane z grubego metalu. Mężczyzna przekrzywił głowę w taki sposób, jakby usiłował obejrzeć sobie Luke'a pod różnymi kątami.

Luke znał tę twarz, ale nie wiedział skąd. Nie był w stanie odszukać tego wspomnienia. Wolał zresztą teraz się nad tym nie zastanawiać.

Kiedy oczy Luke'a napotkały jego wzrok, mężczyzna się uśmiechnął. Był to uśmiech dziecka zachwyconego niezwyklejmi doznaniem podczas wrywania nóżek owadom.

Luke stwierdził, że wyczuwa go poprzez Moc, nawet nie sięgając ku niemu. Mężczyzna był w Mocy gorejącym światłem, latarnią morską w ciemności... Latarnią w ciemności... ale to nagle przestało mieć znaczenie.

Luke poczuł, że brakuje mu tchu, jakby w chwili jego nieuwagi dach się nagle zarwał i przycisnął mu pierś dwiema tonami durabetonu.

Obejrzał się na Buźkę i Bhindi. Uruchomili właśnie terminal – poświata ekranu zabarwiła ich twarze na niebiesko. Bhindi wyjęła kartę danych ze szczeliny i chrząknęła z satysfakcją. Oboje byli całkowicie nieświadomi uczuć i wrażeń Luke'a.

Luke wiedział, że jeśli teraz spojrzy przez okno, tamtego już nie będzie. Była to jedna z najstarszych sztuczek, stosowanych przez twórców tandetnych holodram w celu uzyskania odpowiedniego napięcia. Kiedy jednak znów podniósł do oczu makrolornetkę, mężczyzna wciąż tam był, całkowicie nieruchomy.

Luke zwolnił blokadę okna. Właściwie musiał tylko wyjść i przespacerować się wąską galerią łączącą ze sobą oba budynki. Mógł podejść do tego człowieka i zacząć zadawać pytania. Poczul

jednak lekki niepokój – instynkt starego pilota i zdolność zapamiętywania szczegółów topografii ostrzegły go, że coś tu jest nie w porządku. Wzdrygnął się i otrząsnął z mgły, która zasnęła mu umysł.

Przed nim nie było żadnej galerii. Jeden krok za okno i spadłby w bezdenną czeluść. W śmierć.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nagle cofnął się i znikł z zasięgu wzroku.

Luke poczuł, jakby spadł mu z ramion wielki ciężar. Znow mógł oddychać.

– Skończyliście już? – zapytał.

Buźka podniósł wzrok i zmarszczył czoło.

– Luke, nic ci nie jest?

– Nie. Ale czuję kłopoty. Chodźmy.

Bhindi wstała.

– Skoro nadchodzą kłopoty, to my już skończyliśmy.

Luke, Buźka i Bhindi przycupnęli w kraterze, który kiedyś stanowił narożnik wieżowca – tego samego wieżowca, w którym przed kilkoma minutami stał bladej mężczyzna. Znajdowali się około dwudziestu pięter ponad oknem, w którym było widać postać i teraz już cała trójka wycelowała makrolornetki w okno, które Luke niedawno próbował otwierać.

Pokój za tamtym oknem był pełen ludzi. Część miała na sobie łańchmany, niektórzy tylko w zaschnięte błoto i krew. Ich oczy dziwnie błyszcząły, co sugerowało, że co najmniej od paru tygodni są na środkach dopingujących. Wpadli do Centrum Dowodzenia, niszcząc wszystko, co się nawinęło pod rękę, rozbijając meble i burząc ściany – gwałtowność skierowana przeciwko wszystkiemu i niczemu.

– Kim oni są? – spytała Bhindi. – To nie są twoi uciekinierzy z fabryki.

– Sądzę, że to właśnie kanibale Yassata – odparł Buźka. – Czuleś, że przyjdą, Luke?

– Coś w tym rodzaju – przyznał Luke. – Chodźcie, sprawdzimy jeszcze dół.

Wkrótce znaleźli pomieszczenie, w którym Luke widział bladego człowieka. Kiedyś było to główny apartament hotelowy, prawdopodobnie wolny w chwili zajęcia Coruscant. Z ogromnych okien, od podłogi do sufitu, roztaczał się widok na niebo – przynajmniej jeśli odpowiednio mocno zadarło się głowę.

Luke wciąż czuł tę obecność, drgnienie Mocy, to samo, które ściagał od chwili przybycia na Coruscant. Nie to jednak w tej chwili zwróciło jego uwagę.

Te okna. Był pewien, że to właśnie przy jednym z nich stał bladej mężczyzna.

Pamiętał, że postać wypełniała okno od górnej framugi aż po podłogę. A okna były wysokie na trzy metry.

– Jesteś zmęczony – tłumaczyła Mara. – Dlatego stałeś się tak wrażliwy na Moc. Z pewnością próbował tobą manipulować... prześpij się trochę, będziesz w lepszej formie, by stawić mu czoło.

Mara nie wiedziała wiele na temat pocieszania zranionych istot – tyle, co z lekcji psychologii. Naturę współczucia zrozumiała dopiero teraz, po urodzeniu Bena. Luke rzadko potrzebował wsparcia; jego mądrość i poczucie humoru stanowiły potężną broń przeciwko ciosom zadawanym przez życie, takim jak porwanie Bena czy śmierć Anakina Solo. A teraz jest nawiedzany przez kogoś, kto o mały włos skłoniłby go do skoku w przepaść. W takich chwilach Mara nie potrafiła pomóc – starała się tylko trwać blisko niego, pełnić rolę kotwicy, o którą mógł się zaczepić.

– Nie sądzę – odparł Luke. – Jestem pewien, że moje zmęczenie ułatwiło mu przekazanie przez Moc rozpacz i umysłowej słabości, to prawda. Ale i tak czuję, że jest bardzo potężny. I mam wrażenie, że gdzieś już widziałem tę twarz. Wiem... – urwał. Ziewnięcie nie pozwoliło mu dokończyć zdania.

Mara spojrzała na niego gniewnie.

– Wiem, wiem, muszę się przespać. Jestem zmęczony. – Wyciągnął się na pryczy. – Tak, jestem zmęczony, ale muszę też przyznać, że boję się, by ktoś nie umieścił poprzez Moc w mojej głowie jakichś sugestii. Zupełnie jakbym był ćpunem bez szkolenia i możliwości obrony...

– Jesteś za to zmęczony i masz zranioną dumę.

Uśmiechnął się lekko.

– Cóż, być może.

– Prześpij się trochę, farmerku. Podładuj sobie akumulatory, od razu poczujesz się lepiej i zmienisz pogląd na życie.

– Masz rację.

Zasnął w ciągu kilku minut, oddychając równo. Mara długo jeszcze leżała z otwartymi oczami, rozpościerając własne postrzeganie Mocy w tarczę ochronną, dostrojoną tak, aby wykryć każde drgnienie nienawiści czy rozpacz, które mogłaby wysłać w ich stronę istota czyhająca na życie jej męża.

Borleias

Słońce Pyrii było tylko małą kropką w przednim iluminatorze, równie niezdolną przyciągnąć oka obserwatora jak każda planeta widziana z powierzchni innej planety. Z pewnością nie wystarczyłoby to, aby odwieść Hana i Leię od ich zajęć.

– Rozumiem i dziękuję. – Leia wyprostowała się nad tablicą komunikatora. – Kontrola Borleias podała nam mapę znanych lokalizacji min dovin basali. Nie są pewni, czy ich wiedza jest kompletna.

Han spojrział na nią i strzelił palcami.

– Czyli według nich istnieje spora szansa, że zostaniemy wyrwani z nadprzestrzeni zanim dotrzemy do cienia masy Borleias. Możesz im powiedzieć, że nic z tego.

– Że nic z tego, ponieważ...

– Ponieważ je wyminę. A jak ci się zdaje?

– Chyba lepiej jednak mieć przygotowaną broń. – Leia pobiegła na górę, do górnej wieżyczki strzeleckiej, podczas gdy Han uruchamiał wyrzutnię rakiet. Włączyła komunikator i natychmiast usłyszała skargę męża: – Wcale nie wierzysz w moje zdolności.

– Oczywiście, że wierzę. – Wprowadziła wieżyczkę w ćwiczebne obroty i sprawdziła działanie komputera celowniczego. – Ale doświadczyłam również tego, co oni potrafią.

Przestrzeń zawirowała wokół nich i prawie natychmiast powróciła do normy. Lecz Borleias nie wypełniała iluminatorów tak, jak powinna. Słońce było trochę większe i wyglądało jak jasna kula.

Nagle znaleźli się w pętli. Siła odśrodkowa wbiła Leię w fotel strzelca, zanim udało jej się uprzedzić męża, że widzi parę skoczków zbliżających się do „Sokoła” od strony rufy. Kosmos po obu stronach wieżyczki zawirował, kiedy nagle wykonali obrót stępką do góry zgodnie z pierwotną orientacją wyjścia. Nad głową widziała teraz dwa odległe błyski nadlatujących statków.

Otworzyła ogień z górnych laserów z taką intensywnością, z jaką nadażały się ładować, a skoczki wysyłały w stronę „Sokoła” strumienie plazmy. Leciały na dość wysokim pułapie w stosunku do pierwotnie zamierzonego manewru śledzenia pętli „Sokoła”, co skończyło się tym, że znalazły się na kursie kolizyjnym z frachtowcem.

Z komunikatora dobiegł głos Hana.

– Idę na sterburtę – rzucił, najwyraźniej przez zaciśnięte zęby.

Leia wybrała cel po sterburcie i skoncentrowała na nim cały ogień laserów. Pustki skoczka nieźle sobie poradziły z kanonadą, przechwytyjąc każdy strzał, ale samo natężenie ognia skazało stateczek na śmierć – rakietą, odpaloną przez Hana w sekundę później, zdetonowała na kadłubie, zamieniając go w parę.

Han puścił „Sokoła” w szalony korkociąg po osi wzdłużnej. Deszcz pocisków plazmowych minął go, nie wyrządzając szkody... prawie nie wyrządzając szkody, gdyż głośny brzęk, a później ryk

alarmów dowodził, że przynajmniej jeden pocisk zdołał musnąć kadłub.

Wyminął ich drugi skoczek, wysforował się naprzód i rozpoczął długą pętlę wokół „Sokoła”.

Han nie ścigał go, lecz wykonał zwrot w kierunku Borleias i ruszył pełną mocą.

Leii szczęka opadła ze zdumienia. Włączyła komunikator.

– Hej, ty – zawołała. – Co zrobiłeś z moim mężem? Tym, który śmieje się śmierci w twarz, a potem zabiera ją na drinka i kolację?

– Pilot próbuje nas wciągnąć w zasadzkę – odparł Han urażonym głosem. – Czy ja wyglądam na takiego idiotę?

Zmarszczyła brwi, ważąc odpowiedź.

– No co, wyglądam? – nalegał.

– No nie, nie wyglądasz.

Uśmiechnęła się i wróciła do czujników. Według ich wskazań pozostały skoczek zacieśnił pętlę, kiedy jego pilot zdał sobie sprawę z tego, że „Sokół” nie ma zamiaru go ścigać. Wkrótce znów będzie siedział im na ogonie. Zakłócenia w schematycznym obrazie siatki współrzędnych zdradzały położeniem min dovin basali, żywych źródeł grawitacji, zdolnych do wrywania statków z nadprzestrzeni.

Siatka była ciągle aktualizowana i ciągle ulegała deformacjom. Leia zmarszczyła brwi, usiłując zrozumieć to, co widzi.

– W dół! – wrzasnęła nagle. – W dół w stosunku do naszej obecnej pozycji! Rusz tyłek, pilociku!

Ruszył, kierując dziób „Sokoła” pionowo w dół. Gwałtowny manewr podniósł Leię z fotela. Słyszała wyraźnie, jak zatrzeszczały pasy bezpieczeństwa.

– No dobrze, masz, czego chciałaś – powiedział Han. – Jesteś męczącą, nieznośną babą. O co chodzi? Dlaczego nie lecimy wprost na Borleias?

– Tam jest jeszcze więcej min. A jedna nas goni.

– Mina nas goni? – Han raczył wreszcie spojrzeć na tablicę czujników i dostrzec deformację, którą zobaczyła Leia; podążała za „Sokołem” i była coraz bliżej. – To nieładnie. Leio, jak tam nasz prześladowca?

– Obróć się, proszę. Właśnie pod nas wleciał.

Han posłusznie obrócił „Sokoła” po osi wzdłużnej Leia zaczęła strzelać do drugiego skoczka.

Teraz, kiedy „Sokół” przestał manewrować, jeśli nie liczyć podskoków i zwrotów, które wykonywał Han, aby nie oberwać nieprzyjacielskim pociskiem, zaczął oddalać się od ścigającej ich miny dovin basala, zbliżając się do skraju zasięgu oddziaływania najbliższych min.

Leia zalała skoczka ogniem. Zauważyła, że pustka ochronna ma tendencję do zawracania w kierunku kabiny pilota za każdym razem, kiedy stateczek manewrował tak, aby dopasować się do kolejnego zwrotu „Sokoła”. Skoncentrowała strzały właśnie w tym punkcie, odczekała, aż „Sokół” wykona następny zwrot, po czym gwałtownie przerzuciła cel na dziób skoczka. Interpretary akustyczne wbudowane w tablicę czujników „Sokoła” przekazały odgłos eksplozji i sygnał skoczka znikł z ekranu.

– Dobry strzał – usłyszała przez komunikator głos Hana. – Może zejdziesz na dół i wykreślisz nowy kurs na Borleias?

– Daj mi chwilę. Ale z ciebie męczący, nieznośny facet.

Wedge ze zmarszczonymi brwiami wysłuchał sprawozdania Hana i Leii z ich powrotu na

Borleias.

– Nie podoba mi się ta mina dovin basal, która was ścigała.

– Mnie też nie – odparł Han. – Zaraz wystosuję do najwyższego dowódcy Yuuzhan notę protestacyjną i będę nalegał, aby zaprzestał ich używania.

Tycho siedzący po drugiej stronie stołu uśmiechnął się, co samo w sobie było dość rzadkim zjawiskiem. Leia tylko spojrzała z ukosa na męża.

– Nawet wiemy już, jak się nazywa – odparł Wedge. – To lokalny dowódca, Czulkang Lah. Uzyskaliśmy tę informację od reptoidów, którzy brali udział w największym ataku na nas, kiedy już uwolniliśmy ich od nasion kontrolnych.

– Lah – mruknęła Leia. – Z tej samej domeny, co Tsavong Lah?

Tycho skinął głową.

– Jeszcze lepiej. To ojciec Tsavonga Laha. Stary, zacięty, groźny wojownik i nauczyciel innych wojowników. To jakby yuuzhański Garm bel Iblis.

– A gdybyśmy go pokonali? – rozważał Wedge. – Gdyby nam się to udało, może Yuuzhanie doszliby do wniosku, że ich bogowie nie pragną zwycięstwa aż tak bardzo, jak im się zdawało.

– Wracajmy do ruchomych min – odparł Tycho. – Nasuwa się pytanie, od jak dawna je mają i dlaczego dopiero teraz się na nie natknęliśmy.

– Racja – westchnął Wedge. – Han, Leia... kiedy kilka tygodni temu wchodziliście do systemu Hapes, byliście przekonani, że miny dovin basale nie tylko wyciągają statki z nadprzestrzeni. Mówiliście, że one według was rejestrują charakterystykę masy każdego statku i przekazują tę informację do dowództwa Yuuzhan. Pozwalają im stworzyć coś w rodzaju bazy danych na temat ruchów naszych statków.

Leia skinęła głową.

– To prawda. A Jaina wykorzystwała wiarę Yuuzhan w te informacje przeciwko nim samym.

– Domyślam się, że ta wędrowną miną dovin basal ruszyła za wami, ponieważ rozpoznała was, a dokładnie „Sokoła Millenium”. W przypadku innego statku z pewnością nie wykorzystaliby swoich zasobów w takim zakresie. Zniszczenie lub przechwycenie „Sokoła Millenium” wraz z parą Solo z pewnością byłoby ogromnym ciosem dla naszego morale i oni o tym wiedzą.

Han i Leia wymienili spojrzenia. Han miał butną minę, ale Leia wiedziała, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, o ile teoria Wedge’a jest prawdziwa.

– Co oznacza – podjęła – że każdy statek należący do, hm... sławnych osób po naszej stronie może zostać zdemaskowany, gdziekolwiek polecą i jakkolwiek będzie wyglądał.

– Właśnie, i trzeba o tym pamiętać. – Wedge odwrócił się do Tycho. – Skontaktuj się z Cilghal, zorganizuj spotkanie dziś lub jutro. Wezwij też Jainę i jej doradców. Może uda nam się wykorzystać tę sprawę na naszą korzyść.

– Skończyliśmy już? – zapytał Han. – Mamy trochę ważnych spraw do załatwienia. Na przykład dorwać Jainę zanim się nią zaopiekujecie. Miło byłoby spędzić z nią trochę czasu. Dlatego ciągle tu wracamy, a nie po to, żeby sobie popatrzeć na ciebie.

Wedge wyszczerzył zęby.

– Bezczelny typ. Chyba powołam pana z powrotem do aktywnej służby, generale Solo.

Leia leżała w łóżku. To prawda, było twarde, nierówne i o całe lata świetlne oddalone od miejsca, które przez wiele lat nazywała domem, ale należało do niej i sama świadomość, że ma

miejsce, do którego może wracać, sprawiała jej przyjemność niewspółmierną do jakości łóżka. Położyła się w ubraniu i od pierwszej chwili, kiedy znaleźli się w pokoju, rozkoszowała się nie tyle wygodą, ile samym faktem posiadania własnego łóżka.

Ktoś zastukał do drzwi. Leia podniosła głowę i spojrzała na leżącego obok Hana. On także popatrzył na nią wyczekująco.

– Twoja kolej – powiedziała.

– Dlaczego moja?

– Bo ja powiedziałam to pierwsza.

– Z taką logiką nie można się spierać. – Han przetoczył się na bok, wstał i przycisnął panel zamka. Drzwi odsunęły się. Za nimi stał wysoki, dość niezgrabny młody człowiek. Lewe ramię miał na temblaku.

– Eee... witajcie – odezwał się gość. – Jestem Tam Elgrin.

– Wiem, kim jesteś. – Han uściśnął mu dłoń. – Trochę szpiegowałeś, potem postanowiłeś dać sobie spokój i od tego czasu boli cię głowa.

– Coś w tym stylu.

– Wchodź.

Leia wstała. Kwatera, którą dzieliła z Hanem, nie była duża ani elegancko urządzona, ale przynajmniej mogli udawać, że znajdują się w cywilizowanym miejscu i czasie.

– Napijesz się czegoś, Tam?

– Nie, dziękuję. Przyszedłem, żeby... no, żeby porozmawiać na temat Tarka.

– Widzieliśmy się z nim kilka minut temu – odparła Leia. – Mówił tylko o tobie.

Han wskazał mu fotel.

– Usiądź – zaproponował.

Stukanie do drzwi obudziło Kypa. Był ubrany, bo położył się tylko na chwilę i trochę się zdziwił, że przysnął. Mistrz Jedi wstał i otworzył drzwi, które odsunęły się, ukazując Prosiaka. Gamorreński pilot oparł się o framugę i skrzyżował dłonie na piersi z miną twardziela.

– Jej Wysokość – oświadczył.

Kyp przetarł oczy, odpędzając resztki snu.

– Co z nią?

– Chce się z tobą widzieć.

– Teraz?

– Teraz.

– Gdzie?

– Na dachu.

Kyp uważniej przyjrzał się Gamorreaninowi. Prosiak zwykle nie bywał aż tak małomówny. A teraz zachowywał się jak wykidajło. Kyp sięgnął ku niemu Mocą, aby się upewnić, że to na pewno on, a nie Yuuzhanin w wyjątkowo sugestywnym maskerze oogolith.

– Już idę na górę.

Kyp wyszedł na dach laboratorium biotyki – nierówną przestrzeń zabudowaną szafami urządzeń o szorstkiej powierzchni. Zapadła już noc, ale luna na zachodzie świadczyła, że słońce zaszło niezbyt dawno.

– Tu jesteśmy – usłyszał głos Jainy, a kiedy się obejrzał, zobaczył ją i Jaga Fala usadowionych na obudowie skraplacza. Ledwie ich widział w ciemności; na tle nieba majaczyły tylko ciemne sylwetki. W tym samym miejscu widać było jeszcze kilka innych kształtów – jeden z nich wyglądał jak koszyk, inny przypominał butelkę.

– Urządziliście sobie piknik? – prychnął.

– Właśnie – głos Jainy brzmiał rozbawieniem. – A bogini nakazuje ci się przyłączyć.

– Dziwnie się zachowujesz, bogini. – Kyp sprężył się i wskoczył na obudowę i wylądował od razu w pozycji siedzącej ze skrzyżowanymi nogami, tak samo jak Jag. Jaina leżała na boku, zwrócona twarzą do obu mężczyzn.

– To nie tylko piknik. – Jaina wzięła butelkę i nalala z niej do szklanki jakiegoś płynu. Obok koszyka stały jeszcze dwie szklanki, każda z innego kompletu. Podała ją Kypowi.

– Musimy pogadać. We troje. – Napełniła pozostałe szklanki i jedną podała Jagowi.

Kyp z powątpiewaniem powąchał zawartość szkła.

– Rozcieńczalnik do farb?

– Nie ma lekko – mruknął Jag. – Czekaając na ciebie, sprawdzałem jego działanie na lokalnych insektach. Sto procent śmiertelności.

– Cicho bądź – wtrąciła Jaina. – To najświetniejszy przykład borleiańskiej sztuki pędzenia alkoholu. Picie go teraz, kiedy Yuuzhanie mogą w każdej chwili zaatakować, jest poważnym zaniedbaniem obowiązków służbowych, więc powinien smakować cudownie. – Pociągnęła ostrożnie łyk na próbę.

Jej twarz przez dłuższą chwilę nie wyrażała żadnych uczuć, ale Kyp poprzez Moc wyczuł fizjologiczną reakcję jej organizmu i zakończeń nerwowych w gardle, które gwałtownie zaprotestowały przeciwko fali samogonu.

Jag co prawda nie był otwarty na Moc, ale dość dobrze znał Jainę, więc doskonale wiedział, co się dzieje z dziewczyną. Aż się zatrząsł ze śmiechu, ale bezgłośnie.

– No, dobrze – powiedziała. Miała głos jak podstarzały mechanik. – Mamy problem, Kypie. Ty, ja i Jag.

– Nie wiedziałem, że mamy jakieś problemy.

– No to dlaczego natychmiast zrywasz więź Mocy, kiedy tylko nie jest absolutnie potrzebna do realizacji naszego zadania? Czuję się, jakbym tańczyła z facetem, który trzyma mnie na odległość ramienia i otrzepuje się po każdym tańcu.

– Hm... interesujące porównanie. – Kyp spojrzał na Jaga, ale młodszy mężczyzna nie zareagował na metaforę Jainy, Kyp zaś nie był w stanie dojrzeć jego twarzy. – Może powinniśmy kiedyś o tym porozmawiać. Na osobności.

– A może jednak nie. Jag też jest częścią tej sytuacji. To właśnie on zaproponował tę rozmowę.

Kyp poczuł narastające rozdrażnienie; dodatkowo czuł się zdenerwowany tym, że pozwolił sobie na tak przewidywalną reakcję.

– Naprawdę? Bezpośrednia konfrontacja, co? Tak się to robi w rodzinie Fel?

Jag pociągnął łyk samogonu i wydał taki dźwięk, jakby właśnie dostał pięścią w splot słoneczny. Po chwili odpowiedział:

– Pochodzę z więcej niż jednego rodu, Kyp. Niektóre z nich są naprawdę przebiegłe...

– Co to znaczy?

– To znaczy... cóż, jeśli uważasz, że wiesz, o czym będziemy mówić na tym spotkaniu, to

najprawdopodobniej się mylisz.

– Uroczo enigmatyczna odpowiedź. – Kyp pociągnął ze szklanki. Czymkolwiek była ta ciecz, zdawała się zawierać w sobie alkohol, pieprz i zgniłe owoce. Oczy zaszyły mu łzami. – Czekał no. Wy dwoje zażyliście antidotum zanim tu dotarłem, tak?

Jaina prychnęła.

– Czy mogę już przejść do sedna sprawy?

– Nie krępuj się.

– Nie tak dawno zacząłeś mną manipulować i nie spodobało mi się to. Na Hapes wciągnęłam cię w parę niezręcznych sytuacji, sprawiłam ci mnóstwo kłopotów. Okłamywaliśmy się nawzajem co do naszych intencji i ukrytych znaczeń tego, co robiliśmy. Cóż, doszłam po prostu do wniosku, że skoro postanowiłeś przyłączyć się do mojej eskadry, to znaczy, że mi przebaczyłeś. A kiedy i ja się zgodziłam, to miało znaczyć, że i ja przebaczyłam tobie. Tak to miało być, czy może się mylę?

– Zgadza się.

– Więc jesteśmy partnerami czy nie?

– Ależ jesteśmy. Co najmniej tak długo, jak długo istnieje Eskadra Bliźniaczych Słońc.

– Nie opowiadaj bzdur – głos Jaina zdrzął ukrywaną irytacją. – Za każdym razem, kiedy łączymy się poprzez Moc, czuję, że przygotowujesz się do tego dnia, kiedy przegryziesz smycz i zwiejesz. Wierz mi, doskonale cię rozumiem. Jeszcze kilka tygodni temu ze mną było dokładnie tak samo. Z dokładnie takich samych głupich powodów. Szybko przerywasz więź, żebym się nie połapała, co robisz. I tak ci to nic nie dało. Proszę, żebyś przestał. Chcę, żebyś przestał myśleć o odejściu i o samotności. Wiem, że twój brat nie żyje, że cała twoja rodzina zginęła, że twoja ostatnia eskadra przepadła... i współczuję ci. Ale nie musisz odchodzić i nie musisz być sam.

– Eee... – Kyp usiłował sklecić naprędce jakąś odpowiedź. Właściwą odpowiedź. – Nie chciałbym wchodzić nikomu w drogę. Zwłaszcza tobie. Tobie i... no wiesz komu.

Jag wyciągnął rękę.

– Pułkownik Jagged Fel. Miło mi pana poznać.

– A ty się zamknij. Jaina, czuję się niezręcznie.

– Wiem. Jag i ja jesteśmy także partnerami, a czasem i czymś więcej, a teraz ty tu jesteś. Kiedyś chyba trochę się mną interesowałeś i na pewno jest to dla ciebie krępujące. Dla mnie też, wierz mi. Ale czy warto dlatego odchodzić?

– Powinno.

– No to odejdz od razu i przestań się wahać.

Kyp wstał.

– Masz rację. Przykro mi, że...

– Siadaj!

Kyp usiadł tam, gdzie stał, zaskoczony siłą jej głosu. Wytrzeszczył oczy.

– No, już lepiej – uśmiechnęła się. – Jag, dlaczego wszyscy mężczyźni to durnie?

– Predyspozycje biologiczne. A oto przykład. – Jag pociągnął kolejny łyk. Nawet w ciemności doskonale było widać, że zatrzęsł się od stóp do głów.

Jaina usiadła w identycznej pozycji jak Jag.

– Kyp, wydaje ci się to niezręczne dlatego, że każde partnerstwo to niezręczny układ. Rodziny też są niezręczne. Przynajmniej moja. Musisz sobie z tym radzić, ponieważ alternatywą jest utrata wszystkiego. Dawno temu byłeś dla mojego ojca kimś w rodzaju młodszego brata, przez co ani trochę

nie stałeś się moim wujkiem. Nas też coś łączy. Ale nie jest to więź dziewczyny z facetem ani mistrza z uczniem. Chyba oboje wiemy, że żadna z tych relacji tu nie pasuje. Jesteśmy partnerami, cokolwiek to znaczy. Cokolwiek powinno to znaczyć dla nas. A jeśli jesteśmy partnerami, to łączy nas więź na śmierć i życie. Nie wiem, czy Jag cierpi z tego powodu, czy nie, bo nic nie mówi. A nic nie mówi dlatego, że jest dość mądry, by wiedzieć, że nie ma wpływu na moje związki. A więc pytam ostatni raz: jesteśmy partnerami czy odchodzisz i chcesz umrzeć samotnie?

Kyp westchnął.

– Widzę, że odziedziczyłaś po ojcu wyjątkową umiejętność negocjacji.

Zignorowała przytyk, zdając sobie sprawę, że styl negocjacji Hana znacznie różni się od stylu reprezentowanego przez jej sławną mamę.

– Zgadza się. No więc?

– Więc jesteśmy partnerami.

– Świetnie. – Uniosła szklanke. – Wypijmy za to.

– Musimy?

– Musimy.

Jag zachichotał.

– Walka na śmierć i życie z pilotami Yuuzhan jest niczym przy tym kordiale...

ROZDZIAŁ 12

Borleias

Komandor Eldo Davip, kapitan „Lusankyi”, największego statku Nowej Republiki zaangażowanego w obronę Borleias, zjechał turbowindą na Oś.

Oś była centralnym korytarzem wiodącym przez całą długość gwiazdnego superniszczyciela, od dziobu po rufę. Nie był to korytarz dla pieszych – ośmiokątny szyb miał w jednym końcu zamontowany mechanizm holujący z linami, co pozwalało na transport ciężkiego sprzętu. Był na tyle szeroki, że zręczni piloci mogliby przez całą jego długość przelecieć parą myśliwców X skrzydło w skrzydło.

Turbowinda zwolniła i zatrzymała się, a Davip naciągnął na twarz przyciemnione gogle. Kiedy drzwi windy się rozsunęły, okazało się, że dobrze zrobił – tuż za nimi para mechaników spawała właśnie kolejną sekcję aparatury, która wypełniała już całą przednią część Osi, blokując wszelki ruch od tego punktu do przodu.

Zewnętrzna powłoka urządzenia była wykonana z walcowanej stali grubej na kilka metrów. Każda sekcja kadłuba, otwarta po obu stronach miała sto metrów długości, przy czym część dziobowa zwężała się nieco i tu blachy montowane były na zakładkę. Mechanicy spawali je wzdłuż zachodzących części.

Wewnątrz kadłuba przebiegły metalowe kable, tworzące skomplikowane wzory i przewleczone przez hartowane metalowe pierścienie na wewnętrznej powłoce kadłuba. Układ kabli i ich starannie monitorowane naprężenia służyły nie tylko usztywnieniu i zwiększeniu wytrzymałości kadłuba; gdy tylko znalazły się na właściwych miejscach, rozlokowano pomiędzy nimi pojemniki wielkości kontenerów i zamocowano kolejnymi kablami, a także ustawiono skrzynie różnych instrumentów, które po instalacji zostały bardzo starannie wyregulowane.

Urządzenie zajmowało teraz jedną trzecią długości „Lusankyi” i było starannie ukryte w szybie. Żaden z doskonałych czujników optycznych Yuuzhan Vongów nie był w stanie wykryć jego obecności, żaden z ich strategów nie potrafiłby określić jego zastosowania.

Davip westchnął. Użycie tego urządzenia będzie oznaczać kres jego najbardziej prestiżowego przydziału. Ale prestiż nie będzie wiele wart, jeśli Yuuzhanie zwyciężą, więc tylko obserwował w milczeniu montaż urządzenia i życzył mu szczęścia.

Na planecie w dole, na drugim piętrze budynku biotyki, kapitan Yakown Reth postawił na stole tacę z kolacją, pozwalając sobie nawet na to, by głośno brzęknęła. Ciężko usiadł na ławce. Nawet nie usiłował ukryć irytacji.

Naprzeciw niego siedział porucznik Diss Ti'wyn, który latał w eskadrze Retha jako „Czarny Księżyc Dwa”. Odruchowo przyglądał sierść, która stanęła mu dęba na karku. Diss był Bothaninem

o brązowozłotej sierści, niezwykle atrakcyjnym zarówno z punktu widzenia Bothan, jak i ludzi, a w sytuacjach towarzyskich cieszył się dużym wzięciem.

– Coś ci wlało pod kombinezon i ugryzło w zadek? – zapytał.

Reth prychnął, mimo wszystko rozbawiony.

– Tu, na Borleias, mamy poważne kłopoty.

Ti'wyn wytrzeszczył oczy.

– Jak to? Myślałem, że wygrywam?

– Przestań żartować. Chodzi mi o to, że jesteśmy w gorszej sytuacji, niż gdyby nas przewyższali

liczebnością, otoczyli i skazali na zagładę.

– Och... – Ti'wyn nadział na widelec ugotowany plasterk lokalnego owocu z puszki i wsunął sobie do ust. – No to zeznawaj.

– Nie mów z pełnymi ustami. Nie, Diss, to nie jest żart – zniżył głos, żeby jego słów nie było słyhać przy sąsiednim stole. – Zdaje się, że na górze mają poważne, naprawdę poważne kłopoty.

– Generał Antilles? Przecież on ma wspaniałą opinię.

– Uważaj. Wiesz, kto dowodzi „Lusanką”?

– Eldo Davip.

– Pierwszej klasy dupek, gorszego nie znam.

– Zgoda... ale w czasie ataku Yuuzhan kilka tygodni temu świetnie sobie poradził.

– Jestem pewien, że to jakiś przekręt. W każdym razie Ninora Birt eskortowała wahadłowiec ze

stacji naprawczej „Lusanki”. Twierdzi, że naprawy nie idą dobrze. Całe baterie turbolaserów i dział jonowych wciąż jeszcze nie działają. Nie sądziłem, że „Lusankya” dostała aż tak mocno w czasie ostatniego ataku. A ty?

– Właściwie nie.

– A to oznacza kolosalne marnotrawstwo ze strony komandora Davipa, o którym generał Antilles albo nie wie, albo nie chce wiedzieć. Co z kolei nie świadczy dobrze o jego umiejętnościach.

Ti'wym wzruszył od niechcienia ramionami, ale już nie wydawał się taki wesoły.

– A to dopiero początek. Pamiętasz, kiedy przyjechała tu Rada?

– Pamiętam. Bardzo po cichutku. Spotkali się z Antillesem i górą sztabu, a potem uciekli.

– Mechanik, który właśnie został przeniesiony do eskadry Czarnych Księżyców, stał w holu,

kiedy wychodzili. Mówił, że radny Pwoe był wściekły. Pwoe twierdził, że Antilles odmówił dowodzenia Borleias i zmienił zdanie dopiero wtedy, gdy Rada zgodziła się spełnić jego żądania.

– Jakie żądania?

– Nie wiem. A czego ty byś zażądał?

– Eleganckiego jachtu, dożywotniego przydziału na „Błędnego Rycerza”...

Reth w milczeniu gapił się na pokrojoną kiełbaskę, pływającą w ostrym sosie na jego talerzu. Na jej widok stracił apetyt... albo może od całej tej rozmowy.

– Przestań sobie robić jaja. I jeszcze ta sprawa z Jainą Solo.

Ti'wyn skwapliwie potwierdził.

– Musimy nieraz krążyć bez sensu, bo jej eskadra zawsze pierwsza dostaje zezwolenie na lądowanie.

– Ona i jej piloci są specjalnie traktowani w każdej z możliwych kategorii. Pierwsi mają dostęp do części zamiennych, pierwsi do bacty, pełny ładunek torped protonowych, pierwsi do naprawy myśliwców i astromechów... widziałeś, żeby któryś z nich tu jadł? – Reth machnął ręką wokoło,

wskazując zatłoczoną, hałaśliwą mesę.

– Nie.

– Mają własną świetlicę i chodzą pogłoski, że zatrudniają na „Śnie Rebelii” swojego kucharza.

– A, bo to stary statek jej matki.

– Właśnie. Stary statek jej matki. Bliźniacze Słońca nie zrobiły niczego, czego nie zrobiłyby Czarne Księżycy. I nie robią. Jeśli nie liczyć popisywania się nazwiskami sławnych mamus i tatusiów.

– Uspokój się, Yak. Na pewno stoją za tym jakieś sprawy polityczne. Wiesz, że w polityce nic nie dzieje się tak po prostu... a bez niej w ogóle nic się nie dzieje.

Reth niechętnie musiał przyznać mu rację.

– Tak mi się po prostu nazbierało. Muszę też zakwestionować kompetencje Antillesa.

– A nie wolałbyś siedzieć cicho? Zaczynasz gadać jak buntownik na szkoleniu.

Reth uśmiechnął się szeroko do swojego zastępcy.

– Nic z tych rzeczy. Próbuję sobie po prostu wyobrazić, czy powinienem poprosić o przeniesienie do jakiejś innej eskadry, w innej grupie floty. Nie jestem pewien, co robić. Gdybyś przypadkiem usłyszał coś na tematy, które poruszyłem... no wiesz, nadstawiaj uszu, dobra?

Ti'wyn zastrzygł wielkimi, spiczastymi uszami.

– Jak zawsze.

Transporter „Fu’ulanh”, orbita Coruscant

Mistrzynie Przemian Nen Yim otuliła się szczelnie w maskujące fałdy płaszczoskóry, nakazując kołpakowi mistrza, aby pozostał spokojny i nie zdradził obserwatorom jej przynależności do kasty. W ślad za mistrzem wojennym Tsavongiem Lahem wstąpiła na jezor ganadota.

Ganadoty były nieruchomymi stworzeniami. Rodziły się jako płaskie muszle długie i szerokie na jakieś pięć kroków, a wysokie na jeden. Budowę miały mało skomplikowaną – głównie jama gębowa, odbył, łączący je potężny kanał, otwory do bocznych żołądków i język.

Jeśli jednak ganadoty wyhodowano aż do dojrzałości i nauczono spełniać żądania swoich panów, pełniły świetnie rolę portali i tarasów widokowych. Żywnione przez służących, którzy przynosili im skorupy chrząszczy i inne pożywne śmiecie, zrzucane wprost do odźwierników żołądków i karmione hormonami w celu zmiany kształtów, ganadoty mogły też służyć jako kopulaste lub kuliste przedsionki. Tkanki wyściełające drogi trawienne tych stworzeń miały piękne, perłowe barwy, a dzięki właściwej diecie wydalanie było rzadkim wydarzeniem.

Jednak najistotniejszą cechą ganadota, która stanowiła o jego wyjątkowej architektonicznej przydatności, był jezor. Osoba wyszkolona w korzystaniu z niego mogła za pomocą balansowania ciałem lub nacisku stóp powodować jego wysunięcie, podniesienie, opuszczenie, jak również skierować jego końcówkę w dowolny punkt w okolicy ciała stworzenia.

To właśnie uczynił Tsavong Lah. Zaledwie Nen Yim stanęła w odpowiednim miejscu, skłonił jezor do wysunięcia się nad ogromną komnatę w samym sercu żywego statku, nad tłumem, tuż przed włóknistymi liśćmi, które zamykały drugie wyjście.

Tsavong Lah podniósł w górę obie dłonie, odrzucając płaszcz z ramion.

– Kapłani i mistrzowie przemian, wyznawcy Wielkiego Boga Yun-Yuuzhanina, pozdrawiam i witam was. Wkrótce zostaniecie zabrani z tego miejsca na pobliską planetę Borleias, gdzie mój ojciec, Czulkang Lah, sprowadzi na niewiernych rozpacz i klęskę.

Słuchacze – było ich około trzydziestu, reprezentujących w równej liczbie obie kasty: kapłanów Yun-Yuuzhanina i mistrzów przemian – wznieśli okrzyki radości i uznania.

Nen Yim rozróżniała twarze wielu z nich, między innymi mistrza przemian Ghithry Dala, którego oskarżyła, oraz Takhaffa Uula, kapłana, który dyskretnie kręcił się w towarzystwie Ghithry Dala przez ostatnie kilkanaście tygodni.

– Jak wiecie – rzekł Tsavong Lah – jesteście tu po to, aby przejąć w posiadanie Borleias po jej upadku. Ten zielony, bogaty świat, niemal nietknięty ręką niewiernych, będzie waszą nagrodą za służbę bogom, służbę Yuuzhan. Połowa jego będzie domeną kapłanów, połowa – mistrzów przemian, a wszyscy będą zjednoczeni czią Yun-Yuuzhanina. Aby ten świat należał do was, musicie na nim wznieść jedynie wasze potężne świątynie i chwalebnie stworzone domeny. Niestety, nie uczynicie

tego. Jakież to smutne.

To był początek zemsty mistrza wojennego, wyrażony zaledwie kilkoma spokojnie wypowiedzianymi słowami.

Tłum ucichł. Niektórzy spoglądali po najbliższych sąsiadach, mamrocząc pytania.

– Cieszę się, że codziennie będę się budził bez towarzyszącego mi odoru choroby, rozkładu mojego własnego ramienia. Cieszę się, że codziennie będę wstawał ze świadomością, że nie naraziłem się bogom, a jedynie kilku kapłanom i mistrzom przemian, którzy ośmielili się uzurpować sobie boską wolę. – Głos Tsavonga Laha zagrział pod sklepieniem, a Nen Yim wiedząc, że jego szerokie plecy aż drżą od tłumionych emocji. – Cieszę się wiedząc, że ci, którzy pozostaną, będą zjednoczeni nienawiścią do niewiernych, a nie żądzą zdobycia tego, co mogą dostać jedynie kosztem innych. Cieszę się na myśl, że wkrótce was nie będzie.

– Nie, mistrzu wojenny – rozległ się głos jednego z kapłanów, Takhaffa Uula, młodego jak na swoją rangę, zbyt ambitnego jak na swój wiek. – Nie było takiej zdrady. Nie możesz tak twierdzić. Możesz uratować swoje ramię i ustrzec się przynależności do Zhańbionych tylko służąc wiernie Yuuzhaninowi.

– Są tacy, którzy twierdzą, że zaufanie jest kwestią wiary – odparł Tsavong Lah. – A ja powiem, że zaufanie jest kwestią wiedzy i obserwacji. Znajdź takiego, który zasługuje na twoje zaufanie, a wtedy zaufanie zagości w twym sercu. Znajdź takiego, który nie jest go godzien, a nie będzie zaufania w twym sercu. Takhaffie Uulu, czy ufasz naszym bogom?

– Tak, mistrzu wojenny – zawołał młody kapłan.

– A czy oni ci ufają?

– Nie rozumiem.

– Jeśli ci ufają, jeśli wierzą, że twoje motywy są szczerze, wierzą, że myślałeś tylko o ich honorze, a nie twoim własnym, to z pewnością zechcą cię uratować. Od tego – podniósł ramię ze szponem radanka, wskazując jego kleszczami na ogromne liście zasłaniające tylne wejście.

Było to hasło dla Nen Yim. Dłonią ukrytą pod szatą pogładziła malutkie stworzenie, krewniaka ogromnej rośliny, skłaniając je do działania. Zrobiło, czego od niego chciała – zwinęło się w rurkę.

Podobnie zachowały się liście nad drzwiami, odsłaniając mroczną czeluść w ścianie. Czeluść była cztery razy wyższa niż wzrost Yuuzhanina i cztery razy szersza.

Z jej mroku dobiegł odgłos węszenia, a potem coś jakby stłumiony, niski ryk.

Coś ukazało się w otworze.

Miało dwie nogi i dwoje ramion, jak Yuuzhanin. Ale chodziło przykucnięte, zgarbione jak zwierzę. Twarde i pulsujące mięśnie nóg bez trudu utrzymywały potworny ciężar ciała, bo stworzenie było równie wielkie jak otwór, przez który weszło. Miało pełną kłów paszczę o wielkich siekaczach. Kręciło łbem, aż wreszcie ujrzało grupę Yuuzhan. Małe oczka obserwowały te drobne istotki z błyskiem pożądania głodnego zwierzęcia.

– To rancor – wyjaśnił Tsavong Lah. – Zwierzę z tej galaktyki. Nie zasługujecie na zaszczytną śmierć z rąk moich lub jednego z moich żywych oręży. Kiedy umrzecie, nie będzie to śmierć wojowników, lecz konanie bydła, które nasyci głód tej bestii.

– A jeśli to my go zabijemy? – rozległ się przepelniony złościwością głos Ghithry Dala.

– Pożyjecie kilka chwil dłużej – odparł mistrz wojenny. – Kilka krótkich chwil.

Z otworu wynurzył się kolejny rancor, potem trzeci i czwarty. Rozstawiły się wzdłuż ścian komnaty, otaczając ofiary.

Tsavong Lah odchylił się do tyłu i jęzor wycofał się, unosząc jego i Nen Yim z powrotem do pyska ganadota. Kiedy rozległy się pierwsze wrzaski ofiar i ryki bestii odbijającej się od ścian komnaty, oboje odwrócili się od ohydnej uczty i mistrz wojenny poprowadził Nen Yim do wyjścia.

– Mistrzu wojenny, czy mogę zadać dwa pytania?

– Możesz. – Wyszli z ganadota do szerokiego, czerwono-niebieskiego korytarza, gdzie dołączyli do nich członkowie osobistej gwardii Tsavonga Laha, krocząc w pełnej szacunku odległości przed i za nimi.

– Po pierwsze, czy kapłaństwo Yun-Yuuzhanina i kasta mistrzów przemian nie podniosą krzyku?

– Krzyku? Pewnie, że podniosą. Będą żądać krwi. Kiedy nadejdzie informacja, że cały ich transport został zaatakowany przez pilotów z Borleias i wybity do nogi, wszyscy będą domagać się zemsty.

– Aha – Nen Yim przez chwilę szła w milczeniu, wiedząc, że jego odpowiedź oznacza śmierć także i dla niej. – Czy ja nie powinnam znaleźć się wśród nich? A może umrę inną śmiercią?

– Nie mogę cię zabić. Zostałaś wypożyczona od Wielkiego Władcy Shimrry. Poza tym nie ma powodu, abym miał cię krzywdzić. – Weszli do przedsionka żołądka, w którym czekał osobisty transporter Tsavonga Laha. Podobna do powieki ściana śluzy była w tej chwili zamknięta, chroniąc atmosferę pomieszczenia. Weszli na kolec stworzenia, stanowiący rampę wejściową, po czym usadowili się w żołądku pasażerskim istoty. – Jestem z ciebie zadowolony, Nen Yim. Czy zamierzasz rozpowiadać tę historię? Wzniecać nienawiść do mojej osoby?

– Nie.

– A gdybyś zmieniła zdanie, co by się stało?

Usiadła w swoim fotelu i zamyśliła się. Mięsista powierzchnia siedzenia otoczyła jej talię i tułów, otulając bezpiecznie przez skutkami przyspieszenia, które wkrótce miało nastąpić.

– Jedyne powód, dla którego mogłabym zechcieć to zrobić, to żeby zaszkodzić tobie. Ale wtedy byłoby to słowo zdyskredytowanej mistrzyni przemian przeciwko słowu mistrza wojennego. Zginęłabym, zanim zdołałabym przedstawić dowody.

– Cóż za marnotrawstwo. Twoja mądrość, zaprzęgnięta do naszej służby, wynagradza zawiązką stratę Ghithry Dala i jego współników. Czy wykorzystasz ją dla nas?

– Tak. – Nie zawahała się, skoro Tsavong Lah powiedział „dla nas”. W jej mniemaniu oznaczało to Yuuzhan Vongów, a nie samego mistrza, mogła zatem z czystym sumieniem przytaknąć.

– Niedługo, pewnego dnia, statek-nasienie wróci na tę planetę i zakończy jej transformację. Chcę, abyś wróciła do Wielkiego Władcy Shimrry i badała Mózgo-Świat. Nie czyń niczego, co nie spodobałoby się bogom... ale zdobądź wiedzę, której bogowie zechcą nam łaskawie udzielić.

– Tak uczynię, mistrzu wojenny.

– Więc nie mów już więcej o śmierci. Spotkasz ją, kiedy nadejdzie właściwy czas. A teraz czas nie jest właściwy.

Baljos Arnjak zaczynał wyglądać tak, jakby i on przechodził intensywną vongizację. Krzaczasta broda i wąsy rosły mu bez przeszkód, we wszystkich kolorach od jasnobrażowego do czarnego. Przypominały jako żywo buntowniczą formę życia nie z tego świata. Pomarańczowy kombinezon, który wkładał, kiedy nie podróżował jako Yuuzhanin, miał teraz więcej plam niż czystej tkaniny; niektóre z nich wyglądały wręcz jak żywe kolonie mchu lub porostów. Zmiany te jednak, podobnie, jak środowisko, w jakim przebywała grupa, wydawały się mu służyć – oczy mu błyszczały, ruchy miał pełne ożywienia.

– Chodźcie, chodźcie – zawołał, kiwając ręką na Jedi i Danni, aby weszły do komory hibernacyjnej Lorda Nyaksa. Bhindi już tam była i siedziała na taborecie.

– Powiedz mi, że masz jakieś informacje – odezwał się Luke.

Baljos rozpromienił się.

– Mam jakieś informacje. Widzisz, wcale nie bolało, prawda? Możecie już sobie iść.

– Nie drocz się z Jedi – wtrąciła Bhindi. – I nie żądaj pochwał, które ci się nie należą. To ja wykopałam większość informacji z przeklętych bebechów tych cholernych maszyn serwisowych.

– Ależ zgadza, się, zgadza, Panno Szarpidrutko. Co nie znaczy, że umiałabyś je zinterpretować. – Baljos najwyraźniej dostrzegł zniecierpliwienie na twarzy Tahiri, gdyż urwał wątek. – Jesteśmy gotowi przekazać wam wszystko, co musicie wiedzieć na temat Lorda Nyaksa. To, czego Bhindi nie znalazła w pamięci maszyny, wymyśliliśmy sami.

Luke oparł się o wyprutą konsolę komputera i skrzyżował ramiona na piersi, jakby chciał się obronić przed tym, co za chwilę usłyszy.

– No więc kim on jest? W jakim celu został zmodyfikowany?

Baljos skinął głową na znak, że to pierwsza seria pytań, jakiej się spodziewał.

– To jest... albo raczej był... Mroczny Jedi. Nazywa się Irek Ismaren.

Luke zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– To niemożliwe.

– Kim jest Irek Ismaren? – zapytała Tahiri.

Luke wygrzebał z torby notatnik.

– Tak jak mówi Baljos, był szkolony na Mrocznego Jedi. To syn albo Imperatora, albo niejakiego Sarceva Questa oraz kobiety nazwiskiem Roganda Ismaren. Była to szalona osoba, która zmodyfikowała swojego syna za pomocą implantów komputerowych. Moja siostra Leia wpadła na nią na Belsavis mniej więcej piętnaście lat temu.

Otworzył notatnik i zaczął przewijać pozycje spisu. Notatnik ten, choć nie tak obszerny jak baza danych, przechowywana w ukrytym miejscu, które mogłoby służyć jako główna kwatera Jedi,

zawierał informację o wszystkich wrażliwych na Moc lub związanych z Mocą istotach i miejscach, które Luke kiedykolwiek napotkał w trakcie długich poszukiwań wiedzy na temat Zakonu Jedi.

W kilka chwil znalazł poszukiwany plik. Na ekranie notatnika pojawiła się twarz: arystokratyczna, dostojna, nieco jakby niedokończona, jak u bardzo młodego człowieka, okolona ciemnymi kręconymi włosami.

Była to twarz młodszego Lorda Nyaksa.

Luke poczuł nagle, że jest równie blady jak Lord Nyax. Pokazał portret Marze.

Skinęła głową, odnotowując pewne szczegóły, które pojawiły się na ekranie pod imieniem Ireka.

– Teraz powinien mieć około trzydziestki.

– Tak. I normalny wzrost.

– Tyle tylko – wpadł im w słowo Baljos – że spędził te lata w komorze hibernacyjnej, więc jest fizycznie młodszy niż wskazuje na to jego faktyczny wiek. Jego procesy życiowe uległy spowolnieniu. Został poddany eksperymentom medycznym, o których wspomniałem wcześniej. Procedury te sprawiły, że jego kości rosły jeszcze długo potem, kiedy powinny się utwardzić, i dały mu znaczną masę mięśniową. Matka wszczepiła mu w mózg aparaturę komputerową jeszcze w wieku niemowlęcym, dzięki czemu zdołał uzyskać odpowiednią koncentrację – nazwijmy to po imieniu „monomanią” – i nauczył się władać Mocą w stopniu znacznie większym, niż wskazywałyby na to jego wiek. Kiedy tu przebywał, aparaturę rozbudowano, aby jeszcze zwiększyć kontrolę. Widocznie stymuluje ona to, co zostało z jego mózgu, w sposób sprzyjający kontrolowaniu Mocy. Był wyposażony w ostrza świetlne, a ich użycie zostało trwale zakodowane w implantach mózgowych.

Luke z trzaskiem zamknął notatnik.

– Jak to się stało?

– Zdaje się, że po opuszczeniu Belsavis – podjęła Bhindi – wraz z matką przybył na Coruscant i ukrył się tutaj... a przez „tutaj” rozumiem właśnie tę budowlę. Matka starannie monitorowała jego postępy w poznawaniu Mocy, szkoląc go na najpotężniejszego Jedi, jaki istniał. Poddała go modyfikacjom medycznym, aby stał się wyższy, bardziej imponujący, potężniejszy fizycznie. Załatwiła również sprowadzenie tu isalamirów, aby nikt go nie znalazł, chociaż jego obecność w Mocy była coraz silniejsza.

– Potem coś się stało – ciągnął Baljos. – Notatki nie są do końca jasne, ale zdaje się, że wraz z matką znaleźli i przyjęli do swojego grona partnera, również Mrocznego Jedi. W którymś momencie Irek i jego nowy partner pokłócili się i wywiązała się walka. Partner został zabity, a Irek dostał cios mieczem świetlnym, który przebił mu czaszkę na wylot. I umarł.

– Umarł – szepnął Luke.

– Technicznie rzecz biorąc, umarł – wyjaśnił Baljos. – Ustała czynność mózgu. Upadł i przestał się ruszać. Ale jego matka i towarzyszące jej roboty medyczne zdołały podtrzymać autonomiczne funkcje jego organizmu, utrzymując ciało przy życiu. Dziennik matki staje się w tym miejscu trochę mniej zrozumiały, co samo w sobie jest dość oczywiste, a z biegiem lat w ogóle przestaje trzymać się kupy. Mimo to zrozumiałem, że utrzymywała jego ciało w stanie hibernacji i przy pomocy robotów medycznych wprowadzała do jego czaszki coraz bardziej skomplikowaną aparaturę.

– W jakim celu? – skrzywił się Luke.

– Sądzę – odparł Baljos – że próbowała uczynić z niego na nowo swojego syna... mało prawdopodobna perspektywa, skoro większość mózgu, odpowiedzialna za pamięć i mniej gwałtowne emocje została spalona na węgiel... Chciała też postawić go na czele Imperium, jako nowego

przywódcę. Była na tyle szalona, iż sądziła, że zrobi z niego Imperatora Ireka, kochającego syna, Mrocznego Jedi i niezwyciężonego tyrana.

Luke zamienił spojrzenia z Marą. Nie dopuściła, aby kipiące w niej uczucia pojawiły się na twarzy, ale czuł poprzez Moc jej obrzydzenie dla kobiety, która przez tyle lat trzymała własnego syna na rzeźniczym pniaku.

– Co się stało z Rogandą Ismaren? – zapytał.

– Ciało kobiety, które tu znaleźliśmy, należało do niej. Sprawdziliśmy wzór komórek na zgodność z dokumentacją. Nie ma możliwości pomyłki.

– Irek ją zabił – z niedowierzaniem zawołał Luke.

– On już nie jest Irekiem. Zabił ją Lord Nyax. Nie rozpoznawał jej. Była tylko jeszcze jednym ruchomym kształtem, który stanął mu na drodze, kiedy się wyrwał ze zbiornika. – Baljos pokręcił głową. – Wyjątkowo paskudna sprawa. Kompromituje nawet najbardziej szaloną naukę.

– Czy ma jakieś słabe punkty? – zapytała Mara.

– O, tak – Baljos machnął ręką w kierunku zbiornika hibernacyjnego. – Nie jest dojrzały.

– Dojrzały? – powtórzył Luke.

– Wydaje się, że wstrząsy tektoniczne spowodowały osunięcie się części sklepienia i śmierć jednego lub więcej isalamirów, a przy okazji uszkodzenie urządzenia. Zbudził się, wyskoczył, narozrabiał i uciekł. Ale miał opuścić zbiornik dopiero kilka lat później. – Wskazał na konsole komputerowe. – Całe jego oprogramowanie operacyjne było tutaj, plus spreparowane wspomnienia Ireka, które Roganda zamierzała mu wszczepić. Nie zostały one przeniesione. Lord Nyax ma swoje instynkty, jakieś oprogramowanie bojowe, jak również bardzo głębokie umotywowania... takie jak odnalezienie i zlikwidowanie wszystkich Jedi, wyszukiwanie silnych punktów Mocy i ich kontrolowanie, podbój wszechświata... takie tam drobiazgi. Ale nie ma wspomnień, umiejętności taktycznych... nawet języka. Sądzę, że nawet nie potrafi mówić.

– Więc nie porozmawiamy z nim – smętnie stwierdziła Tahiri. – Może to słabość, ale nam wcale nie ułatwia sprawy. Nie da się go przekonać.

– Z tego wynika, że zostało mi już tylko jedno pytanie. – Luke włożył notatnik do torby przy pasie i przygotował się na wiadomość, którą uważał za najgorszą z możliwych.

– Czy jest jakiś sposób, żeby go ocalić? Oswoić go, nauczyć Jasnej Strony?

Baljos nagle spowaźniał.

– Nie sądzę. W jego mózgu wypalono praktycznie całe człowieczeństwo. To drapieźnik, którego jedynym celem jest dominacja.

– Świetnie – mruknął Luke.

Viqi prawie cały czas spędzała w hangarze, gdzie stała „Paskudna Prawda”. Nie była zbyt uzdolniona technicznie, ale wiedziała o maszynach dość – resztę dopowiedziała sobie z pamięci komputera pokładowego – aby zdać sobie sprawę, co ma do swojej dyspozycji.

„Paskudna Prawda” była absolutnie zdolna do lotów kosmicznych, a jej pokładowa aparatura diagnostyczna wskazywała, że wszystkie systemy są sprawne i nieuszkodzone. Statek miał zapas paliwa, a akumulatory do systemu rozruchu, z których Viqi czasami zasilala światła i od czasu do czasu klimatyzację, wystarczają jeszcze na kilka tygodni.

Problemem była zsuwnia startowa. Zapadła się w czasie upadku Coruscant lub późniejszych bombardowań. Najpierw odpadły drobne kawałki durabetonu, potem metalowe belki uległy

skręceniu i runęła na nie kolejna porcja gruzu, aż wszystko to zapadło się w korek nie do przebycia.

Wiele pięter ponad ukrytym hangarem znalazła otwór, który prowadził na zsuwnię powyżej korka. Widać było, że ktoś tu pracował; usiłował rozkopać gruzy od góry, wynosząc bloki durabetonu do biur na tym samym poziomie. Podejrzewała, że był to ten ładny chłopiec, który dał jej lokalizator.

Dowiedziała się nawet, jak miał na imię. W zapisach komputerowych na statku znalazła się informacja na temat rodziny, której własnością była „Paskudna Prawda”. Hashville i Adray Terson byli założycielami firmy taksówek powietrznych Wygodny Transport Tersona.

Viqi nieraz widziała eleganckie pojazdy tej firmy, sama z nich korzystała w czasie swoich tajnych wypraw związanych z pomocą dla Yuuzhan. Informacja w komputerze zawierała również wzmiankę o ich synu, Hasrayu, chłopcu z pilotem.

Jeszcze jedna smutna historia, pomyślała Viqi. Zadumała się na chwilę. Nie mogła się zmusić do smutku – przeciwnie, była zachwycona, że poświęcenie chłopca oznaczało dla niej zbawienie.

Teraz spędzała mnóstwo czasu nad schematami i nauką sterowania statkiem, hojnie korzystając z jego zasobów żywności i odzyskując siły. Od czasu do czasu musiała się wykradać – bardzo powoli i ostrożnie – aby pracować nad odetkaniem zsuwni lub odwiedzić inne pomieszczenie, na końcu korytarza, z którego zrobiła sobie łazienkę.

Tego dnia wyszła z łazienki i uważnie, ze zwykłą ostrożnością rozejrzała się po korytarzu. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu. Powoli, cal po calu, skierowała się do apartamentu Tersonów.

Nagle coś zaatakowało ją od tyłu. Owinięło się wokół szyi i poderwało ją z ziemi. Wylądowała na plecach, na wpół uduszona, i spojrzała prosto w twarz Denui Ku. Wojownik trzymał amphistaff w jednej dłoni, drugi koniec broni owinięty był wokół szyi Viqi.

Wytrzeszczyła oczy. Przecież on nie żył. Była pewna, że zginął, że został zabity w hali producenta mebli. A mimo to patrzył teraz na nią. Był bez hełmu, w jego oczach nie zauważyła ani gniewu, ani troski.

– Wstań – rozkazał.

Wygramoliła się do pozycji stojącej, przejmując kontrolę nad wyrazem twarzy, zachowaniem, oddechem. Kiedy wstawiała, ogon amphistaffu ześliznął jej się z ramienia.

– Denua Ku – mruknęła. – Myślałam, że nie żyjesz.

– Uciekłem. – Głos wojownika był przesycony goryczą. – Obowiązek nakazywał mi, abym uciekł i opisał mojemu dowódcy to, co widziałem... gigantycznego *Jeedai*. Teraz, kiedy moi zwierzchnicy zostali poinformowani, mogłem wrócić, aby stawić czoło tej potwornej istocie... i zabić ją albo zginać z jej ręki. Dlaczego nie odnalazłaś Yuuzhan Vongów i nie powiedziałaś im, co się stało?

Pozwoliła sobie na wzgardliwy grymas.

– Kobieta – samotna, błakająca się po dachach i machająca do skoczków koralowych? Wiesz, co się dzieje z takimi? Ja wiem. Dwa razy do mnie strzelali. – To było kłamstwo, bo nigdy nie wyszła na dachy. Ale widziała skoczki na patrolach, widziała, jak strzelają do wszystkiego, co mogłoby być mieszkańcem tej planety przyłapanym powyżej podziemi.

– Więc przybyłaś tutaj. Dlaczego?

– Znałam ludzi, którzy tu mieszkali. – To kłamstwo także przyszło jej gładko. – Hasville i Adray Terson, i ich syn Hasray. Byli bogaci. Wiedziałam, że w ich mieszkaniu na pewno znajdę ukryte zapasy i miałam rację. Wiedziałam, że to mi da czas, abym mogła wymyślić, jak wrócić na światostatek i nie dać się przy tym zabić. A jak ty mnie znalazłeś?

Sięgnął pod zbroję pod pachą i wyciągnął spod niej małe stworzonko – owada wielkości

paznokcia Viqi. Wyglądał jak chrząszcz, ale miał czerwoną barwę krwi tętniczej. Choć skrzydła miał złożone wzdłuż grzbietu i doskonale dopasowane do skorupy, wciąż drgały, wydając nieustanne, monotonne brzęczenie.

– To nisbat – rzekł wojownik. – Kiedy znajdzie się w pobliżu swoich braci z ula, wydaje taki dźwięk, który staje się tym głośniejszy, im mniejsza jest odległość.

– No i co?

– Jeden z jego braci z ula jest w tobie.

Viqi nie zdołała powstrzymać się przed wytrzeszczeniem oczu.

– Mam w sobie coś takiego? Ale jak...? Przecież on jest duży!

– Nie, nie. Został ci wszczepiony tuż po wykluciu. Nie może urosnąć, nie może nawet drgać. Ale jego towarzysze wciąż potrafią go wyczuwać.

– Ja... bardzo się z tego cieszę. Jestem mu wdzięczna, że pomógł ci mnie odnaleźć.

– Hm... – mruknął Denua Ku, ale nie było to ani powątpiewanie, ani podziękowanie. – Teraz będziesz mogła wrócić na światostatek.

– Jestem szczęśliwa.

– Ale dopiero kiedy znajdziemy i zabijemy wielkiego *Jeedai*.

Serce Viqi zamarło. Starła się nie pokazać tego po sobie.

– Mam go przytrzymać, kiedy go będziesz zabijał?

Usta Denui Ku drgnęły w uśmiechu.

– Zabawne. Czy we wspólnym brzmi to równie śmiesznie jak w naszym języku?

– Jeśli nasze dwie kultury mają ze sobą cokolwiek wspólnego, na pewno jest to poczucie ironii.

Wojownik podał jej rękę. Z innych drzwi w korytarzu wyszła jeszcze grupa Yuuzhan – według obliczeń Viqi około dwóch tuzinów, a może więcej.

Mieli ze sobą kolejnego voxyna. Ten był w znacznie gorszym stanie niż poprzedni: cały nieprzyjemnego, żółtawego koloru, a w kilku miejscach łuski odpadły mu zupełnie. Smętnie zwiesił łeb i nawet nie pofatygował się, aby kłapnąć paszczą na najbliższego z wojowników.

– Ho, ho – Viqi zmusiła się do uśmiechu. – Jeszcze lepiej.

– Chodźmy. – Denua Ku poprowadził grupę w kierunku awaryjnej klatki schodowej.

Viqi poszła za nim z uśmiechem przyklejonym do twarzy i zamętem w głowie.

Jeszcze znajdzie sposób, żeby im uciec. Wyrwie sobie z ciała nisbata, gdziekolwiek został ukryty. Wciąż jeszcze miała przy sobie ukryty lokalizator, a schody wiodące do „Paskudnej Prawdy” zostały ukryte i zamaskowane. Będzie mogła tu wrócić. Oczyszczy zsuwnię i poleci w bezpieczne miejsce.

A jeśli to będzie możliwe, najpierw obejrzy sobie śmierć Denui Ku. Wojownik musi zginąć, bo ośmielił się zmusić ją, aby znów stała się częścią jego planów, choć jej własne były o wiele ważniejsze.

Wyprostowała się i rozejrzała z wyniosłą miną. Niezależnie od tego, komu pomagała i co miała na sobie, wciąż pochodziła z królewskiego rodu Kuat.

ROZDZIAŁ 13

W głębokim tunelu, stanowiącym korytarz dla serwisu, oddzielony od otaczających go obszarów mieszkalnych, w tym przejściu nieustannie skąpanym w mętnych ściekach z górnych poziomów, voxyn stał się czujniejszy. Podniósł łeb i rozpoczął znajome kołysanie się z boku na bok. Wojownicy Yuuzhan Vongów natychmiast się poderwali i przepuścili voxyna wraz z przewodnikiem do przodu.

– Wojownicy, otoczcie go – polecił Denua Ku. – Tego już nie możemy stracić. Stały się zbyt rzadkie.

Dwaj wojownicy przeszli do przodu i stanęli po obu stronach voxyna. Pozostawiali poza zasięgiem jego szponów, nawet jeśli oznaczało to brodzenie w czarnych kałużach cieczy na podłodze. Nic jednak nie byłoby w stanie obronić ich przed jego kwasem, gdyby przyszło mu do łba splunąć w ich stronę.

Dwieście kroków dalej voxyn przystanął. Popatrzył w górę i na lewo.

– Znaleźć przejście – rozkazał Denua Ku.

Dwóch wojowników ruszyło korytarzem i w ciągu kilku chwil znaleźli schody prowadzące na górę. Voxyna trzeba było wlec, gdy tylko jednak znalazł się na wyższym poziomie, skoczył przed siebie z taką energią, jakiej Viqi jeszcze u niego nie widziała.

Mara pełzła wzdłuż metalowego pręśła czterdzieści metrów nad podłogą. Światło padające z lamp, dogasających prętów żarowych i pochodni ledwo do niej docierało. W ciemnym stroju, zwinna i cicha, mogła z czystym sumieniem uważać się za niewidzialną.

Podłoga w dole była nieregularna, częściowo zapadnięta w wyniku wstrząsów, które według słów Danni nawiedzały Coruscant od czasu, gdy Yuuzhanie zaczęli przemieszczać jej orbitę. Pokryte było ciemnym tworzywem, nieco gumiatym, jakby lepkiem, takim, jakie Mara widywała na niezliczonych dachach budynków na innych światach. Jego obecność tutaj oznaczała, że ta powierzchnia nie była pomyślana jako powierzchnia do pracy czy zamieszkania – a mimo to pełna była istot żywych; płynął nią ciągły strumień oszołomionych, obdartych mężczyzn i kobiet różnych ras, przelewający się z jednej klatki schodowej do drugiej. Istoty te ubrane w łachmany, nie reagowały na otoczenie, ledwie mrugały, a jednak nosiły ciężkie bloki durabetonu, gruz i szczątki ciał, wyrzucały to wszystko do bocznego tunelu, po czym wracały z pustymi rękami po kolejny ładunek.

Widocznie wydobywali coś w pomieszczeniach zlokalizowanych poniżej i to nie z własnej woli. Gdzie jednak i kim była ta istota, której rozkazy spełniali? W okolicy nie było śladu ani Lorda Nyaksa, ani Yuuzhan Vongów.

Ze swojego końca belki, drgającego od czasu do czasu pod wpływem jej ciężaru i podmuchów

wiatru krążącego pod pułapem, Mara widziała całą podłogę. Z zakłęśnięcia na środku wniosowała, że pod spodem znajduje się duża, pojedyncza komnata.

Wyjęła komunikator.

– Luke... – szepnęła.

– Jestem tutaj.

Wiedziała o tym, wyczuwała go o kilkadziesiąt metrów dalej, w rogu pod sklepieniem pomieszczenia, w niszy, którą znalazł Elassar. Był tam z Tahiri, Bużką i Kellem. Każde z nich mogło wpełznąć na tę belkę, ale akurat nadeszła kolej na Marę.

– Zdaje się, że dołączenie do jednej z brygad będzie dziecinną igraszką – mruknęła Mara. – Nie wiem, czy by zareagowali, nawet gdyby zaczął z nimi pracować wampa w hełmie wojskowym i spódniczce tancerki.

– Daj mi minutę – odezwał się głos Bużki. – Chyba uda mi się skombinować takie przebranie.

– A może zostaniesz tak, jak jesteś i pójdziesz sprawdzić, co oni wykopują?

– Nie marudź. Daj mi dziesięć minut, żebym zdążył tam zejść.

– Dobrze. – Zesztywniała nagle. – Czekaj. Coś się dzieje.

Rząd robotników znieruchomiał w miejscu. Wszyscy – kilkudziesięciu ocalałych obywateli Coruscant o martwych oczach – zwrócili się ku jednemu rogowi pomieszczenia. Mara wyciągnęła szyję, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale zrezygnowała i wyjęła makrolornetkę.

W ciemnym narożniku ktoś niewidoczny odsunął klapę z ciężkiej blachy i do pomieszczenia wkroczył Lord Nyax.

Mara z trudem powstrzymała syk. Zagryzła wargi, co wcale nie było konieczne, bo z tej odległości żadna żywa istota nie była w stanie jej usłyszeć. Jednak kontrast pomiędzy złośliwą obecnością w Mocy, jaką wyczuwała ze strony tej istoty, a sympatyczną twarzą ponad monstrualnie wysokim ciałem był wstrząsający.

Omal nie upuściła makrolornetki.

– Luke, poczułeś to?

– Poczulem. Może powinnaś wrócić tutaj.

– Może tak, a może nie. – Skupiła się na widocznym w oddali mężczyźnie. – Ale mów do mnie przez cały czas.

– Dobrze. Co widzisz?

– Lorda Nyaksa. Przeszedł przez ścianę i teraz idzie w kierunku brygad roboczych. Jest sam.

– Jak wygląda?

– Jak szczęśliwe dziecko. – Przez chwilę mogła zajrzeć w umysł Lorda Nyaksa głębiej, niż powinno to być możliwe, sądząc z pozoru. – Jest zadowolony z ich postępów. Już jest gotowe do drogi.

– Co jest gotowe?

– To, o czym mu mówili. – Mara potrząsnęła głową, jakby próbując wyrzucić z czaszki cudze myśli za pomocą siły odśrodkowej. – Zdaje się, że nie mogę się od niego odciąć, Luke. Nie potrafię zablokować.

– Ja też nie. Ani Tahiri. Idę do ciebie.

Mara obejrzała się za siebie. Daleko z tyłu ujrzała ciemny kształt, wynurzający się z wysokiego aż po sufit otworu w ścianie i przeskakujący po nienaruszonych metalowych belkach zwinnie jak akrobata.

Istota o twarzy Ireka Ismarena przystanąła przed najbliższą grupą robotników i teraz spoglądała w kierunku narożnika, znajdującego się dokładnie poniżej otworu, którym wszedł tu Luke. Z klatki schodowej dochodziły wrzaski.

Nagle do pomieszczenia wpadło kilka postaci – okryci zbrojami Yuuzhanie z bronią. Jeden z nich był ciągnięty na smyczy przez rozjuszonego voxyna. Zwierzę podążało za swoim głodem, za jedynym desperackim imperatywem, jaki nim kierował: odnaleźć i zniszczyć wszystkich użytkowników Mocy.

Łeb voxyna obrócił się kilka razy, jego ślepia uważnie obserwowały pomieszczenie. Mara widziała, jak przemykają się po Luke’u i po niej – czuła jego zainteresowanie jak fizyczne dotknięcie – i zatrzymują się na Lordzie Nyaksie. Zwierzę rzuciło się w jego kierunku. Pomimo smyczy przewodnik nie był już w stanie go powstrzymać. Drugi wojownik przechwycił smycz, pomagając pierwszemu, i dopiero wspólnymi siłami zdołali zmusić voxynę, żeby stanął.

Lord Nyax uśmiechnął się do wojowników, których było już ze dwudziestu, ustawionych w półkole. Podchodzili powoli z amphistaffami w gotowości, z chrząszczami udarowymi i brzytwołukami. Przeciskali się przez tłum robotników, wzgardliwie usuwając ich na boki i przewracając jak kukły.

Belka, na której siedziała Mara, drgnęła i zakołysała się mocniej, kiedy pojawił się Luke. Położył się tuż za nią i wyjął własną makrolornetkę.

Mara poczuła gwałtowny przyływ nienawiści – nie do Luke’a, nie do Lorda Nyaksa, ale do Yuuzhan Vongów. Wiedziała, że to nie jest jej własne uczucie i tylko dzięki temu nie uległa mu tak chętnie, jak powinna.

Jednak w tej samej chwili robotnicy wybuchnęli wściekłym krzykiem i rzucili się na wojowników Yuuzhan Vongów.

Wojownicy machali i kłuli amphistaffami. Mara widziała robotników z przebitymi sercami, brzuchami i mózgami. Jeśli atak nie zabijał ich od razu, robotnicy biegli dalej, rzucając się na Yuuzhan, przewracając ich i przygniatając do ziemi samą przewagą liczebną.

Przewodnicy voxyna padli. Voxyn uwolnił się z uchwytu i skoczył na Lorda Nyaksa, a jego wściekły warkot przetoczył się przez całe pomieszczenie.

W dłoni Lorda Nyaksa zapłonął miecz świetlny o czerwonym ostrzu. Mara przyjrzała się lepiej i stwierdziła, że nie jest to zwykły miecz – ostrze energii wyłaniało się z grzbietu metalowej rękawicy i obracało się, gdy jego właściciel zginał dłoń. Drugie ostrze wystrzeliło z lewej rękawicy.

Voxyn, stary wyga, zatrzymał się o trzy metry od Lorda Nyaksa i wygiął grzbiet. Rozległ się hałas, jakby przedzierano na pół ogromny dywan i z pyska zwierzęcia wytrysnął strumień ciemnej, dymiącej cieczy.

Część podłogi pomiędzy Lordem Nyaksem a voxynem oderwała się nagle i zagrodziła drogę cieczy. Jad voxyna rozbryzwał się na niej, przepalając ją niemal natychmiast, jednak znacznie stracił na rozpędzie. Płyta upadła, a odgłos przeżerającego ją kwasu słyszalny był nawet z dużej odległości.

Pokonani Yuuzhanie wstawali powoli, otrząsając się z ludzkiej masy, która ich przytłaczała. Mara widziała kończyny odcinane od kadłubów umiejętnymi ciosami amphistaffu, strumienie krwi, wytryskające z rozprutych tętnic wysoko w powietrze. Ogarnięci szaleństwem, lecz mało skuteczni robotnicy, wyrzynani byli w pień.

Z ciała Lorda Nyaksa wytrysnęły kolejne świetlne ostrza. Mara widziała strumienie energii wytryskające w dół z łokci i w górę z kolan.

– Trzeba im pomóc – szepnął Luke.

Mara obejrzała się. Luke odwijał z pasa linę z hakami, narzędzie rzadko używane, a bardzo przydatne w eksploracji dolnych poziomów Coruscant, i mocował ją do belki.

– Komu pomóc?

– Yuuzhanom, oczywiście. Tak, wiem, wiem, w życiu jeszcze czegoś takiego nie słyszałaś. – Luke stoczył się z belki i poleciał w dół, hamując tempo upadku dłonią na linie, która zwój za zwojem odwijala mu się z pasa.

– Nie martwię się o los Yuuzhan Vongów – wyjaśnił – ale desperacko potrzebujemy nam wszystkiego, co możemy wykorzystać przeciwko Lordowi Nyaksovi.

Mara syknęła ze złością. Wcisnęła makrolornetkę do futerału, chwyciła linę, skoczyła i zsunęła się po niej w ślad za mężem.

Kątem oka widziała, jak voxyn atakuje lorda Nyaksa. Ten uchylił się przed skokiem bestii i zgął ramię. Ostrze z nałokietnika rozorało brzuch zwierzęcia, gładko przecinając je na pół. Oba kawałki spadły już za jego plecami.

Mara, okręcając się wokół liny w drodze na dół, nagle spostrzegła kobietę.

Była ciemnowłosa i atrakcyjna. Stała na szczycie schodów, którymi dostali się tu Yuuzhanie. W przeciwieństwie do robotników była jednak czujna i przytomna; z pewnym zainteresowaniem obserwowała walkę.

Viqi Shesh.

Mara poczuła, że zimny pot ścieka jej po plecach. Ta kobieta była zdrajczynią, która oddała Coruscant w ręce Yuuzhan Vongów. To ona porwała syna Mary, Bena. A teraz jest tutaj, włócząc się za swoimi yuuzhańskimi pracodawcami jak pies, gdy świat naokoło wali się w gruzy.

Otworzyła się dla Luke'a poprzez Moc, choć nie chciała tego robić, kiedy w jej duszy drzemały mroczne myśli o morderstwie, i pozwoliła mu zobaczyć Viqi swoimi oczami.

– Najpierw Viqi – powiedziała.

– Najpierw Lord Nyax – odparł. Na wysokości dziesięciu metrów nad ziemią odczepił zwój liny od pasa i wypuścił go z ręki, pozostałą odległość przebywając jednym skokiem. Wylądował w przysiadzie, przetoczył się i z pełnym rozpędem wyprostował się przed Lordem Nyaksem.

Mara po raz ostatni spojrzała na Viqi wzrokiem, który – gdyby mógł się stać fizyczną manifestacją jej gniewu – przeciąłby kobietę gładko jak ostrze amphistaffu. Skoczyła, przetoczyła się i podbiegła do męża.

Przed nimi pierwsza para wojowników Yuuzhan Vongów dotarła do Lorda Nyaksa.

Viqi obserwowała jatkę, jaką wysoki, blady mężczyzna zgotował Yuuzhanom.

Pierwsz dwaj wojownicy stanęli o kilkanaście kroków od istoty i zaczęli miotać chrząszcze udarowe. Blady mężczyzna drgnął i ostrza mieczy świetlnych z jednego przedramienia i jednego kolana zmieniły żywe pociski w popiół.

Dwaj kolejni wojownicy podbiegli i zaatakowali, wywijając amphistaffami i osłaniając się kolejną falą chrząszczy. Jeden używał ogona, a drugi kłów żywej lancy.

Blady mężczyzna podszedł do drugiego wojownika. Cios kłów amphistaffa pierwszego z Yuuzhan chybił o prawie metr. Ostrze wyrastające z przedramienia bladego mężczyzny cięło drugiego wojownika, który zablokował atak pętlą z amphistaffa, a wtedy ostrze z lewego łokcia przeorało gardło wojownika, oddzielając głowę od reszty ciała. Tymczasem wysunęły się ostrza z prawego ramienia, prawego łokcia i prawego kolana, a gdziekolwiek cięły, pozostawiały po sobie smugę

płonących iskier – zamienionych w parę chrząszczy.

Mężczyzna pociągnął amphistaff martwego wojownika w kierunku pierwszego z Yuuzhan. Ten wzgardliwie zmiotł go z drogi, poprawił własnym amphistaffem, blokując sztych miecza świetlnego – i nie zdążył zablokować ostrza drugiego miecza, który pogrzyził się w otworze jego hełmu i w oku. Wojownik upadł i umarł, buchając dymem spod maski.

Nadbiegli dwaj następni, wciąż rzucali chrząszcze; czterej pozostali zatrzymali się obok nich i zawahali się na sekundę, obmyślając nową strategię.

Kawałek stali ze sklepienia spadł w dół, wirując jak ostrze piły. Błysnął pomiędzy wojownikami na wysokości ich kolan i przez ułamek sekundy Viqi sądziła, że chybił, gdy nagle wszystkich sześciu wojowników upadło z nogami obciętymi w kolanach, brocząc krwią z kikutów.

Mijały sekundy. Ośmiu Yuuzhan i ich voxyn nie żyli. Pozostało siedemnastu.

Ci zachowywali się znacznie ostrożniej. Prowadzeni przez Denuę Ku, otaczali kręgiem uśmiechniętego, pewnego siebie olbrzyma, który spoglądał na nich z góry.

Wirujący płat blachy nadleciał znowu, ale tym razem z podłogi uniósł się kawał maszyny, klimatyzator o boku co najmniej jednego metra. Wystrzelił niczym rakietą i stanął na drodze blachy, która owinęła się wokół niego z gniewnym, niemal zwierzęcym rykiem zginanego metalu, po czym oba pociski spadły na ziemię.

Blady mężczyzna spojrział w lewo. Viqi podążyła za nim wzrokiem. Stali tam, z mieczami gotowymi do walki, Luke Skywalker i Mara Jade.

Viqi wytrzeszczyła oczy. A ci co tu robią?

Yuuzhanie również wydawali się zbici z tropu. Denua Ku nie kochał *Jeedai* bardziej niż każdy inny wojownik, ale był sprytny; Viqi ujrzała, jak gestem odwołuje wojowników, czekając, aż Jedi objawią swoje intencje.

Najwyższy czas się wynieść. Nieważne, kto zwycięży, Viqi i tak skończy albo martwa, albo po raz kolejny w niewoli Yuuzhan. Obróciła się na pięcie i rzuciła ku schodom.

I potknęła się o wyciągniętą nogę. Nogę osłoniętą zbroją z kraba vonduun.

Podniosła wzrok, zdezorientowana. Wszyscy wojownicy Yuuzhan Vongów znajdowali się przed nią, więc skąd ten się tu wziął? Był najwyższym Yuuzhaninem, jakiego w życiu widziała. Miał na sobie niezwykłą, czarno-srebrną zbroję, podobnie jak niższy wojownik, który stał obok. Ten miał niezwykle desenie na twarzy.

I właśnie on odezwał się pierwszy.

– I co my tu mamy, kolego Bumbum? – Miał głos osoby wykształconej, o doskonałym akcencie we wspólnym.

– A bo ja wiem? – odparł wysoki. On także mówił we wspólnym. Pochylił się, złapał Viqi za kostkę i wstał, trzymając ją głową w dół – Jakiś wypierdek mamuta.

Zdezorientowana Viqi mogła tylko się przyglądać, jak smukła kobieta Jedi z płonącym mieczem świetlnym wymija całą trójkę, nie zwracając najmniejszej uwagi na Yuuzhan.

Nad jej głową rozległ się cichy stuk, aż drgnęła zaskoczona. Spojrzała w górę – a raczej w dół, na podłogę – i ujrzała leżący tam lokalizator.

Sięgnęła po niego, ale wysoki wojownik szarpnął nią w bok.

– Łap się za to, Piękniśiu!

– Już mam. – Ten, którego nazywali Piękniśiem, chwycił aparacik i wstał. – Ach, to lokalizator specjalnych pojazdów wojskowych. Uulshos takie robi. Patrz, to działa!

Viqi wreszcie odzyskała zdolność mówienia.

– To moje.

– Już nie, pani senator.

Luke i Mara zbliżali się do lorda Nyaksa i atakujących go Yuuzhan. Wytężyli zmysły – fizyczne i Mocy; byli czujni i gotowi do walki.

Luke analizował twarz przeciwnika. Szukał w niej śladu człowieczeństwa. Widział jedynie uśmiechniętą złośliwość, a przez Moc wyczuwał myśli tej istoty: przyjemność, jaką sprawiło jej zabicie wojowników, i radość, jaką odczuwała na myśl o zabiciu Luke’a i Mary.

W uczuciach Lorda Nyaksa nie było śladu zrozumienia, niczego ludzkiego.

– Nie wiem, czy mnie rozumiesz – odezwał się do niego Luke. – Ale cokolwiek chcesz zrobić, obojętne, jakie masz plany, jesteśmy tu po to, aby cię powstrzymać.

Lord Nyax uśmiechnął się szerzej. Wydawał się rozpoznawać intencję Luke’a, choć z pewnością nie był w stanie uchwycić słów.

A potem odpowiedział – nie słowami, lecz obrazami. Luke zobaczył potęgę jego woli, wyrażoną poprzez Moc, zalewającą pozostałych na Coruscant ludzi jak woda, która przerwała tamę i z rykiem zalewa kanion. Widział, jak pochłania Coruscant, jak pożera i zabija wszystko, co napotka na swej drodze – także Yuuzhan, nieposłusznych, ślepych na Moc. Widział też grupy robotników, wchodzących na olbrzymią maszynę, przetaczających się razem z nią poprzez kilometry budynków, miażdżąc i niszcząc wszystko po drodze, aż trafią do pewnego miejsca, źródła mocy, która zaspokoi tę szaleńczą, ale rozkoszną żądzę niszczenia.

Ale przeszkodził mu Luke. Lord Nyax marzył, aby wymordować przybyszów, tych, którzy nie chcą zrozumieć i przyłączyć się do niego.

Luke skinął na Marę, aby do nich dołączyła. Mara stała twarzą do wojowników Yuuzhan, pilnując, aby nie zaatakowali Luke’a, lecz nie spuszczała wzroku z męża. Jej oczy rozszerzyły się nagle. Luke poczuł, jak się ku niemu skłania, jak akceptuje jego powinność.

Ale jej widok przywiódł inne obrazy. Luke ujrzał światy pełne piękna. Zobaczył swojego syna, łączącego w sobie jego samego i Marę, i lata, które nadejdą. Poza krawędzią potęgi Lorda Nyaksa wyczuwał inne aspekty Mocy i życie, z którego płynęła.

Zwrócił się znów ku Lordowi Nyaksowi, z trudem wymawiając każde słowo, aby wyrazić jedną myśl:

– Stanę... ci... na... drodze.

Tak postępowali Jedi. Jedi nie atakują, ale osiągają ten sam rezultat stając na drodze brutalnego agresora, który nie chce ustąpić.

I było to jedyne, co mógł uczynić jako wojenny przywódca Jedi – poprowadzić ich tak, aby stanęli na drodze wroga. To fatalne ograniczenie, myślał Luke. Gdyby walczył z wrogiem nie rozumiejąc go, być może zmniejszyłby skuteczność Jedi w walce.

Skoro jednak raz to przyznał i zaakceptował, może się to stać jego największą siłą. Czy to przypadkiem, czy umyślnie, z własnej woli czy poprzez zawilosci Mocy, zawsze znajdował drogę, krzyżującą się ze ścieżką największych wrogów żyjących istot.

I oto robi to znowu.

– Stanę ci na drodze – powtórzył Luke, zadowolony, że odzyskał kontrolę nad głosem. – Nie osiągniesz tego, o czym myślisz.

Wyraz twarzy Lorda Nyaksa z drwiąco rozbawionego zmienił się na poważny... przez krótką chwilę wyglądał smutno, jakby nagle uznał, że rzeczywiście coś ich łączy, a potem odkrył, że to powinowactwo nie wypełni przepaści, jaka ich dzieli.

I zaatakował.

Kell skończył wiązać ręce Viqi za plecami, podniósł wzrok akurat w tym momencie, kiedy Lord Nyax rzucił się na Luke'a.

Luke podniósł miecz i przechwycił nim zamach miecza na prawym ramieniu Lorda Nyaksa. Odwrócił się bokiem, zwięzając powierzchnię celu, kiedy ostrze lewego przedramienia dźgnęło sztychem, po czym na czas zablokował ostrze prawego łokcia. Mara skoczyła naprzód, zadając dwa szybkie ciosy, które tamten odbił ostrzem lewego łokcia, i prawie złożyła się w pół, odskakując od ciosu ostrza lewego kolana.

Wojownicy Yuuzhan zasypali ich deszczem chrząszczy i brzytwożuków, nie patrząc na to, kogo trafią, lecz oboje Jedi i Lord Nyax zbijali je z powietrza lub robili uniki.

Oboje Jedi? Już troje, bo nagle pośrodku nich wylądowała Tahiri, wyskakując z lewej strony Luke'a. Zablokowała cios ostrza lewego łokcia Nyaksa.

– Fatalnie – mruknął Kell.

Buźka kiwnął głową.

– Jeszcze gorzej.

Wydobył rusznicę laserową z worka, który nosił na plecach.

– No to kto strzela pierwszy?

– Nic tu po nas. – Kell wskazał na schody. – Chodź, sprawdzimy, co się dzieje na dole. Jeśli zrobi się gorąco, zawsze mogę wszystko wysadzić.

– Teraz cię poznaję, Kell.

Kell postawił Viqi na nogi, przerzucił ją sobie przez ramię i ruszył w dół po schodach, depcząc Buźce po piętach.

Denua Ku obserwował bladego *Jeedai* i przez chwilę podziw prawie stłumił w nim odrazę, jaka odczuwał na samą myśl o bluźnierczych maszynach, tych mieczach świetlnych dotykających jego ciała.

Blada istota walczyła z zawziętością i szybkością przewyższającą wszystkich wojowników, jakich kiedykolwiek znał. Doświadczonym okiem ocenił, że ruchy tego mężczyzny są instynktowne; on nie potrafił wykonać żadnej skutecznej kombinacji ciosów, nie był zdolny przewidzieć, w którą stronę skoczą jego przeciwnicy, kiedy ich zaatakują.

Gdyby ten stwór urodził się Yuuzhaninem, gdyby Denua Ku mógł go szkolić choć przez rok, przez pół roku, mógłby stworzyć największego wojownika, niebędącego wcieleniem boga. A w tej sytuacji musi go zabić.

Nawet jeśli *Jeedai* także chcieli go zabić, i tak był bluźnierstwem. Do tego stanowił większe zagrożenie niż oni. A więc musiał umrzeć pierwszy. Denua Ku rzucił brzytwożuka, po czym skoczył do walki wręcz, wbijając w plecy bladej istoty czubek ogona amphistaffu.

Istota obróciła się i skierowała ostrze z kolana wprost w brzuch Denui Ku. Zdołał zablokować cios amphistaffem, ale energia tamtego była niewyobrażalna – odrzuciła go w tył, obalając na plecy. Przetoczył się w tył i skoczył na nogi, w samą porę, żeby zobaczyć, jak jeden z jego wojowników

wykonuje podobny atak... i pada z gardłem przebitym ostrzem z przedramienia.

Dziewięciu wojowników Yuuzhan Vongów nie żyło. Zostało szesnastu. Proporcje były coraz gorsze.

Nagle potężny mechaniczny ryk wstrząsnął komnatą. Po chwili ucichł trochę, ale nie ustawał, wypełniając powietrze wibracją.

ROZDZIAŁ 14

– On gra na czas! – zawołała Mara, przekrzykując huk.

– Wiem! – odkrzyknął Luke. – I to działa, bo czasu mam coraz mniej!

Zatrzymał cios z przedramienia i został zmuszony do cofnięcia się o krok; zablokował kolejny sztych z łokcia i znów cofnął się o krok; potem skoczył w tył, aby uniknąć sztychu z kolana i odkrył, że to tylko manewr; noga Lorda Nyaksa wystrzeliła w tył i trafiła w krocze jednego z wojowników Yuuzhan, pozbawiając go przytomności, mimo że miał zbroję.

Każdy krok przybliżał Jedi i wojowników do środka komnaty. Podłoga pod ich stopami dygotała.

– Co? – zawołała Mara.

– Nic nie mówiłem!

– Nie ty! Buźka, mów głośniej!

Luke machnął ręką, nakazując Marze wycofać się. Skoczyła w górę i saltem wylądowała dalej, poza zasięgiem Lorda Nyaksa. Wyjęła komunikator i przycisnęła go do ucha. Jej miejsce zajęła Tahiri, wywijając mieczem, ale poczuła oszołomienie, kiedy przeanalizowała ruchy i strategię napastnika.

– Mówiłem, że to ogromna maszyna – krzyknął Buźka. Tu, u samego źródła drgań, hałas był jeszcze większy.

On, Kell i ich miotający się ładunek znajdowali się na kładce dwa poziomy pod piętnem, gdzie walczyli Jedi i Yuuzhanie, i o jeden poziom niżej od bocznych pasaży, którymi musieli nadejść Yuuzhańscy wojownicy. Sama kładka stanowiła zaś górny poziom bardzo wysokiego pomieszczenia – pomieszczenia, które mieściło jedno jedyne urządzenie.

Gdyby ta maszyna stała na jakimkolwiek innym świecie, a nie na Coruscant, uznana by została za drapacz chmur. Wysoka na kilkaset metrów, na dole miała przystawki, które mogły się toczyć jak gąsienice czołgu lub podnosić się i poruszać niezależnie, jak stopy. Na całej powierzchni rozmieszczono hydrauliczne wysięgniki; niektóre kończyły się palnikami plazmowymi, inne potężnymi, kulistymi młotami, jeszcze inne łapami manipulatorów.

Na szczycie znajdowała się stacja czujników, otoczona panelami z transpastali, a we wnętrzu tej stacji tłoczyły się żywe istoty. Wielu robotników, którzy zeszli z wyższego piętra przed atakiem Yuuzhan, znalazło się właśnie tutaj, a kolejni przeciskali się po kładce prowadzącej do drzwi stacji.

Poniżej roilo się od istot, które niezmordowanie przenosiły wielkie kawały gruzu, odsłaniając podstawę maszyny.

Gigantyczne urządzenie ryczało jak flota antycznych ścigaczy gondolowych. Drgania drażniły

skórę Buźki w miejscach, gdzie nie okrywała jej skorupa kraba vonduun.

– Powiedz jej, że to robot budowlany – krzyknął Kell. – Wygląda na całkowicie sprawny.

Buźka przekazał informację przez komunikator.

– Słyszała cię?

– Nie wiem.

– Powiedz jej, że to się porusza.

Daleko w dole gaśienice zakręciły się i ruszyły. Maszyneria robota budowlanego zawyła, gigantyczne urządzenie rzuciło się naprzód i z hukiem uderzyło w durabetonową ścianę.

Mara nic nie słyszała, mogła tylko kłąć. Schowała komunikator i jednym skokiem wróciła do walki. Odbiła chmurę chrząszczy i zamierzyła się na rękę Lorda Nyaksa, ale jego ostrze zatoczyło łuk i odparowało cios ostrzem miecza świetlnego.

Luke przeskoczył przez bladego Jedi, w locie zamierzając się mieczem, lecz jego cios został zablokowany.

Takiri rzuciła się do przodu, potknęła się i nadziała wprost na ostrze kolana. Mara wyciągnęła rękę, usiłując odepchnąć ją Mocą, ale już wiedziała, że jest za późno, że za ułamek sekundy klinga wyłoni się po drugiej stronie czaszki Tahiri. Dziewczyna jednak odskoczyła w bok, nie tracąc kontroli ani równowagi nawet wówczas, kiedy Luke wyrzucił stopy do przodu i ugiął nimi kark Lorda Nyaksa, zmuszając go do pochylecia głowy wprost na własne ostrze, wychodzące z kolana.

Klinga zgasła. Głowa Lorda Nyaksa przeleciała przez pustą przestrzeń. Luke wykonał obrót i stanął na nogi z miną wyrażającą zdumienie... a zaraz potem desperację.

Mara westchnęła. To była tylko sztuczka dla zmylenia przeciwnika. Projektanci okazali się bardzo dokładni. Wstawili zabezpieczenia właśnie tam, gdzie trzeba.

Podłoga zakołysała się pod ich stopami. Mara poczuła uderzenie jeszcze zanim je usłyszała.

Lord Nyax skoczył w górę na sześć metrów i zawisł tam, uśmiechając się do Jedi i do Yuuzhan.

Mara o ułamek sekundy za późno zorientowała się, że po prostu chwycił się tego samego sznura, po którym ona i Luke zjechali w dół. I wtedy podłoga uciekła jej spod nóg.

Robot budowlany przeorał ścianę, miażdżąc stalowe zbrojenia i durabeton, i wpuścił do środka niebieskawe światło słoneczne. Parł dalej, kołysząc się i podskakując. Wewnętrzne kompensatory równowagi miały trudne zadanie, by nadażyć za nierównościami powierzchni, po której się poruszał.

Kładka pod stopami Buźki zafalowała.

– No, jeszcze tego brakowało! – odwrócił się w kierunku schodów, którymi tu dotarli, ale część kładki, ta w narożniku najbliższym robota, pękła i spadła, obrywając jeden wspornik, a zaraz potem drugi. Zapadała się coraz dalej, wreszcie został tylko jeden wspornik za plecami Kella i Buźki, dzięki czemu znaleźli się nagle na bardzo stromej rampie.

Buźka zdołał chwycić się poręczy kładki, więc kiedy reszta umknęła mu spod nóg, jakoś się utrzymał. Spojrzał w górę i zobaczył Kella, który uczeplił się poręczy tuż nad nim; zauważył też, że sufit pomieszczenia pękł i zapadł się, gdy jedna ze ścian nośnych ustąpiła pod naciskiem monstrualnego robota.

Przez szczelinę w suficie zaczęły spadać ciała. Niektóre należały do robotników. Inne do wojowników Yuuzhan Vongów.

A potem spadli ich przyjaciele Jedi.

Luke poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg i skoczył ku Marze i Tahiri, korzystając z możliwości odbicia, jakie dała mu zapadająca się podłoga. Wpadł na nie jak zbyt agresywny piłkarz i przygarnął każdą jednym ramieniem.

Fragment podłogi, ku któremu zdążali, zapadł się. Nie mieli na czym wylądować. Luke użył Mocy, co pomogło mu przerzucić się nad szczeliną, w kierunku metalowej ściany, która nagle przed nim wyrosła. Ściana i kładka...

Zorientował się, że nie trafią na kładkę, że uderzą w ścianę i polecą w dół. W tej samej chwili lewa część kładki zerwała się z zamocowań i spadła dokładnie pod ich stopy. W moment później uderzyli w rozkołysaną blachę, przechylając ją jeszcze niżej, ale Mara i Tahiri złapały zwisający koniec kładki i przywarły do niego z całej swojej niemałej siły.

Luke rozejrzał się wokół, dysząc ciężko. Cała trójka zdążyła w pół skoku wyłączyć miecze świetlne.

– Dobry odruch – pochwalił kobiety.

– Dobry nauczyciel – odparła Tahiri. Spojrzała w górę, poza plecy Luke'a. – Hej, Buźka, to ty?

– Trzymajcie się, trzymajcie. Zaraz dostaniecie linę...

Buźka odwiązał sznur, którego używał przedtem do zabezpieczenia przejścia przez chodnik nad przepaścią. Teraz rzucił drugi koniec na kołyszącą się kładkę w kierunku Jedi. Luke, Mara i Tahiri dołączyli do nich w jednej chwili. Robot budowlany właśnie wytaczał się na ulicę za budynkiem.

– Widzieliście Viqi Shesh? – zapytała Mara.

Kell wycelował kciuk w kierunku klatki schodowej, znajdującej się teraz za ich plecami.

– Kiedy uderzył wielki młot, była na dole schodów. Związała.

Mara wspięła się na podest.

– Idę za nią.

– Maro, nie – głos Luke'a nie wyrażał prośby, lecz rozkaz. – Lord Nyax jest ważniejszy. Czuję, że się tu zbliża. On nie może odejść. Musimy pójść za nim, zniszczyć go...

Mara westchnęła, przymknęła oczy, a wreszcie skinęła głową.

– Ja ją straciłem, ja po nią pójde – oznajmił Kell.

Buźka wcisnął mu do ręki lokalizator.

– Nie, tu jest twoja działka, Mechaniku. Może to nasz bilet do domu.

– No to ty ją goń.

Buźka zerknął w kierunku robota budowlanego, który skręcił w prawo w aleję, i oparł się o sąsiedni budynek pod niepokojącym kątem.

– Ja pójde za nim. Nyax musiał go wysłać w jakimś celu. Musimy się tylko dowiedzieć, w jakim.

Mara uderzyła pięścią w ostatni schodek i wstała.

– Dobrze, idziemy – rzekła.

Wysoko, nad częściowo zawaloną podłogą, wisiał Denua Ku. Nie był w stanie ani wspiąć się wyżej, ani zejść.

Z korpusu wystawała mu trzymetrowa sztaba, śliska od krwi. Wiedział, że przebiła płuco.

Ból był niesamowity. Nie przeszkadzał mu, nie budził lęku, ale zdawał się przygasać. Wróżyło to raczej bliską śmierć niż ocalenie.

W ciszy, jaka pozostała po maszynie niewiernych, usłyszał nagle kroki miękkich stóp na resztkach podłogi. Podniósł wzrok. Viqi Shesh, która przebyła już większą część obwodu pomieszczenia w drodze do otworu, przez który wszedł bładny potwór, zatrzymała się i spojrzała na niego. Ręce miała związane z tyłu.

– Powiedz im, że zginąłem jak wojownik – rzekł Denua Ku.

– Powiem – zapewniła. – Powiem, że umarłeś wyjąc ze strachu, błagając o lekarstwa niewiernych, cokolwiek, byle uśmierzyć ból.

Denua Ku warknął i sięgnął do torby, gdzie wciąż jeszcze zostało mu kilka brzytwożuków.

Viqi roześmiała mu się w twarz. Zanim zdołał wyciągnąć bodaj jednego, dotarła do zakrętu i wśliznęła się w otwór.

Lord Nyax poprowadził trójkę Jedi szybkim biegiem przez ruiny Coruscant. Mógł poruszać się szybciej od nich, ponieważ od czasu do czasu po prostu przeskakiwał z jednego budynku na drugi, a dla nich ta odległość zwykle okazywała się zbyt duża. Pomimo to zawsze czuli go w pewnej odległości, wyczuwali jego ruchy, oczekiwanie, a nawet uczucie zniecierpliwienia.

Raz prawie go dogonili. W jasno oświetlonym korytarzu leżały ciała pięciu młodych, zaledwie pokrytych bliznami Yuuzhan. Z ich ran wciąż unosił się dym. Z daleka dobiegły Jedi odgłosy kroków uciekającego Lorda Nyaksa.

– Dokąd on idzie? – zapytała Mara.

Luke pomyślał o miejscu, gdzie rozpoczęła się walka, i o drodze, jaką od tej pory przebyli.

– Idziemy po wielkim łuku. Może nawet po kole.

– Dlaczego? – zapytała Tahiri. Oddychała lżej niż Luke czy Mara; energia i wytrwałość młodości robiła swoje.

– On nie ucieka – rzekł Luke. – Już dawno mógłby nas zostawić w tyle. Sądzę, że chce, abyśmy za nim poszli. W zasadzkę? – pokręcił głową. – Poszedłby prosto. Nie, on nam po prostu urządza polowanie. Odwraca uwagę.

– Ciekawe, gdzie on tak bardzo nie chce nas dopuścić? – mruknęła Tahiri.

Mara obróciła się raptownie i rzuciła w tę samą stronę, z której nadeszli.

– Tam, gdzie posłał robota budowlanego – rzuciła i wyciągnęła komunikator. – Mara do Buźki. Zgłoś się, Buźka...

Buźka ukrył się za filarem pomiędzy dwoma zmiażdżonymi panelami z transpastali. Zszedł z widoku w ostatniej chwili, bo za oknem dokładnie na jego wysokości przeleciała para skoczków koralowych. A także na wysokości górnego poziomu robota bojowego.

– Tu Buźka. Słyszę cię.

– Wciąż jesteś przy robocie budowlanym?

– Cóż, i tak, i nie. – Wychylił się z rozbitego okna. W pewnej odległości widział skoczki koralowe wiszące nad kupą gruzu, którą usypał robot budowlany, kiedy wbił się w bok potężnego kompleksu budynków. – Jest przede mną. Przekopuje się przez strukturę. Porusza się o wiele szybciej, niż powinien – założę się, że te kolosy nie są przewidziane do joggingu. Jestem na razie odcięty. Będę musiał go śledzić z górnych pięter i mieć nadzieję, że się nie zapadną.

– Pozostaw sygnał naprowadzający. Musimy cię znaleźć.

– Jasne. Buźka wyłącza się. – Siedział na swojej pozycji jeszcze przez chwilę, ciężko dysząc

w ciepłym, wilgotnym, duszącym powietrzu Coruscant, po czym wstał powoli. – Jak ja nienawidzę tej roboty.

Jedi okrążali rosnącą gromadę skoczków koralowych, wiszących nad zapadniętą dziurą, którą robot budowlany wywalił w bocznej ścianie.

– Interesujące – mruknął Luke.

– Co? – zapytała Tahiri.

– To jeden z monolitów, który w czasach Starej Republiki służył za centrum rządowe – wyjaśnił Luke. – Większość mieściła poszczególne biura, ambasady i delegatów ze światów nienależących do Republiki, a także firmy i organizacje mniej lub bardziej związane ze Starą Republiką.

Takiri spojrzała na niego niedowierzająco.

– Skąd wiesz?

– Wiem, smarkulo, bo kilka ocalałych baz danych i atlasów, które zawierały wzmiankę o Świątyni Jedi, wskazywały, że mieściła się ona mniej więcej tam – wskazał palcem. – Już to wszystko przerabiałem, całe kilometry mądrości. Zanim jednak zdołałem się jej przyjrzeć w naturze, imperator Palpatine zadbał, aby po Jedi nie pozostał nawet ślad.

– A nuż jakiś ślad się uchował? – mruknęła Mara. – Jak sądzicie, po co Lord Nyax tam kopie?

– Bo ja wiem... – Luke zastanowił się głęboko. – Może ma wszczepione jakieś wspomnienia, może to instynkt? A może chce zniszczyć wszelkie pozostałości Świątyni, słuchając jakiegoś wewnętrznego nakazu? Albo wie o istnieniu jakiejś jej części, o której nigdy nie było wzmianki w publicznych bazach danych?

– Tak czy inaczej, musimy to sprawdzić – stwierdziła Mara.

Luke uśmiechnął się lekko.

– Częste pobyty w tym rejonie mają jedną zaletę: znam kilkanaście dróg do i z tego miejsca. Chodźcie, wyminiemy te skoczki.

Głęboko we wnętrzościach kompleksu budynków robot budowlany zaparł się o pochyłą czarną ścianę, wbijając palniki plazmowe w jej powierzchnię i łomocząc w gładki kamień mechanicznymi członkami. Kawały twardego kamienia odpadały po trochu, ale ściana ustępowała bardzo wolno.

Luke i jego towarzysze obserwowali operację przez szczelinę w durabetonowej ścianie o kilka pięter wyżej. Większość struktury budynku, która powinna się znajdować pod ich stopami, już runęła, zaledwie robot budowlany dotarł do tego punktu, a trzaski wokół wróżyły rychłe zapadnięcie się całej reszty.

– Co jest za tą ścianą, farmerze?

Luke potrząsnął głową.

– Nie wiem. Nie wiedziałem, że tu coś takiego jest. Nie jestem pewien, czy wcześniej były tu już jakieś wejścia. Hej, mamy na głowie kolejnych Yuuzhan!

Pomimo niebezpieczeństwa, jakie mogło stanowić dodatkowe obciążenie, Mara wychyliła się ponad ramieniem męża i wyjrzała. Wojownicy Yuuzhan Vongów wspinali się na gruzy i kierowali się w stronę robota.

Ocaleni z Coruscant pobiegli na spotkanie nieprzyjaciół. Byli nieuzbrojeni, niedożywieni, lecz liczebnością znacznie przewyższali Yuuzhan i Luke widział, jak wielu wojowników ginie przygniecionych ruchliwą masą ciał. Silniejsi mieszkańcy chwytali bryły kamienia i rozwalali nimi

głowy wrogów.

Pojawili się kolejni Yuuzhanie, w jeszcze większej liczbie. Zjawili się też następni tubylcy. Teraz wysypywali się zewsząd, nie tylko z podstawy robota.

Luke obejrzał się na pozostałych Jedi.

– On tu jest. Wzywa ich. Wzywa pomocy.

Buźka zdjął hełm i dotknął czoła. Wydawał się dziwnie niespokojny.

– Wiem. Czuję go. W głowie. Chciałbym zejść na dół. – Dostrzegł ich zatroskane miny i uśmiechnął się krzywo. – No nie, właściwie nie chcę. Ale czuję, że mnie ciągnie.

– Jesteś silny – odparła Tahiri. – Dobrze odżywiony. Masz nadzieję. Musiałby się mocno namęczyć, żeby móc tobą sterować, ale podejrzewam, że dałby radę. Nie jestem pewna, czy i nas nie byłby w stanie kontrolować.

– Kell do Buźki – głos, cichy i metaliczny, dochodził z hełmu Buźki.

Dowódca Widm przysunął hełm do twarzy.

– Tu Buźka, co jest?

– Znalazłem źródło sygnału lokalizatora. Mamy szczęście, to dobry transporter kosmiczny.

Paszport na Borleias.

– W jakim jest stanie?

– Gotów do drogi. Tyle, że blokuje go kilka ton gruzu.

– Dasz sobie z tym radę?

– A co mam w worku?

– Właśnie tak sądziłem.

Luke zerknął znowu na rozgrywającą się w dole walkę, której jedynym liczącym się uczestnikiem była istota, którą zwano Lordem Nyaksem.

– Buźka, nasza misja dobiegła końca. Pozbieraj resztę, wsiadajcie do transportera i przygotujcie się do odlotu – polecił.

Buźka spojrział na niego z taką miną, jakby czekał na puentę.

– A co robimy z tymi pajacami Jedi? Zostawiamy?

– My schodzimy w dół. – Luke przymknął oczy na krótką chwilę, czując, jak przytłacza go ciężar tej decyzji. Właśnie zamierzał poprowadzić własną żonę i młodą Jedi do walki, a sam nie wiedział, czy da radę. Istniało duże prawdopodobieństwo, że zginą wszyscy troje. Spojrział znowu na Buźkę. – Jeśli mamy zginąć, inni Jedi powinni się dowiedzieć o Lordzie Nyaksie. Ty im opowiesz.

Buźka zastanowił się chwilę i uśmiech znikł mu z twarzy.

– Z reguły nie zgadzam się z ochotnikami do samobójczych misji.

– Ale wiesz, co potrafi Lord Nyax.

– Wiem. Mogę wam tylko życzyć szczęścia.

Buźka odszedł.

Luke odetchnął głęboko kilka razy.

– Gotowi?

– Gotowi – odparła Tahiri.

Mara tylko skinęła głową.

Luke włączył miecz świetlny i zaczął nim poszerzać szczelinę, przez którą do tej pory tylko wyglądali.

Lord Nyax obserwował robotników wylewających się falą na spotkanie wojowników, których nie wyczuwał. Nie podobało mu się, że nie był w stanie ich wyczuć, ale cieszył się, że jego robotnicy potrafią ich zabijać – choćby kosztem dwudziestu do trzydziestu robotników na każdego wojownika.

Ściągał ze wszystkich stron następnych mieszkańców. Choćby się ukrywali w najmroczniejszych głębinach miasta, jego wezwanie docierało do większości, zmuszając ich do wypełnienia z ukrycia, by najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż wreszcie biegiem zdążali do sceny konfliktu.

Czuł też, że ściana słabnie. Wkrótce ustąpi. Kobieta, która powiedziała mu o tej maszynie – miał wrażenie, że siedzi teraz na jej wierzchołku i wprawia ją w ruch – miała rację.

Nagle coś wyczuł i spojrział w górę. Błysnął promień energii i z otworu w suficie spadło na niego trzech ludzi.

Dryfowali bokiem, ku szczytowi czarnej ściany i zjechali po niej, wykorzystując Moc do spowolnienia upadku. Zachowali równowagę, zwiększając tarcie pomiędzy ubraniem, stopami i powierzchnią ściany.

Lord Nyax przemieścił się tak, aby znaleźć się tuż pod nimi. Włączył wszystkie swoje ostrza, ile ich miał. Wiedział, że tu trafią, wiedział od chwili, kiedy przestali go gonić. Wolałby, żeby odeszli, zamiast go męczyć.

Pierwszy z nich, mężczyzna, zsunął się na dół, aż znalazł się tuż nad Lordem Nyaksem, po czym odbił się i skoczył tak, by wylądować za nim. Kiedy tamten spadał, Lord Nyax wyciągnął rękę i przesunął na jego drogę ostry odłamek kamienia. Kamień powinien obciąć intruzowi nogi, ale mężczyzna zwolnił tempo spadania i obrotów, lądując na kamieniu, zamiast przed nim. Znow się odbił i skoczył w kierunku Lorda Nyaksa. Tymczasem kobiety wylądowały z dala od kamienia, okręciły się w powietrzu i zapaliły swoje promienie.

Lord Nyax wyskoczył ze środka formacji, jaką stworzyli i znalazł się za czerwono włosą. Uderzył stopami w kamienny blok, odbił się i koziołkując w powietrzu opadł o kilkanaście kroków od tych trzech insektów.

A potem sformułował myśl i wcisnął im do głów.

Uderzyła Luke'a jak brzytew wbity w czoło. Mistrz Jedi zachwiał się z bólu i uderzył plecami o nierówną podłogę. Machnął mieczem świetlnym w górę i w bok, jak do gardy, ale cios, który miał odparować, nie nastąpił.

Pojawił się za to nowy priorytet. Powinien wyłączyć miecz świetlny i zaatakować Yuuzhan. Skoczył na nogi i wyłączył broń. Widział, że Mara i Tahiri robią to samo.

Ale przecież to by oznaczało śmierć i, co gorsza, klęskę.

Nie, to właśnie musi zrobić.

Nie, nie może tego zrobić.

Stał tak pogrążony w rozterce, walcząc z myślą wypełniającą mu głowę. Myślą, która powoli wypierała wszystkie inne.

Uczył zatem to, co zwykle, kiedy tracił pewność siebie. Wysunął zmysły, sięgając do Mary poprzez Moc. Nie musiał otwierać dla niej umysłu – jego umysł był tak otwarty, jak to tylko możliwe, zablokowany w tej pozycji przez myśl Lorda Nyaksa. Musiał tylko sięgnąć i znalazł ją natychmiast, bo i ona była otwarta i zablokowana, równie zdezorientowana i przepełniona bólem, jak on sam.

Nie miała dla niego odpowiedzi. Sięgnął ku Tahiri – ona również była unieruchomiona.

Poczuł, że Lord Nyax zaczyna się niecierpliwić, a wreszcie denerwować. A Lord Nyax objawiał

swój gniew poprzez ból. Luke poczuł, że palce urąk i nóg, dłonie, stopy, łydki i przedramiona za chwilę mu eksplodują. Upadł, wijąc się w cierpieniu, po czym ze zdumieniem stwierdził, że jego wszystkie członki znajdują się na swoich miejscach – ból był prawdziwy, ale to nie okaleczenie go spowodowało. Docierał do niego także ból Mary i Tahiri.

Ale Tahiri wydawała się jakby inna. Spojrzał w kierunku, gdzie powinna leżeć.

Przetoczyła się właśnie na brzuch i zmusiła do wstania. Zataczając się na wszystkie strony, stanęła jednak na nogi i zdołała podnieść, a później włączyć miecz świetlny. Spojrzała na Nyaksa, a oczy błyszczały jej wściekłością.

– Wiem na temat bólu coś, o czym ty nie masz pojęcia – wycedziła. – Inni ludzie toną w bólu, ja w nim pływam.

Zrobiła krok w kierunku swojego prześladowcy.

Luke wyczuł gniew Nyaksa, chwilę zmieszania, a choć nie był w stanie się poruszyć, wciąż jeszcze mógł działać. Sięgnął poprzez Moc, chwycił głaz, którego Nyax próbował użyć przeciwko niemu kilka chwil wcześniej, i cisnął nim w przeciwnika.

Kamień przeleciał kilka metrów i choć Luke był osłabiony bólem i bezradnością, zdołał skierować go w plecy Lorda Nyaksa. Olbrzym zachwiał się i upadł na twarz.

Tahiri skoczyła do przodu, opuszczając miecz świetlny w ostatecznym ataku. Nyax zdołał uruchomić jedno z ostrzy ramion, żeby go zablokować, skoczył i odbił się od sterty gruzu. Zaczął się ześlizgiwać, aby oddalić się od Tahiri, ale poleciał daleko poza punkt, gdzie powinien był się zatrzymać, pozostawiając na gruzach strzępy skóry i krew.

Luke czuł jego zdumienie, jego oburzenie spowodowane tymi w gruncie rzeczy lekkimi obrażeniami. I wtedy Nyax wtłoczył w jego mózg kolejną myśl: „zabij Tahiri”.

Tym razem Luke był gotów. Miał dość czasu, aby skoncentrować własne myśli, a co najważniejsze, również uczucia. Głowę miał pełną wspomnień o Tahiri, o wszystkich chwilach, kiedy sprawiała mu radość postępami we władaniu Mocą, wszystkich nadziejach, jakie wiązał z jej przyszłością i szczęściem. Jak tarczę podniósł wspomnienie jej miłości do Anakina Solo, jego siostrzeńca. Wszystkie te wspomnienia stępiły atak Nyaksa, rozbiły w proch ostrze jego włóczni.

Luke sięgnął ku Marze i stwierdził, że ona także się uzbroiła, choć nie w uczucia, ale w logikę. Przez jej umysł przebiegały zimne obliczenia, podział na sojuszników i przeciwników, strumień działań i konsekwencji. Najbliżej powierzchni znajdowało się zrozumienie, że Nyax może rządzić każdą żywą istotą, a z żywych istot składa się cała galaktyka.

Głęboko pod tą analizą kryła się jednak świadomość istnienia ich syna, Bena, i tego, kim mógłby się stać, gdyby Nyax zdołał go odnaleźć i ukształtować.

Luke stanął na dygoczących nogach i wyczuł, że Mara robi to samo. A choć Nyax nie zmniejszył strumienia energii ani bólu, Luke czuł się nim mniej dotknięty. Wyczuwał w tym udział Tahiri, jej otwarcie się na ból, odporność na jego obezwładniającą siłę, nieugiętą moc, z jaką mu się przeciwstawiała.

Stanęli przed Nyaksem jak jedna istota. Część tej istoty – Mara – odrzucała fałszywe prawdy, które Nyax usiłował im zaszczepić. Luke, druga część tej istoty, odrzucał niepotrzebną nienawiść i zaślepioną wrogość. Część, którą stanowiła Tahiri, sprawiła, że przyjęli ból jako część siebie, jako paliwo dla swojej siły.

Nyax powiódł po nich wzrokiem i przez twarz przemknął mu błysk rozpaczy, dziecięcy strach.

I wówczas cała czwórka poczuła, jak ściana rozpada się w gruz. Cokolwiek znajdowało się poza

nią, z rykiem nadciągało, by ich porwać.

Gdzie indziej

Jaina Solo leciała nad Borleias, prowadząc X-winga na rutynowy patrol. Nagle poczuła, że z zadumy wyrzywa ją zakłócenie w Mocy. Wyczuła w nim Luke'a i Marę. Wiedziała, że są w niebezpieczeństwie. Zauważyła, że myśliwiec Kypa także się zachwiał, gdy jego pilotem wstrząsnęło to samo wrażenie.

O tysiące lat świetlnych od Borleias Ganner Rhysode, rycerz Jedi, silną ręką prowadził rozklekotany transporter, by osadzić go w doku. W dali majaczyła stacja kosmiczna. Ale aż drgnął, kiedy poczuł nagły zew Mocy. Transporter poleciał do przodu i uderzył w powierzchnię doku z prędkością większą, niż zamierzał Ganner. Jedi jeszcze kręcił głową, usiłując rozproszyć dziwne wrażenie, kiedy usłyszał głos szefa doku:

– Idiota.

W kopule sztucznego środowiska, która stanowiła część nieustannie rozrastającej się stacji w Otchłani, Valin Horn, uczeń Jedi, został wyrwany ze snu tak gwałtownie, że spadł z wąskiej pryczy. Usiadł, próbując sobie przypomnieć, co za koszmar mógł spowodować taką reakcję, ale nie był w stanie. Nagle zza dwóch ścian dobiegł go płacz małego Bena Skywalkera, głos jakiejś dorosłej osoby, próbującej go uspokoić, a także głosy innych młodych Jedi, porównujących wrażenia, jakich doznali przed chwilą.

Coruscant

Danni biegła schodami awaryjnymi. Przed sobą miała Bhindi, za nią biegł Elassar. Nagle się potknęła, gdy coś uderzyło w nią jak podmuch wiatru. Zsunęła się z kilku stopni, objając po drodze nogi i żebra, i leżała przez chwilę nieruchomo, z trudem chwytając powietrze.

Elassar ukląkł obok niej.

– Nie ruszaj się, zaraz cię zbadam.

– Nic mi nie jest. – Odsunęła Devaronianina i ostrożnie dźwignęła się na nogi. Wiedziała, że musi wyglądać dokładnie tak, jak się czuła, to znaczy wstrząśnięta do głębi.

– Coś się stało. Coś... wyrwało się na wolność.

ROZDZIAŁ 15

Luke wypłynął na powierzchnię morza – nie bólu, nie wstrząsu, lecz czegoś graniczącego z rozkoszą i całkowitym pomieszaniem zmysłów. Opierał się plecami o stertę gruzu, jego żona i dziewczyna leżały obok. Nie pamiętał ich imion. Nie pamiętał nawet własnego imienia.

Z ramienia spływało mu coś czerwonego. Wyciągnął szyję, żeby spojrzeć w górę i ujrzał ciało leżące na tej samej stercie gruzu, tuż nad nim. Ciału brakowało prawego ramienia, po gruzach spływała krew, a jeden jej strumyczek kapał na Luke'a.

Luke. Właśnie, Luke. I Mara, i Tahiri. I Yuuzhanie, i Nyax. Luke wstał i przekonał się, że jego miecz świetlny leży o kilka kroków dalej. Przyciągnął go ku sobie niedbałym gestem poprzez Moc. Miecz uderzył w jego dłoń ze znacznie większą energią, niż się spodziewał. Upuścił go znowu.

A potem zobaczył Nyaksa, który stał przed wyrwą w czarnym murze. Dziura, w której wciąż jeszcze tkwił niszczyielski szpon robota budowlanego, znajdowała się na poziomie około dwudziestu metrów. Nyax tańczył na stercie gruzu. Ruchy miał nieskoordynowane i niezgrabne, jak u dziecka. Był to pląs radości.

Mara stanęła obok niego. Luke wiedział już, że nic jej nie jest.

– Energia Mocy – wyszeptała.

Ależ tu musi być jej źródło, pomyślał Luke. Starą Świątynię Jedi zbudowano w tym miejscu właśnie dlatego. Jedi strzegli źródła. I strzegli go przed całą planetą.

Nyax przerwał swój taniec i obejrzał się na Jedi. Twarz miał pogodną, wręcz radosną. Wydawało się niemożliwe, że mógłby ich skrzywdzić w jakikolwiek sposób.

Nie zaatakował ich. Podniósł tylko dłoń.

Kawał sufitu ponad ich głowami, o średnicy mniej więcej dziesięciu metrów, wyskoczył w górę i natychmiast znikł im z oczu. Spadł na nich deszcz odłamków, ale podryfował w bok, zanim dążył dotknąć Lorda Nyaksa. Z otworu wydobywały się ogłuszające trzaski i huk, otaczające ich mury zadygotały.

Tahiri podeszła do Luke'a i Mary, wciskając coś do plecaka.

– Mamy kłopot – mruknęła.

Jedną z zalet włóczenia się po zrujnowanym mieście na głębokości wielu kilometrów, gdzie nie istnieje prawo ani porządek, jest możliwość znalezienia potrzebnego sprzętu, myślał sobie Buźka.

Na przykład taka taksówka powietrzna. Pewnie trzydziesta z kolei, jaką spostrzegł od chwili rozstania się z Jedi, może czwarta nieuszkodzona, a pierwsza, która ruszyła od jednego naciśnięcia właściwego guzika. A teraz leciał sobie nad kanionami zwalonych budynków Coruscant, kierując się

na sygnał naprowadzający i trzymając się poniżej dachów.

Była to niezbędna ostrożność. Ostatnio zauważył kilka skoczków koralowych, a wszystkie zdawały się kierować w jedną stronę... tę samą, z której niedawno uciekł.

Dotarł w okolice źródła sygnału naprowadzającego i przyspieszył, aż sygnał nabrał siły. Teraz znajdował się dokładnie naprzeciwko zawalonego narożnika budynku. Widział tam srebrzysty błysk – pewnie pojedyncza antena, przyczepiona tak niedawno, że nic nie zdążyło na niej wyrosnąć. Nie zmatowił jej ani kurz, ani sadza.

– Buźka do Kella – rzekł. – Widzę twoją antenę.

– Zejdź sześć pięter w dół i przeleć do sąsiedniego budynku – polecił Kell. – Dostęp do miejsca, gdzie teraz jestem, znajduje się w głównym pomieszczeniu.

– Już lecę – Buźka zmniejszył wysokość i skręcił. Zajrzał przez wybite okno luksusowego niegdyś apartamentu i dostrzegł schody, wychodzące ze sklepienia. Dodał gazu i przebił się przez ścianę obok okna, po czym wyłączył zasilanie. Taksówka opadła na wysokość pół metra od podłogi.

W kilka sekund później przeciskał się już przez właz pojazdu o nazwie „Paskudna Prawda”.

Kell siedział w fotelu pilota. Nie odwrócił się.

– Czujesz coś kilka minut temu? – zapytał.

– Nie.

– Wspaniale. To ja też nie.

Buźka wyrzwał przez iluminator i zmierzył wzrokiem stertę gruzu nad ich głowami.

– Naprawdę masz dość materiałów wybuchowych, żeby to rozwalić?

– Mniej więcej... ale zrobimy to troszkę inaczej.

– Aha.

– Taki wybuch mógłby uszkodzić ten delikatny kwiatusek pośród statków ratunkowych – Kell wskazał palcem pod stopy. – Ale ściana budynku po tej stronie nie jest ścianą nośną. Siła nośna pochodzi od konstrukcji metalowej budynku. Umieściłem w niej ładunki plastiku i zaraz ją wysadzę.

– A co potem?

– A potem włączę górne repulsory dziobowe. Przechylimy się w przód, włączę silniki, wybijemy się na zewnątrz i pokręcimy się trochę, aż wszyscy zaczną wrzeszczeć i rzygać, a ja odzyskam kontrolę nad sterami.

– Kell, czasem cię nie lubię.

– Nie ma sprawy, i tak jestem najlepszym pilotem, jakiego w życiu widziałeś.

– A gdzie reszta?

– W drodze. Wyślę im wiadomość.

– Niby jak? Pomiędzy nami i nimi są kilometry gruzu. Ani bajt się nie przecisnie.

Wyraźnie doprowadzony do ostateczności Kell spojrział wreszcie na dowódcę.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale ustawiliśmy na dachu pakiet czujników, a potem spuściliśmy na dół kabel do Danni i Baljosa, żeby byli na bieżąco.

– Och, rzeczywiście.

– Będę nadawał do tego pakietu...

– Nieważne, nieważne, już wiem. Przygotuję się na powrót reszty.

Otwór nad głową Nyaksa powiększał się. Już nie padał na niego gruz, tylko promienie słońca. Najpierw był to cienki promyczek, ale szybko rozrósł się w białoniebieską kolumnę blasku. Nyax

pławił się w świetle, unosił ręce, by je pochwycić, rozsmarowywał je na twarzy.

Luke wyczuwał zdumienie Tahiri; on też nie mógł się otrząsnąć.

– Czy on przewiercił otwór aż na powierzchnię? – zapytała.

– Tak sędzę – odparł Luke. Zwrócił uwagę na istoty tłoczące się na wierzchołku robota budowlanego. Wyczuwał ich zmieszanie. Nyax dopiął swego i uwolnił wszystkich. W miarę jak wracała im wola, ogarniało ich zmęczenie i oburzenie na sposób, w jaki ich wykorzystano.

– Muszę tam wejść – mruknął. – Przekonam ich, żeby wycofali to monstrum, zanim cały budynek się zawali.

– Nic nie musisz – odparła Mara.

Spojrzał na nią, zdumiony tym bezlitosnym zdaniem. A potem wyczuł jej rozbawienie, że tak się dał złapać.

– Powiedz im i tyle – dodała.

Luke sięgnął i odnalazł umysły – dziesiątki umysłów, wszystkie wrażliwe na Moc. Omywany strumieniem energii Mocy spływającym ze szczeliny w ścianie wiedział już, że dosięgnie każdego z nich i wszystkich razem.

Wysłał dobitne żądanie ciszy, wrażenie spokoju i wyczuł, że ich zdenerwowanie mija. Wtedy uformował w głowie obraz, który przedstawiał zawałający się budynek i robota budowlanego wycofującego się w bezpieczne miejsce. Przekazał ten obraz z całą siłą, na jaką było go stać u ożywczego źródła Mocy.

Wyczuł ich reakcję: zaskoczenie... i wiarę. W kilka sekund później usłyszał, jak ozywają silniki kolosa z metalu. Wyczuwał, jak bardzo zgromadzeni na nim ludzie pragną wyrwać się z tego miejsca i przetoczyć po stercie gruzu, która wznosiła się za ich plecami.

Luke włączył miecz świetlny i ruszył w kierunku stworzenia o obliczu Ireka Ismarena.

– Skończmy z tym – powiedział.

Nyax jednak nie zwracał na niego uwagi. Uniósł się w górę i wypłynął przez otwór, który stworzył siłami Mocy. W sekundę znikł im z oczu.

Danni, Elassar i Bhindi wgramolili się przez właz.

– Siadajcie z przodu – polecił Bużka. – Tylne miejsca zostawimy dla Jedi, po co ludzie mają po sobie łązić, kiedy będą wsiadać. Miejsce drugiego pilota jest moje. Gdzie Baljos?

– Zostaje – odparła Bhindi. – Zamiast mnie.

Bużka westchnął. Gdy tylko się okazało, że komórki ruchu oporu nie na wiele się tu zdadzą, kazał Bhindi spakować się i wracać na Borleias. Nie przypuszczał, że Baljos nie będzie chciał przerwać tak ładnie zapowiadających się badań. Kiedyś może się okazać, że jego studia okażą się przełomem w nauce... albo mało użyteczną metodą popełnienia samobójstwa.

Ale wybór należał do Baljosa.

Bużka zatrzasnął właz i wspiał się po zaimprovizowanej drabince na siedzenie drugiego pilota. Przypiął się pasami.

– Gotów w każdej chwili.

– No to już. – Kell wcisnął ręcznego pilota.

„Paskudna Prawda” zakołysała się, gdy ściana pod jej stępką runęła na ulicę.

Kell nie czekał na ocenę sytuacji ani nie sprawdzał, czy otwór jest wystarczająco duży. Pchnął dźwąg i transporter ruszył naprzód. Żołądek uwiązał Bużce w przelyku, kiedy statek przechylił się,

wyskoczył na zewnątrz i praktycznie wypadł na ulicę dziobem w dół.

Otworzyła się wewnętrzna turbowinda robota budowlanego i Jedi wyszli na zewnątrz, kierując się do kabiny sterowania na wierzchołku robota.

Ludzie stłoczeni w kabinie nawet ich nie zauważyli. Ich uwagę przykuwał przedni iluminator. Widać było przez niego rozpadające się sterty gruzu... a dalej wisiała chmura skoczków koralowych.

Zaledwie robot budowlany wytoczył się na zewnątrz i zalało go światło słoneczne, skoczki otworzyły ogień, zalewając maszynę strumieniami plazmy. Uderzenia w mury dziesiątki pięter poniżej zatrzęsły kabiną. Zapaliły się ekrany diagnostyczne, rozwrzeszczały alarmy. Robotnicy łachmaniarze, którzy jeszcze kilka minut temu byli wyzutymi z woli niewolnikami, teraz krzyczeli, bo zaczęli pojmować, że czeka ich śmierć.

– Musimy ich wyprowadzić – szepnęła Tahiri. – Uzbrojenie...

Luke pokręcił głową.

– Uzbrojenie robota niewiele zdziała przeciwko skoczkom koralowym. Musimy użyć innej broni.

– Jakiej?

– Nas – odparła Mara.

Luke podniósł głos, czerpiąc z Mocy, by dodać mu siły:

– Wszyscy na dół! Użyć schodów awaryjnych, nie korzystać z turbowindy, jest zła.

Dodał do tego myślowy obraz turbowindy kłapiącej drzwiami jak paszczą okrutnego drapieżnika.

Mieszkańcy Coruscant nie przestawali krzyczeć, ale zaczęli przepływać w kierunku dwóch przeciwległych klatek schodowych, pozostawiając Jedi trochę miejsca pośrodku. Morze ciał rozstało się, dając im jaśniejszy obraz formacji skoczków i rytmu nadlatujących pocisków plazmowych.

– Ta fontanna energii Mocy uczyniła Nyaksa jeszcze silniejszym – wyjaśnił Luke. – To czysta moc i my również możemy jej użyć. – Aby to zademonstrować, uniósł dłoń jak dyrygent orkiestry... i sarta gruzu u stóp sąsiedniego budynku, jakieś sto metrów od nich, uniosła się w powietrze. Luke zacisnął pięść i przyciągnął ją ku sobie. Gruz popłynął w kierunku robota budowlanego.

Skoczki koralowe na tyłach formacji nie miały żadnych szans. Kawały durabetonu, kamienie i żelbet zasypały je doszczętnie. Osobliwości dovin basali przeskoczyły na odpowiednią pozycję, aby wchłonąć część zaimprovizowanych pocisków, ale nawet to nie wystarczyło. Pociski Luke'a uderzyły w koral, zbijając skoczki z pułapu.

Tahiri wytrzeszczyła oczy, ale zaczęła naśladować gesty Luke'a. Za obiekt obrała sobie fasadę budynku po ich lewej stronie, a po prawej stronie skoczków. Wielkie kawały fasady popłynęły w powietrze, spadając wprost na koralową flotyllę.

Mara nie ustawała w zagrzewaniu robotników do szybszego opuszczania maszyny, zarówno głosem, jak i obecnością w Mocy powtarzając rozkazy Luke'a. Większość uwagi poświęcała jednak urządzeniom sterującym maszyną, wyposażeniu ścian i sufitu kabiny. Wreszcie znalazła to, czego szukała i sięgnęła w górę, by otworzyć właz w suficie. Z góry zalało ją jaskrawe światło i spadła metalowa drabinka. Mara wspięła się po niej.

Skoczki koralowe wzniosły się wyżej, opuszczając formację i rzucając się do ucieczki, by umknąć spod lawiny prymitywnych pocisków. Te, które wzniosły się pierwsze, trafiły jednak na inny strumień, który poruszał się znacznie szybciej; kawały skał i durabetonu waliły w koral, wyżerając go jak rozszalała piaskarka i niszcząc w zastraszającym tempie.

Luke sądził początkowo, że to Mara zainicjowała ten atak, wspierając własną mocą jego i Tahiri. Po chwili jednak stwierdził, że się myli. Wyskoczył przez właz, który otworzyła Mara i wylądował obok niej, na dachu robota budowlanego. Tahiri potrzebowała tylko sekundy, żeby znaleźć się obok.

Stąd mieli znacznie lepszy widok na niebo pełne skoczków koralowych i na wznoszący się za nimi kompleks budynków.

Unosiła się stamtąd kolumna gruzu, na pewnej wysokości, rozchodząc się na wszystkie strony jak fontanna. Lecz ta fontanna miała zasięg wielu kilometrów we wszystkich kierunkach; niszczyła dachy budynków i skoczki koralowe.

A ponad jej środkiem, gdzie nie sięgał strumień gruzu, wznosił się Lord Nyax. Gigantyczne głązy tańczyły wokół niego, kreśląc w powietrzu wdzięczne spirale.

– Kolejny absolwent akademii Jedi – mruknęła Tahiri. – Duże kamienie potrafi podnieść...

– Bardzo śmieszne – warknął Luke. Oszacował odległość ze szczytu robota budowlanego do najbliższej solidnej powierzchni dachu i uznał, że powinno się udać. – Idziemy.

Viqi usłyszała w oddali, ryk, jakby nagle otworzyła się ogromna zaporą i spuściła niezliczone tony wody. Podłoga zatrzęsała się pod jej stopami.

Zlekceważyła to, podobnie jak ignorowała ból w nadgarstkach, spowodowany długotrwałą walką z więziami. Walka trwała dopóty, dopóki nie znalazła w ścianie kawałka ostrej blachy – teraz znów była wolna.

Dotarła do budynku mieszczącego apartament Tersonów, a potem na właściwe piętro. Zanim znalazła się w salonie, dygotała ze zmęczenia i ociekała potem. Nagle zamarła. Opuściła ją nagle cała nadzieja.

Tajne schody były spuszczone, a pośrodku pokoju tkwiła – jakby nie mogło to być nic innego – opuszczona taksówka powietrzna.

Ostatkiem sił wbiegła na schody i z rozpaczą dostrzegła otwór, przez który „Paskudna Prawda” opuściła dok. Cała jej praca poszła na marne. Znów będzie musiała szukać, ukrywać się, szukać sposobu na przetrwanie, zanim znajdzie i doprowadzi do stanu używalności kolejny działający statek kosmiczny.

No cóż, jest szansa, że przynajmniej taksówka działa. To już jakiś punkt zaczepienia. Zeszła na dół, żeby sprawdzić.

Na przednim siedzeniu spoczywał stos zakonserwowanej żywności z „Paskudnej Prawdy” oraz liścik:

Senator Shesh,

uznaliśmy, że będzie pani tego potrzebowała bardziej niż my. Proszę nie zjeść wszystkiego naraz.

Całuski – Widma

Dopiero wtedy Vigi osunęła się na dywan. Dopiero wtedy zaczęła płakać.

Kompleks budynków miał kształt wysokich, szerokich stopni. Jedi skoczyli na kolejny, przebiegli po nim, po czym wspięli się na następny, dalej i dalej, wyżej i wyżej, aż dotarli na dach.

Stąd dopiero zobaczyli wciąż powiększający się otwór w dachu. Z każdą mijającą chwilą z otworu wystrzelały kolejne tony gruzu i zasypywały otaczające go kilometry kwadratowe budynków. Niektóre fontanny strącały w powietrzu skoczki koralowe. Szeregi gigantycznych głazów wciąż tańczyły swój wesoły taniec wokół Nyaksa.

Luke poprowadził swoją grupę tam, gdzie głazy spadały na wysokość kilku metrów nad powierzchnią dachu. Kiedy kolejny głaz opadł, skoczyli, używając Mocy, żeby wznieść się jeszcze wyżej, po czym wylądowali na nieregularnej płaszczyźnie durabetonu.

Luke wyczuł, że Nyax już wie o jego obecności. Błady gigant okręcił się w powietrzu, żeby na niego spojrzeć, a uśmiech radości zmienił się w złośliwy grymas.

– Będzie kiepsko – mruknął Luke.

Mara skinęła głową. Od wiatru wiejącego na tej wysokości jej włosy ożyły i zapłonęły jak świeca w silnym przeciągu.

– Masz jakiś pomysł?

– Ja mam. – Tahiri uklękła, żeby lepiej utrzymać równowagę i spojrzała przed siebie. W pewnej odległości strumień głazów skręcał ostro i zbliżał się do pozycji Nyaksa tak, że przelatywał tylko kilka metrów obok. – Trzeba do tego punktu... Ja go załatwię.

– Ty go załatwisz? – Luke podniósł jedną brew. – Jak?

W oczach Tahiri pojawił się wyraz, który przyprawił Luke'a o dreszcz.

– On potrafi walczyć z Jedi tylko dlatego, że widzi nas poprzez Moc – wyjaśniła. – Nie jest w stanie wyczuć Yuuzhan. A ja jestem jednym i drugim.

Wstała i odwróciła się tyłem do Luke'a i Mary, po czym wykonała piękny, długi skok na następny głaz w szeregu. Przebiegła przez całą jego długość i skoczyła na niższy głaz.

– Mamy jej uwierzyć na słowo? – zapytała Mara.

– Jestem zbyt zmęczony, żeby się kłócić.

Ich głaz przesunął się do końca prostego odcinka i skręcił. Skręt był bardzo gwałtowny, ale Luke i Mara wyczuli zamiar Lorda Nyaksa i zaparli się stopami w powierzchnię kamienia.

Kiedy ich „pojazd” zbliżył się do olbrzyma, Luke wyciągnął rękę. Chwycił Mocą część strumienia gruzu, skręcił jego bieg i wysłał z wielką prędkością w stronę Nyaksa.

Lord nawet się nie poruszył, ale natychmiast przejął kontrolę nad strumieniem, kierując go na Luke'a.

Luke odchylił się w tył, obracając kamień razem z sobą. Nadlatujące kamienie uderzyły w boki i dno powoli kręcącego się głazu.

Mara, uczepiona dolnej części głazu jedynie dzięki zwiększonemu pobieraniu Mocy, zapaliła swój miecz świetlny i rzuciła. Miecz zawirował pod strumieniem gruzu, prawie niewidoczny pod gęstym deszczem durabetonu, po czym wzniósł się w górę o kilka metrów od Nyaksa i uderzył w niego.

Twarz giganta wyrażała zaskoczenie. Żadne z jego ostrzy nie było uaktywnione, więc nie mógł odbić ciosu. Usunął się z toru miecza, po czym obserwował, jak Mara kieruje jego lotem. Wprowadziła miecz w długą pętlę, szykując się do kolejnego podejścia.

Mara i Luke stali na głazie, który właśnie zakończył obrót; Luke czuł uwagę Nyaksa skupioną także na nim w oczekiwaniu na atak. Spróbował pchnięcia poprzez Moc, starając się wytrącić olbrzyma z równowagi, żeby padł prosto na ostrze Mary. Atak się powiodł, ale Nyax w momencie pchnięcia uruchomił wszystkie ostrza i z pogardliwą miną, od niechcienia odepchnął miecz Mary.

Moc przepływała przez ciało Nyaksa. Moc, jakiej nigdy nie poznała żadna żywa istota. Mógł sięgnąć ręką do tego świata poprzez sztuczną skorupę, którą miał pod stopami, poprzez naturalną kamienną powłokę poniżej, do miejsca, gdzie kamień obracał się w leniwą magmę, a przegrzane metale płynęły jak woda w rzece. Mógł rozerwać ten świat na pół, mógł zmusić te bezsensowne, prymitywne stwory, aby znalazły mu inny, i tamten także zniszczyć.

Miał już dość tych stworzeń. Były słabsze od niego, ale uparte. Ba, nawet pomysłowe.

Nyax podniósł obie ręce. Trzeba rozbić kamień, na którym siedzą i zrzucić ich w ruiny na dole.

Nagle coś uderzyło go w plecy, tuż poniżej miejsca, gdzie chroniła go wewnętrzna płyta zbrojenia. Wytrzeszczył oczy. Nie wyczuł tego ciosu. Użył całej Mocy, aby pokonać ból.

Znów coś go uderzyło. Usłyszał pękające kości kręgosłupa. Od pasa w dół stracił czucie. Zwiększył wpływ na własne ciało, usiłując zmusić nogi do ponownego odczuwania i reagowania.

Jego trzeci przeciwnik, drobna kobieta o żółtych włosach, ujeżdżała inny głaz; leżała na nim, trzymając się jedną ręką. Spojrzała na niego z dziwnym okrucieństwem w oczach. Zaledwie ją wyczuwał swoimi specjalnymi zmysłami. Musiała zamknąć się na jego Moc, uniemożliwiając mu przewidywanie kolejnych ruchów.

Coś było nie tak. Opanował już ból i przepelniała go Moc. Powinien być w stanie dokonać wszystkiego, i to w każdej chwili.

Nie rozumiał, bo nikt nigdy go nie uczył, jak należy korzystać z Mocy. Nie wiedział, że ta katastrofalna w skutkach utrata kontroli nad wszystkimi funkcjami ciała może wpłynąć na jego zdolność manipulowania Mocą. Rozumiał tylko, że zaczyna go zawodzić kontrola nad głazami i nad fontanną gruzu z coraz szerszego otworu w dole.

Żółtowłosa kobieta chwyciła trzeci kamień. Ten kamień miał łapy, którymi wywijał w powietrzu.

Nyax rozdziawił usta. Była to jedna z tych obcych istot, którymi rzucali w niego wojownicy niewyczuwalni dla jego zmysłów. Jej gatunek nie powinien ich używać. Tylko ci płaskonosi. To nieuczciwe. Oszukała go.

Zanim zdążyła rzucić, Nyax stracił kontrolę nad Mocą. Z wrzaskiem spadł w otchłań, którą sam stworzył.

Wszystkie znajdujące się w powietrzu głazy spadały w dół. Jedne na dachy budynków, drugie

poprzez nie. Luke i Mara uskoczyli, wykorzystując zwiększoną Moc, by złagodzić lądowanie. Przetoczyli się i stanęli na nogi, rozglądając się za jasnowłosą głową w deszczu wielotonowych nieraz kamieni.

– Tam – krzyknęła Mara i pognęła przed siebie. W odległości mniej więcej stu metrów ujrzeli Tahiri leżącą na małej kopule. Luke zobaczył, że młoda Jedi zerwała się, kiedy spostrzegła lecący w jej stronę kamień, który przebił kopułę i znikł.

– Buźka do Mary, Buźka do Mary, odezwij się!

Luke zahamował gwałtownie i wyciągnął komunikator. Jego żona tymczasem obejmowała i ścisnęła młodszą Jedi.

– Mara jest trochę zajęta, chłopczyku. – Odskoczył w bok, a na miejsce, gdzie stał przed chwilą, zwała się masa durabetonu wielkości mniej więcej Y-winga. – Ja też mam robotę. Coś się stało?

– Powiedz, że ta fontanna z kamieni i gruzu to twoja robota...

– Mniej więcej.

– Chyba wracamy. Kilka dużych statków Yuuzhan Vongów też. Podrzucić was?

– Jeszcze się pytasz?

– Już lecimy.

Cała trójka Jedi przeskoczyła z dachu kompleksu budynków na solidne skrzydło „Paskudnej Prawdy”. Precyzyjnie przeszli przez półotwarty właz i zanim zdążyli zapiąć pasy, Kell runął w dół, w aleję pod nimi, aż żołądki pasażerów zaprotestowały gwałtownie. Luke zauważył przelotnie robota budowlanego, wydawało mu się, że zaraz przebija go na wylot, ale już po chwili znów przybrali pozycję poziomą i spokojnie lecieli wzdłuż alejki.

– No i co? – odezwał się Buźka tonem swobodnej konwersacji. – Czy Jedi specjalizują się w zniszczeniach własności prywatnej?

– Tylko dla przyjaciół i znajomych – odparł Kell. – Zobaczysz więcej, jak się ożenisz z Jedi.

– Musimy wracać – rzekł Luke. – Nyax nie zginął.

Buźka i Kell spojrzeli po sobie.

– Mamy go uratować czy zabić?

Luke westchnął.

– Tylko mu przeszkodzić.

Kell pokręcił głową i zwiększył wysokość. Skoro tylko osiągnął poziom dachów, zatoczył okrąg i zawrócił w stronę kompleksu budynków.

Nyax leżał w agonii na dnie rozpadliny.

Nie wiedział, co to ból, dopóki nie poznał tych trzech istot władających Mocą. Teraz nie istniało nic oprócz bólu.

Znajdzie ich, znajdzie i zabije. Musi się spieszyć, bo siły opuszczają go z każdą chwilą. Czerpał ile mógł z tego, co znajdowało się za czarną ścianą, ale i tak czuł, że jest słaby. Wkrótce zaśnie.

Rozpostarł Moc, odnajdując umysły wszystkich żywych istot, które mógł wyczuć. A kiedy umysł okazywał się dość silny i złożony, żeby go usłyszeć i usłyszeć, zaglądał przez oczy tej istoty.

Przez pierwsze kilka chwil widział jedynie plamę nakładających się obrazów. Potem nauczył się usuwać niektóre, wzmacniać inne, składać z nich jeden spójny obraz w trzech wymiarach.

Istoty władające Mocą, które go zraniły, znajdowały się poza zasięgiem wzroku. Pojawiły się za

to dwie ogromne bryły koralu, których nie wyczuwał zmysłami. Zbliżały się do niego z dwóch przeciwległych stron.

Na ich pokładzie muszą znajdować się jego wrogowie, ukryci pod płaszczem czegoś, co blokowało jego zmysły. Nigdy się nie poddają, teraz także pewnie wrócili, żeby dokończyć dzieła. Muszą tam być, bo nie zasną, dopóki on nie zginie.

Ryknął, wkładając w ten krzyk cały ból, i wysłał w niebo tony gruzu.

Kell zredukował pułap i wylądował na dachu cztery kilometry od kompleksu budynków. Stąd mogli obserwować zbliżające się od północy i południa dwa ogromne mataloki Yuuzhan, odpowiedniki krążowników.

Z zapadliska wytrysnęły dwa bliźniacze strumienie gruzu, każdy skierowany na jeden matalok. Zdolność celowania Nyaksa zdecydowanie osłabła, w ciągu kilku pierwszych sekund ataku żaden z mataloków nie został nawet trafiony.

Oba za to wystrzeliły, zalewając wszystko wokół deszczem pocisków plazmowych.

Luke szarpnął się, bo poczuł, że ciało mu płonie. Spojrzał na swoje ramię, ale nie zobaczył tam ani oparzelizny, ani rany. To Nyax, to jego ból odczuwali teraz wszyscy, którzy znajdowali się w pobliżu. Widział go w twarzach Mary, Tahiri, Danni, nawet Kella.

Strumienie gruzu uderzyły w mataloki i zasypały oba statki. Częściowo zostały wchłonięte przez pustki, ale większość kamieni zaczęła nadgryzać koral, jakby to była głowa cukru. Mataloki wykonały unik, desperacko usiłując uniknąć zniszczenia, ale kamienne pociski śledziły je, kasały, niszczyły.

Ucisk w piersi Luke'a, którego istnienia nawet sobie do tej pory nie uświadamiał, zelżał nagle, a potem znikł.

– On nie żyje.

– Lord Nyax? – Buźka zmarszczył brwi. – Nie sądzę. Patrz, jak leci ten gruz. Więcej go niż kiedykolwiek.

– Luke ma rację – odezwała się Mara cichym głosem, jakby próbowała zinterpretować to, co wyczuwała poprzez Moc. – Nyax nie żyje. Ale przepoił otoczenie swoją nienawiścią. Zostawił testament.

Mataloki wzniosły się ponad strumieniu gruzu, plując potokami plazmy, zanim kamienie znów ich dosięgły i znów wgryzły się w ich powłoki. Z dala widać było kolejne statki Yuuzhan Vongów, które nadlatywały na pomoc.

– I tak już będzie przez cały czas – mruknął Luke. – Dopóki znajduje się tam bodaj cząstka jego samego, dopóty jest w stanie sprawować kontrolę nad otoczeniem. Jak widać, źródło Mocy na to zezwala. Ale on sam już nie żyje. – Odetchnął głęboko. – Wracajmy do domu.

– Jeszcze chwilka – zaoponował Kell. – Słyszysz to?

Wystukał kod na tablicy komunikatorów i nagle wszyscy mogli usłyszeć dziwny odgłos – coś jak siąkanie nosem. Nie, nie siąkanie. Płacz.

– To dochodzi z otwartego komunikatora, który Buźka zostawił dla maruderów. W miejscu, gdzie dokowała „Paskudna Prawda”. To znaczy, że ktoś tam jest.

– Założę się, że wiem kto – odparł Buźka.

Viqi, oparta o burtę taksówki powietrznej, usłyszała szum dopiero wtedy, kiedy zagłuszył odgłosy

jej własnej rozpaczy. Szum brzmiał jak ryk repulsorów, a odgłos dobiegał zza rozwalonego okna. Podeszła, żeby popatrzeć.

Za oknem dryfowała łagodnie „Paskudna Prawda”. Była o kilka metrów od niej.

Jej serce wezbrało radością, która natychmiast przeistoczyła się w czarną rozpacz. Przez iluminatory statku widziała wbity w siebie wzrok Mary Jade Skywalker. Jej twarz nie wyrażała nic, ale lodowata nienawiść do Viqi Shesh emanowała z zielonych jak szmaragdy oczu. Nienawiść była tak sugestywna, że Viqi skamieniała.

Czy mogę ją błagać o litość? – myślała gorączkowo. Czy upadnę tak nisko?

Odpowiedź była prosta.

Oczywiście, że mogę. A kiedy znów będę wolna, kiedy ucieknę, zniszczę ją za to upokorzenie.

Viqi zebrała siły i zaczęła w myśli powtarzać słowa, które powinna wygłosić. Błaganie o litość.

– Viqi, wiedziałem, że kłamiesz. Wiedziałem, że tu wrócisz.

Odwróciła się, nie wierząc własnym uszom.

W drzwiach, wsparty o framugę, stał Denua Ku z torsem pokrytym zaschniętą, niebiesko-czarną krwią. Zakasłał, a był to rozdzierający, bolesny odgłos. Z kącika ust pociekł mu strumyczek krwi.

Ale to nic. Wciąż jeszcze jest od niej silniejszy, wciąż jeszcze może utrzymać w dłoni amphistaffa.

– Teraz cię zabiję, Viqi – wychrypiął i postawił w jej kierunku pierwszy chwiejny krok. Była już prawie w zasięgu amphistaffa.

Viqi słyszała, jak właz „Paskudnej Prawdy” przygotowuje się do otwarcia. Wiedziała, że nie zdąży otworzyć się na czas. Ogarnęła ją zimna pewność, że wciąż jeszcze potrafi kogoś zranić, i to na swój własny, niezrównany sposób.

– Nie, nie zabijesz – odparła. – Yuuzhanie nie zdołali mnie zabić. Noghri nie zdołali mnie zabić. Jedi też nie. Wszyscy jesteście prochem pod moimi stopami. We wszechświecie istnieje tylko jedna osoba, która może zabić Viqi Shesh.

Odwróciła się i wyskoczyła przez wybite okno.

Luke i Mara obserwowali, jak spada. Luke poczuł nawet, kiedy umarła. Ot, niewielki uszczerbek w Mocy.

– Nie ma sprawy – skwitowała Mara. – Niczego innego sobie nie mogłam życzyć.

Wojownik Yuuzhan Vongów, który stał za Viqi, podniósł garść brzytwożuków, żeby rzucić nimi w „Paskudną Prawdę”, ale nie zdążył. Upadł na plecy. Jego pierś drgnęła raz i znieruchomiała.

Wstrząśnięty Luke wcisnął się w siedzenie i zapiął pasy.

– Teraz naprawdę możemy lecieć.

Tahiri spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby posądzała go o utratę zmysłów.

– Przedtem powiedziałeś „do domu”. Myślałam, że twój dom jest na Coruscant.

– Nie. – Luke otoczył ją ramieniem, a drugim przytulił do siebie Marę. – Tak mi się zdawało, ale musiałem się pomylić. Przecież nie chodzi o to, jaki kolor ma słońce ani jakie meble stoją w pokoju, tylko o to, gdzie jest moja rodzina.

Tahiri skinęła głową, przeżuując w myślach te słowa. Oparła się o Luke’a, przytuliła policzek do jego ramienia i przymknęła oczy, jakby chciała zasnąć.

I po raz pierwszy od chwili, kiedy wylądowali na Coruscant, uśmiechnęła się.

– Gotów na podbój kosmosu, Kolego Bumbum?

– Zawsze gotów, Piękniśiu. Łap się za medale.

Kell wznosił statek w górę, odwrócił go tyłem do budynków i przyspieszył do pełnej prędkości atmosferycznej.

ROZDZIAŁ 16

Borleias

Ekspedycja Luke'a wróciła na Borleias, gdzie tymczasem zaszły zmiany – przynajmniej w okolicy budynku biotyki i innych obszarów pozostających w rękach sił Nowej Republiki.

Na oko wszystko wyglądało gorzej. Luke i Kell musieli pilotować „Paskudną Prawdę” poprzez niezliczone warstwy szanćów obronnych – pół min dovin basali i patroli skoczków koralowych – które doprowadziłyby do zniszczenia każdego pojazdu kierowanego przez gorszego pilota. Przybudówki wokół budynku biotyki zostały zburzone na skutek częstych ataków wielkich statków. Nieustanne ataki eskadr skoczków koralowych na orbitujące statki doprowadziły „Lusankę” do stanu latającego wraku, a inne krążowniki i niszczyciele gwiazdne mocno uszkodziły. Eskadra Czarnych Księżyców, jedna z elitarnych jednostek zakwaterowanych w kompleksie budynków biotyki, tylko dziś straciła trzech pilotów, w tym dowódcę i jego zastępcę. Piloci, żołnierze i załogi ciągnęli na kafe i własnym uporze, niektórzy ledwo się trzymali na nogach, idąc na patrol.

Ale od pierwszej godziny w domu Luke spróbował zajrzeć pod powierzchnię tych przemian.

Kyp Durron powitał go uśmiechem i uściskiem dłoni – a kiedy usłyszał o Lordie Nyaksie, nie skrytykował sposobu, w jaki Luke załatwił sprawę.

Han i Leia wydawali się spokojniejsi, w ich rozmowach nie wyczuwało się ukrytego napięcia. Powiedzieli Luke'owi, że odkładają na później kolejną wyprawę związaną z zakładaniem ruchu oporu, bo spodziewają się w niedługim czasie zmasowanego ataku Yuuzhan na system Pyria i chcieliby być w tym momencie przy Jainie.

Jaina też wydawała się inna, jakby swobodniejsza. Nie przestała płonąć gniewem na myśl o stracie obu braci i nie walczyła z Yuuzhanami ani trochę mniej zawzięcie, lecz jakby odzyskała równowagę, nie skłaniając się już ku Ciemnej Stronie. Uśmiechała się chętnie i często.

Jej rodzina, jeszcze niedawno rozdarta i rozrzuciona we wszystkich kierunkach, choć jeszcze nie całkiem w porządku, wracała jednak do zdrowia.

Pomieszczenie było niegdyś stołówką budynku biotyki, lecz dawno już nikt nie używał go w tym celu i pewnie nigdy nie użyje. Wszystkie stoły ustawiono tak, aby krzesła znajdowały się tylko po jednej stronie, skierowane ku prezydium, gdzie zajmowali miejsca generał Wedge Antilles, pułkownik Tycho Celchu i Luke Skywalker. Teraz za stołami zasiedli szefowie dywizji, dowódcy eskadr, kapitanowie statków, szpiedzy i Jedi.

– Projekt Gwiazdny Włócznik – mówił Wedge – to oparta na laserze superbroń. Przypomina nieco główne działo Gwiazdy Śmierci, ale różni się od niej w dwóch istotnych punktach. Po pierwsze, zniekształca ona przestrzeń i czas, aby przyspieszyć swoją niszczycielską moc poprzez nadprzestrzeń, co oznacza, że może być wykorzystana jako broń pierwszego uderzenia przeciwko

nieprzyjacielskim systemom gwiazdnym o całe lata świetlne stąd. – Wokół rozległy się szepty tych, którzy nie byli wtajemniczeni w projekt Gwiazdnego Włócznika, ale nic nie mogło zagłuszyć odległych detonacji. Ataki Yuuzhan były teraz niemal ciągłe, a siły Nowej Republiki nie dość liczne i nie dość wypoczęte, by odpierać je tak jak kiedyś. Nawet w tej chwili eskadry zmęczonych pilotów chroniły budynek biotyki przed atakiem, ale nie były w stanie obronić go zupełnie.

Wedge skierował wzrok na pusty fragment podłogi i natychmiast pojawił się tam hologram. Była to prosta, ale efektowna sztuczka – Tycho czuł, aby uruchomić projektor we właściwym momencie. Wedge uznał, że warto pokusić się o trochę teatralności. Pochwycił uśmiech Ielli, siedzącej na końcu sali; była wyraźnie zadowolona z jego pomysłu.

Hologram pokazywał fragment rozgwieżdżonej przestrzeni. Po chwili pojawiły się w niej cztery pojazdy o nieregularnych kształtach. Trzy wyglądały identycznie – jak kabiny z Y-wingów przyspawane do szerokich rur połączonych pod kątem sześćdziesięciu stopni, z trzecią rurą dzielącą kąt na dwa po trzydzieści stopni. Czwarty pojazd wyglądał podobnie, ale z pierścienia zamocowanego do rufy kabiny wystawały mu aż trzy rury. Czwarta była umieszczona prostopadle do powierzchni wyznaczanej przez trzy pozostałe.

Na obrazie trzy identyczne pojazdy znajdowały się na trzech wierzchołkach wymyślnego trójkąta. Czwarty zajął pozycję na środku formacji.

– Nie jest to obraz w skali – ciągnął Wedge – lecz zwykła animacja. Pojazdy są od siebie oddalone o wiele sekund świetlnych. Następnie przechodzą przez sekwencję uruchomienia. – Na ekranie z zewnętrznych dwóch rur strzelił błysk. Promienie świetlne połączyły każdy pojazd z dwoma sąsiednimi, tworząc z nich trójkąt światła. Następnie w każdym z trzech pojazdów odpaliła środkowa rura, kierując światło na środkowy pojazd. Na końcu środkowa rura centralnego pojazdu wypuściła promień laserowy jaśniejszy od wszystkich pozostałych, który wbił się w przestrzeń – i znikł.

– Broń Gwiazdnego Włócznika wykorzystuje stworzony przez Yuuzhan żywy kryształ, co pozwala na zogniskowanie mocy i dokonanie hiperprzyspieszenia, o którym mówiłem. I jest gotowa do ostatecznego użycia. Aha, jest jeszcze drugi punkt, którym ta broń różni się od głównego działa Gwiazdy Śmierci: promień Gwiazdnego Włócznika nie działa. To lipa.

Szepty przybrały na sile. Wedge zauważył, że Luke chichocze w najlepsze.

Podniósł głos, aby przekrzyczeć gwar i uspokoić rozmowy.

– Celem projektu Gwiazdnego Włócznika jest dokładne pokierowanie Yuuzhanami w tym systemie i sprowokowanie ich ataku na nas. Oni wiedzą, że ta broń im zagraża; mają przykład opartego na lambencie miecza Anakina Solo, z którym mogą go porównać i o który mają pretensje. Wiedzą, że przywłaszczyliśmy sobie ich technologię i to ich doprowadza do szału. Wiedzą, że kiedy Gwiazdny Włócznik będzie gotów do lotu, możemy zniszczyć ich światostatek na orbicie Coruscant; zasymulowaliśmy demonstrację o niskiej mocy, umieszczając w okolicy Coruscant jeden z naszych dużych statków i odpalając baterię laserów tak, aby zbiegła się w czasie z naszą próbą lipnej broni. A zatem wiedzą, że jeśli tylko uruchomimy całkowicie sprawną wersję, będą musieli uderzyć na nas wszystkim, co mają. A to pozwoli nam zdezorientować ich na tyle, aby dokonać całkowitej ewakuacji tego budynku... i zacząć w systemie walkę w sposób, jakiego się nigdy nie spodziewali.

Po tym stwierdzeniu rozległy się westchnienia wyrażające ulgę. Wedge zauważył, że oficerowie wymieniają spojrzenia.

– To prawda. Ta obrona w ostatecznym rozrachunku jest misją samobójczą, nieważne, co wcześniej słyszeliście na ten temat.

Ale to było tylko pół prawdy. Rada Nowej Republiki i samozwańczy prezydent Pwoe zażądali, aby właśnie tym się stała: misją samobójczą. Wedge jednak postanowił zinterpretować jego rozkazy odrobinę inaczej.

– Ranni i personel pomocniczy zostali w ciągu ostatnich kilku dni przewiezieni – niestety, niezbyt wygodnym środkiem transportu, bo w charakterze ładunku lub w inny, tak samo nierzucający się w oczy sposób – na nasze frachtowce i transportowce na orbicie. Tycho?

Tycho wstał i wcisnął przycisk na trzymanym w dłoni notatniku.

– Zmienione rozkazy właśnie zostały wam przesłane. Macie godzinę na przygotowanie wszystkiego. Proponuję, żebyście zebrali wszystko, co uważacie za warte zachowania.

– Jeśli macie jakieś pytania – dodał Wedge – proszę zwracać się do swoich kontrolerów. Nie mamy czasu do stracenia. Rozejść się.

Oficerowie wstali i zaczęli się tłoczyć do wyjścia. Zanim zdążyli opuścić salę, gwar zagłuszał odgłosy odległej walki.

– Jak tam twoja nowa eskadra? – Wedge zapytał Luke’a.

– Nieźle. Mój poprzednik był zwolennikiem dyscypliny, a nie talentu, ale piloci, których odziedziczyłem, są całkiem zdecydowani. Dogadamy się na pewno.

Wedge odwołał jednego z oficerów, który właśnie wychodził.

– Eldo, pozwól na chwilę.

Potężny kapitan „Lusankyi” zawrócił, przepychając się przez szaniec rozstawionych krzeseł. Wyraz jego twarzy trudno było rozszyfrować, znacznie trudniej niż trzy tygodnie temu, kiedy po raz pierwszy tu przyleciał. To jednak odpowiadało Wedge’owi. Poprzednio widział u niego tylko zmieszanie i przerażenie.

– Tak jest, generale?

– Chciałem przeprosić za zabranie panu dowództwa. Dopilnuję, żeby to się nie odbiło negatywnie w pańskiej dokumentacji.

Dowódca uśmiechnął się blado.

– Negatywnie? Panie generale, mam pilotować największy, najbardziej przerażający jednoosobowy myśliwiec, jaki oglądał wszechświat. Żywy lub martwy, ale wejdę do historii.

– Podoba mi się pańskie spojrzenie na tę sprawę. – Wedge wyciągnął rękę. – Życzę szczęścia.

Luke z pomrukiem zadowolenia usadowił się w X-wingu. W ciągu tych kilku tygodni od wyjazdu Wedge wykorzystywał myśliwiec jako swój osobisty środek transportu i utrzymywał pojazd w tak idealnym stanie, że mógł to docenić jedynie inny pilot.

– Jak leci, Artoo?

Robot astromechaniczny zapiszczał, wyraźnie zadowolony, że wraca do normalnych zadań.

– Dowódca Czarnych Księżyców do eskadry – odezwał się Luke. – Dowódca gotów. Meldować gotowość według numerów.

– „Czarny Księżyc Dwa” gotów. – To była Mara, w E-wingu należącym do poprzedniego dowódcy eskadry, który nie zginął na polu bitwy, ale stres walki zrobił z niego wrzeszczącego paranoika, niezdolnego do pilotowania nawet dziecięcego śmigacza rekreacyjnego, a co dopiero statku bojowego.

– „Czarny Księżyc Trzy”, gotów.

– „Czarny Księżyc Cztery”. Spiesz mi się, żeby wypalić w przestrzeń i niech się to raz skończy.

Luke obserwował, jak piloci Gwiezdnego Włócznika wyprowadzają na repulsorach swój

niezgrabny pojazd z doku operacji specjalnych. Trzy narożne statki wyglądały tak samo jak zawsze, ale czwarty, jednostka centralna, miał nowy dodatek: w gondoli dla robota astromechanicznego za sterownią jechał wielofasetowy kryształ wielkości człowieka. Wystawał z gondoli na półtora metra, lśniąc w słońcu. Wyglądał identycznie jak kryształ rozbity przez szpiega Yuuzhan w jednej z piwnic budynku biotyki – i był równie nieprawdziwy.

Gdzieś głęboko w dżungli, daleko poza strefą zabronioną, obserwatorzy Yuuzhan zobaczą to i w popłochu rzucają się do swoich komunikatorów villipów, niespokojnym głosem meldując swoim dowódcom, co widzieli.

Elitarne oddziały, stacjonujące w kompleksie biotyki przez kilka ostatnich tygodni, aby wzmocnić wrażenie, że jest to najważniejszy punkt obrony Borleias, jeden po drugim meldowały gotowość i ustawiały się w szyku. Eskadra Łotrów Gavina Darklightera, Bliźniacze Słońca Jainy Solo, Dzicy Rycerze Saby Sebatyne, Czarne Księżycy Luke'a, Żółte Asy Taanab Wesa Jansona, Eskadra Vanguard Shawnkyr Nuruodo i „Sokół Millenium”. Mniej niż dwa kilometry od nich eskadry z „Lusankyi” odpierały oddziały skoczków koralowych i większych statków bojowych, zbliżających się do zabudowań, ale elity nie zamierzały dawać im wsparcia ani stawać do konfrontacji z atakującymi planetę. Zamiast tego, zajmą się wyprowadzaniem wroga w pole.

Na rozkaz generała Antillesa Łotry, Bliźniacze Słońca i Czarne Księżycy wzniosły się w górę. Rurowce Gwiazdowego Włócznika podążały tuż za nimi. Następnie wzbity się kolejne elitarne jednostki. Był to konwój myśliwców, kanonierek i jednego lekkiego frachtowca. – W pewnym sensie najgroźniejsza, najbardziej śmiertelna armada, jaką kiedykolwiek zdarzyło się wystawić Nowej Republice.

Wedge obserwował na ekranie holokamery wyjście eskadr ostatniej eskorty Gwiazdowego Włócznika.

– Uprzedzić „Lusankę” – polecił Tychowi. – Jak tylko pojawi się pogoń, niech uruchomi Operację Włócznia Imperatora.

– Przyjęte – odparł Tycho.

– Otóż i to – oznajmił Harrarowi Czulkang Lah. – Zmasowany atak, aby zniszczyć mojego syna.

– Jak go rozegrają? – zapytał kapłan.

– Wszyscy ich najlepsi piloci chronią statki z lambentem. Spodziewają się, że przeciwstawimy tej flocie przeważające siły skoczków koralowych, a kiedy nasze statki będą gotowe do ataku, uczynią wszystko, aby zakłócić pracę naszych yammosków i zniszczyć komunikację pomiędzy naszymi siłami. – Czulkang Lah skrzywił się w niemal pozbawionym warg uśmiechu. – Ale tak się nie stanie. W chwilę po tym, jak nasze siły zaangażują się w walkę, ruchome miny dovin basale wejdą w obszar bitwy i zaczną odzierać naszych przeciwników z tarcz. Wszystkie myśliwce przydzielone do tej potyczki zostały przeszkolone w podejmowaniu indywidualnej inicjatywy przez pilotów. Zniszczenie kontroli yammoska w najmniejszym stopniu nie utrudni im działań. Najślawniejsze myśliwce wroga zostaną pokonane i zniszczone. Zlikwidujemy zagrożenie, jakie stanowi kryształ. A kiedy siły naziemne zostaną osłabione zmęczeniem i stratami, przejęcie zabudowań nie potrwa dłużej niż godzinę.

Harrar skinął głową. W tych niepewnych czasach wiara we własne siły starego mistrza wojennego bardzo się przydawała.

- A ci piloci od indywidualnej inicjatywy... czy wiedzą, że nie wolno im skrzywdzić Jaiy Solo?
- Wiedzą.
- Bogowie uśmiechają się do ciebie, Czulkangu Laku.
- I niech tak będzie. A teraz muszę poświęcić uwagę nadchodzącej bitwie.

Harrar skłonił się i wycofał. Nie pokazał tego po sobie, ale był bardzo zadowolony. Nareszcie cele Yuuzhan Vongów w systemie Pyria znalazły się w zasięgu ręki.

Danni Quee przełączyła komunikator kanonierki Dzikich Rycerzy na częstotliwość oddziału.

- Tu „Dziki Jeden”. Grawitacja wykazuje dużą grupę skoczków koralowych kierującą się w naszą stronę. Wygląda, że jest ich najmniej setka. Szacunkowy czas kontaktu dziesięć minut.
- „Dziki Jeden”, tu „As Jeden”. To akurat dla Żółtych Asów, ale co wy będziecie robić przez ten czas.

- „As Jeden”, tu dowódca Łotrów. Rura w dół.
- Poprawka, czujniki trochę przekłamują. Minimum sto pięćdziesiąt skoczków.
- No, teraz jakby lepiej.

– Już? – zapytał Tycho.

Wedge zastanowił się, wciąż skupiony na ekranie czujników korelujących wszystkie dane z różnych eskadr. Skinął głową.

– „Lusankya”, rozpocząć operację „Włócznia Imperatora”. – Tycho wysłuchał odpowiedzi, po czym odłożył słuchawkę. – „Lusankya” wyszła.

– Rozpocząć ewakuację bazy.

Tycho wrócił do komunikatora.

– Rozpocząć akcję „Piraniożuk”. Rozpocząć „Piraniożuka”.

– Leć na „Mon Mothmę”, Tycho. Jeśli w jakiejś chwili stracisz ze mną kontakt, czy to wtedy, kiedy będę w przelocie, czy z innych powodów, przejmujesz dowodzenie operacją.

– Załatwione.

– I dopilnuj, żeby mój wahadłowiec czekał w gotowości. Nie mam ochoty wybiec z tego budynku i zastać w doku bilecik z przeprosinami.

Tycho wyszczerzył zęby i wyciągnął rękę.

– Niech Moc będzie z tobą, Wedge.

Wedge mocno uścisnął podaną dłoń.

– A jeśli nawet, skąd mam to wiedzieć?

Kasdakh Bhul meldował:

– „Lusankya” opuszcza orbitę. Mamy raporty, że myśliwce wychodzą z jej brzucha, żeby ją eskortować.

Czulkang Lah zmarszczył brwi.

– Czy nie powiedziałaś mi wcześniej, że wszystkie myśliwce są na ziemi, broniąc bazy niewiernych?

– Tak, Czulkangu Lahu.

– No i co?

– Taką informację przekazali nam doradcy z Brygad Pokoju na podstawie podsłuchanych rozmów

pomiędzy myśliwcami a trójkątnymi statkami.

– A zatem te rozmowy były kłamliwe.

– Taka jest moja opinia.

– Sprowadź tych doradców na pokład naszego statku. Zabij jednego za ten błąd. Za każdym razem, kiedy taka pomyłka spowoduje śmierć naszych ludzi, zabijaj kolejnego.

– Tak się stanie. – Kasdakh Bhul wrócił do studiowania niszy świetlików i nasłuchiwania villipów na ścianie. Po chwili wrócił do dowódcy. – Czerwony trójkątny statek właśnie opuszcza orbitę.

– Świetnie. To będzie łatwa ofiara. On jest prawie bezbronny. – Czulkang Lah gestem przywołał swojego dowódcę floty. – Wyślij dwa mataloki, niech unicestwią tę potworność.

– Tak się stanie.

„Lusankya” wykonała zwrot, ale tak powoli i niezgrabnie, że żaden dowódca gwiazdowego niszczyciela nie tolerowałby takiego braku kompetencji u swojego pierwszego pilota. Manewr był zbyt zamaszty; gdy tylko został zakończony zwrot w lewo, dziób statku podryfował znowu odrobinę w prawo zanim olbrzymi statek rzeczywiście stanął na kursie.

Silniki włączono i statek rozpoczął mozolną wędrówkę w kierunku światostatku domeny Hul.

– Potwierdzona liczba dwustu dziesięciu skoczków koralowych – zameldowała Danni. – Kilka anomalii grawitacyjnych leci ich śladem. Czas do kontaktu trzy minuty.

– Wszystkie eskadry, wszystkie eskadry – odezwał się Luke. – Zwrot w tył. Kierować się na naszych prześladowców i za minutę rozpocząć etap drugi. – Wprowadził X-winga w ciasną pętlę. – Rozpocynam odliczanie. – Jego palec zawisł nad przyciskiem transmisji. – Teraz.

Dwa odpowiedniki krążowników Yuuzhan Vongów zbliżyły się do „Błędnego Rycerza” z dwóch stron.

„Błądny Rycerz” zbudowany był jako imperialny niszczyciel gwiazdowy, a potem przechwycony przez przemytnika Bostera Terrika i przerobiony przez niego na latające kasyno i hotel. W przeciwieństwie do innych statków tej klasy, pomalowany był od dzioba po rufę na jaskrawoczerwony kolor, złagodzony jedynie przez pozostałości uszkodzeń po bitwie i migoczące światła. Od niedawna „Błądny Rycerz” był również domem dla dzieci Jedi i wszyscy wiedzieli, że stanowi łatwy cel. Yuuzhanie nigdy się tą jednostką zanadto nie przejmowali, ponieważ nie stanowiła dla nich zagrożenia, a większość czasu spędzała na misjach poza systemem Pyria. Ogólnie zaś była znacznie mniej znaczącym celem niż baza biotyki lub inne statki Nowej Republiki.

Teraz jednak nadszedł odpowiedni czas. Gdy mataloki zbliżyły się z dwóch stron, „Błądny Rycerz” otworzył do nich ogień z żałośnie skąpych baterii obronnych, obsypując nieprzyjaciela niemal bezbolesnymi użądleniami.

Dowódcy Yuuzhan Vongów odpowiedzieli ogniem, ale oszczędzali dział plazmowych, wyczekując momentu, kiedy będą mogli zadać bluźnierczemu czerwonemu trójkątowi prawdziwy ból. Zaledwie jednak znaleźli się w odpowiedniej odległości, otworzyły ogień pozostałe działa „Błędnego Rycerza”. Imperialny niszczyciel Gwiazdowy obrócił się tak, aby każdy z mataloków znajdował się na linii strzału możliwie największej liczby dział i trzydzieści baterii turbolaserów plunęło ogniem z obu stron, obracając powłokę yuuzhańskich krążowników w przegrzaną, dymiącą ruinę.

W ciągu kilku sekund po matalokach nie został nawet ślad, jeśli nie liczyć rozszerzającej się chmury gazu i szczątków, znaczącej miejsce, gdzie jeszcze niedawno się znajdowały. Ich dowódcy nigdy się nie dowiedzą, jak ich oszukano – w miarę jak „Lusankya” odnosiła coraz większe uszkodzenia, wiele z jej sprawnych turbolaserów i dział jonowych przeniesiono na inne większe statki floty. W ten sposób „Lusankya” stała się jedynie słabo bronioną skorupą, reszta zaś była utrzymywana w pełnej mocy bojowej.

„Błędny Rycerz” ruszył dalej swoim kursem, dopóki studnia grawitacyjna Borleias trzymała go ze znaczącą siłą. Uwolniony od wpływu grawitacji imperialny niszczyciel gwiazdny skoczył w nadprzestrzeń.

Charat Kraal, dowodzący jedną z eskadr kierujących się na rurowce i ich heretycki kryształ, odetchnął z satysfakcją. Teraz już tylko musiał zatrzymać myśliwce nieprzyjaciela w tym regionie na tyle długo, aby ruchome miny dotarły na czas, a potem już te z nich, które są przypisane do X-winga Jaina Solo, przechwycą go i sprowadzą dziewczynę w ręce Charata Kraala.

Jej myśliwiec znajdował się w samym środku chmury nadlatujących statków. Specjalnie wyhodowany pomocniczy dovin basal, umieszczony na jednym ze skoczków, wyczuwał specyficzny podpis grawitacyjny jej statku i informował o tym Charata Kraala ciągłym brzęczeniem w kapturze komunikacyjnym.

Nadlatujące myśliwce podzieliły się na eskadry i znajdowały się już o kilka sekund od maksymalnego zasięgu strzału. Charat Kraal wybrał sobie cel w eskadrze Jaina: statek ze szponami.

I wtedy wszystkie nadlatując statki znikły.

Charat Kraal zamrugał, skupiając uwagę na drugim dovin basalu. Zadał mu pytanie bez słów, ale zrozumiałe: gdzie jest statek?

Ale dovin basal nie wiedział.

Cztery statki, zwane przez niewiernych rurowcami, wciąż jeszcze były widoczne w oddali. Wstrząśnięty Charat Kraal skierował się ku nim i kontynuował pościg, wlokąc za sobą potężną flotyllę skoczków.

Wkrótce doszli do latających bluźnierstw na odległość strzału. Pogarda Charata Kraala wzrosła, gdy najbliższy ze skoczków koralowych w jego formacji rozpoczął ostrzał. Rurowce nawet nie raczyły się ruszyć. Może ich piloci byli zbyt niedoświadczeni lub zbyt przerażeni.

Charat Kraal odepchnął od siebie tę myśl. To nie miało sensu. Nawet najbardziej niedoświadczony pilot będzie próbował manewrów, aby zejść z linii ognia, a ci nie robili zupełnie nic. Jeden po drugim wszystkie cztery pojazdy eksplodowały, trafione pociskami z dział plazmowych. Ostatni wybuchł pojazd niosący gigantyczny kryształ.

Charat Kraal zaczął się zastanawiać, czy te statki w ogóle niosły w sobie żywe istoty. A może te bluźnierstwa były prowadzone przez inne bluźnierstwa?

Kasdakh Bhul wydawał się bardzo zakłopotany, przynosząc Czulkangowi Lahowi całkowicie niezrozumiałe wieści.

– Skoczki ściągające statki z lambentem meldują, że wszystkie myśliwce eskorty niewiernych po prostu znikły.

– Znikły? To znaczy uciekły?

– Nie. Wyglądało to raczej jak uporządkowany skok w czarną przestrzeń. I jeszcze coś.

– Mów.

– Mataloki, wysłane aby zniszczyć czerwony trójkątny statek, znikły, a czerwony trójkątny statek razem z nimi.

– Wszyscy zniszczeni? Całkiem niezła walka, jak na tak źle wyposażony statek.

– Nie wiadomo. Dowódcy mataloków nie meldowali o żadnej zaciętej walce.

Czulkang Lah skrzywił się boleśnie, ale odwrócił swój gniew od Kasdahka Bhula. Ten wojownik nie dysponował wielką inteligencją, ale przekazanie złych wieści starszemu oficerowi wymagało odwagi.

A wieści były bardzo złe. Coraz więcej tajemnic, a on nie lubił tajemnic. Oznaczały one, że nie oszacował prawidłowo wszystkich zmiennych.

A to najprostsza droga do przegrania bitwy.

Po uwolnieniu się ze studni grawitacyjnej Borleias „Lusankya” odpaliła hipernapęd i dokonała mikroskoku, który przeniósł ją daleko poza zasłonę myśliwców. Dotarła aż do połowy drogi na drugą stronę systemu słonecznego zanim mina dovin basal wyrwała ją z powrotem do normalnej przestrzeni.

Nie było to zdarzenie całkiem nieoczekiwane. Załoga statku wiedziała, że tak się stanie, choć nie wiedziała dokładnie gdzie. W aspekcie odległości kosmicznych znajdowała się dość blisko światostatku domeny Hul dowodzonego przez Czulkanga Laha, ale niewielkie było prawdopodobieństwo, że zdoła wykonać jeszcze jeden skok, aby znaleźć się bliżej. Przestrzeń pomiędzy tymi dwoma punktami z pewnością aż się roiała od min dovin basali.

Załoga natychmiast wysłała sygnał na częstotliwości floty. Sygnał mówił: „Jestem tutaj”.

Statek zbudowany był tak, aby mógł pomieścić ćwierć miliona osób załogi, nie licząc piechoty, lecz tym razem było nieco inaczej. Nie mieli już baterii dział, które trzeba by obsługiwać. System podtrzymania życia został wyłączony w większości pomieszczeń. Komunikację ograniczono do kilku kanałów. Tarcze i inne krytyczne systemy były obecnie obsługiwane przez roboty porozbierane na kawałki i wmontowane bezpośrednio w interfejsy. Żadnego monitorowania zużycia paliwa, stanu temperatury silników, zapasów, zasobów.

Załoga liczyła teraz jedną osobę.

W minutę później eskadry, które opuściły rurowce, pojawiły się dokładnie za nią, wyrwane z nadprzestrzeni przez tę samą minę dovin basala. Obróciły się, otaczając „Lusankę” ochronną tarczą.

Oddziały skoczków koralowych ruszyły w ich kierunku.

„Sokół Millenium” nie znalazł się w gromadzie statków eskortujących „Lusankę”. Transporter wyskoczył z nadprzestrzeni na skraju jednego z najgęstszych pól minowych dovin basali rozmieszczonego na głównym wektorze powrotnym z Coruscant.

– Nie widzę żadnych skoczków – mruknęła Leia.

– Świetnie. Kto do partyjki sabaka?

Leia zmroziła go spojrzeniem.

– Wiesz, że żartuję. Symulatory grawitacyjne gotowe.

Przełączyła serię dźwigienek na tablicy uzbrojenia. Kiedyś był to wyłącznik sekwencyjny pojedynczej rakiety, ale w ciągu ostatnich kilku dni został tymczasowo zastąpiony innym układem.

– Pięć pod napięciem – zameldowała.

– Odpalaj numer jeden.

Przywróciła pierwszą dźwigienkę do poprzedniej pozycji. „Sokół” zadygotał lekko, kiedy rakieta opuściła lufę wyrzutni.

Leia obserwowała ją na tablicy czujników. Rakieta przeorała pole minowe i powoli zwróciła się ku odległej strefie walki. Poruszała się znacznie wolniej niż normalna rakieta.

Na tablicy było widać, jak linie koordynat przedstawiające punkty w przestrzeni charakteryzujące się zniekształconą grawitacją pozostają nieruchome... z wyjątkiem jednego. Tu układ współrzędnych falował, a zniekształcenie przemieszczało się w ślad za rakieta najpierw powoli, a potem z coraz większą prędkością.

Leia uśmiechnęła się.

– Wzięła przynętę.

Przynętą było urządzenie wykorzystujące opracowaną przez Jainę Solo technikę symulacji podpisu grawitacyjnego. Wystrzelona rakieta niosła ze sobą dokładny podpis grawitacyjny „Sokoła Millennium”. Podobnie zresztą jak cztery pozostałe rakiety czekające w gotowości na pokładzie.

– Odpal numer dwa.

– Naprawdę lubisz udawać wojskowego, co?

Han wyszczerzył zęby.

– Tylko wtedy, kiedy to ja wydaję rozkazy.

– Druga rakieta w celu.

ROZDZIAŁ 17

Wedge obserwował na monitorach przelot myśliwców „Lusankyi” do atmosfery. Teraz będą eskortować transportery z resztkami personelu. Wśród transporterów był również niewielki prywatny jacht, przerobiony z kanonierki. Na jego pokładzie znajdowali się Wolam Tser, Tam Elgrin oraz chłopak imieniem Tark. Wedge życzył im szczęścia i powodzenia w omijaniu Yuuzhan – teraz i zawsze.

Iella stała koło drzwi, czekając na niego. Jeśli nie liczyć Wedge’a, była ostatnią osobą w centrum operacyjnym budynku biotyki.

– Nic więcej tu nie zdziałasz, Wedge. Czas odejść.

– Jeszcze nie całkiem. Jak długo jest szansa, że nasi kumple z Brygady Pokoju zdołają podsłuchać naszą łączność lepiej, żeby wiedzieli, że tu jestem. Mam nadzieję, że to im da do myślenia – spojrzał na nią pojednawczo. – Zaraz lecę. Wahadłowiec na mnie czeka.

– Chodź już.

– Nie, ty idź. I to natychmiast. Nie zmuszaj mnie, żebym ci rozkazywał.

Iella była żoną Wedge’a na tyle długo, że wiedziała, w którym momencie przestać się upierać, więc tylko z rozpaczą pokręciła głową. Pocałowała go na pożegnanie.

– Nie daj się zabić.

– Ty też nie.

– Chciałabym, żebyś znów odszedł na emeryturę.

– Ty też powinnaś.

– Kocham cię.

Pocałowała go jeszcze raz.

– Ja też cię kocham. Udowodnię ci to, i to nie raz – uśmiechnął się pomimo mdlącego uczucia, które nagle ścisnęło mu żołądek – lęku, że może nie być tego „nie raz” i że Iella widzi go po raz ostatni. – A teraz zmykaj.

Odeszła.

Zawrócił do tablicy czujników i zmusił się, aby zapomnieć o tej rozmowie i o towarzyszącym jej niepokojowi. Nie wiedział, czy to przeczucie, czy tylko strach, a miał jeszcze sporo roboty.

Obserwował, jak jedna po drugiej ustępują zapory myśliwców broniących budynku biotyki, a siły Yuuzhan Vongów powoli zbliżają się do bazy z powietrza i z ziemi.

Charat Kraal poprowadził swoją eskadrę w łuk w kierunku domeny Hul. Jego villip właśnie powiedział mu, że nadlatuje „Lusankya”, a wśród towarzyszących jej eskadr znajduje się również

oddział Jainy Solo.

Był dezorientowany. Nie lubił tego uczucia. Żaden wojownik Yuuzhan Vongów nie znosi dezorientacji.

Żeby się z tej dezorientacji wyleczyć, musi kogoś zabić, i to szybko.

Elitarne oddziały eskortujące „Lusankyę” walczyły z niezwykłym męstwem i zrećnością. Czulkang Lah dopilnował, żeby ścieżki, po których poruszały się świetliki ilustrujące rozwój potyczki zostały zapisane w pamięci światostatku. Wiedział, że z przyjemnością obejrzy tę walkę jeszcze raz. I jeszcze raz...

Oddziały skoczków koralowych wchodzące w strefę walki wychodziły z niej zdziesiątkowane i potłuczone... o ile w ogóle udało im się wyjść.

Raporty dyżurnych przy czujnikach wskazywały, że ataki skoczków zbierały jednak swoje żniwo. Piloci Nowej Republiki ponosili klęskę. A „Lusankya” była dosłownie rozwalona w kawałki. Pomimo niezwykłej mocy, jaką kierowano w jej tarcze, baterie statku milczały. Podobno ciągła kanonada ze strony skoczków i statków, które odważyły się podejść bliżej, spowodowała już odpadanie od konstrukcji nośnej ogromnych arkuszy blachy.

Wedge wypadł z centrum dowodzenia. Budynek biotyki trząsł się w posadach od ostrzału kierowanego z odległych dział plazmowych. Uderzenia były tak głośne, że nie słyszał odgłosu własnych kroków na durabetonowej podłodze. Z sufitu zaczęły spadać kawały gruzu – Wedge osłonił głowę ramionami i natychmiast oberwał ciężkim odłamkiem w prawy przegub.

Dobiegł do klatki schodowej na parterze. Po drodze nie spotkał już nikogo i stwierdził ten fakt z ponurą satysfakcją. Nikt nie zdołał go przechytrzyć, nikt nie zaryzykował nieposłuszeństwa, aby towarzyszyć mu w ucieczce. Było to raczej pocieszające, ale sama myśl, że być może jest ostatnim przedstawicielem Nowej Republiki na Borleias, miała w sobie coś niepokojącego.

Przez transpastalowe płyty w drzwiach na końcu głównego holu widział odległe błyski, cienkie czerwone smugi wystrzelające z prędkością światła w jedną stronę i słabsze pomarańczowe strumienie lecące w drugą – wyraźny dowód, że ostatnie siły Wedge’a wciąż prowadzą działania opóźniające. Kiedy uderzeniem otworzył drzwi i wybiegł w strefę zakazaną, przekonał się, że walka trwa na całej długości horyzontu.

Strefa zakazana pełna była kraterów i zniszczonych pojazdów. Wszystko, co zdolne do lotu, znajdowało się teraz w przestrzeni, a pojazdy zbyt zdezelowane, by się wznieść, zostały zniszczone przez techników Wedge’a – standardowa procedura operacyjna, choć akurat Yuuzhanie nie mieli w zwyczaju badać przejętych technologii. Niektóre z jednostek zostały dodatkowo trafione przez odległe działa plazmowe wycelowane w budynek biotyki. W zasięgu wzroku nie było ani jednego działającego pojazdu.

Ani jednego działającego pojazdu. A gdzie jego wahadłowiec?

Natychmiast go rozpoznał – stos płonącego metalu o kształcie mgliście przypominającym, że w poprzednim życiu był wahadłowcem klasy „Lambda”.

Wedge skrzywił się lekko. Jeden z pilotów zginął, czekając na niego. Kolejna pozycja na liście – a już miał nadzieję, że ją zamknął – na liście, którą nosił w sercu.

Otrząsnął się z tych myśli. Jeśli za minutę nie zacznie działać, sam się na niej znajdzie. Jakby na potwierdzenie, pocisk z działaplazmowego uderzył w budynek wysoko nad jego głową, przeorał żelbet i transpastał, bombardując go twardymi, śmiercionośnymi odłamkami.

Wedge pędem oddalił się od fasady budynku. Nie było sensu wracać do głównego doku tylko po to, żeby się w nim ukryć. Był otwarty i z daleka można było stwierdzić, że poza pojedynczym widłakiem nie ma tam nic pożytecznego.

Dok operacji specjalnych okazał się niemal nietknięty i wciąż pozamykany. Wedge miał nadzieję, że nikt go nie zaminował. Dotarł do głównych drzwi, wprowadził kod autoryzacji z klawiatury i aż się skrzywił, kiedy budynek biotyki zadygotał w posadach, trafiony jakimś wyjątkowo wielkim pociskiem.

Siła eksplozji, choć częściowo osłabiona przez odległość, rzuciła nim o drzwi. Odwrócił się, żeby spojrzeć: budynek złożył się w pół jak zapaśnik, który o jeden raz za dużo dostał w spłot słoneczny – górna część centrum posypała się na strefę zabronioną w miejscu, gdzie Wedge znajdował się jeszcze przed kilku sekundami.

Drzwi doku otworzyły się ze zgrzytem. Wedge wszedł tyłem i obrócił się na pięcie, usiłując przebić wzrokiem ciemność, zanim zamigotały pierwsze światła.

Ekipa mechaników zostawiła śmigacz, który wyglądał teraz, jakby został przypieczony na rożnie na kolację dla jakiegoś giganta. Obok spoczywał na pół wykończony rurowiec, który montowali na wszelki wypadek, gdyby któryś z gotowych statków nawalił w czasie lipnych prób. Wreszcie serce Wedge'a podskoczyło radośnie – na prawo, obok drzwi, które jeszcze nie skończyły się otwierać, w miejscu, gdzie światła zapalały się jako ostatnie, stał X-wing. Ani obok niego, ani w gondoli za kabiną nie widać było robota astromechanicznego, ale poza tym statek wydawał się nienaruszony, a owiewka była podniesiona jakby na powitanie.

Powłoka pojazdu była nadpalona i podrapana, ale na kadłubie widać było kilka świeżych, lśniących łat, jeszcze niepomalowanych na kolor statku. Kopułka lśniła czystością, widać było, że jest całkiem nowa.

Wedge podbiegł do statku i wskoczył do kabiny. Przyływ adrenaliny sprawiał, że poruszał się jak młodzik. Rozpoczął awaryjną procedurę startową zanim jeszcze zdążył całkiem opaść na fotel pilota, wywołał przyporządkowanie i diagnostykę statku zanim zatrzasnął owiewkę i zapiął uprząż.

Ekran tekstowy na pulpicie choć jeszcze nie zdążył osiągnąć pełnej jasności, wyświetlił litery:

INCOM T65-J X-WING NUMER IDENTYFIKATORA 103430

OBECNY PILOT: OFICER KORIL BEKAM

OBECNY PRZYDZIAŁ: CZARNY KSIEŻYC 11

OBECNY ASTROMECH: R2-Z13 „WTYCZKA”

– Szkoda, że nie przejedziesz się ze mną, Wtyczko. – Bez robota astromechanicznego Wedge będzie mógł przeprowadzić jedynie najprostsze operacje nawigacyjne wewnątrz systemu, nie będzie też w stanie pilotować statku na żadnej trasie międzygwiazdnej. Jeśli jednak zdoła się dostać do swoich oddziałów, przyjmą kurs przekazany mu przez jeden ze statków i wylądować na pokładzie, to już wszystko w porządku.

Wprowadził polecenie z notatnika i przekazał kod autoryzacji do X-winga.

KOD NIEROZPOZNANY. BRAK AUTORYZACJI

Tablica diagnostyczna była już aktywna. Zasilanie, tarcze, uzbrojenie i system silników

wydawały się w porządku, ale czujniki wskazywały nienaprawione uszkodzenia komputera i systemu łączności myśliwca. Wedge zaklął. Presja czasu, która spowodowała, że mechanicy opuścili ten pojazd zanim osiągnął pełną sprawność, może go kosztować życie. Prawdę tę potwierdził ciężki hałas jakiegoś dużego statku niezgrabnie lądującego w pobliskim doku. Wedge zauważył, że tylna ściana budynku z hartowanej blachy ugięła się pod naporem powietrza.

Przewinął informacje na ekraniku notatnika i wywołał dane dotyczące personelu, a w szczególności oficera Korila Bekama, przekazując jego kod autoryzacji.

AUTORYZACJA PRZYJĘTA

Rozpoczęło się uruchamianie pozostałych systemów pojazdu.

Wyjście z doku było teraz całkowicie otwarte, a wpadające przez nie światło zalewało Wedge'a i X-winga. Wedge zobaczył, że oddział wojowników Yuuzhan Vongów, dwudziestu, a może więcej, mija dok, kierując się w stronę głównego budynku.

Tablica danych wskazywała, że pracują już dwa silniki, potem trzy, cztery... wkrótce gotowość zameldowały też silniki manewrowe i repulsory. Włączyły się lasery, a słupek oznaczający gotowość tarcz zamigotał szybko i przybrał czysto zieloną barwę.

Yuuzhański wojownik okrążył narożnik doku operacji specjalnych i zahamował, gapiąc się na X-winga z widocznym zaskoczeniem. W chwilę później zjawilo się jeszcze dziewięciu i wszyscy stanęli przed Wedge'em.

Wedge posłał im uśmiech – niewesoły, wróżący śmierć. Przełączył lasery na ogień przerywany i przejechał nim po tłumie wrogów. Część zdołała zanurkować w kierunku, z którego przybyli, pozostałych powaliły przez promienie.

Lasery X-winga, nawet ustawione na najniższą moc i przerywany ogień, przewidziane były dla pojazdów, nie dla ludzi. Trafiając Yuuzhanina, promień przegrzewał ciało poza punkt wrzenia, przenosząc je wprost w stan gazu, a nawet plazmy. Wojownicy trafieni z takiego lasera po prostu eksplodowali, ich ciała znikaly, a członki rozsypywały się na wszystkie strony.

Wedge skrzywił się, odpalił repulsory i silniki manewrowe. Myśliwiec uniósł się jednym gładkim ruchem, przechylił, aby uniknąć kontaktu z dachem doku i skierował się w stronę przeciwną do tej, z której nadeszli wojownicy. Wedge dał pełną moc i z pełnym przyspieszeniem wyskoczył z doku i walącego się budynku biotyki. Przez ramię widział jeszcze yuuzhański transportowiec wojskowy, wielki statek w kształcie jaja, wiszący nad dokiem, z którego wysypywały się oddziały wojowników, pędem kierując się w różne strony. Transportowiec otworzył ogień do myśliwca, ścigając go rozjarzonymi kulami plazmy, ale Wedge położył statek w prawy skręt i potop płonącej substancji zasypał dżunglę.

Nie było czasu na listę kontrolną, nawet w skróconej wersji. Musi czym prędzej znaleźć się w przestrzeni, wśród swoich. Przełączył komunikator X-winga na częstotliwość dowodzenia.

– „Czarny Księżyc Jedenaście” do „Mon Monthmy”. „Czarny Księżyc Jedenaście” do „Mon Monthmy”, odezwiście się.

Urządzenie ożyło, transmitując rozmowy w eterze. Wedge rozpoznał głos Tycha dowodzącego eskadrami myśliwców, Jainy wydającej rozkazy Bliźniaczym Słońcom, wielu innych oficerów pod jego rozkazami. Ale nikt nie odpowiedział.

Wzniósł się nieco wyżej, przygotowując się do opuszczenia atmosfery.

– „Czarny Księżyc Jedenaście” do wszystkich. Proszę odpowiedzieć.

Cisza.

Jęknął ze złości. Będzie musiał polegać na własnych czujnikach i instynkcie, żeby wybrać najlepszy kurs z tego świata i ma spore szanse, żeby wpaść na nadlatujące oddziały skoczków koralowych. No cóż, na wojnie jak na wojnie. Może się albo przygotować, albo rozpląkać. Ściągnął drążek, w ostatniej chwili wymijając mały koreliański frachtowiec – porysowany i pomalowany na niebiesko YT-2400. Znał ten statek, znacznie nowszy od „Sokoła Millenium”, ale tak rozklekotany, że w kupie trzymały go tylko druty i czysta złośliwość rzeczy martwych.

Jeśli go nie myliło przelotne spojrzenie rzucone zanim zostawił go daleko w tyle, statek wydawał się nieuszkodzony, pomimo pióropusza dymu unoszącego się z jednego z silników. Wydawało mu się też, że w środku widzi poruszających się ludzi. Zaczął krążyć wokół frachtowca.

– „Czarny Księżyc Jedenaście”, tu „Ślizgacz Ammuud”. Odezwij się, proszę.

Wedge zmarszczył brwi. Skąd znali jego przyporządkowanie? Nagle zrozumiał. Nie był w stanie przekazywać wiadomości głosowych, ale jego nadajnik wciąż pewnie działa i wysyła kod identyfikacyjny X-winga do czujników rozpoznawczych.

– „Ślizgacz Ammuud”, tu „Czarny Księżyc Jedenaście”. Naprzód.

– „Czarny Księżyc Jedenaście”, odezwij się, tu „Ślizgacz Ammuud”. Odezwij się, proszę.

Wedge wyminął stacjonujący frachtowiec raz jeszcze, tym razem redukując prędkość. Na jego kadłubie widział teraz mężczyzn i kobiety z palnikami, oświetlonych iskrami i żarem.

Z tej odległości może się udać – wyciągnął z kieszeni na piersi swój komunikator i kciukiem włączył urządzenie.

– „Ślizgacz Ammuud”, tu „Czarny Księżyc Jedenaście”. Słyszycie mnie teraz?

– Ledwo-ledwo, ale słyszemy. Strąciły nas pociski plazmowe, ale właśnie załataliśmy silniki. Za kilka minut będziemy mogli się wznieść... ale ten oddział, który nas zestrzelił, wciąż jest bardzo blisko, na północny zachód od nas. Zatrzymasz go na chwilę?

– Daję wam dwie minuty. Może więcej. Mam przestrzeloną tablicę łączności, więc nie obrażcie się, jeśli przestanę odpowiadać. „Czarny Księżyc Jedenaście” wyłącza się.

– Dzięki, „Jedenaście”. „Ślizgacz Ammuud” wyłącza się.

Wedge jeszcze bardziej zredukował prędkość i zatoczył koło, aby przelecieć nad frachtowcem w kierunku na północo-północny zachód. Wkrótce ujrzał napastnika, o którym mówił „Ślizgacz Ammuud”, zbliżającego się poprzez kępę gęstych traw otoczonych dżunglą. Był tam tuzin piechurów, dwa tuziny walczących niewolników reptoidów, jeden skoczek koralowy i coś, co wyglądało na całkiem zdrowego rakamata. Zwierzę było niezbyt duże, wysokie i chude, niosło także połowę uzbrojenia wersji pełnowymiarowej. To jednak w zupełności by wystarczyło przeciwko małemu frachtowcowi.

Przeciwko X-wingowi właściwie też.

Wedge jeszcze nie skończył liczyć, a już przełączył lasery na ogień przerywany i zasypał nim pozycję nieprzyjaciela. Wojownicy i reptoidy padli, pod nogami rakamata zapaliła się trawa. Wedge przeleciał nad nimi ścigany pociskami plazmy i spostrzegł, że skoczek koralowy szykuje się do pościgu. Wkrótce potwierdziła to też tablica czujników. Przerzucił całą wolną moc pojazdu na tylne tarcze, usłyszał w słuchawkach głucho łupnięcia i czujniki poinformowały go, że pociski plazmowe uderzyły w tarcze i zostały zatrzymane.

Kiedy ostatnio walczyli z rakamatem, potrzeba było sześciu X-wingów i ukrytej miny, żeby go

zabić. Ten był może o połowę słabszy od tamtego, ale też Wedge stanowił najwyżej jedną trzecią poprzedniej siły. Szanse były w najlepszym razie marne.

Z drugiej strony Han Solo nauczył całe pokolenia, że Korelianie wykorzystują wszelkie szanse, choćby nie wiadomo jak marne, a Wedge był takim samym Korelianinem jak Solo.

Nagle coś przyszło mu do głowy i po raz drugi uśmiechnął się ponuro.

Ze skoczkiem koralowym siedzącym na ogonie wykonał jedno okrążenie, podchodząc do rakamata i jego oddziału pod kątem prostym. Wystrzelił raz jeszcze, na oślep zalewając ogniem trawy po lewej stronie zwierzęcia. Yuuzhanie i reptoidy rozbiegli się na wszystkie strony. Stąd widział już nogi rakamata, które niosły go uparcie w kierunku frachtowca. Można było przewidzieć każdy kolejny krok, stawiany w równym, niezmiennym i spokojnym rytmie.

Rakamat zasypał go plazmą, skoczek robił to samo z tyłu. Wedge skręcił statek i dalej podpalał trawę, wrywając z ziemi kępy parujących, dymiących korzeni. Teraz właściwie niewiele widział, ale czujniki wciąż informowały go o położeniu ogromnej masy rakamata, choć odczyty były częściowo zniekształcone przez gorące powietrze.

Teraz opadł prawie na wysokość traw. Odgłosy tarcia i uderzeń po kadłubie poinformowały go, że dolna część maszyny ścinała liście, a może nawet nierówności terenu. Przed sobą widział sam grzbiet rakamata i lufy dział plazmowych wznoszące się w oczekiwaniu na jego przelot, gotowe ostrzelać go od dołu.

Przerzucił mały przełącznik nad głową i płyty złożyły się z pozycji bojowej do spoczynkowej. Jak tylko wleciał w strefę płonących traw, najpierw ściągnął drążek w dół, a potem od razu w górę.

Tylne i przednie nogi rakamata tylko śmignęły mu z boku, czarny cień na chwilę przesłonił mu niebo i oto statek już wznosił się znowu.

Przez krótką chwilę pociski plazmowe przestały go ścigać. Przelatując pod rakamatem i wylatując nisko z niewłaściwej strony, zamieszał zwierzęciu w głowie. Wspinając się w górę znów ustawił płyty w pozycji bojowej.

W tej samej chwili ścigający go skoczek przeleciał przez strefę płomieni i zobaczył tuż przed sobą bok rakamata. Pilot spanikował. Wedge spostrzegł przez ramię, że dziób skoczka zakołysał się niepewnie, jakby rozdarty alternatywą ścigania Wedge'a pod brzuchem rakamata albo nad nim. Ta chwila wahania go zgubiła. Dziób skoczka wzniósł się i uderzył w rakamata z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę.

Nie było ani błysku światła, ani huku uderzenia – Wedge uciekał zbyt szybko, żeby dźwięk mógł go dogonić. Był tylko ponury widok skoczka, który przeorał zwierzę na pół i wyleciał w innym, znacznie węższym kształcie, rozrzucając na boki szczątki przepołowionego rakamata. Resztki skoczka wznosiły się w górę jeszcze przez chwilę, po czym balistycznym łukiem spadły na ziemię.

Wedge zrobił jeszcze jedno kółko, żeby dokończyć dzieła. Ramię bolało go od niezwykłego napięcia – nagle zdał sobie sprawę, że ściska drążek tak mocno, że drętwieją mu palce.

– Nie powiem tego, za nic nie powiem – wymamrotał. – Nie powiem... Jestem już na to za stary.

„Lusankya” była teraz widoczna gołym okiem jako mała igielka skierowana wprost na domenę Hul.

Czulkang Lah spojrzał na nią zmrużonymi oczami, wściekły, że słabnący wzrok pozbawia go szczegółów tego, co widzi. Skinieniem wezwał adiutanta, który prawidłowo interpretował nietypowe posunięcia i pogładził ogromną, okrągłą soczewkę pośrodku sklepienia centrum dowodzenia.

Soczewka odkształciła się, rozciągając w niewyraźną plamę wszystko, co znajdowało się na jej obwodzie i powiększając obraz wrogiego statku tak, by wypełniał cały ekran.

Statek już odniósł ogromne uszkodzenia. Poszycie było w wielu miejscach oderwane i pocięte, jak gładka niegdyś droga, po której przebiegło stado rakamatów o kopytach uzbrojonych w ostrogi. W wielu miejscach spod powłoki tryskały płomienie. Działa w większości milczały. Czulkang Lah widział jedynie dwie baterie, które wciąż były aktywne i wydawały się strzelać na oślep. Stanowiły dla skoczków niewielkie zagrożenie.

Wciąż jednak pozostawały eskadry nieprzyjacielskich myśliwców, skoncentrowane głównie wokół rufy „Lusankyi”, zacięcie broniące tego obszaru statku.

Kasdakh Bhul podszedł i stanął obok niego.

– Nasi piloci meldują, że bluznierstwo zwane „Lusankya” jest prawie zniszczone. Brak reakcji oznacza, że większość załogi zapewne nie żyje i niemal cała broń uległa zniszczeniu. Niedługo nie będzie w stanie nas ostrzeliwać.

Czulkang Lah ostrożnie ustawił stopy w taki sposób, aby nie stracić równowagi przy zadawaniu ciosu; to byłoby nie do pomyślenia. Jego ramię zakreśliło łuk. Zbroja z kraba vonduun prawidłowo zinterpretowała ten pośpiech i wyrzuciła ramię do przodu. Zakute w zbroję przedramię uderzyło w tył hełmu Kasdakh Bhula, który potknął się i poleciał na twarz.

Adiutant odzyskał jednak równowagę i odwrócił się. Czulkang Lah widział, jak w rysach twarzy młodszego oficera pojawia się gniew, który jednak szybko ustępuje miejsca zdumieniu.

– Widzisz, ale nie rozumiesz – wyjaśnił Czulkang Lah. – Nigdy nie mieli zamiaru użyć przeciwko nam swojej broni.

– Ach tak? – głos młodszego oficera zabrzmiał całkiem spokojnie, choć nie miało to najmniejszego sensu. Taka taktyka pozwalała na szybkie wycofanie się z każdej opinii, gdyby okazała się nietrafna. – A więc to zwykła ofiara niewiernych? Przepraszamy? Mówią nam: „Przepraszamy, że byliśmy niedobrzy. Prosimy, weźcie naszą najlepszą broń!”

Czulkang Lah obdarzył go bezzębnym uśmiechem.

– Upierasz się, żeby być idiotą. Jestem zadowolony, że nie mogę się przyznać do twojego szkolenia; musiałbym się zabić ze wstydu. Nic nie zauważyłeś? Nie widzisz, że oni wcale nie chronią uzbrojenia, tylko silniki? Nic ci to nie mówi?

Młodszy oficer zrobił głupią minę.

– Chcieli się tu szybko dostać?

– Nie. Ich bronią są właśnie silniki. Czy aby na pewno nie jesteś maskerem ooglithelem z powietrzem w środku?

Kasdakh Bhul zignorował tę obelgę.

– Czy to znaczy, że oni chcą... nas staranować?

– Uff, oświeciło cię wreszcie. Nawet ooglith może się czegoś nauczyć, jeśli się go postawi w okolicy źródła mądrości.

– A więc musimy dopilnować, żeby to bluznierstwo do nas nie dotarło. Żeby nie mogło ustawić się w pozycji do staranowania nas. – Doskonale. Wydadaj rozkazy, Maskerze Ooglith.

Trzy skoczki koralowe – wszystko, co zostało z ostatniej fali – zrobiły zwrot i odleciały.

Bez wątpienia w ciągu minuty dołączają do posiłków i wrócą. Luke sprawdził czujniki i wskaźniki statusu. Miał teraz o dwóch pilotów mniej, a reszta eskadry dostała już porządne cięgi. Sam też

oberwał pociskiem plazmowym w prawą burtę i górny płat wraz z silnikiem.

– Dowódca Czarnych Księżyców do eskadry – odezwał się. – Mamy chwilę luzu. Wszyscy, którzy mają uszkodzone tarcze, mogą teraz rozpocząć restart zasilania.

Zmniejszył moc silników manewrowych, żeby znaleźć się za lewoburtową baterią silników „Lusankyi” i poniżej niej, ale trzymał się bardziej na lewo. Ta pozycja pozwalała mu na swobodną obserwację światostatku Yuuzhan.

– Jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Mamy na tablicy statusu „Czarny Księżyc Jedenaście” – odezwał się głos porucznik Ninory Birt, „Czarnego Księżycy Dziesięć”, nowej specjalistki łączności eskadry. Do tej pory była wolnym przemytnikiem, ale zgodziła się służyć w tej operacji swoimi umiejętnościami i swoim frachtowcem, „Rekordowym Czasem”. Jej statek został poważnie uszkodzony podczas pierwszej bitwy o Borleias, a w kilka tygodni później wróg zniszczył go nad Coruscant. Teraz znów była w akcji, tym razem z nowym przydziałem wojskowym i stopniem oficerskim.

Luke spojrział na tablicę statusu. Istotnie, widać było na niej, że „Czarny Księżyc Jedenaście” jest aktywny. Odległość i kierunek wskazywały, że myśliwiec wciąż znajduje się na Borleias.

– Nie ma szans – odezwał się „Czarny Księżyc Pięć”. – Koril wciąż jeszcze moczy się w płynie bacta. Widziałem, jak go piguły zabierały...

– Nieważne – uciał Luke. – Skupcie się na tym, co macie przed nosem.

– Dowódca Czarnych Księżyców, tu dowódca Bliźniaczych Słońc.

– Mów, Wasza Wysokość.

– Sharr wykrył, że skoczki przegrupowują się w kilka różnych oddziałów. Wszystkie w jednakowej odległości od „Lusankyi”.

– Przygotowujemy się więc na nową falę. Dzięki, Wasza Dostojność.

Jaina wreszcie dojrzała na czujnikach nadlatujące oddziały. Dużo ich było, osiem grup co najmniej, a trzy eskadry przy rufie „Lusankyi” wyraźnie traciły siły.

– Czas na łowy Bogini... nie sądzisz, Sharr?

– O, twoje słowa są jak balsam na mą duszę, Najwspanialsza.

– Nie zabalsamuj się tak, żebyś spieprzył.

– O, twoje słowa otuchy są jak balsam na mą duszę...

– Do roboty, Sharr.

– Słusznie. – Sharr milczał przez chwilę, podczas której oddziały skoczków znacznie się przybliżyły. Nadlatywały ze wszystkich stron. Wreszcie rzekł:

– Najbliższe pole minowe dovin basali znajduje się przed nami na lewo. Bogini powinna kierować się w tę stronę. Prosiak, kiedy oddziały skoczków znajdą się na tyle blisko, żeby nas rozpoznać po gębach?

– Czterdzieści sekund, ale jeśli Bogini skieruje się wprost na to pole minowe, przeleci dość blisko, żeby ją rozpoznali.

– Och, racja. Korekta kursu... Dowódca Bliźniaczych Słońc, przygotuj się na ucieczkę. Trzy, dwa, jeden... zwiewaj.

Ze statku „Bliźniacze Słońce Dwa” wystrzeliła rakietą, kierując się w lewo pod kątem prawie dziewięćdziesięciu stopni, wprost w najszerszy odstęp pomiędzy nadlatującymi oddziałami. Jaina uruchomiła swój podpis grawitacyjny i przełączniki nadajników. Jej przyporządkowanie natychmiast

przeszło na tablicy czujników na „Bliźniacze Słońce Dziewięć”, odlatująca rakietą zaś równie błyskawicznie otrzymała przyporządkowanie „Bliźniacze Słońce Jeden”.

W eskadrze skoczków po lewej dało się zauważyć nagle zamieszanie, po czym cztery eskadry z tego kierunku ruszyły w pościg za rakieta.

– Dobra robota, Sharr – mruknęła Jaina. Po przełączeniu się na tożsamość „Bliźniaczego Słońca Dziewięć” system łączności powinien uruchomić program zmieniający charakterystykę jej głosu, sprawiając, by brzmiał nisko i głęboko jak głos dojrzałej kobiety.

– Dzięki, „Dziewięć”. Miło trochę popracować bez dowódcy. Strasznie się zaczęła szarogęsić.

Kyp wpadł im w słowo:

– Uwaga. Wciąż mamy towarzystwo na prawej burcie. Przygotujcie się, żeby zniechęcić gości. Na mój rozkaz rozdzielić się na trójki... trzy, dwa, jeden, teraz.

Podczas gdy Beelyath zajmował pozycję w trójce „Bliźniacze Słońce Dziesięć” – „Jedenaście” – „Dwanaście”, Sharr nie spuszczał oka ze specjalnej tablicy czujników i łączności. Odległa rakietą o kryptonimie Bogini, a teraz, dzięki biotechnicznej magii Cilghal, charakteryzująca się dokładnym podpisem grawitacyjnym X-winga Jainya, została wyposażona w komputer pokładowy i programy logiczne pozwalające na samodzielne wypełnienie misji, ale Sharr nieustannie podawał jej aktualizację priorytetów.

Kiedy rakietą Bogini i ścigające ją skoczki weszły w pole minowe, przełączył się na warstwowy widok lokalnej przestrzeni. Zielona siatka krzywych naniesiona na obraz sceny ilustrowała odkształcenia przestrzeni spowodowane przez miny i ich grawitacyjny wpływ na otoczenie.

Sharr utrzymywał prędkość rakiety na poziomie standardowej prędkości przemieszczania się X-winga. Na razie wciąż byli jeszcze zbyt daleko, żeby ścigający piloci mogli ją dostrzec gołym okiem i zorientować się, że to nie jest prawdziwa Jaina Solo.

Nagonka Yuuzhan Vongów była niezła. Doganiała rakieta znacznie szybciej, niż się tego spodziewano. Sharr, który dysponował czujnikami lepszymi niż rakietą, nakreślił skorygowany kurs, wprowadzając rakieta na trajektorie, która pozwoliłaby jej wymijać minę po minie, narażając na spotkanie z nimi coraz większą liczbę goniących ją skoczków. Zakończył i przesłał korektę kursu, ale zaraz stracił z oka tablicę czujników, bo Beelyath skreślił B-wingiem tak ostro, że Sharr zawisł w uprzęży i pociemniało mu w oczach, a wszystko to pomimo sprawnych kompensatorów inercji myśliwca.

– Wygodnie? – zaskrzeczał Beelyath.

– Co? – jęknął Sharr. – O, przepraszam, przysnąłem.

ROZDZIAŁ 18

Kaptur Charata Kraala ukazywał mu jarzący się punkt w przestrzeni – punkt, który istniał jedynie w jego umyśle, ale ukazywał dokładną pozycję wroga. Poza tym Charat Kraal nie mógł widzieć odległego X-winga.

Jego przeciwnik był dobry, zresztą czego innego można się było spodziewać po Jainie Solo? Dziś jednak latała ona z tak niewiarygodną, pozbawioną wszelkich zahamowań zręcznością, jakiej jeszcze nie zdarzyło mu się widzieć. Prowadziła skoczki głęboko w pole minowe dovin basali, bez wątplenia w nadziei, że umknie im w tym niebezpiecznym obszarze, przemykając przez niego z wielką prędkością.

Przez moment w umyśle Charata Kraala pojawiło się zwątpienie. Dlaczego Jaina miałaby opuszczać stosunkowo bezpieczne otoczenie swej osobistej eskadry i samotnie prowadzić Yuuzhan w pułapkę? Odpowiedź mogła być tylko jedna: chciała pozabijać ich sama, nie dzieląc chwały z żadnym z towarzyszy.

Czyżby była aż tak zadufana w sobie? A może zwariowała? A może jej ufność była uzasadniona?

Pilot po lewej stronie Charata Kraala otworzył ogień z dział plazmowych, wysyłając w stronę odległego celu serię czerwonych, rozjarzonych pocisków.

Charat Kraal zaklął pod nosem. Ze wszystkich cech nieprzyjacielskich myśliwców jedyną, której rzeczywiście zazdrościł, była możliwość rozmów głosowych pomiędzy pilotami. Koordynator wojenny yammosk utrzymywał pościg w formacji i kierował we właściwą stronę, ale nie był w stanie zapobiec sytuacji, kiedy zbyt skory do strzału pilot zniszczy wroga, którego mieli schwytać żywcem.

Charat Kraal odpadł o kilka długości i podleciał do nieszczęsnego pilota. Z tej odległości doskonale widział, że koral yorik tego skoczka został naznaczony symbolami domeny Hul. Nawet nie kryjąc się z tym, co zamierza zrobić, starannie wziął na cel rufę stateczku i wysłał w jej kierunku pojedynczy strzał z działu plazmowego. Tak jak się spodziewał, pustka z drugiego skoczka natychmiast pojawiła się na drodze pocisku plazmowego i wchłonęła go.

Pilot zignorował ostrzeżenie. W dalszym ciągu strzelał do odległej JAINY Solo i do tego jeszcze wykonał unik w prawo, dając Charatowi Kraalowi jasno do zrozumienia, że nadal zamierza postępować zgodnie z własnym duchem bojowym, nawet gdyby to miało oznaczać niesubordynację.

Charat Kraal mruknął coś pod nosem i ruszył za nim. Wystrzelił jeszcze raz, tym razem strumieniem ciągłym, z zamiarem zadania śmierci, a nie ostrzeżenia. Pilot Hul odskoczył gwałtownie, jego pustki przechwyciły strumień plazmy, a statek wykonał manewr, dzięki któremu przetoczył się za statek Charata Kraala.

Wreszcie Charat Kraal uśmiechnął się do siebie. Zaraz zaliczy kolejne zestrzelenie, tym razem nieposłusznego pilota z innej domeny, co znacznie wzmocni jego wizerunek dowódcy bezlitośnie pilnującego porządku.

Pozostałe skoczki z oddziału kontynuowały pościg po pierwotnym kursie.

Czul kang Lah warknął ze złości. Układ świetlików w niszy opowiedział mu całą historię incydentu w oddziale Charata Kraala. Nie winił go za tę chwilę roztargnienia, ale martwił go brak dyscypliny wykazany przez drugiego pilota. Lepiej będzie, jeśli ten pilot zginie, i to śmiercią dość bolesną i haniebną, aby innym odechciało się takich aktów samowoli i nieposłuszeństwa.

– Co się dzieje? – zapytał Harrar. – Czy to pościg za Jainą Solo?

– Tak. – Czulkang Lah wskazał kłęb świetlików, choć wątpił, aby kapłan, nieprzywykły do skomplikowanych obrazów pola bitwy, umiał zinterpretować to, co widzi. – Uczestnicy pościgu nie działają w sposób zdyscyplinowany. Zdaje się, że jeden zamierza zabić Jainę Solo. Przy odrobinie szczęścia ten pomysł nie udzieli się pozostałym.

– Nie może. Musimy ją schwytać. Musimy wydobyć z niej prawdę na temat jej oszustw, wydusić wyznanie, że nie ma nic wspólnego z naszymi bogami. – Harrar zwrócił się do innego oficera centrum dowodzenia. – Uprzedź i przygotuj mój statek. Sam wejdę w pole minowe i dołączę do pościgu.

Oficer spojrział na Czulkanga Laha, który twierdząco skinął głową i pospieszył wykonać rozkaz.

Nagle obraz kreślony przez świetliki uległ zmianie i Czulkang Lah przez moment sądził, że być może to on źle interpretuje to, co widzi. Dwa ze skoczków, te najbliższe Jainy Solo, znikły, choć odległość wciąż była zbyt duża, aby jej niewierne lasery zdołały ich zestrzelić. Po prostu zgasły. Nawet osłabione oczy Czulkanga Laha widziały wyraźnie, jak przedstawiające je świetliki pociemniały i odleciały w ciemną strefę niszy, gotowe pojawić się znowu w razie potrzeby.

Co się mogło stać?

Sharr Latt zaczynał czuć bluesa – już wiedział, jak wyliczyć przyciąganie grawitacyjne miny dovin basala mijanej przez Boginię w pierwszym przejściu, a następnie zastosować wyliczoną wielkość przy kolejnym; aby skrócić rakiety i nadać jej nowy kierunek wyłącznie przy użyciu siły przyciągania tejże miny.

Rakieta, składająca się głównie z elementów stałych, nieobciążona fizycznymi ograniczeniami żywego pilota, mogła przetrwać znacznie ostrzejsze skręty i potężniejsze przyspieszenia niż goniące ją skoczki. Przy ostatnim przejściu rakieta minęła określoną minę, a dwa ze ścigających ją skoczków zrobiły dokładnie to samo; zostały schwyte przez grawitację miny i rozdarte na strzępy za swoją odwagę.

Pociski plazmowe śmigły poprzez kopulasty iluminator pomieszczenia załogowego B-winga. Zafascynowany swoją śmiercionośną zabawką Sharr ignorował je kompletnie, wierząc, że Beelyath utrzyma go przy życiu.

Eskadry chroniące „Lusankę” rozdzieliły się, wychodząc na spotkanie nadlatującym oddziałom wroga. Jaina, wciąż pod przykrywką „Bliźniaczego Słońca Dziewięć”, zachowywała milczenie, przekazując dowodzenie w ręce Kypa Durrona, który podzielił jej trójki tak, aby zagrozić drogę nadlatującym skoczkom.

Gdy tylko najbliższe ze skoczków znalazły się w maksymalnym zasięgu ognia laserów, sięgnęła do Kypa poprzez Moc, znalazła go i stwierdziła, że czeka na lepszy strzał. Sięgnęła jeszcze do Jaga i wyczuła jego intensywną koncentrację i czujny spokój. Nie potrafiła porozumiewać się z nim tak jak z Kypem, nie mogła też sobie pozwolić na roztargnienie, wołała więc wycofać się z tego kontaktu.

Nagle Kyp strzelił i jej ręka automatycznie przycisnęła spust lasera, wysyłając poczwórny strumień energii w kierunku najbliższego skoczka. Oba strzały zostały przechwycone przez pustki, ale strzał Jaga, który padł o ułamek sekundy później, trafił w sam dziób skoczka, niszcząc zagnieżdżonego tam dovin basala i pozbawiając tym samym stateczek zdolności lotu i obrony. Kyp i Jaina zalali go kolejną salwą energii. Skoczek eksplodował, kiedy lasery zmieniły w parę i gaz całą wilgoć i atmosferę w jego wnętrzu.

– Klucz Jeden, „Bliźniacze Słońca Pięć”. – To Prosiak. – Proponuję przejść na ekliptykę zero-jeden-zero, utrzymywać ten kurs przez dziesięć sekund i brać cele, jak się nawiną.

– „Bliźniacze Słońca Dwa”, rozumiem. – Kyp poprowadził Jaga i Jainę po łuku we wskazanym kierunku. Z przodu Jaina widziała Klucz Czwarty – Beelyatha i Tilath, którzy dopadli dwóch skoczków i zaganiali ich wprost przed dzioby Klucza Jeden. Jaina przeliczyła rytm strzałów Beelyatha i Tilath, sprawdziła czasy, poczuła, że Kyp robi to samo... i gdy statki nieprzyjaciela przeleciały tuż przed nimi, a Beelyath i Tilath po raz ostatni zasypali przerywanym ogniem ich rufy, Kyp, Jaina i Jag wystrzelili poczwórnymi laserami z kwadrantu lewej burty, uderzając wprost w koral yorik zamiast w pustki. Oba statki eksplodowały, a chmury gazów i kawały koralu rozleciały się na wszystkie strony.

Teraz jednak zbliżał się do nich partner pierwszego trafionego skoczka. Był coraz bliżej i zaczął ich ostrzeliwać. Jaina nie słuchała okrzyków radości i pochwał za dobre strzały, dochodzących z pulpitu łączności; ruszyła za Kypem, który uciekając przed pogonią wykonał ciasną pętlę w górę i na prawą burtę.

Jag zrobił jeszcze ciaśniejszą pętlę, zmuszając pościg do podzielenia uwagi pomiędzy swój szponostatek a dwa X-wingi. Zdołał przy tym okrążyć skoczka, który próbował wcisnąć się pomiędzy dwa myśliwce X. Zalał ogniem jego rufę i górną część kadłuba, ale energia została w całości wchłonięta przez pustki.

Jaina wyczuła ze strony Kypa coś w rodzaju myślowego wzruszenia ramion.

– Rozłączamy się – poleciała poprzez komunikator i poprzez Moc, ale nie na częstotliwości ogólnej, i skręciła na lewo. Kyp ruszył w prawo.

Zacisnęła zęby, aby wytrzymać przyspieszenie, jakim zaowocował zbyt ciasny skręt, ale udało jej się okrążyć skoczka i ustawić się przodem do niego – dokładnie na czas, żeby zobaczyć, jak X-wing wymija go górą i również na czas, aby stwierdzić, że pociski plazmowe zamiast w X-winga, trafiły w skoczka. Przeżarły się przez powłokę i skoczek nagle zrobił zwrot, jakby stracił ochotę do walki.

Z pulpitu łączności dobiegł specyficzny, metaliczny śmiech Prosiaka.

– Dobry lot, Prosiaku – rzuciła Jaina.

X-wing Wedge'a dotarł na niską orbitę Borleias. „Ślizgacz Ammuud” włókł się za nim. Wedge starał się pamiętać, że koreliański frachtowiec „włókł się” oczywiście wyłącznie w porównaniu z myśliwcem. Frachtowiec był prawie równie zwinny i szybki jak „Sokół Millenium”.

Opadł niżej, żeby sygnał z jego komunikatora mógł dotrzeć do statku.

– „Czarny Księżyc Jedenaście” do „Ślizgacza”. Masz drogę wyjścia?

– Mamy, „Jedenaście”. Możesz ją odebrać?

– Podłączyłem komunikator i notatnik do tego, co zostało z komputera na tym biednym maleństwie. Prześlij mi wektor kierunkowy, a ja już was wyprowadzę.

– Nie ma sprawy, „Jedenaście”. Dzięki wielkie.

Wedge odczekał, aż na ekranie jego notatnika pojawią się nowe liczby, po czym przestawił się na kurs zewnętrzny „Ślizgacza Ammuud”. Mógł jedynie szacować współrzędne, posiłkując się tym, co pamiętał na temat bieżącej pozycji Borleias na orbicie wokół gwiazdy Pyria, ale uznał, że ten kurs ustawi „Ślizgacza Ammuud” w ogólnym kierunku światów Głębokiego Jądra. Bez wątplenia frachtowiec wykona jedynie krótki skok w nadprzestrzeń, może kilka lat świetlnych, a potem skoryguje na kurs punktu spotkania.

Tablica czujnika myśliwca zapiszczała, sygnalizując nowy kontakt. Wedge odczytał informację i zmełł w ustach przekleństwo. W jego kierunku zdążył oddział skoczków koralowych. Przechwyci zarówno jego, jak i frachtowiec na długo przedtem, zanim opuszczą cień masy Borleias.

Charat Kraal zalewał przeciwnika ogniem z dział plazmowych i obserwował, jak część pocisków umyka pustkom i wżera się w powłokę.

Tak jak podejrzewał, tylko pilot całkiem niedoświadczony, wprost ze szkoły, mógł być tak głupi, aby otwarcie okazywać niesubordynację i szukać osobistej chwały kosztem obowiązku. Może i miał chwalebnie szybkie odruchy, ale zbyt mało doświadczenia i silnej woli, aby pokonać kogoś takiego jak Charat Kraal.

Jego cel kołysał się z boku na bok, sygnalizując, że przerywa ćwiczenia. Był to jedyny sposób, aby dać do zrozumienia, że się poddaje. Przesunął pustki z rufy na dziób, symbolicznie obnażając brzuch – kolejny znak, że poddaje walkę.

Charat Kraal strzelił po raz kolejny, uszkadzając rufę skoczka, a w chwilę potem, kiedy wzniósł się nieco nad swoją ofiarę, również kopułkę. Ujrzał, jak kopułka pęka i eksploduje z powodu różnicy ciśnień, a jeden z pocisków trafia i całkowicie zwęglą ciało pilota. Skoczek dalej leciał po prostej. Jego podróż może się nigdy nie skończyć.

– Niesubordynacja to śmierć – odezwał się głośno Charat Kraal, jakby duch przeciwnika mógł go usłyszeć. – Chyba że zwyciężysz. Poddanie nie jest formą zwycięstwa.

Zawrócił w kierunku tej części pola minowego, gdzie znajdowali się jego piloci i Jaina Solo.

Zmarszczył brwi w zadumie. Kaptur pokazywał mu lokalizację wszystkich skoczków, ale było ich teraz o cztery mniej niż powinno. Nawet jeśli liczyć pilota, którego zabił własnoręcznie.

Jaina Solo systematycznie redukowałą liczbę swoich prześladowców. Charat Kraal pokręcił głową i przyspieszył, aby się znaleźć w centrum działań.

X-wing Luke’a śmignął przez chmurę płomieni i oparów buchających z konającego odpowiednika kanonierki. Sprężył mięśnie, szykując się na uderzenie, którego należało się spodziewać, gdyby chmura zawierała materię stałą, ale wyleciał po drugiej stronie bez kolizji. Wypalił z poczwórnygo lasera w tej samej chwili, kiedy znalazł się poza chmurą, o włos mijając nadlatującego E-winga Mary i rozdzierając dziób ścigającego ją skoczka. Nie trafił w gondolę dovin basala na dziobie, ale wżarł się w koral poniżej, zanim pustka przemieściła się, aby wchłonąć resztkę energii.

Pilot skoczka, wyraźnie przestraszony nagłym wyłonieniem się Luke’a z chmury ognia, odskoczył od Mary i zaprzestał pogoni. Luke wykonał pętlę i ustawił się za żoną.

– A, tutaj jesteś!

Jej głos, dochodzący z komunikatora, był wyraźnie rozbawiony.

– Bałeś się, że ci ucieknę?

– Wiesz, jaki ze mnie zaborczy, zazdrosny facet.

– Dowództwo myśliwców do Eskadry Czarnych Księżyców i Żółtych Asów – głos należał do Tycha. – Zaobserwowaliśmy wzmożoną aktywność obrony na światostatku. Rozproszyc obronę rufy i przesunąć się na pozycje eskorty. Umieścić celowniczego na pozycji.

– Dowódca Czarnych Księżyców, przyjąłem. – Luke sprawdził czujniki i łączność. Czarne Księżyce były w dość kiepskiej kondycji i mniej więcej w połowie liczebności, choć większość strat ograniczała się do uszkodzeń i wycofania myśliwców z walki, a nie rzeczywistych zestrzeleń. Doczytał się też, że tajemniczy „Czarny Księżyc Jedenaście” opuścił już Borleias i znalazł się w obliczu całej eskadry skoczków koralowych.

– Na razie nie możemy sobie tym zawracać głowy.

– Ja jestem waszym celowniczym – oznajmił. – „Dwa”, przejmij dowodzenie.

– Zaprzeczam. Jestem twoim skrzydłowym – zaoponowała Mara.

Westchnął, ale nie miał czasu na kłótnie.

– Poprawka. „Czarny Księżyc Dziesięć”, przejmij dowodzenie.

– „Dziesięć”, przyjąłem.

– Dowódca w misji. – Luke włączył dopalacze i ruszył w kierunku światostatku Yuuzhan, pozostawiając w tyle swoje posiłki, wszystkich oprócz Mary.

Charat Kraal pędził za Jainą Solo, wyprzedzając znacznie innych pilotów głównie dzięki ogromnym umiejętnościom. Kilometr za kilometrem zbliżał się do niej i teraz był już pewien, że jest lepszym pilotem niż Niewierna.

Teraz wystarczyło tylko znaleźć się w zasięgu, obezwładnić jej bluźnierczy pojazd i czekać, aż zjawi się statek, który ją przejmie.

Małe błyski, który widział jedynie za pośrednictwem kaptura, wskazujący pozycję statku JAINY Solo, urósł nieco, wskazując, że teraz powinno już być widać pierwsze szczegóły X-winga. A jednak nie; zauważył jedynie emisję spalin z jednego silnika. A przecież przy użyciu trzech czwartych mocy myśliwiec nie mógłby się poruszać aż tak szybko.

Czujniki grawitacyjne jego skoczka stwarzały iluzję, że w oddali, przed dziobem JAINY Solo, cała przestrzeń odkształca się i faluje. Była to wizualizacja miny dovin basala. Wydawało się, że Solo zmierza dokładnie w jej kierunku.

Charat Kraal uśmiechnął się. Jej intencje były jasne – przelecieć blisko miny, otrzeć się o nią i użyć jej przyciągania, aby skrócić i przyspieszyć poza wszelkie możliwości pogoni.

Ale tym razem jej się nie uda. Mina wykryje jej charakterystyczny podpis grawitacyjny, rozpozna ją jako upragniony cel i sięgnie, aby obdrzeć ją z tarcz, po drodze być może niszcząc również silniki.

Już ją ma. Zwyciężył.

Jej statek śmignął wokół miny dovin basala i ruszył wprost na niego. Zwrot był tak szybki i nagły, że żadna żywa istota nie byłaby w stanie go przetrzymać; tak nieoczekiwany, że Charat Kraal przez śmiertelnie długą chwilę siedział jak osłupiały.

Jego zaskoczenie udzieliło się też skoczkowi, który czekał na instrukcje – unik? Obrona

pustkami? Otworzyć ogień?

A kiedy Charat Kraal wreszcie zobaczył dokładnie swój cel i rozpoznał, czym w istocie był – nieuzbrojoną rakieta, która, gdyby tylko zechciała, byłaby szybsza od wszystkich skoczków i myśliwców razem wziętych – znajdował się już tylko o dwie dziesiąte sekundy od zderzenia.

Pilot Harrara obrócił się do kapłana.

– Jaina Solo została zniszczona. Zdaje się, że Charat Kraal ją staranował.

Harrar pokręcił głową.

– Musisz się mylić.

– Nie sędzę. Widziałem, jak dwa obrazy nakładają się na siebie. Nastąpiła emisja energii i oba obrazy znikły. – Pilot włożył kaptur i zeszywniał.

– No i co?

– Miałeś... rację. Jaina Solo nie ma tam, gdzie sądziłem. W ogóle nie było jej na polu minowym. Jest w pobliżu światostatku.

– A Charat Kraal?

– Nie żyje.

Eldo Davip siedział samotnie przy konsoli sterującej „Lusankyi”. Pomimo wszelkich wysiłków klimatyzacji, która miała zapewnić mu komfort, pot strumieniami ściekał mu z czoła.

Nie mógł przebywać na mostku superniszczyciela gwiazdowego. To pomieszczenie, niegdyś jaskrawo oświetlone i dość duże, aby mógł w nim wylądować myśliwiec, zostało zniszczone – widział na własne oczy obraz z holokamery, na którym umierający skoczek koralowy wkręcił się w iluminator, powodując dekompresję mostka i zniszczenie wszystkiego, co się tam znajdowało.

Wszystkiego, nie wszystkich. Żadnych oficerów, żadnych robotów. Światło pozostawiono tylko jako przynętę, choć nie działały już nawet układy sterowania.

Całe sterowanie zostało podłączone tutaj, na pomocniczy mostek ukryty głęboko w rufie statku, w miejscu, gdzie dowództwo mogło pracować, gdyby rufa uległa zniszczeniu lub statek znalazł się w niewoli. Lecz nawet ten mały pokoiik wydawał się teraz dziwnie pusty i obcy. Davip był jedyną osobą, jaka pozostała na pokładzie. Komputery we wszystkich innych pomieszczeniach podłączono do sterów.

Co kilka chwil „Lusankyą” wstrząsało kolejne uderzenie i światła przygasały na moment. Ekranów wszystkich terminali diagnostycznych zapalały się na czerwono, wskazując, że monitorowane przez nie systemy zostały uszkodzone lub przestały działać. Jedyne wyjątek stanowiły systemy kontrolowane z terminala Davipa: główne silniki, czujniki grawitacyjne, lokalne systemy podtrzymania życia, lokalne zasilanie.

Oderwał wzrok od ekranów i zerknął na drzwi w tylnej części pomieszczenia. Były świeżo zainstalowane – stanowiła je gruba płyta stali zbrojeniowej, która podniesie się tylko raz, dając mu dostęp do myśliwca, znajdującego się za nią. Myśliwiec był już ustawiony wzdłuż szybu, który prowadził na rufę „Lusankyi”. Jedyne dróżki... jeśli się przyjmie, że uszkodzenia gwiazdowego niszczyciela nie spowodują zapadnięcia się szybu ani zniszczenia myśliwca. Jeśli tak się stanie, Davip jest już trupem.

Cóż, martwy czy żywy, zakończy tę walkę wielkim bum! Znów spojrzał na czujniki, na sygnał, który oznaczał zbliżający się yuuzhański Światostatek Vongów.

Wedge przyspieszył i opuścił „Ślizgacza Ammuuda”, kierując się w stronę nadlatującego oddziału skoczków koralowych. Jego czujniki pokazywały dwa najbardziej zawzięte skoczki, które wyprzedzały całą resztę i spieszyły się, aby dorwać go jako pierwsze. Spodziewał się, że „Ślizgacz Ammuud” wykręci się ogonem i zwieje z powrotem w atmosferę, próbując znaleźć bezpieczniejszy wektor wyjścia, ale frachtowiec pilnie trzymał się jego ogona. Wkrótce okazało się dlaczego: skoczki z okolic budynku biotyki wznosiły się im na spotkanie.

Nie było dokąd uciekać.

W ciągu kilku chwil pierwsze skoczki znalazły się w zasięgu wzroku. Rozdzieliły się i zaczęły ostrzeliwać Wedge’a pociskami plazmowymi – aż się prosiło, żeby wlecieć pomiędzy nie i przypilnować, żeby się wystrzelały nawzajem.

Wedge uśmiechnął się smętnie. Nowicjusz mógłby próbować tego manewru, ale wkrótce stwierdziłby, że zręczne użycie pustek przez skoczki odarło go z tarcz. A bez tarcz X-wing Wedge’a byłby dla nich łatwym łupem. Dlatego skręcił w prawo na burtę, mijając prawego skoczka po zewnętrznej i ostrzeliwując się przerywanym ogniem laserowym tak długo, aż broń przestała reagować. Tarcze rozświeciły się na moment, kiedy uderzył w nie kawałek plazmy i został odbity, ale diagnostyka nie zakomunikowała o bezpośrednim trafieniu.

Wyminął dwa pierwsze skoczki, które zrobiły zwrot, żeby go dogonić. Nadlatująca dziesiątka również ustawiła się tak, jakby chciała go za sobą pociągnąć, ale nie dorównywały szybkością pierwszej dwójce.

„Ślizgacz Ammuud” utrzymywał swój pierwotny kurs i żaden ze skoczków nie pozostawał bezpośrednio na jego drodze. Wedge ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w czujniki. Dlaczego?

Zwiększył kąt skrętu na prawą burtę. Dwa skoczki ciągle przyspieszały, siedząc mu na ogonie. Pozostała dziesiątka zrobiła zwrot na kurs równoległy do jego kursu, odprowadzając go, zamiast przechwycić.

No właśnie. Przynajmniej jeden z prowadzących skoczków musiał być dowódcą eskadry. Dążył do pojedynku. Piloci chcieli sobie popatrzeć. Uznali, że dowódca wykończy Wedge’a, a potem wszyscy razem dogonią „Ślizgacza Ammuuda” zanim frachtowiec uwolni się z cienia masy Borleias.

No cóż, nie ma tak dobrze.

Wedge skręcił w kierunku zrównujących się z nim skoczków, a manewr ten był na tyle nieoczekiwany, że skoczki na jego ogonie potrzebowały o jeden ułamek sekundy więcej, żeby za nim podążyć. Skręt był też na tyle ostry, że Wedge’owi odrobinę pociemniało w oczach – spostrzegł, jak zawęży mu się pole widzenia, jakby wlatywał w tunel, ale prostując kurs potrząsnął głową i wzrok wrócił do normy. Zaczął strzelać w sam środek dziesiątki i tak jak przypuszczał, nie odpowiedziały mu natychmiast. Dowódca oddziału z pewnością poinstruował swoich pilotów, żeby się nie wtrącali, że załatwi Wedge’a osobiście.

Wedge zalał przerywanym ogniem bok jednego skoczka, następnie ocenił, jak szybko przemieszczają się pustki, aby przechwycić strzały, przełączył się na poczwórną baterię i walnął z całej siły. Wspaniale wycelowany strzał trafił pomiędzy pustki i unieszkodliwił statek, który eksplodował smętną, mizerną chmurką konającego koralu. Wedge śmignął przez tę chmurę, słysząc stukanie małych odłamków koralu yorik o swoje tarcze.

Zaledwie wyszedł z chmury, zawrócił znowu, tym razem w kierunku przeciwnym do flotylli

skoczków i natychmiast został wynagrodzony widokiem zwalniających i zawracających stateczków. Wiodące skoczki przebiły się przez formację tym samym kanałem co on i teraz szybko go doganiały.

W jednej chwili – „tunelowe” widzenie wróciło, jak tylko spróbował manewru zbyt ostrego na swoje siły – znów zrównał się z formacją. Dziewięć pozostałych skoczków-świadków wykonało imponujący zwrot i teraz docierały właśnie do punktu, w którym chmura gazów i koralu znaczyła miejsce, gdzie jeszcze niedawno znajdował się jeden z nich.

Wedge uzbroił i wystrzelił torpedę protonową, przełączył się na przerywany ogień i zaczął rozdzielać czerwone smugi pomiędzy cele. Pustki bez trudu zbierały całą energię.

Wtedy uderzyła torpeda. Nie doszła do żadnego z funkcjonalnych celów, ale trafiła w największy kawałek koralu, jaki pozostał po zniszczonym skoczku, w samym środku mijającej go formacji.

Koral eksplodował jaskrawym rozbłyskiem, a energia wybuchu rozprzestrzeniła się we wszystkich kierunkach jednocześnie, uderzając we wszystkie skoczki, które znalazły się w jej zasięgu. Pustki były w stanie przechwycić jedynie drobny ułamek uwolnionej energii.

Wedge zawinął kolejną pętlę nad rosnącą chmurą gazów i wokół niej, zwiększając prędkość, by choć trochę zwiększyć dystans do swoich prześladowców, po czym spojrzął na tablicę czujników, która wciąż jeszcze się aktualizowała.

Kiedy wreszcie skończyła, okazało się, że ma dla niego prawdziwy prezent urodzinowy: z dziesięciu skoczków sześć eksplodowało lub rozpadło się na części, dwa inne zdążyły po krzywej balistycznej w kierunku atmosfery Borleias, a ostatnie dwa zawróciły, żeby dołączyć do dowódcy i jego towarzysza, lecz nawet one wydawały się ruszać dziwnie ślamazarnie.

Zerowe szanse zmieniły się na stosunek jeden do trzech. A gdzieś w oddali „Ślizgacz Ammuud” spokojnie wędrował w kierunku punktu wejścia w nadprzestrzeń.

Czul kang Lah oceniał dane i zmienne. Nie spodobały mu się wnioski, do jakich doszedł. Światostatek domeny Hul ściągnął na siebie zdecydowanie zbyt wiele uwagi, zbyt wiele zasobów Niewiernych poznikało w niewytłumaczalny sposób, a gigantyczny trójkątny statek, znajdujący się teraz w zasięgu kilku minut, zachowywał się całkowicie nieodpowiedzialnie.

– Przygotować się do odwrotu – rozkazał. – Wybrać kurs w kierunku Rubieży i wykonać na mój rozkaz.

Czuł na sobie wzrok oficerów. Niektórzy pewnie ukrywają gniew, przekonani, że są świadkami aktu tchórzostwa. Inni, którzy wiedzieli, jak słaby Czulkang Lah ma wzrok, nawet się nie fątygowali, aby cokolwiek ukryć.

Rozumiał ten gniew. Sam też go czuł. Ale wiedział też, że niepotrzebne poświęcenie tak ważnego zasobu, jakim był zdrowy światostatek, nie posłuży sprawie Yuuzhan w najmniejszym stopniu, zwłaszcza teraz, kiedy mogą się wycofać i zaatakować później, gdy szanse na zwycięstwo okażą się większe. Dlatego udawał, że nie widzi tych spojrzeń.

Jeden z oficerów zameldował:

– Podpowierzchniowe matryce dovin basali są przemieszczane w prawidłowe położenie.

Znowu pojawił się Kasdakh Bhul. Wyglądał przez soczewkę centrum dowodzenia.

– Coś dziwnego dzieje się z tym trójkątnym statkiem.

– Mam nadzieję, biorąc pod uwagę jego uszkodzenia.

– Chodzi mi o to, że wygląda inaczej, niż się spodziewałem. Musiałem nauczyć się paru rzeczy na temat statków Niewiernych, a ten nie umiera tak, jak powinien. Coś dziwnego jest w jego szkielecie.

Czul kang Lah zmrużył powieki i spojrział w soczewkę, ale widział jedynie kontur nadlatującego statku oraz rozbłyśki towarzyszące wymianie strzałów pomiędzy uganiającymi się wokół niego skoczkami i myśliwcami.

Przeszedł do niszy świetlików, sięgnął i ustawił ją tak, aby świetlik przedstawiający trójkątny statek znajdował się pośrodku, po czym z irytacją machnął ręką ku sobie. Wszystkie świetliki z tylnej części niszy wyroiły się na środek, łącząc się w obrazie trójkątnego statku, co spowodowało wzrost wielkości i rozdzielczości odwzorowania. Czulkang Lah nie przestawał kiwać dłonią, dopóki trójkątny statek, otoczony drobnymi świetlikami przedstawiającymi potyczki myśliwców, nie wypełnił całej niszy.

Statek doznał straszliwych uszkodzeń. Górna nadbudówka, gdzie podobno siedzieli jego dowódcy, została unicestwiona. Boki i dno nie wysyłały rozbłyków światła – całe uzbrojenie było martwe. Zniszczony był również dziób i przednia ćwiartka powłoki, zszarpana nieustannymi atakami skoczków.

Jednak ze zniszczonej przedniej części statku wystawało coś, co wyglądało jak ogromna iglica, sięgająca od miejsca, gdzie zaczynały się zniszczenia, aż do punktu, gdzie powinien znajdować się dziób.

– O to mi właśnie chodziło – odezwał się Kasdakh Bhul. – Wygląda jak żądło. Ich statki przecież nie mają żadeł, tylko przedziały.

Czul kang Lah poczuł, że lęk ściska mu pierś.

– Czy jesteśmy gotowi do odwrotu? – zapytał dziwnie spokojnym tonem.

– Jeszcze nie – odpowiedział jeden z oficerów.

Pojedyncze skoczki koralowe, oddzielone od oddziałów lub niedobitki większych grup, oderwały się od orbity światostatku, aby przechwycić Luke’a i Marę. Jedi nie zwolnili, aby wdać się w walkę. Wywijali ósemki i robili uniki, aby nie dać się zestrzelić plazmowym pociskom, odpowiadali ogniem laserów i wymijali przeciwników, pozwalając się ścigać i uparcie zmierzając w stronę światostatku.

Teraz znajdowali się tuż nad nim, nurkiem kierując się w stronę jego powierzchni. Skręcili, aby wejść na orbitę i śmignęli wzdłuż równika, zdążając ku drugiej jego stronie, przeciwnej do gwiazdy Pyrii. Minęli granicę nocy i dnia i pogrążyli się nagle w ciemności.

W tej samej chwili czujniki wykazały obecność tuż przed nimi nienaruszonego oddziału skoczków, taką samą liczbę różnych statków nadlatujących zza horyzontu za nimi, ale także dość wolnej przestrzeni dookoła, aby oboje Jedi mogli swobodnie odetchnąć.

– Teraz czy później, wszystko jedno, Luke – odezwała się Mara.

– Zgadzam się z tobą. – Luke włączył aparaturę, którą zamontowano w jego komunikatorze oraz w komunikatorach kilku najlepszych pilotów z eskadry obronnej „Lusankyi” tuż przed rozpoczęciem misji.

– Przekazuję zamiary – powiedział. – Pozostanę na prostym kursie tak długo, jak dam radę.

W głosie Mary dała się słyszeć nuta rozbawienia.

– Wiesz, ja też tak obiecywałam swego czasu.

– Bardzo śmieszne.

Przednie tarcze Luke’a rozjarzyły się, uderzone jakimś pociskiem – nie kulą plazmy, bo tę zobaczyłby wcześniej, ale ciałem, które nie świeciło aż do momentu uderzenia. Prawdopodobnie grutchin. Luke napiął mięśnie, jakby to mogło wzmocnić strukturę statku i zwiększyć jego odporność

na bombardowanie. Dopóki nie zakończy zadania, będzie dla nich łatwym celem.

Mara przesunęła się przed niego, dryfując to naprzód, to w tył, starając się ściągnąć na siebie cały ogień z nadlatujących skoczków. Nigdy jednak nie oddalała się na tyle, aby jej tarcze przestały wspomagać i osłaniać Luke'a.

Luke czuł, jak Mara sięga ku niemu poprzez Moc. Nie szukała pociechy, to wiedział. Przecież była pewna siebie, skoncentrowana na zadaniu.

Nie od razu pojął jej intencję. A ona po prostu chciała być z nim, przy nim, jeśli coś się stanie, jeśli jedno z nich nagle przestanie istnieć. Zdziwił się, z jakim trudem przychodzi mu przełknięcie śliny.

Nagle jego czujnik zawył; ogromny kształt zmaterializował się w przestrzeni, całkiem blisko, nie dalej niż o dwieście metrów za jego ogonem.

Była to „Mon Monthma”. Właśnie wyszła z nadprzestrzeni. Ogromny statek przechwytyjący natychmiast skierował się na lewą stronę Luke'a, jak najdalej od powierzchni światostatku. Widocznie przed wejściem w nadprzestrzeń jej kurs był nieco inny.

W chwilę potem z dolnej części kadłuba „Mon Monthmy” wytrysnęła chmura statków. Był to jej własny kontyngent myśliwców. Eskadra po eskadrze unosiły się z doków; niektóre pozostawały przy niszczycielu, inne ruszały do walki z nadlatującymi niemal ze wszystkich stron skoczkami koralowymi.

Prymitywny czujnik grawitacyjny, zamontowany wraz z nowymi urządzeniami na pokładzie X-winga, rozjarzył się światłem. „Mon Monthma” uruchomiła generatory studni grawitacyjnej. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zaraz włączy też układ dezorientujący yammoska.

– Ostatni akt, Maro.

– Odetchnijmy chwilę zanim dołączymy do reszty, farmerku.

– Masz rację.

ROZDZIAŁ 19

Nawigatorom światostatku nie trzeba było tłumaczyć, żeby manewrowali jak najdalej od statku przechwytyjącego. Jednak gdy tylko weszli na nowy kurs, z ich kąta rozległ się szmer, podejrzenie przypominające okrzyki przerażenia.

Czul kang Lah wymownie spojrzał na Kasdakhę Bhulę. Wojownik podszedł do nawigatorów, zamienił z nimi kilka słów i wrócił.

– Powstało pewne zamieszanie – zameldował. – Pięć min dovin basali właśnie zapędziło w nasz obszar przestrzeni pięć „Sokołów Millenium”. Ich próby przechwycenia wrogich statków powodują zakłócenia w pracy dovin basali światostatku.

– Pięć „Sokołów Millenium”?!

– Tak.

– A wystarczyłby jeden, żebyśmy mieli problem.

O kilka kilometrów dalej w przestrzeni pojawił się kolejny statek Nowej Republiki – „Błądny Rycerz”. Natychmiast otworzył ogień ze wszystkich baterii, kierując kanonadę na powierzchnię światostatku i w stronę najbliższych okrętów wojennych Yuuzhan Vongów.

– Już odetchnąłem – oznajmił Luke.

– No to na nich.

Wedge, z czterema skoczkami uczezionymi ogona, odskoczył od kursu „Ślizgacza Ammuuda”. Frachtowiec potrzebował jeszcze niecałej minuty, aby wejść w nadprzestrzeń. Minuta... Wedge z pewnością zdoła utrzymać skoczki przez ten czas. Nawet za cenę własnego życia.

Czul kang Lah patrzył na całkowitą dezorientację swojej floty. Skoczki koralowe latały w kółko jak niedoświadczeni kadeci. Villipy przenicowały się, kiedy dowódcy okrętów bojowych przestali otrzymywać dane grawitacyjne. Igła na dziobie „Lusankyi” była teraz widoczna nawet przez soczewkę; statek rozpadał się coraz bardziej, odsłaniając jej dalszą część. Grawitacyjne pole blokady jednego z trójkątnych okrętów na orbicie nad światostatkiem uniemożliwiało dovin basalom wymanewrowanie domeny Hul poza zasięg „Lusankyi”.

Odwrócił się tyłem do dowódców.

– Uaktywnij villipa mojego syna – polecił Kasdakhowi Bhulowi.

W chwilę później villip zainstalowany w największej z nisz wywrócił się i przyjął rysy twarzy

Tsavonga Laha.

– Jakie wieści, mój ojczu? – spytał mistrz wojenny. – Czy Borleias upadła?

– Borleias upadła – zgodził się Czulkang Lah znużonym głosem.

– Wybiłeś wszystkich Niewiernych? Czy może część pozostała, aby umknąć?

– Część pozostała.

– Ale to i tak wielkie zwycięstwo.

– Nie, synu. Proste fakty mogłyby wskazywać na zwycięstwo, gdy w istocie w ustach mam tylko smak klęski.

Villip zmarszczył czoło.

– Klęska? Osiągnąłeś przecież wszystkie warunki zwycięstwa. Raz jeszcze przyniosłeś chwałę domenie Lah.

– Za minutę zginę. Pokonało mnie zbyt wiele przebiegłych umysłów, choćby nawet heretyckich.

– Ale...

– Zamilcz, mój synu i wiedz, że ostatnie słowa zachowałem dla ciebie. Bądź zdrow, niech bogowie uśmiechają się do ciebie, tak jak niegdyś do mnie. – Czulkang Lah wyciągnął rękę, żeby pogłodzić villipa, który natychmiast się zamknął, kryjąc w swoim wnętrzu zdumioną minę Tsavonga Laha.

Kasdahk Bhul stanął przed Czulkangiem Lahem.

– Jesteśmy na progu zwycięstwa, sędziwy. Wydrzyj z umysłu ostatnią zwycięską strategię. Daj nam to ostatnie zwycięstwo.

Czulkang Lah spojrział w twarz tego wojownika, zbyt głupiego, aby odczuwać żal. Stary mistrz wojenny zachował jednak milczenie. Słowa skierowane do Tsavonga Laha będą jego ostatnimi. Nie sprofanuje ich, łamiąc tę obietnicę.

Jeden z oficerów, głosem drżącym z gniewu lub strachu – albo i jednego, i drugiego – zapytał:

– Czy wydać rozkaz opuszczenia domeny Hul?

Czulkang Lah skinął głową.

Przestrzeń zaroła się nagle od posiłków Nowej Republiki. Gavin zredukował moc i w zadumie obserwował, jak cztery myśliwce przechwytyjące TIE z „Mon Monthmy” dosłownie rozniosły parę skoczków, z którymi on i Nevil walczyli już od jakiegoś czasu. Co to jednak znaczą świeże lasery i wypoczęci piloci...

– Eskadra Łotrów, przegrupowanie wokół mnie – rozkazał Gavin. – Niech nowo przybyli eskortują „Lusankę”. Czarne Księżycy, jak wam idzie?

– Dowódca Łotrów, tu „Czarny Księżyc Dziesięć”. Nie za bardzo... Zostały cztery aktywne statki, nie licząc „Jeden” i „Dwa”, które mają swoje zadanie.

– No to posiedźcie sobie chwilę na ogonach i popatrzcie.

– Nie da rady, dowódco Łotrów. Zdaje się, że jeden z naszych wpadł w jakiś bigos na Borleias. Idziemy po niego.

– Lecimy z wami.

Wedge zamknął pętlę i skierował się w stronę czwórki prześladowców. Strzelali do niego na długo przedtem, zanim im się wystawił, ale dwa z nich, niedobitki ataku torpedami protonowymi, nie były zbyt celne. Dolne części ich kadłubów wydawały się zwęglone i Wedge przypuszczał, że

skoczki nie tylko są uszkodzone, ale i cierpią.

Co nie oznaczało wcale, że dwa zdrowe skoczki nie mogą go zabić. Wedge wszedł w ślizg, obrócił się, żeby zmienić profil, wzniósł się i zaraz opadł, usiłując nie dopuścić do siebie plazmy i grutchinów.

Zbliżając się do formacji skoczków przedryfował na lewo i wycisnął z laserów przerywaną serię w bok jednego ze zdrowych skoczków. Strzelał tylko przez ułamek sekundy, pozwalając, aby krótkie serie promieni dryfowały z przodu kabiny, i obserwował, jak pustki, poruszając się w tym samym rytmie, połykają po kolei strumienie spójnego światła. Teraz przełączył broń na poczwórnie sprzężony ogień, przerzucił siatkę celowniczą z powrotem na kabinę i strzelił – a wszystko jednym szybkim ruchem.

Pustki przesuwały się do przodu jeszcze przez krótki, śmiertcionośny ułamek sekundy. Lasery Wedge'a uderzyły tuż za nimi, przebijając kabinę i samego pilota.

X-wing Wedge'a zadygotał, kiedy plazma, nie całkiem odbita przez tarcze, przeorała dolny prawy płat. Diagnostyka rozjarzyła się informacjami: NARUSZONA KONSTRUKCJA, ALE BRAK USZKODZEŃ SILNIKA. Płat może pęknąć, jeśli będzie używany w atmosferze, zwłaszcza w pozycji bojowej, ale powinien wytrzymać nawet najostrzejsze manewry w przestrzeni. Ostatni zdrowy skoczek i jego dwaj ranni towarzysze lecieli na jego ogonie, zalewając go strumieniami plazmy. Słyszał, jak rozjarzone pociski raz po raz uderzają w tylne tarcze i obserwował z niepokojem spadek mocy w osłonach. Czujniki zapiszczały, ostrzegając go przed obiektem na kursie kolizyjnym w odległości sekundy lotu. Zaczął ściągać drążek, aby wyminąć przeszkodę bokiem, ale najpierw przerzucił sterowanie bronią na torpedę protonową i wystrzelił. Dopiero potem wgniół drążek w dół.

Ujrzał jaskrawy błysk detonującej mu nad głową torpedy. Fala uderzeniowa ostro zakołysała X-wingiem, ale Wedge nie czekał na ustabilizowanie się maszyny, tylko od razu przerzucił moc na lasery, a sam ściągnął drążek w górę. W jednej chwili przeleciał przez strefę eksplozji i od razu natknął się na ostatniego zdrowego skoczka. Jego pilot już dochodził do siebie po nieoczekiwanym wybuchu. Wedge strzelił i jego lasery rozdarły brzuch stateczku.

Nastąpiła kolejna eksplozja, tym razem znacznie mniej poważna w skutkach, bo wybuchły tylko gazy ulatniające się przez krater wybity laserem w koralu yorik. Statek nagle przerwał wszelkie manewry.

Przeraźliwy ryk alarmu dzwonił Wedge'owi w uszach już od kilku minut, ale dopiero w tej chwili znalazł dość czasu, aby spojrzeć na tablicę diagnostyki.

Spojrzał i zaklął. Osłony przestały działać. Nie wiedział, czy spowodowała to eksplozja torpedy protonowej, czy zostały uszkodzone w ostatnim akcie działania pustek skoczka koralowego. Podejrzewał raczej to ostatnie: to by wyjaśniało, dlaczego nie zdążyły one zablokować jego ostatniego strzału.

Bez tarcz właściwie jakby już go nie było. Obejrzał się na dwa uszkodzone skoczki. Zaraz się na niego rzucą, jak drapieżniki na zranioną ofiarę.

Tymczasem jednak wiały, ile sił w napędzie.

Wedge zaśmiał się. Widocznie na widok zniszczonego ostatniego skoczka z eskadry trochę poszło im w pięty... Pewnie nawet nie zauważyli, że stracił tarcze. Zaczął się zastanawiać, za kogo właściwie go wzięli – za jeszcze jedną boską manifestację, taką jak Jaina?

Nagle śmiech zamarł mu na ustach. Czujniki informowały go, że eskadra skoczków od strony

planety wyszła z atmosfery i kieruje się w ślad za „Ślizgaczem Ammuudem”. Mogą go przechwycić jeszcze przed dotarciem do punktu wejścia w nadprzestrzeń.

No, chyba że rzuci im się pod dzioby. Chyba że przekona do pojedynku również drugą eskadrę.

Jeśli jednak to zrobi uszkodzonym i pozbawionym tarcz X-wingiem, zginie. Zginie samotnie, anonimowo, lecąc X-wingiem innego pilota i nikt nawet nie będzie wiedział, że to on. Iella i jego dzieci nigdy się nie dowiedzą, co się z nim stało.

Obrócił statek na kurs przechwytyjący i przyspieszył.

Gdyby teraz odwrócił się plecami do „Ślizgacza Ammuuda”, pozwolił, aby Yuuzhanie zniszczyli go w chwili, kiedy był tak blisko ocalenia, nie mógłby z tym żyć. Może zostałoby mu trochę czasu na załatwienie własnych spraw, zanim poczucie winy, miazdzący ciężar zaniechanej odpowiedzialności, spowoduje, że poszuka śmierci w inny sposób.

Podszedł pod ostrym kątem do kursu nowych skoczków i wystrzelił z możliwie jak największej odległości. Spojrzał na tablice czujników i stwierdził, że jego lasery nie wyrządziły skoczkom najmniejszej szkody.

Po chwili cała eskadra skrzyła, kierując się wprost na niego.

Mógłby właściwie wrzasnąć z radości. Oni też woleli wyzwanie, jakie stanowił pojedynczy, sprawny pilot, od bezbronnego frachtowca. Gdyby ich decyzja nie stanowiła dla niego gwarancji śmierci, pewnie by się ucieszył.

Wedge nie przestawał strzelać, rzucając X-winga w górę i w dół, próbując uników. Widział strumienie plazmy przemykające to górami, to dołami, to z prawej burty. Jego lasery nieustannie bombardowały pustki pierwszego skoczka, od czasu do czasu tylko odskakując na moment w jedną lub drugą stronę, dość szybko, aby nadgryźć koral.

Nagle poczuł potężne uderzenie i wszechświat zawirował w iluminatorach. X-wing przestał reagować na ruchy drążka. W uszach dzwonił mu alarm awarii systemu i Wedge wiedział już, że nie żyje.

Eldo Davip zablokował pomocnicze układy sterujące mostka i otwartą dłoń uderzył w przycisk nowych drzwi na tyłach pomieszczenia. Drzwi odsunęły się natychmiast, odsłaniając stojącego za nimi Y-winga.

Y-wing. Pokręcił głową, ale podbiegł i wspiął się do kabiny. Myśliwiec był w jego wieku, jeśli nie starszy; podejrzewał, że został sklecony z pojazdów przeznaczonych na części zamienne, które pozostały po montażu rurowców. Jak tylko zatrzasnął owiewkę, drzwi na pomocniczy mostek zamknęły się. W tej samej chwili odsunęła się inna ściana, o kilkadziesiąt metrów od niego, odsłaniając jego oczom przestrzeń w obramowaniu emisji potężnych silników „Lusankyi”.

Uruchomił silniki myśliwca, ale jeszcze nie mógł wystartować. Sklecony byle jak ekran i zestaw układów sterowania ożyły i Davip jeszcze raz spojrział przez przednie holokamery „Lusankyi” na odczyty czujników.

Umierający superniszczyciel gwiazdny dryfował na sterburtę. Prawdopodobnie nie był to błąd nawigacji. Widocznie jakiś dovin basal na powierzchni światostatku wywierał swój wpływ na „Lusankyę”, usiłując odepchnąć statek w bok.

Może mu się nawet uda. Żaden dovin basal nie zdołałby odchylić całkowicie milionów ton „Lusankyi” ani zahamować potwornej energii kinetycznej nagromadzonej wskutek stałego przyspieszania niszczyciela w kierunku światostatku. Dovin basal mógł jednak odchylić wystającą

iglicę, tym samym zmniejszając siłę zderzenia.

Davip na to nie pozwoli. Przejął na nowo bezpośrednio sterowanie „Lusankyi” i zwiększył moc silników na prawej burcie aż do przegrzania, sprowadzając iglicę do właściwej pozycji.

Zostanie tu i dopilnuje, aby wszystko poszło zgodnie z planem.

Czul kang Lah ze wzmagającym się wrażeniem nierealności obserwował rosnący w iluminatorze ostry dziób „Lusankyi”, zbliżający się z drobiazgową precyzją, którą mógł tylko podziwiać.

Dopiero z bliska widać było, że iglica była sklecona naprędce, byle jak. Widział podobne do blizn spawy, sugerujące, że zmontowano ją wewnątrz trójkątnego statku. Jednak prostota konstrukcji i fakt, że spełniła swoje zadanie, czyniły ją godną podziwu.

Weszła w atmosferę światostatku i w chwilę potem przebiła soczewkę.

Czul kang Lah odszedł.

Dziób „Lusankyi” uderzył w światostatek.

Osiem kilometrów wyżej, zanim jeszcze wstrząs spowodowany zderzeniem przeniósł się na kadłub niszczyciela, Eldo Davip odpalił silniki i wyrwał się z rufy statku.

Prześliznął się pomiędzy dwoma silnikami i stwierdził, że układy diagnostyczne statku zapłonęły. Przewidział awarię systemu podtrzymania życia. W chwilę potem jednak żółty kolor zamigotał i przeszedł w spokojną zieleń.

Ale wciąż czuł drgania. Czyżby statek został uszkodzony w sposób niewykrywalny dla diagnostyki?

Dopiero po dłuższym czasie zorientował się, że drgania nie pochodzą od Y-winga. Trząśnięcie on sam.

Ustawił kurs na formację sprzymierzonych statków i spróbował powstrzymać dygotanie.

Ale nie mógł.

Luke i Mara okrążyli ciemną stronę światostatku i ujrzeli, jak „Lusankya” pogrąża się w jego powierzchni. Luke’owi wydawało się, że od miejsca uderzenia rozeszła się fala – może fala uderzeniowa, może zwierzęcy skurcz bólu.

Superniszczyciel, lekko tylko spowolniony uderzeniem, parł naprzód całą energią kinetyczną. Stumetrowej wysokości szczątki konstrukcji nośnej statku zostały zdarte z rdzenia, lecz sam rdzeń zagłębiał się nieubłaganie w masę światostatku.

Rdzeń „Lusankyi” został wchłonięty przez światostatek, zanim jeszcze oboje Jedi zdążyli dotrzeć po swojej orbicie do punktu uderzenia. Osiem lub więcej kilometrów pod powierzchnią czubek iglicy eksplodował. Za chwilę wybuchnie kolejna stumetrowa sekcja rdzenia, potem następna, a reakcja łańcuchowa sięgnie aż do miejsca niedawno jeszcze stanowiącego rufę „Lusankyi”.

Kiedy przelatywali nad wrakiem superniszczyciela, w górę wyrwała się wielka góra złomu, napędzana niemal wulkaniczną erupcją na skutek detonacji pierwszej sekcji rdzenia „Lusankyi” pod powierzchnią światostatku. Błysk eksplozji był oślepiający, a jej siła wyrzuciła szczątki wprost w niebo, co sprawiło, że przez krótką chwilę wyglądała jak pomarańczowo-czerwone ostrze miecza świetlnego długości wielu kilometrów.

Powierzchnia światostatku wzdęła się. Wielkie, zygzakowate szczeliny rozbiegły się na wszystkie strony od punktu, w którym uderzyła „Lusankya” i buchnęły czerwono-czarną substancją, której natury

Luke wolał nie dociekać. Swiatostatek zaczął umierać.

Harrar, chroniony przez niedobitki grupy specjalnej Charata Kraala, obserwował zderzenie i detonację. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy, a mięśnie odmawiają posłuszeństwa. Usiadł ciężko w fotelu dowódcy. Zabrakło mu słów.

– Niewierni znów zaczynają się zbierać – odezwał się pilot. – Czy powinniśmy dołączyć do tych skoczków i zaatakować?

– A po co? – szepnął Harrar. – Zabierz nas z powrotem na Coruscant. Zabierz nas tam, gdzie ujrzymy zwycięstwo, a nie klęskę.

Przy kolejnym obrocie Wedge ujrzał zmierzającą ku niemu flotyllę skoczków. Wycelował i strzelił do nich w ostatecznym, heroicznym geście, ale broń nie wypaliła.

Następny obrót ukazał mu znowu nadlatujące statki, lecz za nimi niebo rozświetlił oślepiający błysk, oznajmiający śmierć „Lusankyi”.

– Chyba nie będę za tobą tęsknił – mruknął.

Skoczki otworzyły ogień. Z tego zasięgu tylko jeden pocisk plazmowy dotarł do celu. Wedge poczuł, jak wbija się w rufę X-winga. Kręcił się teraz jeszcze szybciej, gwiazdy tańczyły wokół niego w oszalamiającym tempie.

Sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej. Wedge nie potrafił już przeanalizować tego, co widzi na zewnątrz i poskładać w jeden sensowny obraz – coraz bardziej kręciło mu się w głowie – ale wydawało mu się, że ma przed sobą czerwone smugi laserów, przeplatające się z pomarańczowo-czerwonymi kulami plazmy. Był prawie pewien, że widzi eksplozję najpierw jednego skoczka, później dwóch.

Otoczyły go E-wingi i X-wingi pomalowane w standardowe barwy Nowej Republiki. Komunikator zatrzeszczał i ożył.

– „Czarny Księżyc Dziesięć”... „Jedenaście”... Jesteś... z nami?

Uruchomił swój prowizoryczny komunikator.

– „Czarny Księżyc Dziesięć”, tu „Czarny Księżyc Jedenaście”. Słyszę was. Wciąż żyję, ale zaraz chyba będę rzygał.

– Trzymaj się... wahadłowiec... Będzie... minuty.

Nagle rozległ się całkiem nowy głos, silniejszy, bo jego źródło znajdowało się w X-wingu wiszącym niecałe pięćdziesiąt metrów dalej. Wedge rozpoznał głos Gavina Darklightera.

– „Czarny Księżyc Jedenaście”, co ty chciałeś zrobić z tą eskadrą skoczków?

– Takie miałem zadanie.

– Mówi się: „Takie miałem zadanie, proszę pana”.

Wedge wyszczerzył zęby.

– Takie miałem zadanie, proszę pana.

– Synu, jeśli pewnego dnia będziesz równie dobry, jak jesteś bezczelny, staniesz się największym pilotem wszechczasów.

Gavin, osłupiały, wpatrywał się w panel łączności.

– „Czarny Księżyc Jedenaście”... jesteś tam?

Ale „Czarny Księżyc Jedenaście” nie odpowiedział – a przynajmniej nie słowami.

Z komunikatora Gavina dobiegał tylko śmiech. Dziwnie znajomy śmiech...

Siły Nowej Republiki przygotowywały operację sprzątnięcia i odwrotu. Eskadry myśliwców zbierały się, eskortowały wahadłowce ratownicze, broniły większych statków przed nieskoordynowanymi atakami Yuuzhan.

Wkrótce jednak do systemu zostanie sprowadzony nowy yammosk; wkrótce kolejne oddziały Yuuzhan Vongów sprawią, że system stanie się nie do utrzymania. obrońcy Borleias, jeden po drugim, przechodzili w nadprzestrzeń, aby dotrzeć do pierwszego punktu zbornego.

Świat, który pozostawiali za sobą, był na razie we władaniu Yuuzhan. Twierdza spełniła swoje zadanie. Rada i jej zwolennicy dostali kilka miesięcy, aby móc zaplanować dalsze ruchy – obronę, kapitulację, kombinacje. Rada nigdy się jednak nie dowie, co jeszcze się stało w ciągu tych kilku miesięcy, jakie poczyniono plany, jakie położono fundamenty pod ruch oporu, który nie będzie od niej zależny.

EPILOG

Tsavong Lah siedział samotnie w swoim centrum dowodzenia. Nie mógł mówić.

Bogowie muszą go kochać. Zwrócili mu ramię. Pozwolili mu wykorzystać zdradę, która omal go nie pograżyła. Dali mu Borleias, której obrońcy nareszcie uciekli.

Ale bogowie muszą go nienawidzić. Odebrali mu ojca. Nie tylko ojca, lecz i słynnego mistrza wojennego, Czhlkanga Laha, którego metody nauczania i innowacje strategiczne umożliwiły ten podbój, choć stworzono je wiele dziesięcioleci temu. Wieść o śmierci Czulkanga Laha i zniszczeniu domeny Hul będzie dla Yuuzhan niczym cios couffeee w brzuch.

Więc jak to jest? Zasłużył sobie na nienawiść czy na miłość bogów?

Odchylił się do tyłu, czując ogromną pustkę po niedawnej stracie, niepewny we wszechświecie, który nagle wydał mu się mroczny i jeszcze bardziej obcy.